PAMIĘTNIKI

Z POBYTU

NA SYBERYI

RUFINA PIOTROWSKIEGO.

TOM III.

POZNAŃ.
NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.
1860.

ROZDZIAŁ XXIV.

O Polakach w Syberyi. Piotr Wysocki pułkownik. Ksiądz Sierociński i jego towarzysze, ich egzekucya i śmierć pod kijami.

Wiedeń (Austrya) 19 sierpnia 1849.

Syberyo, kraino wichrów i lodów, płaczu i narzekań, dla czego tak często myślę i śnię o tobie? wszak kajdany i miny niemogą mnie nęcić, a twoje złoto dla mnie bez powabu. Byłaś czas jakiś istnym dla mnie grobem, dla wielu tysięcy mych braci jesteś grobem wiecznym. Mimo wspaniałość i wielkość przyrody władza despoty hojnie na cię zsypała wszystkie ozdoby Meduzy, a serce kamienieje gdy się wspomni o tobie! Dla czegoż jednak tak często myślę i śnię o tobie? Bo w swych objęciach okrutnych, trzymasz tysiące mych spółbraci, bo ty ich karmisz i poisz goryczą smutku i cierpień, tęsknoty i poniżenia, bo ty jesteś dla nas Polaków albo czyscem odkupienia, albo zatracenia piekłem. Już trzecie nas pokolenie swemi kośćmi zalega twe obszerne pustynie, a po tylu z nas niepozostało ani wspomnienia. Ileż tam wielkich, cnotliwych ofiar i niewinnych krwi najczystszej lackiej, w cierpieniach,[1] bolach i samotności życia dokonało a i śladu niema gdzie grób dla ich ciała, a ich zgonu żadne niepoczuło serce, pomarli jak męczennicy, jak wyznawcy, w cichości i zapomnieni od świata, pelni miło-

ści i nadziei dla Polski. Od Uralu do Kamczatki Syberyo, tyś naszemi łzami, tyś naszą krwią przesiąkła! Masz niestety, najświętsze prawo do naszych wspomnień, do naszego współczucia. Jeżeli do którego z wygnańców syberyjskich z ziemi rodzinnéj, z piersi życzliwéj choć westchnienie doleci, jakże on jest wówczas szczęśliwy! bo jedyny balsam pociechy dla jego znękanéj duszy, bo on wzdycha i tęskni bez końca, jego męki i boleści serca i duszy kończą się chyba z jego zgonem, jak jego miłość dla ojczyzny z ostatniém biciem serca. O Bracia moi! Ja co znam i czuję wasz smutek i osierocenie, tęsknotę i boleść waszego serca, przyjmijcie od waszego spółtowarzysza niegdyś niedoli serdeczny udział w waszych cierpieniach i nieszczęśliwém położeniu jak i w nadziei, że Bóg będąc sprawiedliwym, wiecznie cnotliwym cierpieć niedozwoli. Miejcie więc nadzieję oglądania jeszcze waszéj ojczyzny, jak ja mam nadzieję w niéj was powitania!

Jeszcze za czasów niecnéj pamięci carycy Katarzyny II zaczęto wysyłać Polaków do Syberyi, szczególniéj z prowincyi zadnieprskiéj i zadźwiniańskiej, z Białéj Rusi i gubernii smoleńskiéj, a jak się z niemi obchodzono, poświadcza to do dziś dnia pozostała w mieszkańcach gubernii tobolskiéj tego samego i dzikiego z nimi obchodzenia się pamięć. Ci mieszkańcy powiadali mnie samemu, że były wówczas gubernator Szyrszyn przywiązywał Polaków do grubych i długich kloców drzewa, po kilku około jednego kloca: tak uwiązanych kazał spychać z wysokiéj góry, która jest w mieście Tobolsku, kloc się tocząc z wysokiéj a przykréj góry druzgotał nieszczęśliwych na miazgę, a przynajmniéj połamał im kości. Trudno wierzyć takiemu barbarzyństwu, ale jakże niewierzyć podaniu niezbyt odległemu, a które jeszcze żywo tkwi w pamięci miejscowego ludu. Zresztą cóż niepodobnego w tém obejściu się w Syberyi i w owych czas, kiedy dobrze każdemu Polakowi powinno być wiadomem, obchodzenie się okrutne Rossyan z Polakami, w samejże Polsce, w czasie

konfederacyi barskiéj. Czyż Kreczetników nieodrzynał uszów, nosów, nieczynił wylotów obciągając skóry z ramion, albo je ucinając? czyż nieobrzynał pępków, nieprzytwierdzał ich do drzewa i niekazał nieszczęśliwych pędzić razami, aż póki w serdecznym śmiechu wysnuwszy z siebie wszystkie wnętrzności niepadli bez duszy? Ja temu podaniu bardzo wierzę, bo to jest prawdopodobne. Potomkowie dawniéj wysłanych Polaków znajdują się na całéj przestrzeni Syberyi, a wszyscy bez wyjątku przyjęli, bo przyjąć musieli wyznanie greckie i miejscowe zwyczaje: słowem zostali Sybirakami, nieomal wszyscy skarbowymi włościanami, a niektórzy są kupcami. Wielu z nich pamięta, że ich dziad, niemówię już ojciec był Polakiem, i mniéj więcéj opisują z jakiego rodu, lub jakiego znaczenia. Niedaleko zakładu, gdzie byłem, jednéj włości był głową krestianin Panowski, który zna i pamięta dobrze, że jego dziad był Polakiem. On zaś sam ma minę prawdziwie polską, postawy okazałéj, ujmującéj i godnéj, ale ani mu się śni o Polsce, jest bogaty i zamożny. W Tarze było dwóch braci kupców małych, mieszczan, Grabiańskich, których ojciec był także Polakiem oni zaś są tylko Sybirakami. Takich rodzin, potomków Polaków, i nazwisk polskich mnóstwo i wszędzie w Syberyi się znajduje. Około miasta Siemipalatińska w okolicy pięknéj i bogatéj, w klimacie nieco cieplejszym, jest jedna czy dwie wsie z samych potomków Polaków złożone, mówią nawet jeszcze po polsku i hodują pszczoły. Miody z tych wsi są bardzo słynne w Syberyi, i w wielkiéj znajdują się obfitości. Niemogłem się jednak dowiedzieć, kiedy przodkowie tych Polaków zostali tam zasłani i z jakiéj części Polski. Zdaje się jednak, że to musiało być jeszcze za czasów Katarzyny, kiedy tysiącami z Białéj Rusi i smoleńskiéj gubernii Polaków w głąb Rossyi wyprowadzono na kolonije. Być może, że i to była jaka polska kolonija. Wielem się od Sybiraków nasłuchał wieści o Polakach, posieleńcach dawniéj tam wysłanych. Naj-

nieszczęśliwsi byli ci, co już w podeszłym wieku byli do Syberyi zasłani. Smutne, najsmutniejsze wiedli życie. Niebędąc w stanie pracować, w ostatniéj znajdowali się nędzy, i utrzymywali się żebraniną i łaską swéj włości. Mówię tu o posieleńcach wyższego stanu i wykształcenia. O Beniowskim, o jego wypadkach w Ochotsku i o jego ucieczce okrętem, którego zbuntował ekwipaż, wiedzą bardzo w Syberyi. Ale pominąwszy dawne czasy, mówmy o nowszych, o naszych, mówmy o Polakach już za panowania łaskawego cesarza Mikołaja, szczególnie po rewolucyi 1831 roku do Syberyi zasłanych za polityczne przestępstwa.

Polacy stósownie do ważności winy politycznéj są podzieleni na rozmaite w Syberyi kategorye; jedni skazani byli do Syberyi tylko na mieszkanie czasowe, na dwa, pięć i więcéj lat pod dozór policyi miejscowéj, bez utraty dostojeństw, szlachectwa i majątków, przytém z nadzieją powrócenia po upływie pewnego czasu do rodzinnéj strzechy, a przynajmniéj gdzie w jéj sąsiedztwo; liczba Polaków do téj pierwszéj kategoryi należących jest bardzo mała: z niéj pamiętam tylko nazwisko Kazimierza Szalewicza, którego już w Syberyi poznałem osobiście, a który za udział w sprawie Konarskiego Szymona był do Syberyi wysłany i mieszkał w Tarze. Jeszcze przy mnie, bo przy końcu 1845 roku, otrzymał od rządu pozwolenie zbliżenia się, niby ku Litwie swéj ojczyznie, bo był rodem z gubernii wileńskiéj, i wyjechał z Syberyi do Włodzimierza nad Klazmą, miejsca nowego swego przeznaczenia. Do téj kategoryi należała także Panna Wielczopolska z Wołynia z tegoż powodu co i Szalewicz do Syberyi wysłana, mieszkała także czas jakiś w Tarze, i na rok przed mojém przybyciem, otrzymała niby ułaskawiące pozwolenie zbliżenia się ku Wołyniowi, i wyjechała do Tuły czy do Kaługi, miejsca nowego przeznaczenia. Wielu innych Polaków a nawet i Polek z téj kategoryi znajdowało się w Syberyi, ale po różnych jéj miejscach

i tak od siebie odległych, jak np. w Berezowie, Tobolsku, Tomsku i t. d., iż niepodobna o nich wszystkich wiedzieć.

Do drugiéj kategoryi należą Polacy na posielenie skazani; tych jest bardzo wielka liczba i podlegają prawu ogólnemu posieleńców, o których już mówiłem. Z nich znałem osobiście, albo tylko z nazwiska następujących. W okręgu tarskim i w saméj Tarze: 1) Feliks Syczewski z gubernii kijowskiéj powiatu lipowieckiego, mieszkający o dwie wersty od zakładu na zaimce, trudnił się gospodarką i myśliwstwem, był bardzo w biednym stanie, bo już miał lat przeszło 50 i zdrowia brakowało. 2) Konstanty Dorotkiewicz. 3) Karól Skierski. 4) Biegański, wszyscy trzéj z Krakowskiego; dwaj pierwsi mieli po lat szesnaście, kiedy ich poaresztowano w Kieleckiém. 5) Błoński z Augustowskiego, młody chłopiec, na rok do katorgi w tym samym, co i ja, tylko parą lat wcześniéj, zakładzie skazany, wyszedł z niéj na posielenie, potulny, skromny, miły i dobry młodzieniec. 6) Kłosowski z Płockiego czy z Kaliskiego. 7) Januszkiewicz w Omsku. 8) Mocarski około Tobolska, w Tobolsku. 9) Pietraszkiewicz z Wilna, spółuczeń, spółkolega, a może i spół-filaret Adama Mickiewicza, ten już po raz trzeci z kraju wysłany (dwa pierwsze razy do Rossyi) dosługuje się teraz choć już podeszły wiekiem, i jemu to pozwolono z ułaskawienia, stopnia w służbie cywilnéj. Jest to bardzo poczciwy i szanowny człowiek. Tamże 10) Kozłowski, z posieleńca na professora wzięty, także się stopnia dosługuje, jest to także światły i szanowny człowiek. Obaj choć żon niemają, ale dzieci huk. 11) Marchocki z Podola z pod Kamieńca, w 1845 roku otrzymawszy pozwolenie udania się na mieszkanie do Odessy, wyjechał z Tobolska. 12) Piotr Moszyński, na kilka lat przed mojem przybyciem otrzymawszy powrót do kraju, wyjechał z Tobolska. Tu także w Tobolsku na lat kilka przed mojem przybyciem umarł pułkownik od strzelców konnych,

Krzyżanowski, ten sam, co był w Kijowie dla porozumienia się ze spiskowymi Pestla. W Kurgawie 14) Sobański, który w chwili pozwolenia powrotu do kraju był zabitym, zarzniętym przez własnego służącego. Wielu innych Polaków téj kategoryi znałem z nazwiska, a niektórych osobiście, ale i jednych i drugich nazwiska zapomniałem.

Do trzeciéj kategoryi należą Polacy na dwa, trzy, pięć, piętnaście lub na całe życie do katorgi skazani. Z tych także jednych znałem osobiście, drugich z nazwiska; jedni byli jeszcze w katordze, drudzy z niéj już wyszli. Z téj kategoryi w okręgu tarskim byli: 1) Jan Siesicki, mój spółtowarzysz niedoli, z Lubelskiego, na całe życie skazany do katorgi, w niéj go zostawiłem. 2) Karól Bogdaszewski po trzech latach katorgi, przy końcu 1844 roku, wyszedł na posielenie. 3) Orlicki z Litwy, z korpusu kadetów w Petersburgu; w czasie naszéj rewolucyi przeszedł, jako prawy Polak, do Polaków, w czasie szturmu reduty wolskiéj ranny, w niéj był wzięty, po kilku latach katorgi wyszedł na posielenie. 4) Piotr Wysocki z Litwy (ale nie pułkownik), z gwardyi Wołyńców stojącéj w Warszawie, za przychylność sprawie Polaków był lat kilka w katordze, później wyszedł na posielenie. 5) Minkiewicz, z mińskiéj gubernii z Minkowia, od lat dwudziestu już w Syberyi będący, był w katordze, jest na posieleniu, niegdyś obywatel majętny, urzędnik, spokrewniony przez żonę z zacną rodziną Podberezkich, z których jeden major Podberezki jest w emigracyi z 1831 roku, zostawiwszy w kraju żonę i dorosłe córki, wkrótce po swojém do Syberyi przybyciu ożenił się z jedną posieleńką, prostą kobietą i miał z nią syna ośmnastoletniego chłopca, ale prawdziwego Sybiraka, bez najmniejszego wychowania. U tego Minkiewicza stałem na stancyi. Około Irkutska i w zakładach nerczyńskich byli: 6) Wężyk z Krakowskiego. 7) Erenberg z Krakowskiego. 8) Z ichże sprawy Podlewski z katorgi wyszedł na posielenie. 9) Serednicki Eustachy z Podola. 10) Ze sprawy Konarskiego

Orzeszko. 11) Pułkownik i naczelnik powstania listopadowego, nieszczęśliwy Piotr Wysocki, na całe życie do torgi skazany do Nerczyńska, po próbie ucieczki zasłany do fortecy Akatui daleko za Nerczyńskiem. Około Irkutska, w zawodach nerczyńskich, mnóstwo jest Polaków w katorżnych robotach, ale w takiéj odległości trudno jest o wszystkich wiedzieć, przytém wiele nazwisk tych nieszczęśliwych pozapominałem.

W 1845 roku latem w miesiącu lipcu czy sierpniu, transportowano wraz z partyą pięciu Polaków przez miasto Tarę do robót ciężkich gdzieś około Irkutska, zdaje się, że do Aleksandryjskich zawodów, a tymi byli: 1) Aleksander Bieliński, syn pułkownika Bielińskiego z Lubelskiego. Ten nieszczęśliwy młody człowiek po raz drugi zwiedza Syberyą. Ledwie wróciwszy z Syberyi, dokąd był wysłany na posielenie, odetchnął rodzinnem powietrzem, gdy wkrótce znów skazany został do ciężkich robót. 2) Karpiński z Lubelskiego, którego brat rodzony jeszcze przedtém był wysłany do Nerczyńska. 3) Gzowski. 4) Więckowski, adwokat z Warszawy. 5) Młody zupełnie człowiek Gross. Do Tobolska przywieziono ich w kibitkach, od Tobolska zaś poszli w partyi, w łańcuchach.

Już wzmiankowałem, że jest nieco względu na przestępstwo politycznych posieleńców i katorżnych. Ci którzy są zesłani do min Nerczyńska, zwykle w nich niepracują, to jest: niespuszczają się do wnętrzności ziemi Ale w godzinach naznaczonych do pracy, muszą wychodzić z taczkami i wozić niemi ziemię, lub wydobyty minerał, jednak praca nie jest nad siły. Z początku zwykle ostrzéj i surowiéj postępują z katorżnym nowo przybyłym, później, jeżeli się do tego nieda jakiego powodu, obchodzą się łagodniéj. Rossyanom ze spisku Pestla do robót wysłanym jako to księciu Trubeckiemu, księciu Wołchońskiemu, Morawjewym, Stengelowi, Jakuszkinowi itd. z początku niedawano mąki dla chleba, ale tylko

zboże w ziarnie, każdy z nich musiał sobie pierwéj zboże zemleć w żarnach nim mógł mieć mąkę i chleb. Ci wszyscy szlachetni Rossyanie wyszli z katorgi, niektórym pozwolono mieszkać na posieleniu w gubernii tobolskiéj, reszta zaś została na posieleniu w gubernii irkutskiéj, żyją w zgodzie i łącznie z sobą, mają miejsce swoich zgromadzeń do zabaw, a raczéj rozrywek w swém nieszczęściu. Chętnie przyjmują do swego grona Polaków, dla których mają wielkie spółczucie. Niemogę z pewnością powiedzieć, czy w nerczyńskich zawodach katorżni polityczni nazywani są tylko numerami i czy mają pewien aresztancki uniform. Ze wszystkiego sądząc, zdaje się, że tak nie jest i zapewne nazywani są własnemi nazwiskami i ubierają się, jak kto może i zechce. Bo dla czegożby inaczéj postępowano z katorżnymi w tobolskiéj gubernii, aniżeli w irkutskiéj? Co do kryminalistów, ci mogą być ponumerowani i mieć uniform katorżnych.

Do czwartéj kategoryi należą Polacy do robót w aresztanckich rotach skazani i pracują po fortecach syberyjskich; tych jest bardzo mała liczba, ale za to ich położenie jest nieznośniejszém daleko od położenia katorżnych; pracują bowiem w kajdanach, mają złe i niewygodne życie, tak co do jedzenia, jak i do mieszkania. Między innymi, było w aresztanckich rotach trzech oficerów ze sławnie bitnego czwartego pułku linijowego; ci po kilku latach, pięciu czy siedmiu fortecznych robót, wypuszczeni zostali na posielenie, jeden trudnił się dawaniem lekcyj dzieciom, drugi znalazł miejsce przy propinacyi, z trzecim niewiem co się stało. Znałem ich nazwiska, ale zapomniałem. W fortecznych aresztanckich robotach był także Woźniakowski o którym wspominałem, a który późniéj był ułaskawiony na żołnierza do batalionów syberyjskich.

Do piątéj kategoryi należą Polacy do pułków, lub jak zwykle nazywają, do batalionów syberyjskich wcieleni na prostych żołnierzy, albo na całe życie, albo na

piętnaście lub dwadzieścia lat, bez wysługi, ale z nadzieją powrotu do ojczyzny dla złożenia w niej swych zwłok śmiertelnych. Jak zaś wielka liczba Polaków po tych batalionach się znajduje, łatwo przez przybliżenie osądzić z garnizonu w zakładzie gdzie byłem; na stu ludzi garnizon składających, było dwudziestu Polaków: w okręgowém miasteczku Tarze, gdzie garnizon nierównie był mniejszy, stosunkowo było w nim Polaków jeszcze więcej. Zapamiętałem niektórych nazwiska: Jezierski, Denisewicz, obaj z Podlaskiego, Zieliński Mateusz, Tabak, Celiński z Polski Kongresowej, Głębocki z Wołynia. Jeżeli ten sam stosunek z małą różnicą zachowuje się we wszystkich garnizonach i batalionach, można mniej więcej mieć dokładne wyobrażenie o liczbie Polaków będących w tych batalionach. Książę Roman Sanguszko był także skazany na prostego żołnierza do batalionów syberyjskich i znajdował się w Tobolsku. Daleko przedtém przed mojém do Syberyi przybyciem, Sanguszko za usilném swej zamożnej rodziny staraniem, otrzymał niby ułaskawienie, to jest: przeniesienie się do pulków kaukazkich z pozwoleniem dosługiwania się stopnia. Tak się nieszczęśliwy dosłużył, że ogłuchł na śmierć i bardzo mało co widzi.

Kto niewie, kto niechce wiedzieć, co to jest być żołnierzem rossyjskim, i to przez całe życie, ten z trudnością sobie może wyobrazić smutne tylu tysięcy naszych rodaków położenie; a jednak w tej liczbie znajdują się ludzie z piękném wychowaniem, z wykształceniem umysłowém, niekiedy nawet wysokiém i znakomitém, które niestety daje im jeszcze więcej uczuć ich niedolę i przyszłość; bez żadnej przyszłości, życie bez celu, cierpienia moralne i poniżenie bez końca. Otóż uczucie tak wielkiego nieszczęścia i prawie rozpacz o lepszej nadziei, tak okropnie wpłynęły na ich moralne usposobienie, na ich duchowość, że większa część z nich, o ile mi wiadomo, i o ile sądzić mogłem z naocznych przykładów, oddała się zgubnemu nałogowi pijaństwa, w którém zapewne szuka

morderczéj ulgi dla swych cierpień. Na wielu z nich starła się szlachetność rysów i gry ich fizyonomij jak i uczuć serca; nazwałbym tych ludzi za straconych, bo zdemoralizowanych. Niepotępiajmy ich jednak surowo, kto niewie, kto niedoświadczył co to jest wielkie nieszczęście, długie lata, a nawet całe życie bez ustanku gnębiące człowieka, kto niewie co to jest karność wojskowa rossyjska, szczególniéj dla tych, co uważani są za buntowników i ta niewola co ich gniecie i to nędzne życie; ten niemoże sobie wystawić, do jakiego stanu zwątpienia o wszystkiém co jest wzniosłe, piękne, sprawiedliwe, szczytne i prawdziwie boskie niekiedy przyjść może. Ale jeżeli z boleścią serca przychodzi mi tak mówić o braciach upadłych na duchu i moralności, to za to z prawdziwą rozkoszą duszy i dumą narodową, wspomnieć mi wypada o tych, którzy z prawdziwém religijném wyznawców i męczenników poddaniem się, krzyż pokuty i zasługi dźwigają i takich jest niemało i ja niektórych z nich znałem. Ponieważ położenie moje niedozwalało mieć obszernych stosunków, a zatém jest mi niepodobna podać tu nazwisk przynajmniéj części Polaków w batalionach syberyjskich zostających. Jednak znałem niektórych osobiście, a wielu z nazwiska, ale jednych i drugich nazwiska przepomniałem.

Podług prawdopodobnych wiadomości, wszystkich Polaków w Syberyi będących, a należących do pięciu wspomnionych kategoryi znajduje się nieprzesadzając do pięćdziesięciu tysięcy, niemówię z saméj Polski Kongresowéj, ale z całéj w dawnych granicach objętéj i to 50,000 najczystszéj krwi lackiéj. Ta liczba wcale niebędzie się zdawała przesadzoną, kto zechce sobie przypomnieć, że w siedmdziesiąt tysięcy haniebnie broń złożyliśmy w 1831 roku, że tych wszystkich co się chwycili broni i co byli tą rewolucyą skompromitowani, można liczyć do stu siedmdziesięciu tysięcy. Wyemigromało z kraju najwięcéj piętnaście tysięcy, reszta pozostała albo w kraju, albo była przez rządy pruski i austryacki zmuszona do niego wró-

cić; pozostało zatém w kraju sto pięćdziesiąt pięć tysięcy. Wiadomo także, iż tylko szczegółowe wyjątki, z tych co powrócili, pozostały w Polsce, całość zaś wcieloną została do pułków rossyjskich; najwięcej skompromitowanych wysłano do Syberyi *). Dodajmy do tego ciągłe od rewolucyi 1831 roku aresztowania i wysyłania do Syberyi, a liczba 50,000 niebędzie wcale przesadzoną.

Z tak wielkiéj jednak liczby Polaków do Syberyi skazanych, jeżeli nadspodziewane jakie nienastąpią wypadki, bardzo rzadko który ujrzy swą ojczyznę, choćby przynajmniej dla złożenia w niéj swych kości. System Mikołaja bardzo jest mądrze rozporządzony w dręczeniu i zużyciu ludzi. Nadzwyczajnéj potrzeba łaski, aby który wprost z posielenia, a raczéj jeszcze z katorgi wrócił do domu; polityka tego zabrania. Ale potrzeba przechodzić stopnie łaski. I tak biorą człowieka w samym kwiecie wieku, to jest w latach 20stu i tylko na lat 5 skazanego do ciężkich robót w Nerczyńsku. Po skończonych pięciu latach roboty, wyjdzie na posielenie, mając lat 25. Pięć lat zostawszy posieleńcem w gubernii irkutskiéj, za szczególną łaską cesarza, mając już lat 30, przenoszą go do gubernii tobolskiéj tylko pod dozór policyi. Tu przebywszy lat pięć, za nową łaską przenoszą go, mającego już 35

*) Ostatnie to twierdzenie autora jest mylne, mianowicie co do oficerów i żołnierzy z królestwa kongresowego, gdyż większość żołnierzy pozostała w kraju, a oficerowie, którzy zaraz wrócili za amnestyą prawie wszyscy. Jeżeli było tylu żołnierzy w wojsku rossyjskiem i w batalionach syberyjskich, którzy służyli w czasie rewolucyi 1831 roku, to ztąd pochodziło, że ich późniéj pobrano w rekruty i powcielano w pułki i bataliony konsystujące na wschodzie i w Syberyi. Z powstańcami z prowincyi zabużańskich inaczéj postąpiono, dla tych niebyło przebaczenia i prawie wszystkich wysłano na Kaukaz lub do Syberyi. Zresztą jak względem jednych tak drugich niebyło stałego postępowania; względem wielu z pierwszéj kategoryi niedochowano warunków amnestyi, z drugiéj nie wszystkich ukarano, jak się to zwykle dzieje pod rządem rossyjskim.

(Przypisek wydawcy).

lat do jakiéj gubernii rossyjskiéj na mieszkanie, n. p. do wołogodzkiéj, do kostromskiéj, do włodzimirskiéj lub jakiéj innéj. Gdzie przebywszy lat 5 i mając lat 40, za nową łaską, ma prawo powrócić do gubernii, w któréj się urodził i tam zostając pod dozorem policyi, w latach 45 może wrócić do domu gdzie się urodził, ale jeszcze najmniéj przez lat 5 zostaje pod obserwacyą policyi, niewolno mu nigdzie wyjechać bez opowiedzenia się: szczęśliwy, jeżeli w pięćdziesięciu latach zupełnie się od opieki uwolni. Lat więc 30 ciągłéj niewoli. Taki system stopniowéj łaski wielu nieszczęśliwych ludzi i odejmuje im energią stanowczego działania, jakby śmierć sama niebyła milszą i znośniejszą nad życie tak nikczemne, tak pełne nicości, tak upośledzone, tak marnie, bez pożytku dla siebie lub kogokolwiek zużyte!

Po przybyciu mojém do Syberyi najusilniejszém mojém staraniem było dowiedzieć się, czy majora Łukasińskiego w niéj przypadkiem gdzie niebyło? czy ten patryarcha polskich męczenników nieprzyszedł tam dla świadczenia w minach Syberyi męczeństwu Polski, jak mu świadczył w fortecy Zamościa i w lochach belwederskich. Ale nikt mi w tym względzie najmniejszéj niemógł dać wiadomości, i to jest prawdopodobna, jeżeli nie pewna, że Łukasińskiego nigdy w Syberyi niebyło. Wiadomo całéj Polsce, że Łukasiński będąc na czele spisku, mającego ze spiskiem Pestla podobne zamiary i cele, lat kilka był więziony w fortecy Zamościa, a późniéj w wilgotnych i ciemnych lochach Belwederu w Warszawie, tuż pod mieszkaniem dzikiego Konstantego, że go tak nielitościwie czasami katowano, że całe plecy krwią spływały i że dla większego bólu znowu go bito po ledwie zaczynających się zaciągać ranach. Znałem w Emigracyi w zakładzie Dijon, gdzie z 1839 na 1840 rok bawiłem, Polaka emigranta Jaszowskiego, służącego w drugim pułku ułanów, późniéj wziętego na żandarma, a ostatecznie służącego w czasie naszéj rewolucyi w pułku karabinierów, pod je-

nerałem Sznajde, ten będąc jeszcze żandarmem, z parę razy przyprowadzał Łukasińskiego do kommissyi śledczéj, i wiele mi smutnych o jego cierpieniach i męczeństwie szczegółów opowiadał. Kiedy rewolucya w Warszawie wybuchła, jakaś sroga fatalność wszystkim kazała zapomnieć o nieszczęśliwym Łukasińskim, którego Konstanty wywlókłszy z więzienia, poprowadził go z sobą przykutego do działa, cofając się z Warszawy ku Zamościowi. Niejaki Deręgowski, będąc wzięty do wojska rossyjskiego, uciekłszy z cytadeli warszawskiéj i przybywszy na emigracyą do Francyi w 1837 czy 1838 roku opowiadał mi za rzecz pewną, że bawiąc z pułkiem w Inflantach, dowiedział się od siedzących w więzieniu Dynaburga nad Dźwiną, że na ścianie jednego więzienia wyryte było nazwisko. Łukasiński. Zaprowadzonoż go rzeczywiście aż tam i tam go domęczono, lub do jakiéj innéj fortecy został przewieziony? żyjeż on jeszcze w lochach ukryty? albo niedoczekawszy się chwili, ani swojéj, ani ojczyzny swojéj oswobodzenia, téj ojczyzny, którą całém sercem kochał, za którą tyle wycierpiał, przeniósł się do ojczyzny wiecznéj po nagrodę, na łono samego Boga? Po powrocie moim z Syberyi do Francyi, jedna dama polska, godna wiary, opowiadała mi w Paryżu, że w lat kilka po naszéj rewolucyi, rozmawiając z jednym jenerałem rossyjskim Kor....wem, zapytała go, co się stało z Łukasińskim? Niewdając się w żadne obszerniejsze tłómaczenie, rzekł tylko kiwnąwszy smutnie głową: „Il n'existe plus.“ Czy tak jest lub nie, trudno twierdzić lub zaprzeczyć bez pewnych dowodów. Cokolwiek jednak się stało ze szlachetnym a nieszczęśliwym Łukasińskim, to jego życie tajemnicze w ciemnicach i lochach, czy ten zgon i grób jego niczyją łzą nieskropiony, zgon, którego straty nikt niepoczuł, grób samotny, jakby sieroty, nad którym nikt niewestchnął, nikt wieczny pokój niepowiedział; takie życie, zgon i grób człowieka, który żył tylko i oddychał dla Polski, mają coś w sobie z tego tęskno-bole-

sno-uroczego powabu, co nas mimowolnie pociąga i nęci ku sobie, jakby dla wynagrodzenia pamięci i cieniom męczennika tej obojętności, jakąśmy mu za życia jego okazywali. O! cnotliwy, szczeropolski cieniu Łukasińskiego! tyś zostawił nam w puściznie swojego ducha, podobnie jak Likurg zostawił Spartanom zachowanie swych praw, aż do swojego powrotu, pociesz się, będziemy tym duchem oddychali, póki plemię Polski istnieć będzie, a w wielkiej uczcie wolności narodowej, ty pierwsze między nami zajmiesz miejsce.

Żaden z naszych jenerałów rewolucyjnych a pozostałych w kraju, niebył wysłany do Syberyi, a przynajmniej o tem niemóglem się wcale dowiedzieć: byli oni wysłani tylko w głąb Rossyi, na kilka lat pod dozór policyi, na mieszkanie; niektórzy byli we Wjatce, a większa nierównie część była w Wologdzie. Dawno już wszyscy wrócili do kraju.

Dla odbywania obrządków religijnych katolickich, rząd rossyjski utrzymuje w Syberyi dla katolików Polaków czterech księży katolickich własnym kosztem: z nich, dwóch jest przeznaczonych na gubernie tobolską i tomską, a dwóch drugich: na jenissiejską i irkutską *); księża przeznaczeni do tobolskiej i tomskiej gubernii, mają zwykle swą rezydencyą w Tomsku. Gdzie mieszkają dwaj drudzy, tego niewiem. Obowiązkiem tych księży jest: w pewnych porach roku i raz na rok objeżdżać wszystkie miasta, miasteczka, fortece i zakłady, gdzie się tylko Polacy w pewnej liczbie znajdują, tak dla wysłuchania ich spowiedzi, jak i dla dopełnienia innych obrządków, jak np. poświęcenia grobów zmarłych katolików, a pochowanych w roku i nieobecności księdza bez żadnych ceremonii religijnych. Ksiądz odbywa tę podróż kosztem rządowym, pocztą i

*) Prócz tych czterech księży katolickich przez rząd utrzymywanych, jest wielu innych wysyłanych przez zakony, tak polskie jak nawet zagraniczne, a tolerowanych przez rząd rossyjski.

(Przypisek wydawcy).

podług marszruty mu wydanéj od władzy: przybycie księdza poprzedzone jest kilką dni uprzednią wiadomością o jego przybyciu, ażeby można zawiadomić w blizkości i po włościach mieszkających Polaków. Z kolei w 1845 roku w zimie i śród wielkiego postu, przybył ksiądz do Tary, a późniéj i do naszego zakładu. Spowiadaliśmy się wszyscy, a ksiądz z obowiązku troskliwie zapisywał wszystkich spowiadających się nazwiska, które winien późniéj władzy przedstawić. Rzecz niepojęta i dziwna: rząd Mikołaja, który wszystkiemi możliwemi sposobami, nawet gwałtownemi i przymusowemi, stara się w Polsce, a szczególniéj zabranych prowincyach, jak w Litwie, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, niszczyć i wytępić religią katolicką, rozszerzając grecko-rossyjską, w Syberyi nadzwyczaj ostro nakazuje Polakom wypełnienie obrządku katolickiego, i gdy kto z Polaków niespowiadał się, a władze się o tém dowiedziały, mógłby ściągnąć na się dość surową odpowiedzialność. Mnie się zdaje, że jedyna przyczyna tego postępowania jest ta, że religia katolicka niebędzie wcale niebezpiecznym żywiołem dla polityki Mikołaja w Syberyi, dla tego Mikołaj tak surowo przepisuje wypełnienie jéj obrządków, gdy tymczasem w Polsce, a szczególniéj w zabranych prowincyach, taż religia katolicka będąc jedną z najżywotniejszych cech narodowości polskiéj, dla tego ją usiłuje Mikołaj tam wytępić. Smotrytel zakładu Aramilski, był tyle dobrym, że pozwolił naszemu księdzu mieć mszą w swoim salonie, jako najobszerniejszym pokoju w całym zakładzie i najwspanialszym, i wraz ze wszystkiemi czynownikami i swą żoną był przytomny naszéj mszy świętéj. Szczególniéj się przypatrywał ceremoniom religijnym księdza przy ołtarzu i wcale niewiele znalazł różnicy między religią grecką a katolicką, mówiąc że to samo wyobrażenie Chrystusa, Matki Boskiéj i tak samo świeczki się palą przy ołtarzu. W tak szczupłym obrębie miejscowości, znalazło się Polaków katolików doczterdziestu: żołnierzy, posieleńców i katorżnych; śpiewa-

liśmy w czasie mszy pieśni nabożne, po mszy świętéj supplikacye: a śpiewaliśmy z taką szczerotą, z takiém rozrzewnieniem, jak nigdy. Było w tym nabożnym śpiewie, w tych pieśniach wielkopostnych, oprócz uczucia wdzięczności i prośby ku Stwórcy o odpuszczenie winy i przestępstw grzesznikowi, jakby przypomnienia cośmy stracili, i jakby błagalne modły do Boga, o powrót do ojczyzny, o powrót do Polski wolnéj i niepodległéj. O święta religio Chrystusa, jak wielką, rzeczywistą pociechą jesteś dla nieszczęśliwych, bez ciebie wyschłoby uczucie w sercu i źródło łez — ty jedno i drugie zasilasz. A to jest wielka ulga dla cierpiących, módz czuć i czasem zapłakać w nieszczęściu; to są jeszcze znaki życia człowieka, który niezupełnie zdrętwiał, zkamieniał, spodlił się, znikczemniał. Religia katolicka tak jest narodową polską, więcéj powiem, tak jest rzeczywistą narodowością Polski, że Polacy nawet niekatolicy, ale schyzmatycy i kalwini z chęcią przychodzili na naszą mszą świętą i szczerze się modlili; a gdym się zapytał, dla czego tam chodzili, odpowiedzieli: bo ten ksiądz i ta msza katolicka, tak przypominają Polskę i jéj narodowość, że my wszyscy Polacy, jakiegobądź wyznania, w gruncie jesteśmy katolikami, to jest Polakami. I ja ich bardzo dobrze rozumiałem. Niepojmuję w istocie prawdziwego Polaka, któryby niebył prawdziwym katolikiem, i gdyby niebył z imienia, w gruncie duszy nim koniecznie być musi. Przybycie księdza do naszego zakładu, było dla nas pewnym rodzajem uroczystości, jak to zapewno w Syberyi wszędzie się dzieje, gdzie ksiądz polski do Polaków przybędzie, już to dla tego, że przybywa do nich do spełnienia aktu tak ważnego, tak świętego dla każdego katolika, jakim jest spowiedź; już to dla tego, że ksiądz polski dla Polaka zawsze jest miłym i pożądanym gościem: bo i obrokiem duchownym gospodarza nakarmi i rad poczciwych udziela; a przytém takie u nich serce polskie! Nasz ksiądz zabawiwszy w naszym zakładzie dwa dni, pospowiadawszy

i dawszy kommunią ś. wszystkim i dwie msze święte odprawiwszy, opuścił nasz zakład z wielkim naszym żalem i pospieszył gdzieindziéj nieść słowo pociechy i rad zbawiennych. Księża katoliccy polscy, nie z przymusu, ale dobrowolnie poświęcają się udzielać pomocy religijnéj i światła duchowego swym spółwyznawcom i braciom w Syberyi, i obowięzują się do niéj na lat dziesięć, po upływie których, jeśli żądają, mogą się zmienić i wrócić do Polski, a inni na ich miejsce przybywają. Niewiem, z jakiego zakonu, jakiéj reguły i zkąd byli dwaj księża przeznaczeni do gubernii irkutskiéj i jenisejskiéj. Ten zaś, który nas odwiedzał i jego kolega, obaj przeznaczeni do gubernii tobolskiéj i tomskiéj, byli z zakonu św. Dominika, rodem ze Żmudzi i z klasztoru na Żmudzi; byli zaś ubrani nie po zakonnemu, w białe płaszcze i habity, ale w czarne sutany księży świeckich, które nie tak się brudzą i nietyle rażą Syberyaków. Księża tacy podróżują po wszystkich kątach całéj Syberyi, mogliby, gdyby sobie chcieli nieco pracy zadać, napisać dokładną histôryą Syberyi, a przynajmniéj historyą Polaków w Syberyi będących. Żałuję, żem zapomniał nazwiska tego księdza i jego towarzysza: obaj są bardzo poczciwi ludzie, gorliwi kapłani i powszechnie od wszystkich Polaków lubieni i poważani. Mają swą zwykłą rezydencyą, jak mówiłem, w Tomsku, gdzie się także znajduje dość piękny, obszerny i murowany kościół katolicki, który w każdą niedzielę i w każde święto przepełniony jest ludem: to dowodzi, ile tam jest katolików. Wiele jednak i niekatolików lubi do niego chodzić. Niezdarzyło mi się zapytać, kiedy i czyim kosztem i staraniem kościół ten został zbudowany. Czy w Irkutsku lub gdzieindziéj w Syberyi znajduje się jeszcze jaki kościół katolicki? nic o tém niewiem.*) Księża nasi w Syberyi, są prawdziwą dla wy-

*) Ostatniemi czasy, w r. 1849 a w 1850 poświęcony wspaniały katolicki kościół w Irkutsku. (Przypisek wydawcy).

słanych tam Polaków pociechą. Musi to jednak trud być niepospolity: to objeżdżanie Syberyi, mniejsza czy zimą, czy latem i mniejsza jaka pogoda, deszcz czy śnieg, burza, zawieje, mróz czy gorąco! Być księdzem w Syberyi, jest to prawdziwa zasługa przed Bogiem i poczciwymi ludźmi. Ja przynajmniéj czułem wielką potrzebę religii.

Przystępując teraz do opisania smutnego i krwawego epizodu w historyi polskiéj, w historyi jéj męczeństw, pomnażającego i liczbę Polski męczenników i sposoby nas męczenia. Wiem, że świat ucywilizowany temu opowiadaniu nieuwierzy i poda wszystko pod wątpliwość: nazwawszy to opowiadanie eksageracyą, uniesieniem: jak niewierzył i podał pod wątpliwość: że za czasów konfederacyi barskiéj, rossyjski jenerał Kreczetników i pruski pułkownik Sully, dzicy i okrutni, obcinali zchwytanym konfederatom uszy, nosy, wargi i ręce po łokcie; jak na pośmiewisko naszéj narodowości obciągali z ramion skórę i zarzucali ją na plecy na kształt wylotów u kontusza; jak żywcem wnętrzności z nich wysnuwano. Świat nieuwierzy, jak nieuwierzył: że Szyrszyn, gubernator Tobolska, przywięzywał żywych Polaków do grubych kłoców drzewa, które z wysokiéj spuszczając góry i które się z niéj tocząc, druzgotały i łamały kości nieszczęśliwym wyziewającym ducha w tych okropnych męczarniach: że rząd carycy Katarzyny drugiéj podniecił ciemne wieśniactwo ukraińskie do wyrznięcia i wytępienia Polaków i rzeki krwi polskiéj popłynęły; że dziki Suwarów wyrznął, wymordował Pragę, nieprzepuszczając słabym i niewinnym kobietom, i jeszcze słabszym i niewinniejszym niemowlętom, które brano na dzidy lub których głowy roztrzaskiwano o węgiel domu. Świat nieuwierzy, jak nieuwierzył: że już odtąd zaczęto nas wysyłać tysiącami do głębi Rossyi i do Syberyi; że nas ciągano po wszystkich kraju więzieniach; że nieprzebaczano nawet dzieciom i uczniom po szkołach, że okropnie prześladowano i mordowano uczniów uniwersytetu wileńskiego, z których niektórzy pomarli pod

razami, innych wysyłano do Syberyi lub pułków rossyjskich na prostych żołnierzy, a to wszystko z łaski Nowosilcowa i Pelikana; że majorowi Łukasińskiemu zadawano męczarnie i katusze trudne do opisania, więżąc go po ciemnicach, lochach i fortecach, że go przykuto do działa, że w Warszawie za rządów Konstantego, z przyczyny rzeczonego szpiegostwa, żaden dom, żadna zacna rodzina, niebyła pewną, czy jutro niezniknie którykolwiek z jéj członków i pójdzie do więzienia, ciemnego, prawdziwéj otchłani, gdzie go bijąc i mordując rózgami i morzą głodem i pragnieniem, karmiąc słonemi śledziami; że nieprzebaczając nawet kobietom, dla wybadania z nich tajemnych jakichś zamiarów politycznych, ściskano brodawki ich piersi strunami, aż do omdlenia, aż do konwulsyi. Świat nieuwierzy, jak nieuwierzył: że po naszéj rowolucyi w Kronsztadzie kilkunastu Polaków zabito kijami za to: że niechcieli przysięgać na wierność swemu i ich ojczyzny tyranowi, że tamże i dla téj saméj przyczyny dziesiątkowano zacną polską młodzież rozstrzeliwaniem; że nietylko więziono kobiety Polki po klasztorach i wysyłano za przestępstwa polityczne, ale jednę damę, pannę w Lubelskiém, mającą udział w wyprawie r. 1833, smagano rózgami, jawnie przy policyi i to po obnażoném ciele; że Szymona Konarskiego, dziki książę Trubecki, gorącym lakiem i rozpaloném żelazem piec kazał dla wybadania z niego zeznań, że w Warszawie w cytadeli tak nielitościwie i okrutnie z więźniami politycznymi postępowano, że kilku życie sobie odjęło, a nieszczęśliwy Lewitu żywcem się spalił dobrowolnie. Świat nieuwierzy, jak nieuwierzył: że w 1846 roku przewrotny rząd austryacki rozkazał ciemnemu pospólstwu galicyjskiemu rznąć i mordować szlachtę polską, z któréj tyle set ofiar padło, a późniéj, dla powściągnienia buntu, niby bez wiedzy rządu podniesionego, uzbroił się przeciw rozjuszonemu i zaciekłemu pospólstwu, i przydał obłudę do okrucieństwa. Judasz sprzedawszy krew niewinną, chciał z niéj umyć późniéj

sobie ręce; że w Wielkiém Księstwie Poznańskiém w r. 1848, rząd pruski, szczycący się oświatą swojego narodu, pozwolił, nietylko mordować, ale i piętnować. Świat nieuwierzy, jak nieuwierzył: że nas Polaków od ośmdziesięciu już lat męczą i mordują, wynaradawiają, wypleniają, i rozpędzają po wszystkich stronach świata, że nami pustynie, miny i więzienia napełniają; że nam skrępowano sumienie, że nam odjęto język i religią, że cały naród polski, jego czucie, myśli i tchnienie okuto w kajdany, że każdego Polaka na Prokusta łożu obalono, wtłoczono. Wszystkiemu temu świat ucywilizowany niewierzy. Dla kogoż więc piszę, gdy nas świat tak boli? gdy wstyd mi nawet przed nim się zwierzać: bo jest bez serca, bez duszy: bo nieczuje, niepojmuje naszych boleści? Piszę jedynie dla tego, abym oddał hołd i świadectwo prawdzie, abym podał do sprawiedliwszéj potomności smutną pamiątkę nieszczęść i męczeństw narodu polskiego; piszę w końcu dla tego, aby moje sumienie było czyste przed Bogiem, żem człowiek nieobłudny, żem się niezaparł najświętszéj prawdy, w świecie, gdzie tyle kłamstwa, fałszu i zmyślań; przystępuję tedy do opowiadania.

Piotr Wysocki przed powstaniem 1830 roku, podporucznik z piechoty i przewodnik szkoły podchorążych w Warszawie, jeden z naczelników powstania, w ciągu rewolucyi, ostatecznie pułkownik i dowódzca dziewiątego czy dziesiątego pułku piechoty, w czasie szturmu Warszawy przez Moskali 6 i 7 września 1831 r., broniący reduty wolskiéj, w niéj ranny i wzięty przez Moskali, został zawieziony do Petersburga. Tam długo więziony, indagowany, wyrokiem sądu wojennego na śmierć skazany, a ułaskawieniem Mikołaja, został potępiony na całe życie do robót ciężkich w Nerczyńsku. Kiedy do Nerczyńska przybył, tego z pewnością niewiem, podług pogłosek w Syberyi, miał do niego przybyć w 1833 roku. Pułkownik Wysocki przybywszy do Nerczyńska, zastał już na miejscu kil-

kunastu swych ziomków, na tę samą karę, z różnicą lat, co i on sam wskazanych. Obchodzono się z nim, jak ze wszystkimi i podobno miano nieco względu, na jego los, zdrowie, stopień i znaczenie. Niewola gdyby najlżejsza i najłagodniejsza, zawsze jest niewolą i poniża godność i wielkość człowieka, lecz taka niewola, jakiéj doświadczają katorżni, dla szlachetnéj i cnotliwéj duszy Wysockiego była do niezniesienia; tém bardziéj, że była dozgonną; umyślił więc, niemogąc innym sposobem, uwolnić się z niéj ucieczką. Trudności w tym względzie są prawie do niepokonania w Syberyi, szczególniéj dla przestępców politycznych, nad którymi władze bezpośredni i czujny mają dozór. Znalazłszy więc kilku spólników swojego zamiaru, a dla nieznajomości drogi zwierzywszy się ze swemi zamiarami przed jednym miejscowym chłopem, który pewno dla obiecanéj mu nagrody zdawał się im sprzyjać i miał służyć za przewodnika, jednéj nocy o naznaczonéj i umówionéj godzinie, powierzywszy swe losy przewodnikowi, puścili się na pieszo w drogę. Przewodnik zaprowadziwszy ich, jak mówił, na miejsce bezpieczne, i tam ich zostawiwszy, poszedł sam niby dla obejrzenia, czy przejście, którém uciekających miał przeprowadzić, nienastręczało jakiéj przeszkody i było wolne: w rzeczy saméj, wrócił do zakładu, zkąd byli uciekający, poszedł do smotrytela, czy do jakiego czynownika i doniósł: że tylu Polaków ucieka, i że w tém a w tém miejscu się ukrywają; natychmiast część garnizonu miejscowego ruszyła w pogoń i miejsce, gdzie uciekający Polacy ukrywali się, obsaczyła: Polacy widząc niebezpieczeństwo im grożące i pozbawieni wszelkiéj sposobności ratowania się ucieczką, chcieli się przedrzeć siłą i podobno zaczęli się bronić: w téj obronie Wysocki został ranny i wszystkich zabrano. Wysocki, jako dowódzca i początkujący w zamiarze ucieczki, dostał 1500 kijów: tego już dobrze i z pewnością niepamiętam; jego towarzysze także byli cieleśnie i surowo karani. Świadek naoczny srogiego wyroku zapadłego i

wykonanego na pułkowniku Wysockim, jeden szlachetny Rossyanin, godzien wiary pod każdym względem, przeniesiony z Nerczyńska na posielenie do tobolskiéj gubernii, a należący przedtém do spisku Pestla, opowiadający ten smutny przypadek, zapewniał: że Wysocki był okrutnie nielitościwie bity, tak, że ledwie pod kijami nieskonał i prawie nieżywego zanieśli do lazaretu. Po wygojeniu z ran i po odzyskaniu zdrowia, jakby niedosyć było, na téj karze dzikiéj i okrutnéj, za naturalne uczucie człowieka chcącego tylko być wolnym, pułkownik Wysocki z Nerczyńska był wywiezionym jeszcze daléj, bardzo daleko, aż do fortecy Akatui, gdzie największych tylko i niepoprawnych wysyłają zbrodniarzy, kryminalistów i gdzie najnielitościwiéj z nimi się obchodzą. Tu Wysocki był rzeczywiście użytym do ciężkich robót, aż do omdlenia. Wieści biegły, oparte na prawdopodobieństwie, że często zapadał na zdrowiu, że był milczący, smutny i ponury, unikał towarzystwa ludzi, nikogo znać, z nikim mówić niechciał. Nieufność ku ludziom i ku swemu przeznaczeniu owładła jego duszę. W chwilach wolnych od pracy starał się być odludnym, samotnym, zamykał się w stancyi i zdawało się, że wszystkie uczucia w nim zakamieniały; słowem, stan jego zdrowia duszy i umysłu tak był smutnym, że przechodzi wszelkie usiłowania w oddaniu go wyrazami. W którym roku to nieszczęście spadło na Wysockiego i jego towarzyszy, z pewnością tego niepamiętam; zdaje się, że to było w 1836 lub w 1837 roku. Kiedym był w Syberyi, Wysocki był jeszcze w Akatui i w chwilach wolnych od pracy, dla zajęcia się czémkolwiek, trudnił się robieniem małych, kwadratowo-wypukłych mydełek; widziałem jedno mydełko jego roboty z napisem: P. W. Akatuja. Po powrocie już do Francyi z Syberyi w 1846 roku, szczególnym trafem dowiedziałem się z pewnością, że Piotr Wysocki z Akatui był przeniesiony bliżéj ku Irkutsku i tam wraz z wielu innymi zostaje w katordze. A zatém ten męczennik sprawy narodowéj,

przynajmniéj jeszcze żyje. Taka jest smutna historya pułkownika Piotra Wysockiego, naczelnika powstania listopadowego.

Z księdzem Sierocińskim i jego towarzyszami nieszczęścia, tak się stało. A że to było w Omsku, bliżéj mojego zakładu i niedawnemi czasy, rzecz tę więc całą wiem nietylko dokładnie, ale jak być można najdokładniéj, bo cała o tém wié okolica, a ja w tém przedmiocie rozmawiałem i rozpytywałem się szczegółowo, nietylko u Polaków, ale i u Moskali, Syberyaków, jednych i drugich naocznych świadków: znałem nawet takich, co z księdzem Sierocińskim siedzieli razem w więzieniu w Omsku. Wszystkich opowiadania były najzgodniejsze. W téj więc jednozgodności zeznań spoczywa przerażająca prawda, o któréj chcę mówić. Ksiądz Sierociński, przed powstaniem listopadowém był przeorem, czy superiorem klasztoru księży Bazylianów w Owruczu na Wołyniu, gdzie były szkoły pod ichże dozorem. Po wybuchu rewolucyi w Warszawie, jako prawy syn ojczyzny, ksiądz Sierociński niepozostał nieczynnym, przygotowując się sam i innych do powstania, w którém bardzo czynny miał udział. Schwytany przez Moskali, osadzony w więzieniu, wyrokiem sądu i wolą Mikołaja, zdjęto z niego kapłańską Sakrę i z księdza przeora, wskazany został na prostego kozaka: posłano go więc do Syberyi do pułków kozackich, do których wcielony, wraz z innymi kozakami, czas jakiś, w stroju kozackim, z lancą, szablą i na koniu uwijał się po stepach kirgizkich, uwijając się za Kirgizami. Już powiedziałem, że w Omsku od niejakiego czasu istnieje szkoła wojskowa kozacza, potrzeba tedy było do niéj nauczyciela. Przypomniano sobie, że ksiądz Sierociński był professorem i że miał pod swym dozorem szkoły; że przeto musi być zdatnym do uczenia i światłym człowiekiem: zresztą sami czynownicy rozmawiając niekiedy z nim, postrzegli w nim rzeczywiste zdolności i wysoką naukę, i w rzeczy saméj, ksiądz Sierociński był prawym Polakiem,

sumiennym professorem, sumiennym kapłanem i bardzo światłym człowiekiem, i oprócz przymiotów nieodbitych dla nauczyciela, posiadał jeszcze kilka języków obcych: jako niemiecki i francuzki, a więc z kozaka, robią go nauczycielem w szkole Omskiéj, po ukazu, ale nie nauczycielem mającym prawo, do znaczenia tego nazwiska i obowiązku, do zasług i stopni, tylko nauczycielem z rangą prostego na zawsze kozaka, zawsze należącego i liczącego się do swego pułku. Podobnie głupie i śmieszne dziwactwo, tylko w jednej Rossyi być może. Ksiądz przeor Sierociński, w wątłéj i szczupłéj organizacyi, przy osłabioném zdrowiu, i tkliwej aż do rzewności duszy, posiadał moc i hart duszy niepospolity, wysokie przekonanie i uczucie o godności człowieka, czuł mocno niesprawiedliwość Polsce wyrządzoną i miał wiele litości dla nieszczęśliwych swych braci spółwygnańców, spółwięźniów w Syberyi. Rzucił więc myślą, duchem i sercem po niezmiernym obszarze pustyń téj Syberyi, policzył nieszczęśliwych, zrachował siły i zasoby a przypomniawszy szczęście Bieniowskiego, nadzieja uwolnienia siebie i wszystkich nieszczęśliwych z Syberyi, w razie, gdyby saméj Syberyi z pod jarzma despotycznego uwolnić było niepodobna, słodko choć zwodniczo doń się uśmiechnęła. Zaczął tedy przy swoich nauczycielskich zatrudnieniach, zabierać znajomości i zawierać stosunki, tak z Polakami, których w Omsku wcale niebrakło, jako też z Rossyanami, wyższe wychowanie, ukształcenie, zdolności i wstręt do stanu, w jakim się znajdowali, mającymi. Ci podzielając zamiary i cele księdza przeora Sierocińskiego, jęli się przygotowywać innych do tychże zamiarów i celów. Nietrudno było o zwolenników, gdzie tyle było uczuć zadraśniętych, gdzie tyle serc zakrwawionych krzywdą i niesprawiedliwością. Do tych zamiarów należeli Polacy, Rossyanie i Tatarzy: żołnierze i posieleńcy. Potrzeba było być spółczłonkiem i to jest przypuszczonym do wszystkich działań tajemnie, ażeby do-

kładnie módz wiedzieć sposoby, jakich chcieli spiskowi użyć do wykonania powziętych zamiarów; zresztą potrzebaby być bardzo nieoględnym, ażeby wiedząc nawet, odkrywać szczegóły działań, których wyjawienie, dziś jeszcze mogłoby narazić niejednę osobę i obudzić jeszcze większą czujność i surowość władz. Dosyć jest wiedzieć, że celem zamiarów Sierocińskiego być miało, oderwanie Syberyi od Rossyi, a następnie jako środek do tego, uwolnienie wszystkich z ciężkich robót i posielenia. W razie, gdyby się niepowiodło, miano się cofać zbrojną ręką przez stepy Kirgizkie, do haństwa Taschkemu, gdzie jest wielu katolików, albo do samej Bucharyi, a ztamtąd, jeśliby tego konieczna wymagala potrzeba, przedzierać się do posiadłości angielskich w Indyach wschodnich.

Każdy pomysł, każdy zamiar, choćby najświetniejszy i najwięcej za sobą słuszności i prawdopodobieństwa udania się mający, jeżeli się nieziści, nieuda, przez gmin nieczujący i nierozumiejący bywa zwykle uważany za śmieszny i płochy, a jego sprawcy, jako słabsi, a raczej nieszczęśliwi i dla tego pokonani, wliczeni zostają zwykle w poczet ludzi zuchwałych samolubów, a nawet zbrodniarzy pragnących tylko własnego wyniesienia się. Ja co miałem sposobność poznać nieco i miejscowość Syberyi i jej stosunki i usposobienie jej mieszkańców różnych kategoryi, śmiało mogę twierdzić, że zamiar Sierocińskiego w oderwaniu Syberyi od Rossyi był na mocnych oparty podstawach i mógł się udać, nierozwodząc się, jakim sposobem, ani chcę o wszystkiem mówić i teraz utrzymuję, że Syberya od Rossyi musi być niezależną i oderwaną, potrzeba tylko sprzyjających okoliczności, które na przeznaczenie narodów jak i pojedyńczych ludzi tak wielki wpływ wywierają. Wszystko ją bowiem od Rossyi oddziela, tak położenie geograficzne i system naturalny komunikacyi, jak usposobienie i duch miejscowy mieszkańców, małej tam potrzeba iskry, aby rozdmuchać wielki pożar; powtarzam, dla Syberyi potrzeba tylko nieco przy-

jaznych i szczęśliwych okoliczności, aby była niepodległą od Rossyi. Jakkolwiek bądź pomysł przeora Sierocińskiego znalazł wierny odgłos w wielu piersiach i szeroko po Syberyi się rozpostarł, wszystkie przygotowania były już poczynione, szło tylko o zaczęcie, o wykonanie, a co się stać miało za dni parę. Omsk miał dać hasło, jako najwięcéj mający wojska, spiskowych i jedyną w Syberyi artylleryą i wiele zapasów wojskowych, jako ammunicyi, broni, kassę itd. Spiskowi rączo i śmiało się do dzieła brali. Dnia jutrzejszego wieczorem miała się zacząć rewolucya. Lecz jak wszędzie tak i tam znaleźli się ludzie podli i nikczemni, którzy, jak złośliwy szatan, wszędzie i wszystkiemu co dobre i uczciwe, stają się na przeszkodzie. I któż jeszcze byli ci ludzie? Wstyd mi rumieni czoło, duma się narodowa oburza we mnie, a serce niechciałoby wierzyć takiéj szpetności i szkaradzie uczuć; cobym dał za to, gdybym przed światem mógł ukryć tę hańbę, tę skazę na święte imię naszéj narodowości rzucone! lecz uczucie sprawiedliwości nakazuje mi istną i bezstronną powiedzieć prawdę. Tymi ludźmi niebyli ani Rossyanie, ani Syberyjczycy, ani Tatarzy; to byli Polacy, i to Polacy walczący i przelewający niedawno przedtém krew swoję za niepodległość swojéj ojczyzny Polski, i właśnie dla tego od jéj i ich ciemięzcy na całe życie do batalionów syberyjskich na prostych żołnierzy skazani. Było ich trzech, wszyscy trzej żołnierze powstania 1830 roku; dwóch z nich służyło w wojsku polskiém jeszcze przed rewolucyą. Jednego nazwisko przepomniałem, dwóch drugich nazwiska pamiętam dobrze, nazywali się Gajewski rodem z kongressowéj Polski i Knak rodem z saméj Warszawy. Ci trzej nikczemnicy i wyrodni Polacy, w wigilią zaczęcia rewolucyi, a zatém w najniebezpieczniejszéj jéj kryzys, upatrzywszy sposobność, poszli do kommendanta fortecy Omska pułkownika Degravé, tego samego, o którym już mówiłem, i wszystko mu odkryli. Na nieszczęście wiele wiedzieli i na nich wiele liczono: byli za-

tém przypuszczeni do najważniejszych tajemnic. Wiedzieli zatém że przeor Sierociński był naczelnikiem i którzy po nim najwięcéj mieli wpływu i znaczenia, wiedzieli, kiedy i jakim sposobem miała się rewolucya rozpocząć, wszystko to odkryli i od razu wszystkiemu temu przygotowaniu zapobieżono. Ponieważ Sierociński i niemal wszyscy naczelnicy wymienieni, jak i sami zdrajcy byli w Omsku lub w jego sąsiedztwie, natychmiast tedy ich poaresztowano i wydano najsurowsze rozkazy i rozporządzenia do miejsc najodleglejszych, ażeby jak najrychléj aresztować wszystkich podejrzanych lub jakikolwiek wpływ mających, winnych czy niewinnych: Polaków, Rossyan, Syberyaków, Tatarów, żołnierzy, posieleńców, krestian. Najwięcéj zaaresztowano Polaków. Trudno wiedzieć o liczbie przytrzymanych w całéj Syberyi; bez przesady jednak można ich liczbę podnieść do tysiąca blizko początkowo, późniéj ich liczba znacznie się zmniejszyła; przytrzymanych zwożono do Tobolska, Tomska, a najwięcéj do Omska siedliska zamiarów i gdzie byli tych zamiarów naczelnicy. Te aresztowania nastąpiły w 1834 i 1835 roku. Dano znać o wszystkiém do Petersburga, zaczęło się śledztwo. Dwie kommissye jedna po drugiéj wyznaczone do prowadzenia śledztwa rozwiązały się, nic niepostanowiwszy, tak rzecz zdawała się zagmatwaną, tyle osób było w téj sprawie skompromitowanych; sumienie członków tych dwóch kommissyj nieośmieliło się brać na siebie tak wielkiéj odpowiedzialności, ponieważ było związane wielkiém nieszczęściem winnych, których zamiar samo ich usprawiedliwiało położenie, wielką liczbą ofiar i nieubłaganém prawem despotyczno-carskiém. Trzecia dopiero kommissya złożona z członków z Petersburga nadesłanych śledztwo to doprowadziła do końca, co wszystko trwało lat przeszło trzy. Z oskarżonych jednych, z początku śledztwa, drugich nieco późniéj, innych po ukończoném śledztwie jako niewinnych z więzień powypuszczano, a którzy się zdawali być winnymi, tych za-

trzymano dla poddania ich prawu. Ksiądz przeor Sierociński w ciągu trzechletniego więzienia i śledztwa, zachował niezachwianą stałość charakteru i nieugiętą moc duszy. Przy rezygnacyi prawdziwie chrześciańskiej, odpowiadał z godnością na zapytania i nic z niego niemogli wydobyć; a jednak pod zasłoną żelaznéj woli, pod nieuskromnioną hardością ducha, pod tym zuchwałym i nieugiętym temperamentem Sierociński miał czułe serce i tkliwą, rzewną duszę; przymioty tak na pozór sprzeczne z sobą, a które jednak w samej istocie zawsze się znajdują w szczęśliwie uorganizowanym człowieku, chcę mówić, w każdym niepospolitym mężu. Przytém czułość i tkliwość Sierocińskiego połączona z wolą i charakterem nikogo niezadziwi, kto się dowie, że on był rodem z Ukrainy, gdzie krew nie woda, serce nie lód, wola nie próżna butność, męstwo nie fanfaronada, a czyn nie paplanie. *Raz rodyla maty, raz propudaty,* to jest przysłowie ludu ukraińskiego. Miałem sposobność czytania poezyj księdza Sierocińskiego, które urywkami w ciągu trzechletniego więzienia pisał. W tych dorywczych i jakby z natchnienia urywkach cała piękna i szlachetna Sierocińskiego dusza się objawia; ileż tam chrześcijańskiej pokory, ile godnéj dumy człowieka, ile tęsknoty duszy, ile prawości Polaka, ile smutku, żalu, cierpień i nieszczęścia duszy człowieka, dla którego tu na ziemi już niema nadziei!

Nareszcie zapadł wyrok w Petersburgu skazujący księdza przeora Sierocińskiego, Drużdżałowskiego, Jabłońskiego, Szokalskiego, Górskiego czy Zagórskiego, przeszło sześćdziesięcioletniego starca oficera jeszcze za wojen Napoleona, wszystkich za udział w rewolucyi 1831 roku skazanych do batalionów syberyjskich na prostych żołnierzy na całe życie, i Rossyanina Mieledyna, każdego na siedm tysięcy kijów bez litości; wyraźnie w wyroku było; *na siedm tysięcy kijów bez litości* (na siem tysiacz pałok bez poszczadi), a gdyby przypadkiem który tę karę przeżył, po wyzdrowieniu miał być zasłany do

katorżnych ciężkich robót w Nerczyńsku na resztę dni życia swego; massę zaś obwinionych, nie mniéj skompromitowanych; wyrok, stosownie do przestępstwa, skazywał na trzy, dwa tysiące, jeden tysiąc i pięćset pałek, lub rózg, a późniéj jednych przeznaczył do ciężkich robót na całe życie, lub na pewną lat liczbę, innych od razu wskazał na posielenie, innych porozsyłał do innych garnizonów w dalekie strony Syberyi. Nadszedł dzień fatalny wykonania okrutnego i srogiego wyroku, dzień strasznego sądu, bo nigdy tak wielkiéj liczby od razu, ni tak surowo niekarano; to było w tysiąc ośmset trzydziestym siódmym roku (1837) w miesiącu marcu, ale którego dnia niepamiętam, a w mieście Omsku. Jenerał Gałafiejew, dzikiego i okrutnego serca nastajaszczyj stupajka, był przysłany z Petersburga umyślnie dla ścisłego i wiernego wykonania wyroku, i istotnie serce Mikołaja powinno być zadowolone i rozradowane z takiego wyboru; dzikość duszy barbarzyńcy Gałafiejewa i chciwość krwi prawdziwie tygrysia, oburzyla wszystkich Rossyan nawet, katów rossyjskich najwięcéj przywykłych do jéj rozlewu. Do dnia zatém dwa kompletne bataliony każdy po tysiąc ludzi, a to dla łatwiejszego rachowania tysięcy pałek, wystąpiło za miasto Omsk do egzekucyi wyroku. Jeden z tych batalionów powinien mordować tych, co na siedm tysięcy pałek byli skazani, a drugi tych, co na mniejszą ich liczbę byli osądzeni. Oba bataliony wyrównawszy się, wyciągnąwszy się we dwa szeroko rozwarte szeregi, stanęły w pewnéj od siebie odległości; kat Gałafiejew miał baczne oko na wszystko, a stał przy batalionie o siedmiu tysiącach kijów, prawdziwie wierny zastępca Mikołaja. Podług ustaw i zwyczajów rossyjskich, żołnierze puszczający, jak się pospolicie mówi, przez rózgi, powinni stać w wolno ściśniętych szeregach, bijąc niedaleko odrywać łokieć od boku i niewysuwając naprzód nóg z szeregu, trzymać je w postawie żołnierza pod bronią; pręty zaś ich powinny być takiéj tylko grubo-

ści, aby ich trzy mogło wejść do lufy od karabina. Tu było wszystko inaczej i na opak, Gałafiejew kazał żołnierzom wziąć odstępy na długość ręki, bijąc, kazał wyciągać ramiona na całą ich długość i występować jedną nogą naprzód z szeregu, dla tem sposobniejszego zadania razu z całej mocy, pręty zaś były to po prostu kije, z których jeden tylko mógł się zmieścić w lufie od karabina. Wyprowadzono nieszczęśliwych więźniów z ich więzień i przyprowadziwszy na miejsce kary, przeczytano im wyrok; niebędę zatrzymywał czytelnika uwagi nad batalionem mającym karać większą liczbę, lecz na mniejszą chłostę wskazanych ofiar, męczenników. Zatrzymam się tylko nad batalionem mającym zamordować Sierocińskiego i jego pięciu towarzyszy. Zaczęła się tedy krwawa egzekucya, podwójna, i jęki do nieopisania dziko mordowanych. Którego z nich naprzód puszczono przez kije i bito tego już niepamiętam, wiem, że bito każdego z kolei, a Sierocińskiego, jako naczelnika spisku, a następnie jako najwinniejszego, zostawiono na sam koniec, aby serce jego przesycić boleścią, zgrozą i trwogą, widokiem mąk i cierpień jego spółtowarzyszy i tych, jakie jego samego czekały. Bito, mordowano każdego podług litery dekretu, to jest bez litości. Żaden zatem z nich, oprócz Szokalskiego, za którym się wstawił doktor batalionowy i którego z tego powodu nie tak mocno katowano, siedmiu tysięcy kijów niewychodził, niewytrzymał, padł w śnieg krwią oblany i skonał albo pod razami na miejscu, albo wkrótce potem. Ksiądz przeor Sierociński patrząc na ten skon i męki swych spółtowarzyszy, gotował się w duchu, jakby w ogrójcu, do strasznego przejścia, do okropnej męczeńskiej śmierci. Przyszła nakoniec kolej i na niego, gdy mu podług zwyczaju obnażono plecy, a to było w marcu i w Syberyi, i przykrępowano ręce do karabina, jak to jest także we zwyczaju w podobnych razach, za który dwaj żołnierze prowadzą mordowanego między szeregami dla zachowania jednostajności kroku; gdy mówię obna-

żono i przywiązano księdza Sierocińskiego do karabina, bagnetem w piersi. Doktor batalionowy przybliżył się do niego dla pokrzepienia go wzmacniającemi kroplami, gdyż, jak mówiłem, będąc delikatnej organizacyi, po trzechletniém więzieniu zupełnie z sił opadł i był więcej podobny do bladego widziadła, do cienia człowieka, niż do samego człowieka; lecz hart duszy, nieugięta wola i duma godna i szlachetna, zostały te same; na podane więc sobie przez doktora krople, odwróciwszy głowę odpowiedział: pijcie krew moję, krew naszę, ja waszych kropel pić niepotrzebuję, niechcę. A gdy dano rozkaz do męczeńskiego marszu, pobożny kapłan, prawy, nieodrodny od swoich prawowiernych przodków, Polak, Sierociński zaczął na głos mówić psalm pokuty: „*Miserere mei Deus*, *secundum magnam misericordiam tuam* itd., to jest: Zlituj się nademną Boże, według wielkiego miłosierdzia twego itd. Gałafiejew krzyknął z całą wściekłością, jakby go zły duch opętał, raz, drugi i trzeci, silniéj bić, silniéj, silniéj (pokrepsze nakazywat', pokrepsze, pokrepsze) to téż tak go silnie mordowali, że zaledwie przeszedłszy raz jeden tylko między szeregami w drugi koniec batalionu, to jest po tysiącu kijach, padł w śnieg cały krwią zlany, omdlały i prawie bez przytomności; chciano go postawić na nogi, ale się na nich utrzymać niemógł. Na pogotowiu były już sanie z przyrządzoném rusztowaniem: postawiono Sierocińskiego na kolanach na tém rusztowaniu, ręce mu w tył zagięto i związano, nachylono nieco głowy i karku i w takiéj postawie tak go przytwierdzono, tak przykrępowano, iżby się niemógł ani naprzód ani w tył pochylić, ani podnieść, tak uwiązanego na saniach zaczęto między szeregami wozić, a Gałafiejew ciągle krzyczał, mocniéj i mocniéj. Z początku wożenia Sierociński wydawał jeszcze jęki boleści, które coraz wolniejąc i słabnąc w końcu zupełnie ucichły. Sierociński jeszcze oddychał do czterech tysięcy kijów i Bogu ducha oddał, resztę razów to jest trzy tysiące kijów wyliczono już na

jego trupie, a raczéj na nagim szkielecie. Tak zaś nielitościwie wszystkich, a szczególniéj Sierocińskiego bito, że podług wyrażenia naocznych świadków tak Polaków jak i Moskali z którymi sam o tém rozmawiałem, że ciało stłuczone, posiekane na zrazy lgnęło do kijów i precz odlatywało; nagie tylko kości się bieliły, które prawie przetrącano, a wnętrzności było widać. Na tak srogie, nawet w saméj Rossyi niepraktykowane dotąd morderstwa wszyscy się oburzali. Nie tylko Polacy, ale sami Rossyanie którzy jako żołnierze musieli bić tych nieszczęśliwych a z którymi sam mówiłem, umyślnie dla dowiedzenia się o istotnéj prawdzie, zaręczali mi najsumienniéj, iż nigdy nikogo niewidzieli tak srogo, okrutnie i dziko zamordowanego, jak tych Polaków zamordowano, a cała zachodnia Syberya mówi o tym wypadku, jako o nadzwyczajności, która w niéj dotąd miejsca nie miała. Ci, którzy jeszcze w okropnych boleściach oddychali, i ci których na miejscu pomordowano, zaniesiono do szpitala i niebawem Polaków i jednego Rossyanina w jednym zamiastem pochowano grobie. Pozwolono było Polakom proszącym o to, wystawić na grobie swych pomordowanych spółbraci znamię zbawienia i do dziś dnia (w 1846 r.) wielki, czarny, drewniany krzyż, jako znak męczeństwa, sterczy śród stepu, samotny i odosobniony, rozpinając swe ramiona nad mogiłą ofiar, jakby dla okazania nad niemi opieki, za to, że w imię krzyża, w imię sprawiedliwości śmierć poniosły. Ksiądz Sierociński i jego spółtowarzysze pomarli śmiercią, jaką umierali tylko męczennicy i święci. Taka śmierć, takie męczeństwo musi mieć swoich apostołów i wyznawców. Jeden tylko Szokalski, za którym mocno i szczerze wstawił się doktor batalionowy, i który z tego powodu nie tak okrutnie był mordowany, po kilkomiesięcznéj chorobie wyleczywszy się z ran zadanych, był wysłany podług dekretu na całe życie do robót ciężkich do nerczyńskich zakładów. Ale ból z przyczyny egzekucyi tak osłabił jego władze umysłowe, że

dostał pewnego rodzaju melancholii, a raczej obłąkania, i wkrótce po swojém do Nerczyńska przybyciu, strzałem w głowę życie sobie odebrał.

Te morderstwa działy się za panowania Mikołaja, któremu dziś cała rządząca Europa, tak monarchija, jak i republika pochlebia, i którego wielbi łaskawość, łagodność i mądrość rządów.

Z tych, którzy byli skazani na mniejszą karę, a których mordował drugi batalion, jedni byli odesłani do swoich batalionów, innych skazano na posielenie, a innych nakoniec w katorżnu robotu na pewną liczbę lat lub na całe życie, stósownie do ich winy. Ale co spowodowało tych niegodnych imienia polskiego Polaków do zdradzenia tajemnicy? czy urojona nagroda, czy zysk podły, czy po prostu nikczemność duszy? Prawda, że im przyrzeczono dymissye i powrót do kraju, ale z tego przyrzeczenia żaden z nich nic niekorzystał: bo jednego utopiono jeszcze w Syberyi, drugiego zabito gdy wracał do Polski, a Knak czując zgryzotę sumienia i pogardę, jakąby był niechybnie okryty, niechciał wracać do Warszawy i dobrowolnie został w Syberyi w wojsku; zrobiono go praporszczykiem, chodzi jak cień potępieńca, wybladły i wyżółkły, z piętnem Kaina na czole. Polacy i Moskale nim pogardzają i od niego stronią. Taka nagroda zdrajcom. W czasie mojego pobytu w Syberyi podły Knak znajdował się w garnizonie w Omsku.

W tym samym roku, to jest w 1837, książe Gorczakow zostawszy jenerał-gubernatorem zachodniéj Syberyi przeniósł swą stolicę z Tobolska do Omska. Książe Gorczakow, jest to istotny Satropa azyatycki, hardy, dumny, zarozumiały, ma być jednak sprawiedliwy, nie do tego z tém wszystkiém stopnia, aby gardził tłusto nasmarowaném łapowem i w swoim rodzaju jest dość dowcipnym. Niejaki Nippa, będący na krótki czas przed mojém do Syberyi przybyciem sprawnikiem w Tarze, miał nieszczęście, które nie każdemu urzędnikowi, nawet ros-

syjskiemu mogło się zdarzyć, to jest: że ważny jakiś dokument w sprawie tajnej policyi, a jemu powierzony, gdzieś zaginął. Nieszczęśliwy Nippa tłómaczył się, że go myszy zjadły. Ztąd padło podejrzenie, że Nippa coś skrewił. Książe Gorczakow wezwał go do siebie dla tłómaczenia się z zatraconych dowodów. Nippa człowiek dobrze wychowany, gdy mu dano z kolei posłuchanie, zaczął mówić do księcia Gorczakowa po francuzku, ale książe Gorczakow ofuknąwszy się na niego, rzekł doń po rossyjsku: Ty pa ruski maszenniczył, pa ruski izjasniajś (tyś po rossyjsku szalbierzył, po rossyjsku się tłómacz). Jednak mimo gniewu księcia Gorczakowa, Nippa po rossyjsku się tłómacząc, tak mu udowodnił i tak go przekonał, iż nareszcie uwierzył, że myszy dowody zjadły. Gdyby rossyjscy czynownicy wiedzieli o tym nowym kruczku, ileżby to dowodów myszy i szczury u nich dotąd pozjadały?

Zapomniałem w wyliczaniu nazwisk mi znanych w Syberyi Polaków dodać, że w tym samym czasie, kiedy Aleksander Bieliński, Gzowski, Więckowski, Karpiński i Gross prowadzeni byli do karorgi, przybyli do batalionów Syberyjskich na prostych żołnierzy skazani: Wasiłowski do fortecy Troicka czy Pietropawłowska, tego dobrze już niepamiętam; Łaźniewski z Lubelskiego do Omska; Hirszfeld podobno z Warszawy, do Siemipałatyńska. Później nieco, w tym samym 1845 roku, bo już pod zimę, prowadzono znowu trzech do katorgi ku Irkutskowi, wszyscy trzéj z Lubelskiego; z nich zapamiętałem tylko nazwisko Gruszeckiego, którego brat już się znajdował od lat kilku w katordze; drugi blondyn ściągłéj twarzy i rumiany, melancholicznego wejrzenia i przystojny młodzieniec, poeta; trzeci miał nazwisko włoskie i niebardzo od swoich spółkolegów lubiony. W zakładzie, gdzie byłem, był także skazany do robót ciężkich na całe życie Kulesza ze smoleńskiéj gubernii.

ROZDZIAŁ XXV.

Zamiary i przygotowania do ucieczki, przeszkody. Ucieczka z Syberyi przez Tiumeń, Irbit, Werchoturje, góry Uralskie do Solikamska (tobolska i permska gubernije), przygody téj podróży. Opis tego kraju i gór Uralskich.

Wiedeń (Austrya) 23 sierpnia 1849 roku.

Dałem już poznać, jak przepędziłem zimę z r. 1844 na 1845. Z nadeszłą wiosną a raczéj latem, żywiéj i gwałtowniéj obudziło się we mnie uczucie mych cierpień i żądza wolności. Odbywałem powinność na mnie włożoną jak zawsze, aż do ustania gorzelni w miesiącu maju. Inni katorżni podzieleni na partye, wysłani zostali w lasy dla rąbania i przygotowania drew do gorzelni, późniéj przeznaczeni zostali do koszenia siana, dla skarbowych koni użytych przy gorzelni, a najwięcéj dla koni czynowników. Wszyscy zaś biórowi i ja z nimi zajmowaliśmy się uporządkowaniem rachunków i rejestrów z całorocznego przychodu i rozchodu wódki. Miałem jednak dość wolnego czasu do myślenia o czém inném, niż o mojém zatrudnieniu. Z nadejściem zimy i rozpoczęciem gorzelni, znowu wiadome już zacząłem pełnić obowiązki. Jedną razą przy końcu 1845 roku dzierżawca Aleksiejew lubiący ze mną rozmawiać, przybył do naszego bióra już późno

wieczorem; a ponieważ był wesołego naturalnie humoru, a nieumiejąc dowcipnie żartować, zaczął mnie szykanować Polską i Polakami, między innemi rzekł do mnie: Nieprawda żebyś chciał wrócić do Polski? Ta chęć zdaje się jest wrodzona każdemu człowiekowi, który kocha swoję ojczyznę a którego z niéj przemocą wyrwano. Wszak twoja ojczyzna jest teraz Rossya i Syberya? Nie, moją ojczyzną była, jest i będzie Polska. To ty sądzisz, że Polska kiedykolwiek jeszcze powstanie, będzie niezawisłą od Rossyi i ty w niéj będziesz? Dla czegóżbym niemiał tego przekonania, że Polska może być jeszcze tak wielką jak była niegdyś i że ja jeszcze w niéj być mogę? Cha, cha, cha, cha i jeszcze się łudzisz tą nadzieją! nie, już ci Polski twojéj nieoglądać, tu zginiesz. Dla czegóżbym miał nigdy już Polski nieoglądać? los jest zmienny a Bóg sprawiedliwy. Nie, nic z tego niebędzie, Polacy nieumieją robić rewolucyi, porwą się nagle jak szaleni, a wkrótce tracą odwagę i ducha; gdzie im przeciw Rossyi walczyć? Teraz na Polsce choć wyśpij się. Te ostatnie wyrazy: choć wyśpij się na Polsce, mieszczące w sobie pogardę i urągowisko, tknęły mnie do żywego: zapomniawszy tedy o położeniu, w którém się znajdowałem, odpowiedziałem z przekąsem: My Polacy, jest temu więcéj jak lat dwieście, wyspaliśmy się do syta i wygodnie na Rossyi, na saméj Moskwie, czemużby się my niemieli jeszcze raz na niéj wyspać? Ta moja odpowiedź tknęła Moskala, zczerwienił się po uszy, lecz gniew obróciwszy w żart, rzekł do mnie: Jak widzę, jesteś bardzo zuchwały — i znowu mnie zaczął szykanować. Zniecierpliwiony i rozdrażniony zacząłem mówić z uniesieniem i na serio. Aleksiejew patrząc na mnie z uwagą, rzekł pół żartem, a pół na serio: Patrzaj, patrzaj, któżby go znając mógł mniemać, że ma jeszcze w sobie tyle życia ognia i zapału? zdawało się, że lada dzień umrze, tak zawsze jest smutny, blady i wyschły, a oto oczy mu się świecą jak błyskawice, z którychby piorun mógł wypaść; wierzże teraz Polakowi. Da-

libóg (Jéjbohu) niechciałbym się z nim sam na sam gdzie spotkać. Postrzegłem, że zbłądziłem unosząc się, bo przez to mógłbym na się pilniejszą władzy zwrócić uwagę, więc w ciągu pogadanki starałem się Aleksiejewa wyprowadzić z mniemania, jakieby o mnie mógł powziąć, zmusiwszy mnie niejako do odkrycia się przed nim, kim byłem w istocie.

Nieograniczałem się tedy na spełnieniu obowiązków przemocą na mnie włożonych; tajemnie zatém i bez ściągnienia na siebie nietylko władz, ale czyjéjkolwiek uwagi, robiłem przygotowania do wykonania mego zamiaru, powziętego jeszcze w Kijowie zaraz po przeczytaniu mnie wyroku. Po wysłuchaniu tego wyroku przestałem od razu się golić dla zapuszczenia brody tak poważnéj i poważanéj między rossyjskiém pospólstwem i jego duchowieństwem. W zakładzie smotrytel i urzędnicy czynili mi uwagę, dla czego się niegolę i zapuszczam brodę? odpowiedziałem im na to: że chyba wtedy się ogolę, gdy będę wolnym. To chyba przez całe swe życie golić się niebędziesz, mówili do mnie śmiejąc się z méj nadziei; śmiałem się i ja z nich w duchu, alem nic niemówił. Chociaż miałem odzienie dobre i porządne, zacząłem z czasem, z wolna i stopniowo, jakby dla zastósowania się całkowicie do mojego położenia, do którego udawałem pozornie, że przywykam, ubierać się po miejscowemu i więcéj odpowiednio powołaniu katorżnego, słowem, używałem wszystkich sposobów dla przekonania wszystkich, że oprócz mojego położenia, którego polepszenia oczekiwałem tylko od łaski Mikołaja, o niczém w świecie więcej niemyślałem, przytém ciągły smutek i słabość zdrowia wszystkich przekonywały, że może niezadługo i życie zakończę. Ale pod tém powierzchowném zaniedbaniem siebie, pod tym smutkiem i słabością ukrywała się niezmordowana troskliwość o siebie, życie i energija, które daj Boże, abym do ostatnich chwil mojego istnienia zachował. Lecz czemuż najgorętszym, najwznioślejszym moim

życzeniom i zamiarom okoliczności i osoby stawały na przeszkodzie? Rzuciłem myślą i duszą po Syberyi, zrachowałem zasoby, siły i nieszczęścia. Chcieć tylko, a wszystkie zapory prysłyby przed stalą i niezachwianą wolą tylu tysięcy nieszczęśliwych. Ale nieszczęście wielkie i długie cierpienia to mają w sobie, że upodlając człowieka, czynią go niezdolnym do żadnych wielkich przedsięwzięć. Woli wlec życie nieszczęśliwe w smutku, pogardzie i poniżeniu, aniżeli je stracić poświęcając je dla odzyskania praw i swéj godności.

W katordze bynajmniéj niebraknie ludzi zręcznych w rozmaitéj professyi, takich naprzykład: co umieją robić pieniądze srebrne i złote, banknoty itd., cóż dopiero wyrzynać pieczęcie z rozmaitemi herbami i napisami i umiejących pisać pasporta. Za kilka a najwięcéj kilkanaście rubli assygnacyjnych można było dostać sobie pasport, choć na niestęplowym papierze, nie na wielką odległość i na czas krótki. Zresztą, mając pieczęć, można samemu sobie podobny napisać pasport, choć nie drukowany (płakatnyj). Rozumie się samo przez się, że ten przedmiot niemógł być dla mnie obojętnym i w rzeczy saméj przyprowadziłem go do skutku. Ale największa trudność była w tém, którędy i dokąd uciekać? taką odległość na wszystkie strony, takie na około pustynie, bagna i lasy, takie niebezpieczeństwo, tak wielka władz czujność i tak szybki na wszystkie strony i we wszystkich kierunkach pocztowy pościg za politycznym zbiegiem, przestępcą, iż prawie niepodobna o tém nawet myśleć. Dodajmy do tego, iż sami Syberyjczycy i Tatarowie, mimo chleb i sól, które zostawiają za oknem dla uciekających, mimo rzepę, którą zasiewają dla nich na polach naddrożnych, czynią niekiedy na uciekających zasadzki i ich strzelają, usprawiedliwiając ten czyn barbarzyński sławnem u Syberyjczyków przysłowiem: lepiéj zastrzelić warnaka (katorżnego), aniżeli wiewiórkę; bo z wiewiórki jedna tylko skóra, a z warnaka trzy; to jest: zwierzchnie

odzienie, koszula i skóra powlekająca ciało. Gdyby jeszcze było kilku towarzyszy téj niebezpiecznéj podróży, gdyby przynajmniéj było dwóch razem, byłoby raźniéj, weseléj i śmieléj, ale rzuciwszy okiem i myślą na około siebie i nieznacznie zbadawszy ducha nieszczęśliwych, przekonałem się najoczywiściéj, że na nikogo liczyć niemógłem, a przykład wiadomy dobrze wszystkim politycznym wygnańcom, katorżnym i posieleńcom, dany na pułkowniku Piotrze Wysockim, Sierocińskim i jego towarzyszach w Omsku, odejmował każdemu z nich nawet chęć myślenia o ucieczce, cóż dopiero mówić o wznioślejszych i śmielszych zamiarach? zostawiony tedy byłem sam sobie, swojemu przemysłowi i opiece Boga.

Cokolwiek jednak bądź, postawiony na rozstajnych drogach dwóch moich zamiarów równie śmiałych i niebezpiecznych, jednym z najpierwszych moich obowiązków było obeznać się z Syberyą, z duchem jéj mieszkańców różnorodnych, różnoplemiennych i różnego stanu; jak również z położeniem jéj geograficzném i kommunikacyami. Do tego potrzebowałem oprócz wiadomości nabytych na miejscu, karty Syberyi jak można najdokładniejszéj. Po długich usiłowaniach i pod rozmaitemi pozorami, dostałem téj karty Syberyi, tyle pożądanéj a najdokładniejszéj jak dotąd istniała. Pożyczono mi ją. Miała najmniéj wzdłuż i w szerz dwa i pół łokcia, czyli pięć stóp. Dostawszy ją, nie wpatrywałem się, ale przyklejałem się do niéj całe godziny, tak dla obeznania się z Syberyą, jak z drogami i kommunikacyami z niéj wiodącemi, na przypadek gdyby wznioślejszy pomysł się nieudał. Ale wszędzie naokoło przedstawiały się przeszkody prawie nie do pokonania, jak przestrzeń i odległość do niezmierzenia.

Pięć dróg, a raczéj pięć kierunków mi się przedstawiało do odwrotu z Syberyi, ale równie niepewnych, równie niebezpiecznych. Pierwsza droga: udać się na wschód w głąb Syberyi około Irkutska, Nerczyńska ku Ochotsku; tam zaś wsiadłszy na jakikolwiek statek, gdyby to było

podobna, zawinąć do brzegów zachodnich Ameryki; do Kalifornii naprzykład, ztamtąd do Stanów Zjednoczonych a z nich do Europy, do Francyi. Druga droga: udać się wprost na południe przez stepy Kirgizów do Bucharyi, ztamtąd przez Persyą i Kabul do posiadłości angielskich w Indyach wschodnich; albo z Bucharyi przez Persyą i Turcyą: w obu razach ztamtąd do Europy, do Francyi. Trzecia, prowadząca na południo-zachód, to jest: dostawszy się do gór Uralskich, wziąć się na lewo, dojść do źródeł rzeki Jaika dziś nazwanej Uralem i popłynąć nią aż do morza Kaspijskiego; ztąd dostać się do Czerkiesów i albo zostać u nich, albo podług okoliczności przez Persyą i Turcyą dostać się do Europy, do Francyi. Czwarta droga: dopadłszy gór Uralskich i przeszedłszy je, wziąć się nieco na lewo, a stanąwszy na wysokości miasta Ufy w orenburgskiej gubernii dopłynąć do Wołgi, rzeką w nią wpadającą, później Wołgą doplynąć aż do kanału łączącego ją z Donem, i Donem dopłynąwszy przez Nowy Czerkask do Taganrogu, tam albo wsieść na jaki okręt i morzem Czarném dostać się do Europy, do Francyi; albo gdyby to się nieudało, z Taganrogu przez ziemię kozaków dońskich, guberniją ekaterynosławską, cherzońską, Bessarabiją, Multany i Wołoszę dostać się do Turcyi, a ztamtąd do Francyi. Piąta nakoniec droga wprost na zachód, to jest: dopadłszy gór Uralskich na wysokości Tobolska i wziąwszy się w prawo na północ rzekami Peczorą i Wyczegdą dopłynąć do Dźwiny, a tą ostatnią do Archangielska, tam wsiadłszy na jaki okręt europejski, dopłynąć do Szwecyi lub Anglii, a ztamtąd do Francyi. W tych trzech ostatnich razach powinienem był z zakładu, gdzie byłem, podpłynąć na łódce rzeką Irtyszem aż pod Tobolsk (800 werst czyli 114 mil polskich), a ztamtąd dostawszy się do gór Uralskich, obrać kierunek najdogodniejszy stosownie do okoliczności, bo wszystkiego przewidzieć niepodobna. Najdłuższą z obranych dróg była pierwsza, najkrótszą zaś ostatnia. Z karty,

zatém ponotowałem sobie znaczniejsze punkta na tych drogach będące, aby podług nich się było można kierować. Właściwie zaś najprostszą drogą była ta, która prowadziła środkiem Rossyi przez Moskwę: ale ponieważ była najniebezpieczniejszą dla uciekającego, z przyczyny straż na niéj porozstawianych i czujności władz, dla tego ją opuściłem. Wszystkie jednak z dróg przezemnie obranych, tyle przedstawiały trudności, iż kiedym się nad niemi zastanowił, niewidziałem prawie podobieństwa ich pokonania: a w końcu przewidywałem tylko moją zgubę, śmierć w pustyniach, lub okropniejsze nad samą śmierć, gdybym był schwytany, katusze moskiewskie.

Śród tego wahania się i udręczeń moralnych różnego rodzaju, trudnych do opisania, nadeszła wiosna, a z nią i nadzieja urzeczywistnienia mych zamiarów. Widok przyrody tchnącéj życiem i rozkoszą, budzi zwykle w sercu człowieka gorące, nienasycone pragnienia szczęścia, wszystkie uczucia żywiéj i gwałtowniéj w nim działają, a wyobrażenie z upodobaniem przypominając błogie choć zbyt krótkie przeszłości chwile, tworzy obrazy urocze spełnionych w przyszłości nadziei, tak, że ze wstrętem i oburzeniem, a nawet z przestrachem jakby ku nicestwu spogląda na to wszystko, co nam stanowi nieprzełamaną tamę w ziszczeniu naszych pragnień i nadziei. A niewola i stan, w którym się znajdowałem, odmówiły mi szczęścia, a raczéj mi je odjęły na całe moje życie, zabraniały mi nawet, że tak powiem, myśleć o niém. Zresztą cóż myśl, co samo uczucie bez istoty? Łatwo więc sobie wyobrazić usposobienie mojego ducha; życie mi się stało najnieznośniejszym ciężarem, któregobym się chciał pozbyć, lecz nie bez zemsty nad tymi, co mnie i tylu innych tak srodze udręczyli. Stałem się więcéj milczącym, więcéj ponurym, dzikim i odludnym: a najokropniejsze uczucia miotały mą duszą: krew mord i pożoga były najulubieńszym przedmiotem mych myśli, jak jednem uczuciem mojego serca. Najboleśniéj uczułem, żem do niewoli niezrodzon, żem nie

naprożno był Polakiem, że nie darmo oddychałem wolném powietrzem lubéj Ukrainy, gdzie „Kozak z rodu nie-zna Pana, bo wychowany na stepach, jak ptak jest wolny. Położyłem więc na szalę rozwagi i uczucia, moję niewolę dozgonną i rychlejszą śmierć lub wolność, i niedługom się wahał w wyborze: obrałem ostatnie. Czemuż niebyłem zrozumiany? dla czego moje uczucie, moje najmocniejsze postanowienie, nigdzie nie znajdowało echa? a zatém, ponieważ, gdybym w ucieczce był schwytany, sroga mnie czekała męczarnia, dla uchronienia się od niej, uzbroiłem się zawczasu wielkim składanym nożem, w rodzaju szczyletu zrobionym, a którym ciągle nosił z soba, naprzód dla zadania razu, ktoby śmiał rękę na mnie położyć, a w ostatnim przypadku, dla utopienia go we własnem sercu, abym nieprzyczynił radości okrutnéj pastwienia się nademną moim mordercom. Niech Bóg mi przebaczy to samobójcze postanowienie! W moich wieczorach i samotnych przechadzkach nad Irtyszem, oglądałem jego brzegi z prawdziwą przyjemnością, patrzałem z rozkoszą na jego bystre, bałwaniące się nurty, które mnie lada dzień miały ponieść, aż pod Tobolsk. Luba rzeko! ty byłaś wówczas jedyną powiernicą moich cierpień i nadziei; tobie, jak najlepszemu, najzaufańszemu przyjacielowi, powierzałem losy mojego serca, mojéj duszy i moich nadziei!

Nareszcie przy końcu miesiąca czerwca 1845 roku: jednego wieczora po ukończeniu pracy, przygotowawszy pierwéj zapas żywności potrzebny przynajmniej na czas jakiś i przebrawszy się w odzienie także oddawna przygotowane, ale od nikogo dotąd niewidziane, udałem się moim zwyczajem nad brzeg Irtyszu. Noc była piękna i księżyc przyświecał, co dla mnie było wielką niedogodnością, niezważając jednak na to, wyciągnąłem ukrytą nad brzegiem w zarośli łódkę, spuściłem na wodę, siadłem w nią, a westchnąwszy gorąco do Boga, aby mi błogosławił, odbiłem ją od brzegu i puściłem się z biegiem

rzeki; oglądałem się na wszystkie strony, aby uniknąć warty, nad brzegiem Irtyszu będącéj: gdy w tém nagle i niedaleko przed sobą usłyszałem głos smotrytela Aramilskiego, głośno śmiejącego się i rozmawiającego ze wszystkimi miejscowymi urzędnikami. Widać, że korzystając z pięknej nocy, chcieli użyć przyjemności przechadzki wieczornéj i wyszli nad Irtysz. Niebyło zatém ani chwili do stracenia; zwróciłem tedy łódką w bok nieznacznie i w cień wróciłem nazad, a wyciągnąwszy łódkę na brzeg, zacząłem rozmyślać, co mam robić dalej? płynąć lub nie? i czy mnie kto niespostrzegł? Płynąć mi niewypadało: bo gdybym nawet niebył poznany, a dostrzeżono tylko łódkę płynącą mogliby łatwo po mojém zniknieniu z zakładu wpaść na trop i puścić się pocztą za mną w pogoń. Przesiedziawszy i przedumawszy czas jakiś, już brzask dnia nadchodzącego pokazywał się na wschodzie, bo o téj porze roku nocy w Syberyi są bardzo krótkie, ze spuszczoną głową, z sercem smutném, powróciłem do domu: a zastanowiwszy nad nieudaniem się mojego zamiaru, wniosłem z téj przeszkody, że Bóg mnie przestrzegł o jego jeszcze niewczesności, odłożyłem więc na później wykonanie jego. Wkrótce jakoś potém dowiedziałem się o księdzu Sciegennym i nowych ofiarach, jakie spisek w Krakowskiem przymnożył. W tymże samym prawie czasie, wpadło mi do rąk kilka razem numerów francuzkiego dziennika *Journal des Debats* i chociaż w nich były powycinane, powysmarowane i poczernione, całe kolumny, z nich się jednak dowiedziałem, że nasza światła i dobra Polka, autorka *Pamiątek po dobréj Matce* Pani Hoffman z Tańskich, zakończyła w Passy przy Paryżu doczesne, a narodowości polskiej i Emigracyi poświęcone życie; i że ksiądz Kajsiewicz miał nad jéj grobem mowę. Z tychże dzienników także się dowiedziałem, że Mikołaj czynił przegląd wojska w Medyolanie i widział się w Rzymie z papieżem Grzegorzem XVI. O tych ostatnich wiadomościach, donosiły także dzienniki rossyjskie i Tygodnik Petersburski

w Petersburgu po polsku redagowany. Nowi koledzy nieszczęścia, o czém już mówiłem, powiększyli przez ten czas ludność syberyjską, a jam trwał ciągle w moim zamiarze; zginąć lub być wolnym.

Przy końcu lipca tegoż samego roku znowu siadłem do łodzi, ale już z innego miejsca, więcéj dogodnego do spełnienia zamiaru ucieczki; było to także z wieczora. Tą razą miałem wypłynąć z jeziora łączącego się bardzo wązką cieśniną z Irtyszem. Całą noc, to jest przez parę godzin pływałem w koło po tém jeziorze, niemogąc zeń znaleść wyjścia. Przyczyna tego była następująca: w Syberyi z wody w czasie spokojnych i pogodnych nocy, lecz przy oziębionem powietrzu wychodzą gęste opary czyli mgły, ale tak gęste, że o parę kroków nic ujrzeć niepodobna. Te opary powstają w kształcie kolossalnych słupów, niewielkim ustępem od siebie oddalonych tak, że wszystko przed tobą zasłonią. Nad samém dopiero świtaniem odkryłem ciaśninę, ale już było nie czas. Wróciłem więc znowu do domu, ale tą razą boleśnie zasmucony nieudaniem się zamiaru. Zdawało mi się, że zły geniusz mojego przeznaczenia stawiał mi te przeszkody, postanowiłem tedy idąc za jego natchnieniem, jego samego pokonać. Wówczas przyszła mi do głowy myśl choć nie nowa, ale która zaczęła nabierać w mojém przekonaniu więcéj wagi i znaczenia, bo do rychlejszéj śmierci lub osobistego prędszego zwolnienia łączyła się więcéj pewność. Wijąc się tedy jak wąż gdy mu kto na głowę nastąpi, a niemając mocy wydostania się z pod przemocy, zapuszcza jeżeli może jad swój zabójczy w stopę go gniotącą, i sam ginąc śmierć zadaje; przedsięwziąłem jeżeli niebędę mógł się wydostać z niewoli, zemścić się najokropniéj i samemu zginąć. Pomijając wznioślejsze pomysły, które niemogły w sercach wygnańców długiém i wielkiém nieszczęściem przygniecionych znaleść odgłosu, i w których przekonaniu wszystko jest niepodobném; pominąwszy to wszystko, o czém mi niewolno mówić, za-

trzymałem się jedynie nad zamiarem zniewolenia sobie katorżnych tego zakładu, i sposobami mi wiadomemi, rozbroiwszy garnizon, wszystkie zakłady skarbowe jako to: gorzelnią, magazyny, składy itd., słowem cały zakład spalić, zniszczyć, krwią zalać, aby i śladu niebyło miejsca, gdzie despota wolnych ludzi traktuje jak najpodlejszych niewolników. I jak mi Bóg miły, byłbym to zrobił. Jeżeli zatém smotrytel i inni czynownicy zakładu z przyczyny mojéj ucieczki mieli jakie nieprzyjemności; niechże się na to nieuskarżają i dziękują Bogu, że mi pozwolił uciec; mieliby bowiem późniéj daleko więcéj nieprzyjemności, któż wie, czy mógłbym, czym nawet byłby powinien oszczędzić ich życie. W takich zamiarach niemoże być półśrodków, a zatém niemoże być i przebaczenia.

Każde poczciwe i ludzkie serce, każda prawa szlachetna dusza, wzdrygnąć się zapewno mimowolnie musi na podobnego rodzaju zbrodnicze zamiary, a czytający mnie, mogą mnie posądzić o dzikość charakteru, o okrucieństwo serca, o krwiożercze uczucia, słowem o wielką nawet wrodzoną skłonność do zbrodni, do morderstwa. Mylą się jednak tak sądząc; te uczucia były we mnie wywołane pogwałceniem i podeptaniem w méj osobie, w osobach mych spółrodaków, w naszych uczuciach, w naszéj duszy, wszystkich praw najświętszych stanowiących boskie pochodzenie człowieka. Przez porównanie mojego położenia z położeniem innych zrozumiałem i poczułem, co tyle tysięcy ludzi niewinnych i uczciwych a w podobnym mojemu znajdujących się stanie cierpieć muszą, przez najdzikszą niesprawiedliwość jakiéj się nad nimi dopuszczano; zrozumiałem, dla czego każdy niewolnik uciśniony, jeśli ma uczucie godności, jeśli pojmuje swoje wzniosłe przeznaczenie człowieka, jest mściwym i okrutnym, a nawet podłym i nikczemnym, bo mu zabroniono być szlachetnym, wspaniałomyślnym, otwartym i szczerym; zrobiono z niego zwierzę i bydlę, do zwierzęcych

tedy i okrutnych udaje się, udawać się musi sposobów dla odzyskania praw sobie należnych jako człowiekowi, od tych dzikszych jeszcze zwierząt, ludzi, co mu te prawa wydarli; któż jest w istocie winniejszym? Czy ten który zabrania używania praw wrodzonych istocie rozumnéj, czujnéj i sięgającéj swą duchowością podnóża tronu samego Stwórcy, i ci co podobnie barbarzyńskie urządzenia wspierają i wykonywają? Czy ten, któremu wszystkie jego prawa wrodzone będąc odjęte, wydarte, i który niemogąc ich odzyskać drogą prawdy i sprawiedliwości, ucieka się w ich uzyskaniu do praw i sposobów wrodzonych i nieubłaganych, jak sam fatalizm: to jest ząb za ząb, oko za oko, krew za krew.

Okropny a niecofniony zamiar zemsty odłożony na późniéj, ażbym się znalazł w konieczności jego wykonania, nieprzeszkadzał mi bynajmniéj przemyśliwać nad środkami do wykonania dawniéj powziętego zamiaru. W lecie 1845 roku miałem sposobność poznać podpółkownika Jakowlewa, który z Tobolska przyjechał do zakładu ekaterynieńskiego z kolei dla zlustrowania garnizonu. Był to ten sam Jakowlew, którego batalion w 1838 rozstrzelał w Wilnie Szymona Konarskiego. Na początku zimy tegoż samego roku z polecenia jenerał-gubernatora księcia Gorczakowa przyjechał dla zwiedzenia zakładu czynownik pan Podlewski, ten sam, który wybudował w Tobolsku statek parowy, a który mu się nieudał. W grudniu tegoż samego roku wyszły nowe rozporządzenia jeszcze bardziéj ścieśniające położenie posieleńców i katorżnych, a które miały wyjść w wykonanie z początkiem maja 1846, a o czém już mówiłem. W tymże samym miesiącu i w tymże roku zjechał jakiś wysoki urzędnik z Tobolska dla zwiedzenia katorżnych, dla przekonania się, którzy są zdolni do pracy, a którzy nie i dla sprawdzenia czy w podaniach smotrytela o nich niebyło stronności. Na początku stycznia 1846 roku zjechała komisya w celu sprawdzenia, czy wypuszczeni od lat

piętnastu i niżéj na posielenie z katorgi, wybyli w niéj przepisane lata, a to stósownie do nowych rozporządzeń miłościwego i łaskawego Mikołaja. Wszystkie te nowe rozporządzenia dodały mi jeszcze więcéj, jeżeli podobno energii i determinacyi; bo więcéj jeszcze mogły mnie uczynić nieszczęśliwym, nowe i trudniejsze co raz do pokonania stawiając mi przeszkody. Moje zachowanie się przez ten cały czas było tak spokojne i tak ciche, że najmniejszego podejrzenia wzbudzić niemogło w urzędnikach, mieli mnie za swojego nazawsze, ubierałem się jakem to już powiedział po syberyjsku, w kożuch i armiak a brodę miałem długą. Powierzchowność tedy była należycie katorżną.

Nadszedł rok 1846 i jam się zdecydował użyć téj pory roku dla dopięcia zamiaru, którego niemógłem, po dwakroć usilując, wykonać przeszłego lata. Bawiąc przez czas dość długi w Syberyi i oznajomiwszy się lepiéj z językiem syberyjskim, zwyczajami i miejscowemi okolicznościami, dowiedziałem się, że każdego roku w miesiącu lutym, bywa ogromny jarmark w mieście Irbiti w permskiéj gubernii (a o czém już mówiłem), że na ten jarmark cały miesiąc trwający, kupcy z całéj Syberyi i z całéj Rossyi się zjeżdżają, że jest wtenczas na gościńcach z przyczyny wielkiéj liczby i nagle przyjeżdżających powózek, a raczéj sami wielkie zamięszanie, i o innych drobnostkach i szczegółach, o których miejscowy człowiek koniecznie wiedzieć powinien. Postanowiłem tedy pojechać na jarmark, a z pięciu dróg obrawszy najkrótszą, z jarmarku chciałem się udać do Archangielska, gdzie doczekawszy się wiosny wsieść na jaki statek kupiecki, ale nie rossyjski, i na nim odpłynąć do Anglii, lub przynajmniéj do Szwecyi lub Norwegii a ztamtąd do Francyi. Lecz muszę tu uczynić wzmiankę o tém, co mnie ostatecznie znagliło udać się do Archangielska.

Od niejakiego czasu zaczęło w Petersburgu wychodzić pismo, a raczéj dzieło poświęcone opisaniu szczegó-

łowemu każdéj gubernii pod względem wiadomości geograficznéj, statystycznéj, archeologicznéj itd, słowem żywa kopija *de la France pittoresque* i ten sam tytuł noszące. Trzecia czy druga z początku gubernia była archangielska, w jéj opisie szczegółowém z kartą doń załączoną, wyszukiwałem środków dla mnie potrzebnych; z niego dowiedziałem się między innemi, że do Archangielska rok rocznie przybywa 400 do 500 okrętów kupieckich, z nielicznym bardzo wyjątkiem rossyjskich, wszystko cudzoziemskich, zagranicznych. To odkrycie było dla mnie nieocenionem, mniemałem, że najtrudniejsza było dostać się do Archangielska, do którego z miejsca gdziem się znajdował w zakładzie było tylko 3,200 werst czyli 457 mil polskich, a ztamtąd bardzo łatwo przy takiéj liczbie okrętów dostać się na którykolwiek z nich. Nastąpił miesiąc luty, a wkrótce i zapusty dość w tym roku wczesne; kto mógł i chciał hulał, jadł i pił, jam niehulał ani pił, bo o czém innem myślałem. Wszystkie władze umysłu i serca skupiły się we mnie w jedno ognisko, w jedno uczucie, uczucie wolności, któremu nieodstępnie towarzyszyła przepaść śmierci, lub co gorsza rusztowanie katusz. Ale im bliższą była chwila wykonania zamiaru, tém głębszą pokryłem ją tajemnicą i przed najlepszymi znajomymi i przyjaciołmi najmniejszéj nieokazywałem niechęci i nieukontentowania z mojego położenia, owszem zacząłem utrzymywać że się zaczynam do niego przyzwyczajać, i że mi już nie tak przykro było w Syberyi, jak się zdawało z początkiem do niéj przybycia; od miesiąca przeszło wyniosłem się z domku Siecickiego pod rozmaitemi pozorami, aby na niego żadne niepadło podejrzenie z mojego zniknienia, o którém zapewno ani się domyślał. Dla zmiany rysopisu, w którym wyraźnie powiedziano, żem był łysy, wystarałem się sobie zawczasu o perukę, ale prawdziwie syberyjską, to jest uszytą w kształcie zwykłéj i jak można naśladującéj peruki, ze skóry koziéj niegarbowanéj, szerścią na zewnątrz, ta pe-

ruka nasadzona na głowę, źle się na niéj trzymając i podsuwając się coraz w górę łatwo zdradzała oszukaństwo, ale długie jéj włosy ciemno-rudawe dobrze rozczesane, najdoskonaléj naśladowały włosy ludzkie; w lecie niemogłaby mi służyć, na zimę najstósowniéj się przydała.

Ach! kto nie był w podobném mojemu ówczesnemu położeniu i kto się nieprzygotowywał do wykonania stale podobnego zamiaru, ten z trudnością pojmie uczucia jakie mną w téj chwili miotały: było mi tęskno, smutno, okropnie, wesoło i lubo. Przygotowawszy tedy wszystko, co było potrzebném i możliwém do podobnéj podróży i w téj porze roku postanowiłem drugiego dnia zapust wieczorem opuścić zakład, a raczéj z niego uciec. Drugiego zatém dnia zapust wieczorem dość późno przebrawszy się jak następuje: to jest wziąwszy na siebie trzy koszule syberyjskie, z których na wierzch kolorowa, kamizelkę sukienną błękitną z grubego sukna, dwoje gatek, spodnie szerokie sukienne z podobnegoż sukna co kamizelka, krótki kożuszek po kolana dobrze wyłojony, armiak, na wierzch kożuch długi, dwie pary pończoch wełnianych na nogi, obwiniętych jeszcze sukiennemi szmatami, buty nowe przestronne z długiemi marszczonemi cholewami dziegciem dobrze wysmarowanemi i trącącemi, pas wełniany długi w pręgi czarne, czerwone i białe, którym się mocno podpasalem, na głowę kozią perukę, którą podwiązałem chustką przez uszy niby od zimna, w rzeczy zaś saméj dla tego, aby ją lepiéj zamaskować i aby nieusuwała po głowie; na perukę nałożyłem czapkę okrągłą, czerwoną z aksamitu z lampasem ciemnym ze skóry psa czy innego jakiegoś zwierza, słowem czapkę jakiéj używają dobrze się mający chłopi syberyjscy w dzień świąteczny, a nawet pisarze i dozórcy kabaków, lub prykazczyki; podwinąwszy kołnierz od kożucha zwierzchniego, podwiązałem go chustką dla zasłonienia twarzy od zimna i aby niebyć poznanym, tak powiadam przebrawszy się, włożyłem do worka prostego jednę parę butów nowych foremniejszych od tych; co miałem

na nogach, jednę koszulę, letnie błękitne ruskie spodnie, niebieską torbę: którąm miał jeszcze z Francyi, chleba i ryby dla posiłku na czas jakiś. Włożywszy spodnie w długie cholewy zwyczajem rossyjskim, zatknąłem za cholewę sztylet, aby był zawsze na pogotowiu; w zanadrze włożyłem sto dziewięćdziesiąt rubli assygnacyjnych w banknotach 5 i 10 rublowych; ręce zaopatrzyłem w długie skorzane rękawice szerścią na zewnątrz, opatrzone ciepłą podszewką, a dla dokompletowania ubioru wziąłem potężną laskę. Kiedy już tak byłem przybrany do niedopoznania, bo nigdy mnie w podobnym ubiorze niewidziano, i poleciwszy los mój Opatrzności gorącemi modły i aby mi dodał siły i wytrwałości w niebezpiecznem przedsięwzięciu, późno wieczorem około dziesiątej, ubocznemi a wiadomemi mi drożynami wyszedłem piechotą z zakładu na początku, bo 6 czy 8 lutego 1846 r. po siedmnastomiesięcznym pobycie w Syberyi, do której, jak wiadomo, przybyłem w miesiącu sierpniu 1844 roku.

Serce mi drzało z trwogi i nadziei: nie szło mi o życie, szło mi o mój zamiar, o moje uczucia. O tej porze roku mrozy w Syberyi są mocne. Mróz tego wieczora, a raczej tej nocy był nadzwyczaj silny, a śniegi tej zimy niezwyczajnie głębokie, księżyc jaskrawo świecił i śrebrzył się o latające w powietrzu kryształy śnieżnych cząstek. Przeszedłem po lodzie Irtysz, mój Rubikon. I spiesznym krokiem choć w ciężkiem ubraniu puściłem się drogą ku Tarze. Nocy w Syberyi zimową porą są bardzo długie, gdzież za noc zajść mogę? a co potem robić? bo pogoń za mną niechybna. Bóg opatrzny, pomyślałem sobie, a dzięki jemu, dał mi nie zajęcze serce, jakoś to będzie i szedłem dalej — chcąc jak najspieszniej dostać się do Tary o 12 wiorst od zakładu odległej. Nie wielki uszedłszy kawał od zakładu, usłyszałem za sobą kogoś pędzącego saniami: jadący niemi ledwie mnie minął, stanął. — Dokąd idziesz? zapytał mnie chłop sam jeden siedzący w saniach. — Do Tary odpowiedziałem. — A zkąd je-

steś? — Z zaimki (to jest z folwarku, z futoru), z pod Zaliwinaj. — Zaliwina była wioska od zakładu nie bardzo daleko odległa. — Daj 60 kopiejek (złoty polski) to cię zawiozę do Tary, bo tamtędy nie droga do domu. — Nie; to drogo; kiedy chcesz to dam ci 50 kopiejek. — No, dobrze, siadaj. — Siadłem i pojechałem. Para koni była dzielnych, droga sanna przewyborna, chłop spieszył do swego domu na ostatki, a konie przy mrozie same lecieć chciały, lecieliśmy ptakiem, w pół godziny najwięcéj byłem w Tarze. Do zakładu gdzie byłem, mnóstwo przyjeżdżało wieśniaków z mąką, po wódkę i dla innych potrzeb. Ten chłop był jednym z podobnych, a był gdzieś tam z za Tary o mil kilka. Zsiadłem w Tarze w pierwszéj lepszéj ulicy: chłop pojechał w swą stronę, ja poszedłem w drugą. Dzięki Bogu za pomoc. Zwyczajem miejscowym poszedłszy pod okno pierwszego lepszego domu, głosem donośnym i po rossyjsku zawołałem: czy nie ma koni? — A dokąd? — Na jarmark do Irbiti. — Są. — A ile? — Dwa. — Co chcesz za werstę? — Ośm kopiejek (cztery grosze polskie). — Nie dam tyle, weź sześć. — No, cóż robić, dobrze. — W parę minut konie były gotowe i zaprzężone do sanek. — A zkąd wy? — Z Tomska, przykaszczyk takiego to kupca (pierwszego lepszego rozumie się) mój kupiec pojechał już przede mną do Irbiti, jam się musiał zostać za interessami i dłużéj musiałem zabawić niż się zdawało, a teraz spieszę, aby się kupiec niegniewał za spóźnienie się, poganiaj spiesznie i prędko, dam ci jeszcze na wódkę. Świsnął chłop, a konie kopnęły z kopyta. W tém zaczęło się chmurzyć, gęsty śnieg zaczął padać; myśmy lecieli, konie już się pomęczyły, a jeszcześmy niedojechali do nowéj stacyi. Chłop zbłądził z drogi, ani mógł się zorientować. Błądząc czas długi niebyło innéj rady, jak śród lasu noc przepędzić. Jam udawał, żem się gniewał na chłopa za to, że mi czas zmitrężył, chłop zaś wymawiał się, uniewinniał. W rzeczy zaś saméj szło mi o to

jedynie: abym przez tę noc mógł jak najdaléj oddalić się od zakładu, zkąd pogoń mogła wyjść za mną. Noc tę więc, leżąc na saniach, w konwulsyjnych przepędziłem drganiach, w stanie duszy trudnym do opisania, bo dopiero najwięcéj o cztery mile byłem od zakładu oddalony, łatwo tedy mógłem być dościgniony, a wówczas pozostawało mi tylko, nóż we własném utopić sercu. Nareszcie zaczęło świtać. Jedź do Tary nazad, rzekłem do chłopa, innego najmę, gdyś taki dureń (durak) nic ci niezapłacę, i jeszcze cię do policyi oddam, żeś mi tyle czasu napróżno zmitrężył. Byłem zdecydowany wrócić do Tary i innego chłopa nająć. Ujechawszy z werstę drogi chłop mój się zatrzymał, obejrzał na wszystkie strony; oto jest droga (a raczéj ślad nieznaczny) którąśmy powinni byli jechać. Czy jesteś pewny, że to ta droga? A teraz jestem pewny. Ale ja, przyznam się, zacząłem chłopu niedowierzać i przypomniałem sobie zdradę, jakiéj uległ nieszczęśliwy pułkownik Piotr Wysocki. Na zapewnienie chłopa chwilę się zastanowiłem, pomyślałem i rzekłem, jakby głosem fatalizmu: jedź kiedy jesteś pewnym, tylko pospieszaj. Jechaliśmy prawdziwie po kuryjersku, a jam się oglądał, czy kto za mną niepędzi, i przysłuchiwałem, czy nieusłyszę za sobą dzwonka. Zawiózł mnie na stacyą do swego znajomego, u którego napiwszy się herbaty i zgodziwszy się po sześć kopiejek na werstę ruszyłem daléj, ale prawdziwie po syberyjsku; siedmdziesiąt werst czyli dziesięć mil polskich tą pocztą bez odpoczynku ujechałem; i tak następnie od stacyi do stacyi zmieniając konie spieszyłem wraz z drugimi na jarmark do Irbiti. Tego samego dnia późno w nocy przybyłem do wsi nazwanéj Soldatskaja; niemiałem drobnych dla zapłacenia woźnicy. Zeszliśmy do karczmy napełnionéj ludem, mnóstwo było pijanych, bo to ostatni dzień zapust, dobyłem z zanadrza pięćdziesiąt rubli assyg. dla zmiany, dziesięć dałem karczmarzowi do zmiany, 40 było pod moją ręką. Wtém nawał ludu czy przypadkowy czy umyślny, ale nagły

i gwałtowny odtrącił mnie od stołu, i w moich oczach jakaś ręka sięgnęła po moje 40 rubli i znikła w tłumie. Szukałem i groziłem policyą, ale wszystkie poszukiwania i groźby były próżno, zresztą niemiałem ani czasu ani chęci długo na miejscu pozostać. W Syberyi mnóstwo jest łotrów różnego rodzaju, jak łatwo można wnosić: ze zbiegowiska różnego rodzaju przestępców z Rossyi do niej corocznie wysłanych. Przy szczupłych pieniężnych zasobach, z któremi potrzeba mi było dostać się do Francyi, strata czterdziestu rubli była dla mnie nieodżałowaną i niczém niewynagrodzoną. Ale mniejsza o czterdzieści rubli, wraz z niemi zabrano mi najlepszy mój, choć podrobiony paszport (miałem ich dwa) i kartkę będącą z pieniędzmi, a na któréj z mappy wynotowałem drobnym charakterem drogę, którą iść miałem, to jest miasta i miasteczka, jako ważniejsze punkta, podług których miałem się kierować. Takem się zasmucił tą stratą, tym nieprzewidzianym wypadkiem, że przesiadłszy na nową furmankę pocztową, położyłem się w saniach dla wytchnienia z kłopotu i ze złej doli: co jest, jak wiadomo, u mnie nałogiem.

Nazajutrz wyjechałem nakoniec na wielki szlak, czyli gościniec pokryty furmankami i spieszącymi się na jarmark. Tu już byłem bezpieczniejszy: bo gdyby nawet pogoń i przybyła do tego szlaku, trudno, niepodobna nawet zatrzymywać tysiące podróżujących i sprawdzać ich paszporta i rysopisy; niedowierzając jednak, spieszyłem jak mogłem, dając na wódkę jamszczykom; tym sposobem przejechałem Iszym, nadedniem dnia trzeciego przejechałem Tiumień, a późno wieczorem tego samego dnia przybyłem do miasta Irbiti na jarmark. We trzy więc doby, czyli w 72 godzinach, ujechałem 1000 werst czyli 143 mil polskich: co wynosi na godzinę $13^2/_3$ wersty, czyli 2 mile polskie bez mała. Łatwo więc sobie wyobrazić szybkość, z jaką spieszyłem.

Na wielkim trakcie w czasie tak licznego podróżu-

jących przejazdu, nikt i nigdzie o pasport mnie się niepytał, a chłopi uganiają się na wyścigi o najęcie się: bo to jest żniwo ich zarobkowania, konie syberyjskie choć niewielkie, ale szybkie do biegu i wytrzymałe, tak, że sam niemi jechałem po 50 lub 70 werst bez popasu i wytchnienia i to bardzo prędko. Syberyjczycy i w ogóle Moskale, bardzo zręcznie i śmiało jeżdżą saniami, które tak są zrobione, że się wywrócić niemogą: bo od przodu idąc ku tyłowi sanie się coraz rozszerzają, rozdają i zniżają tak, że wierzchnie podłużniki u tylu, najwięcej o stopę są wyższe od płozów. Prawda, że siedzenie jest bardzo niewygodne w tych saniach, i musisz się dobrze trzymać, aby z nich niewylecieć: ale wywrócić się niemi, żadnym sposobem niepodobna. Już zaraz za Tiumienią, kraj staje się nadzwyczaj górzysty, obszernemi poprzecinany płaszczyznami, a zbliżając się coraz ku Irbiti, kraj staje się nadzwyczaj górzystym, a następnie wyboje na gościncu w głębokim śniegu, tak są głębokie, dlugie i szerokie, że koń z saniami się w nich ukrywa. Nieprzywykłemu trudno przejść piechotą tam, gdzie Syberyjczycy jeżdżą saniami. Niektóre miejsca na gościńcu, przez które przejeżdżać musieliśmy koniecznie, były tak przepaściste, że kiedym spojrzał w nie nadół, zdawało mi się, że ja, woźnica i konie karki połamiemy: gdzie tam: zwinne konie z dziwną zręcznością umieją sobie poradzić, a lekkie sanie chyląc się tylko na jednę i na drugą stronę i przeważając się z tyłu na przód i z przodu na tył, jak fala niedoznają zawady. Muszę się jednak przyznać, że choć najmniejszego szwanku z tej jazdy niedoznałem, strachu jednak niemało się nabawiłem. Pod Irbitią już spotykałem wracających z jarmarku jamszczyków z ładownemi saniami, trzeba widzieć, z jakiem niebezpieczeństwem, z jaką śmiałością, z jaką pracą i sił wytężeniem ludzi a szczególniej koni, przebywają ci jamszczycy te górzyste i przepaściste przeprawy. Żal nieszczęśliwych bydląt, których niemało w tych przeprawach ginie.

Wjeżdżając do rogatek miasta Irbiti późno wieczorem, żołnierz stojący na rogatkach zawołał: stój! pasport! a po cichu do mnie: dawaj dwadzieścia kopiejek i jedź prędzéj (dawaj dwadcat kopiejek i pojeżdzaj skarieje), dałem mu dwadzieścia kopiejek i pojechałem, bez pokazania pasportu, którego mówiąc nawiasem, po skradzeniu mi pierwszego lepszego, nigdziem w policyi przedstawić niemógł, bez jawnego skompromitowania się. Woźnica zawiózł mnie do jakiegoś domu gościnnego, (a w czasie jarmarku, wszystkie domy Irbiti są oberzami) napełniony ciżbą ludzi prostego stanu, jako to: jamszczykami i chłopami. Gospodarz niechciał mnie przyjąć, wymawiając się wielkim zbyt natłokiem, ale ja mu powiedziawszy, że tylko chcę przenocować, gdyż jutro pójdę do oberzy, gdzie mieszka mój kupiec, którego dla spóźnionéj pory niemóglbym odszukać, ja zaś wnet wyszedłszy, niby do policyi dla zameldowania pasportu, wróciłem po chwili, mówiąc, że mój pasport zatrzymano w policyi do jutra. Nastąpiła wieczerza, ale prawdziwie syberyjska: barszcz z suszoną rybą, kasza z olejem i kapusta kwaśna nie sieczona, ale w główkach na cztery części pokrajanych i surowa; jadł gdzie kto mógł; na stole, na ławie, na ziemi. Ja siadłem z kilku jamszczykami okolo stołu do wieczerzy: przed jedzeniem, zwyczajem rossyjskim przeżegnałem się trzy razy sposobem ruskim, jako prawowierny grecko-rossyjskiéj religii wyznawca. Przy wieczerzy wszczęła się pogadanka o jarmarku i kto za czém przyjechał? Rozumie się, żem przyjechał dla ważnych także interesów z moim kupcem. Kłamałem jak mógłem i dosyć mi to szło gładko. Jeżeli wieczerza, do któréj wcale niemiałem apetytu, i którą jadłem z przymusu i dla oka, niebyła wyśmienitą, to zapach dziegciu i jamszczyków gęsto w izbie natłoczonych niemógł dodać apetytu. Rozebrałem się i ja, zruciłem oba kożuchy i armiak, zostałem tylko w koszuli, i w kolorowéj po wierzchu dwóch drugich koszuli, na wierzch spodni wypu-

szczonéj, a podwiązanéj w pasie wązkim wełnianym paskiem, a raczéj taśmą zwyczajem syberyjskim: w tém odzieniu byłem nastajaszczy Sybirak. Mimo tego przebrania, jednak niebyłem bez słusznéj obawy i strachu. Na tym jarmarku było wielu z okolic Tary, zkąd uciekłem, wielu z nich znało mnie osobliście, a więcej nierównie znało mnie z widzenia, mógł jaki znajomy i tu się trafić i mnie poznać. Szczęściem nikogo ze znajomych niewidziałem: a gdyby nawet i znalazł się który, coby mnie znał, mógłbym go zdekoncertować moją kozią peruką, którą na przód głowy nasunąwszy i zwiesiwszy na czoło długie jéj włosy, zmieniłem znacznie jéj fizyonomią: aby się zaś peruka niezsuwała, ciągle ją miałem podwiązaną hustką, uskarzając się: że mnie zęby bolały. Po wieczerzy zapłaciwszy co się gospodarzowi należało za nią, zabrali się wszyscy do spania, gdzie i jak kto mógł: na ławie, na piecu, na ziemi na słomie i na gołéj ziemi, inni pod ławą — ot tak zwyczajnie po rusku. I jam się położył: ale nie dla spania: raz dla tego, aby mi w nocy moja peruka z głowy niezlazła i aby mnie w tym stanie niedostrzeżono, a powtóre było o czém myśleć.

Dzięki Bogu, myślałem, udało mi się tysiąc werst z okładem we trzy doby i bez żadnéj przeszkody; gdyby i była pogoń, gdyby i wpadła z początku na mój trop, jużby mnie niedoścignęła: bo uciekający ma jednę tylko drogę, a ścigający dziesięć. Ale komuż z urzędników i czynowników mogłoby przyjść na myśl, aby ktoś z Syberyi uciekając, mógł uciekać na Archangielsk, wyżéj nierównie od Tobolska, choć już w Europie, na północ posunięty! zresztą jakiby powód i cel uciekającego do tegoby zmuszał? gdyby zatém i była pogoń, co niechybnie nastąpić musiało, wszystkie tych pogoni poszukiwania i pościgi odbywałyby się po gościńcu przez środek, a najwięcéj ku jéj południowi. Niech gonią wiatr w polu, pomyślałem sobie. Wszystko to dobrze, ale co daléj robię? co daléj począć? Mój rysopis wysłano do Petersburga, a ztąd po całéj Ros-

syi po wszystkich guberniach, z których rozesłano go do wszystkich powiatów i gmin: po wszystkich więc traktach mogą być silne straże. Przy tém po ukradzeniu mi a raczéj po wyrwaniu mi z rąk 40 rubli assyg. i po zapłaceniu podróży do Irbiti, któréj koszt wynosił do 75 rubli assyg., zostało mi się tylko 75 wszystkiego rubli assyg., a odległość tak wielka i przeszkody do nieprzewidzenia: jechać daléj niepodobna, potrzeba było koniecznie iść daléj piechotą. Gdybym miał pasport jak się należy, drukowany (płakatny), wszystkiemu temu dałoby się jeszcze zaradzić, ale mi go skradziono wraz z pieniędzmi i karteczką, na któréj były wypisane znaczniejsze punkta drogi, którą iść miałem; tego zatém wszystkiego mi brakło i biłem się z myślami, co daléj przedsięwziąć i pod jakim iść pozorem? Prawda, że główniejsze miasta pozostały mi w pamięci, mógłem tedy zwrócić na się uwagę tych, którychbym o nie pytał, z przyczyny wielkiéj ich odległości od siebie. Mimo jednak te trudności i rzeczywiście trudne położenie, byłem prawdziwie szczęśliwy: szczęśliwy, żem stanowczy krok uczynił do wolności, żem pokonał siebie odważając się na to niebezpieczne przedsięwzięcie, szczęśliwy nadzieją, że Bóg poblogosławi śmiałemu, bo kosztem życia, może nawet kosztem męczarni, powziętemu zamiarowi. Poleciwszy tedy zawsze i wszędzie czuwającéj nad człowiekiem Opatrzności dalsze me losy i postanowiwszy korzystać z dziennych okoliczności, usnąłem mimowolnie na chwilę spokojnie. Jeszcze przed dniem powstawali wszyscy, wstałem i ja i zwyczajem w kraju przyjętym, przeżegnałem się sposobem grecko - rossyjskim trzy razy przed obrazami, zwykle u węgla domu umieszczonemi i kilka przed nimi uderzywszy pokłonów, a ubrawszy się i wziąwszy mój worek na plecy, wyszedłem niby za interesami do mojego kupca.

Miasto Irbit', jak już mówiłem, leży na wschodniéj pochyłości gór Uralskich, na wzgórzu, z którego szeroki na prawo, to jest na wschód otwiera się widok, a zatém

leży jeszcze w Syberyi, chociaż należy pod względem administracyjnym po gubernii permskiéj. Jest dość obszerne, a choć pobudowane z drzewa, domy dosyć schludne, choć nieokazale place i rynek przestronny, ulice szerokie: w tém mieście bardzo wiele jest także dorożek i sanek, stojących po ważniejszych pnnktach miasta, dla śpiesznieiszego przejazdu z miejsca na miejsce. Sklepów drewnianych na składy towarów mnóstwo. Wyszedłszy na miasto, zastałem je przepełnione ludem i saniami, konie były po stajniach. Sanie stały na rynku ustawione partyami, ustawione w szeregi, wyrównane jak żołnierze; ażeby zaś wiele miejsca niezajmowały sanie próżne, były złożone jedne na drugie po kilkoro; takich sani było najmniéj kilkanaście tysięcy. Ruch w mieście był niezwykły i miejscowości tylko właściwy. Z jednych sani wyładowywano towary przywiezione, na inne ładowano towary do wywiezienia; jedne ładowne przyjeżdżały do miasta, inne już naładowane z miasta wyjeżdżały. Przybyłem do Irbiti na pcczątku lutego: a o sto blizko werst niedojeżdżając do niego, już spotkałem mnóstwo sani ładownych z jarmarku wracających: a tych co na jarmark jechały, nierównie było więcéj; taka zamiana towarów i taki ruch, trwa cały miesiąc luty. Ileż to tysięcy sani ładownych w przeciągu tego czasu może przybyć i odjechać z Irbiti? i na ile tam milionów rubli srebrem towarów się sprzedaje? Dla mnie był to widok zupełnie nowy i zajmujący.

Z Irbiti do Rossyi prowadzą dwa gościńce: jeden na lewo przez Ekatorynburg, góry Uralskie, Kungur itd. do południowéj i środkowéj Rossyi, a drugi na prawo przez Werchoturje, góry Uralskie, Solikamsk itd. do północnéj Rossyi. Pochodziwszy czas jakiś po mieście i zorientowawszy się i kupiwszy także kilka bułek chleba i soli na drogę, włożyłem je do worka, zwróciłem się na prawo i wyszedłem z miasta rogatkami drogi, wiodącéj do Werchoturja. Żołnierze przy rogatkach stojący, wi-

dząc nastajaszczoho Sybiraka, porządnie ubranego a śmiało kroczącego, jakby za jakim pilnym interesem, ani słowa mi niemówiąc, przepuścili. Wyszedłszy za rogatki i zarzuciwszy worek na plecy i przedni jego koniec zatknąwszy za pas, dla oswobodzenia rąk i spieszniejszego pochodu, puściłem się na pieszo. Boże pobłogosław mi, rzekłem w duchu i ze łzami w oczach i dodaj mi odwagi! Zima w tym roku była nadzwyczaj mroźna, a śniegu ilość tak wielka, jak sami Syberyjczycy nieczęsto widzieli; dość jest powiedzieć: że w permskiéj gubernii, przez którą wówczas przechodziłem, a gdzie domy i ich dachy choć drewniane, ale są mocno zbudowane, pod ciężarem śniegu nierzadko się zapadały. Tego ranku, ledwiem minął rogatki, powietrze się zmieniło, nieco ociepliło i śnieg obfity i gęsty zaczął padać: było cicho i spokojnie, ale świata bożego niebyło widać przed mgłą śniegu; droga była kopana i ciężko po niéj było stąpać; jednak jéj ślady były wyraźne, bo naprzeciw siebie jadących spotykałem; jamszczyków spieszących na jarmark i tych zwykle pytałem o drogę. Niebędąc miejscowymi niepytali się o pasport; zresztą co im do tego? Oni co podróżują po całéj Rossyi, z jednego jéj końca w drugi, wnoszą, że i drugi ma potrzebę podróżowania. Droga szła śród pola, na prawo daleko odkrywały się obszerne doliny Syberyi, poprzeplatane wzgórzami i niewielkiemi lasami, gdyż po większéj części były to pola orne i sianożęcie; a na lewo w niewielkiéj ode drogi odległości, wznosił się grzbiet gór Uralskich, pokryty gęstemi i nieprzejrzanemi lasami. Jeżelim przymuszony był przechodzić przez wieś jaką, któréj ominąć było mi niepodobna, o nikogom się ani o drogę, ani o cokolwiek niepytał: alem szedł śmiało i udając, jakbym był z okolic i dobrze świadomy miejscowości i drogi, dokąd idę. Ztąd niezatrzymywałem się nigdy we wsi, ani dla spoczynku, ani dla posiłku. Jeżeli mi się jeść zachciało, dobyłem z worka kawał zmarzniętego chleba i albo idąc, albo usiadłszy gdzie na ustroniu, w lesie, pod

drzewem i na śniegu, jadłem, a przy pierwszéj lepszéj przerębli, na rzece, lub strumieniu, gdzie konie piją, gdy mi się pić zachciało, napiłem się, albo jeżeli na téj dogodności mnie zbywało, brałem śnieg do ust, który w nich tając dostarczał mi wody i gasił pragnienie. Przeszedłszy wieś jaką, gdym był niepewny drogi, do ostatniego, na samym końcu wioski położonego zachodziłem domku, dla rozpytania się o nią, udając, że byłem z okolicy z téj a téj wioski i idę do najbliższego miasta za jakimś interessem, że chociaż oznajmiony z miejscowością, z przyczyny śniegów i zamieci, wątpię, czym niezbłądził z drogi, dowiedziawszy się, o czém mi potrzeba było wiedzieć i niewdając się w żadną inną dalszą rozmowę, wychodziłem: przeżegnawszy się pierwéj trzy razy, podług miejscowego zwyczaju. Tak przeszedł pierwszy dzień mojéj pieszéj podróży; ciężko mi iść było w ciężkim ubiorze, przymuszony byłem zdjąć wierzchni kożuch i zarzucić go na plecy. Zmęczony do upadłego, bom szedł rączo, spiesznie, a droga była kopna, bo śnieg głęboki ją przysypał. Za zbliżeniem się nocy, udałem się do pobocznego lasu i tam po prostu, sposobem Ostiuków, wydrążywszy dół pod śniegiem, zabrałem się do spoczynku, którego mówiąc prawdę, mocno potrzebowałem. Od chwili ucieczki z zakładu, aż do dnia niniejszego prawie żadnéj nocy jeszcze niespałem: bo natłok myśli i uczuć snu mi niedozwoliły, a mara niebezpieczeństwa ciągle mnie goniła. Napróżno człowiek ma odwagę i gotów jest umrzeć: mimo mocne postanowienie, niemoże być obojętnym na własne niebezpieczeństwo, na własną zgubę; ma wstręt wrodzony do nicości, do śmierci.

Dziwne wrażenie zrobił na mnie ten pierwszy nocleg, leżąc w tym dole, a raczéj w norze lodowéj, śnieżnéj, rozmyślałem nad mojém położeniem, nad tą samotnością śród świata i ludzi, w których zdawało mi się widzieć moich tylko nieprzyjaciół; bo przed kimże się ukrywałem, jeżeli nie przed ludźmi? Cobym był dał za to, gdybym się mógł obejść bez ich spotkania aż do Francyi, ale

jakże żyć bez nich? jak bez ich pomocy choć nieumyślnéj i prawie mimowolnéj dostać się tak daleko? Tak rozważając, smutno się zrobiło méj duszy, memu sercu; byłem prawie w Ogrójcu cierpienia. Z tém wszystkiém, szczęśliwy, że mnie pod śniegiem żaden z ludzi zaszkodzić niemoże, i zmęczony podróżą i myślami, usnąłem z całém przekonaniem i zadowoleniem bezpiecznego wypoczynku. Chociaż pod śniegiem jest nierównie cieplej niż na powierzchni jego w téj porze roku, z tém wszystkiém nieoswojonemu jeszcze z tym sposobem noclegu, zimno szczególniéj w nogach mocno mi się czuć dało, a śnieg od cieplika ciała i oddechu zwilżony, nieco zwilżył i zwierzchni kożuch, co było wielką niedogodnością; korzystająo z téj nauki na przyszłość postanowiłem odtąd zwierzchni kożuch szerścią na wierzch obracać i dobrze mi było. — Mróz w nocy był silny. Po obudzeniu się czułem się niezdrów i jakby osłabiony, i jeszcze do dnia ruszyłem w drogę. Idąc, rozgrzałem się nieco i stałem się zdrowszym i weselszym; weselszym nadzieją; bo co krok naprzód, byłem bliższym celu, do którego zdążałem. Ale około południa powstał nagle silny wiatr północny, jak raz w oczy mi bijący, ale suchy, mroźny, miotający kupy śniegu i wnet zasypujący drogę nawet dobrze utartą tak, że wkrótce ani śladu jéj niebyło. Mieszkańcy tych okolic, zapewno z rozporządzenia rządowego, zaraz z początkiem zimy po obu stronach główniejszych gościńców, przechodzących przez odkryte pola, dla ich oznaczenia zatykają wicie, a raczéj wysokie gałązki drzewa po większéj części jodłowego, blizko jedne drugich powsadzane. Śniegi jednak téj zimy były tak wielkie, że w wielu miejscach gałązek widać nie było. Z téj tedy przyczyny, i z przyczyny zamieci, zbiłem się z drogi i zacząłem błądzić; zapadałem w śnieg po pas, a czasami i z głową, byłem w strachu, abym na zawsze niezbłądził i niezginął od zimna i braku pokarmu, chociaż jeszcze miałem chleba na dni kilka. Nareszcie ku wieczorowi wpadłem na jakąś drogę, sam nie-

wiem jakim sposobem, przez przypadek, i szczęściem na prawdziwą. Mój bardzo nizki wzrok był mi wielką przeszkodą w téj podróży i przyczyniał się niepomału do błądzenia i narażenia się na niebezpieczeństwo. Tego dnia zmęczyłem się do nieuwierzenia i czułem się nieco przeziębłym, potrzebowałem ogrzania się i przesuszenia. Późno już w wieczór przybliżyłem się do jakiejś wioski, od któréj w niewielkiéj odległości i blizko drogi, którą szedłem, postrzegłem skromny i odosobniony domek i kobietę młodą przed nim stojącą; przybliżywszy się, prosiłem ją o nocleg; młoda kobieta z chęcią zezwoliła. — W domku zastałem staruszkę jéj matkę, pozdrowiwszy ją zwyczajem miejscowym, usiadłem na ławie. Kobiety zaczęły mnie się pytać, zkąd byłem i dokąd Bóg mnie prowadził? Odpowiedziałem: że byłem z tobolskiéj gubernii i idę na zarobek do bohotolskich zakładów skarbowych.

Bohotolskie zakłady skarbowe, żelazne, leżą w górach Uralskich daleko na północ za Werchoturjem, ponieważ te zakłady są wielkie i wiele ludzi potrzebują, a zatém bardzo wielu tak z tobolskiéj jak i z permskiéj gubernii udają się do nich na zarobek. Chociaż moja odpowiedź była tylko pozorna, bo zmyślona, była jednak tak prawdopodobną, że żadnego niepowinna była obudzić podejrzenia w umysłach moich gospodyń. Tymczasem rozebrawszy się, zaczęliśmy to o tém, to o owém rozmawiać. Nastąpiła wieczerza, zjadłem z apetytem ciepłéj potrawy, jakąkolwiek ona była i zapłaciwszy za nią co się należało, zabrałem się do spania na ławie, zmówiwszy pierwéj pacierze po katolicku po cichu, a przeżegnawszy się po grecku i kilka pokłonów uderzywszy po rossyjsku. O jak miłém dla mnie schronieniem był ten domek i jego ożywiające cieplo; zdawało mi się, żem w najwygodniejszym pałacu.

Wyjeżdżając z zakładu, wziąłem na siebie, jak wiadomo, trzy koszule dla ciepła, dwie białe na spód, a czer-

woną kolorową na wierzch. Idąc więc spać, zdjąłem dwie wierzchnie, dla wygodniejszego wypoczynku i otrzeźwienia ciała. Widać, że ta mała okoliczność wzbudziła w staruszce podejrzenie; rozebrawszy się i zrzuciwszy buty dla przesuszenia obuwia, któregom już przez pięć dób niezrzucał, wyciągnąłem się na ławie, ukrywszy sztylet w zanadrzu. Już mi się na sen zanosiło, gdy staruszka zaczęła coś szeptać bardzo po cichu swojéj córce; to wzbudziło we mnie podejrzenie, które zamieniło się prawie w pewność, gdy po chwili młoda kobieta wyszedłszy, wróciła niebawem z miną tajemniczą i coś zaczęła swéj mamie znowu po cichu szeptać. Ja udałem, że śpię, ale gdzie mi tam było do snu; rozmyślałem, jak sobie postąpić na wszelki wypadek i zdecydowawszy się, spokojnie leżałem i czekałem. Najdaléj w półgodziny (była już noc głucha) weszło do izby trzech chłopów, i jeden z nich zapytał półgłosem: a gdzie on? młoda kobieta wskazała na mnie. Przybliżywszy się do mnie wszyscy trzej, jeden z nich odezwał się głośno: a co? on śpi? jam się wcale nieodezwał udając, że spałem. A co ty za jeden? ja milczałem. A zkąd ty? nic nieodpowiedziałem. Oto śpi, jak kamień, odezwał się z nich najstarszy. Nareszcie zaczęli mnie trącając i wołając budzić; wtenczas dopiero niby się przecknąłem: powtórzono mi poprzednie pytania i żądano pokazania pasportu. Ja udając powierzchowność najspokojniejszą i bynajmniéj niewstając, zamiast odpowiedzi na pytania zapytałem nawzajem, jakiém prawem pytano mnie o pasport: może który z nich był głową lub urzędnikiem? — Ta żaden z nas nie jest głową włości, ani żadnym urzędnikiem, my jesteśmy tylko tutejsi mieszkańcy. Ale ja niewiem, czy wy jesteście tutejsi mieszkańcy i w nocy napadacie na dom i pytacie o pasport? kto wie, co wy za ludzie? Może wy chcecie mi mój pasport tylko odebrać, ale bądźcie pewni, że wam go niedam, ani niepokażę, póki się nieprzekonam, kto jesteście? — Da my tutejsi. Natenczas obróciwszy się do gospodyń zapyta-

łem: Czy wy znacie tych ludzi i czy oni tutejsi? — Zapewno — my ich znamy, oni są tutejsi gospodarze. Więc niby zaspokojony ich odpowiedzią rzekłem: chciałem wstać, ubrać się i iść do tutejszego glowy włości, ale że jesteście tutejsi gospodarze, to wam można wierzyć. Jestem ten a ten (Ławrentij Kuzmin) z tobolskiej gubernii i idę do bohotolskich zakładów na zarobek; kilka razy już tędy przechodziłem, i teraz moja partya poszła naprzód, a ja u znajomego w tej a w tej wsi zatrzymałem się czas jakiś, chcę moję partyą dogonić, która mnie ma czekać w Werchoturju; zacząłem opowiadać dobrze mi wiadome z opowiadania niektóre szczegóły miejscowości, a w końcu pokazałem im mój pasport. Choć to niebył pasport plakatny, to jest: na stęplowym drukowanym papierze (a niekiedy władze wydają na bliższą odległość i na czas krótki i na prostym papierze), ale na nim była pieczęć rządowa doskonale wytłoczona z podpisem urzędników, to jest: moim własnym. Widać, że czytać nieumieli, bo wszyscy trzej patrzali tylko na pieczęć. Zupełnie zaspokojeni i przekonani o jego wierzytelności, zaczęli ze mną rozmawiać bez podejrzenia i po przyjacielsku, rozpytując się o jarmark w Irbiti, o niektórych kupców i o inne szczegóły. Wiele w tym względzie rzeczy było mi wiadomych; mogłem tedy jako tako ich ciekawość zaspokoić. Przeprosiwszy zatém mnie za nieprzyjemność, jaką mi wyrządzili, biorąc mnie za uciekającego z katorgi lub z posielenia, za złodzieja lub rozbójnika (co, jak mówili, dość często u nich się zdarza) i życzywszy mi dobréj nocy, wyszli.

Jeżeli oni byli przekonani, żem nie złodziej, nie rozbójnik, i nie zbieg z Syberyi, to ja byłem prawdziwie uszczęśliwiony, że mi się tak udało, że mi Bóg pozwolił wybrnąć tą razą z grożącego mi niebezpieczeństwa. Ale dotąd smutnego nabyłem przekonania, że muszę na przyszłość unikać noclegów po wioskach i wyrzec się jako tako wygodnego, bo przynajmniéj ciepłego noclegu. Żartowa-

łem późniéj ze staruszki i jéj córki; wymawiały się jak mogły i w krótce usnęliśmy wszyscy.

Jeszcze dodnia, pokrzepiony snem i ciepłem, już byłem ubrany i gotów do podróży, do pozostałego chleba dokupiłem go jeszcze więcéj i pożegnawszy się z gospodyniami, którym nie bardzo byłem wdzięczny za wyświadczoną mi usługę, wyszedłem. Nieco okrzętniéj i staranniéj ubrany lżéj mi było iść: przytém już zacząłem przywykać do podobnéj podróży. Zmówiwszy poranne pacierze i potężny kij wyciąwszy z lasu, spiesznym krokiem puściłem się ku Werchoturju do bohotolskich niby zakładów. Mróz ostry, mimo że pięknie słońce świeciło, dodawał ochoty i rzeźwości do pochodu. Odtąd zacząłem już iść lasami. Około wsiów jest nieco pola, późniéj znowu lasy i lasy. Choć przypadek zeszłéj nocy wiele mi dawał do myślenia, szedłem jednak lekki i wesoły i wcale mi niebyło zimno. Minąłem jednę lub dwie wioski, nikogo o nic w nich niepytając, dla bezpieczeństwa, a na noc poszedłem do lasu pod śnieg. Ale w wyborze noclegu byłem już przezorniejszy. W lesie gęstym, około drzew grubych jodłowych czy sosnowych, śnieg nieprzystaje do pnia samego: między śniegiem a pniem jest pewna na kilka cali odległość próżna; otóż spuściwszy się po pniu w dół do jamy, między śniegiem a pniem będącéj, kijem w śniegu wydrążałem dziurę, wygortywałem śnieg na zewnątrz, udeptywałem go nogami, śnieg formujący sklepienie nory gniótłem nieco do góry, aby się nie tak pruszył i sypał, otwór od drzewa nieco zasłaniałem i kładłem się do spania i było mi jako tako niby ciepło i wygodnie. Tak sobie zawsze i późniéj radziłem. Zdarzało się jednak nierzadko, żem z moją norą poradzić niemógł, bo albo się zapadła, albo się bardzo śnieg pruszył, albo mi było niewygodnie; wówczas usiadłszy pod drzewem i oparłszy się o nie plecami, tak siedząc, przespałem lub raczéj przedrzemałem czas jakiś. A gdy uczułem zimno i pewne zdrętwienie w ciele, które są zwia-

stunami zamrożenia na śmierć, wówczas zrywałem się i szedłem sam niewiedząc czy dobrze idę, bo w nocy. Ale szedłem dla rozgrzania się. Z początku było nieco okropnie samemu jednemu śród lasów nocować, ale później z tém się oswoiłem i szedłem na noc do lasu jak do oberży. Nieraz zdarzało się także, że mnie śpiącego śnieg w nocy zasypał; wówczas prawda było mi najcieplej, ale było dość nieprzyjemnie ze śniegu się wydobyć. W téj zimowéj podróży, w tych noclegach i przy braku cieplego, rozgrzewającego pokarmu, a niekiedy i przy braku chleba, byłem nieraz narażony na śmierć niechybną od głodu i zimna. A co gorsza, żem czuł przybliżającą się chwilę blizkiego zgonu. Kiedym się czuł osłabionym, głodnym lub przeziębniętym, wówczas nieprzezwyciężona jakaś siła do snu mnie ciągnęła; były to widoczne zaprosiny do śmierci: téj chwili najwięcéj się obawiałem. Sprzeciwiałem się i passowałem jak mogłem między życiem a śmiercią; jednak gdyby Opatrzność sama w podobnych chwilach niebyła mi przyszła na pomoc, mimo zabiegów i usiłowań moich, niemóglbym się wycofać i wyrwać z objęć śmierci, co mnie tak już szczérze do siebie tuliła, musiałbym był koniecznie nie raz, ale sto razy zginąć. Ale zapewno nie tak było rozrządzenie i wola Wszechmocnego, który mnie zachował może dla doświadczenia nowych ciosów nieubłaganego mojego losu, a może, co jest pewniejsza, dla ogłoszenia przed światem jego dobroci i miłosierdzia nad tymi, którzy w nim zawsze pokładają swą ufność z prostotą i szczerotą dziecięcia. Co do mnie, pragnę, aby łaska Pańska zawsze tak żywo ożywiała mą duszę, jak ją ożywiała wtedy, kiedy opasany zewsząd niebezpieczeństwy, w Bogu jednym całą i zupełną położyłem mą ufność i nadzieję.

Nazajutrz po ostatnim a tu wymienionym noclegu w lesie, około południa postrzegłem śród niewielkiego pola samotny i odosobniony od poblizkiéj wsi domek, bardzo porządnie zabudowany; niebyła to karczma, bo opodal

ode drogi. Dla powzięcia pewności, czy dobrą szedłem drogą, zaszedłem do tego domku. Zastałem w nim gospodarza i gospodynię, oboje przyjemnéj twarzy i pięknéj postaci, dwóch chłopaków niewielkich ich synów i córkę z nich najstarszą, bo może około siedmnastu lat liczącą; wszyscy zabierali się do obiadu. Po zwykłém przywitaniu się, rozpytaniu się o drogę i zapewnieniu, żem niezbłądził i którędy mam iść daléj, chciałem wyjść natychmiast, ale uprzejmi gospodarstwo zaprosili mnie na obiad, bardzo smaczny, a przedewszystkiém ciepły; rozumie się, żem tego nieodmówił i przyjąłem z prawdziwą w duszy wdzięcznością. Siadłem tedy do stołu i pożywałem dar boży z poczciwém gospodarstwem. Rozmowa nasza była, jak zwykle w podobnych razach bywa, to jest: zkąd, dokąd itd. odpowiadałem jak mogłem najlepiéj. Ale jeżeli byłem wdzięczny gospodarstwu za ich uprzejmość, to im nierównie byłem więcéj obowiązany, że mi nastręczyli sposobność podziwiania prawdziwéj piękności. Nie od dziś już żyłem na świecie, a tułając się przez lat tyle po nim, różne widziałem kraje i rozmaite w nich zdarzało się widzieć piękności, ale piękniejszéj nad tę dziewczynę, córkę gospodarstwa, ani przed, ani potém niewidziałem kobiety. Muszę tu opisać jéj postać, bo miałem dosyć czasu jéj się przypatrzyć i mocno mi utkwiła w pamięci. Wzrostu była słusznego, kibici smukłéj, kształtnéj, a giętkiéj, włosy ciemno-błond obfite i długie w dwa grube warkocze splecione i w kształcie wieńca na głowie ułożone, brwi tego samego co włosy koloru w foremny łuk zagięte, ocieniały modro-niebieskie duże oko przezroczyste, pogodne, skromnie iskrzące się pełnią życia i nadziei, a osłonione gęstemi i długiemi rzęsami, które mu szczególnego dodawało uroku; czoło gładkie, białe, piękne, może nieco za harde, ale przez to samo stanowiące pociągającą sprzeczność ze słodkim wyrazem twarzy, nieco owalnéj, ozdobionéj dwoma dołkami wdzięków, dziwnéj białości, przez którą się przebijał ponętny, skromny, praw-

dziwie dziewiczy rumieniec; nos bardzo kształtny, usta miernéj szerokości rumiane, a w całym swym układzie mocno sympatyczne; zęby drobne, zdrowe i białe; niższa część twarzy wdziękami dopełniała piękności całego jéj owalu; podbródek łagodnie zaokrąglony, powabne stanowił przejście do prawdziwie łabędziéj szyi ozdobionéj dwoma sznurkami czerwonych korali — daléj zamilczę, bo wszystko było odpowiedném; ręce miału drobne i kształtne, słowem, była to rzeczywista piękność, od któréj trudno było ócz oderwać, a bardzo niebezpieczna na nią patrzeć; miała na sobie ciemnawą sukienkę a z wierzchu granatowy sukienny kaftanik wydatnie obciskający piękną jéj kibić. Zresztą było w niéj to, czego opisać niepodobna, jak niepodobna opisać szczęścią, które się tylko czuje. Patrząc na nią, pomyślałem: szczęśliwaś z swojéj prostoty i żeś się w tych dzikich miejscach urodziła i wychowała, bo sama niewiesz, czém jesteś, ani ci grozi żadne niebezpieczeństwo spotykające tobie podobne śród ucywilizowanego świata, śród wielkiego zepsutego miasta. Podziękowaszy za obiad, pożegnałem poczciwych ludzi, rzuciwszy wprzód jednak wzrok ostatni na piękną Syberyaczkę. Dziwna jest jednak moc i władza prawdziwie doskonałéj piękności! W mojém położeniu, w moim ówczesnym stanie duszy i wszyskich władz moralnych i umysłowych, niemógłem jednak być zupełnie obojętnym na jéj powaby. Cóżby dopiero być mogło, gdybym się znajdował w szczęśliwszém położeniu? chociaż prawdę mówiąc, w podobném to tylko położeniu, więcéj niż kiedykolwiek czuć się żywo daje przyjemność i szczęście spokojnego, domowego życia, którego jedyną ozdobą i powabem jest dobra kobieta.

Dni mojéj podróży upływały jednostajnie, tylko coraz mi się nowe przedstawiały widoki przyrody, bo szedłem podnóżem Uralu choć górzystém, przeplataném jednak wysokiemi równinami. Jednych jamszczyków napędzałem jadących już z jarmarku Irbiti, drudzy mnie

napędzali; czas jakiś szedłem wraz z nimi i rozmawiając rozpytywałem się, jakby z niechcenia o miejscach zkąd byli, dokąd jechali, o drogach, o zwyczajach, o miastach, i tym sposobem dowiadywałem się często od nich o tém wszystkiém, co mi potrzebném było do wiedzenia. Jednego dnia kiedy silna powstała zamieć, zbiłem się z właściwéj drogi, i zamiast na prawo do Werchoturja wziąłem się na lewo do Tagiły, majętności Demidowych, już kilka werst w tym kierunku uszedłem, gdy jadący na przeciwko mnie wieśniak ostrzegł mnie o błędzie i ja wróciwszy nazad, podług jego opowiedzenia, wyszedłem w końcu na właściwy gościniec. Z jedną bandą jamszczyków, co mnie napędzili, wszedłem do miasta Werchoturja. Miasto to śród gór, na wzgórzu i jego pochyłościach pobudowane, ma wszystkie domy drewniane, ale schludne, dwie czy trzy cerkwie murowane i bardzo piękne i okazałe, szczególnie jedna, są jego jedyną i prawdziwą ozdobą. Jest w tém mieście jakiś święty cudowny rossyjski, ale nazwiska jego niepamiętam. Niedaleko tego miasta, cokolwiek wyżéj ku Uralowi bierze początek rzeka nazwana Tura wpadająca do rzeki Tokołu, niedaleko Tobolska. Ztąd Werchoturje znaczy miasto pobudowane u wierzchu czyli u źródeł rzeki Tury; bo miasto należy do gubernii permskiéj. W gubernii tobolskiéj jest miasto Turyńsk także nad rzeką Turą pobudowane od Tiumeni i Tobolska na zachód położone.

Minąwszy Werchoturje, w którém się wcale niezatrzymałem, znowu wszedłem na drogę będącą śród lasów, ale już skalistą i kamienistą. Dość daleko za Werchoturjem przy samotnéj śród lasu karczmie nade drogą położonéj spotkałem sześciu młodych ludzi Rossyan. Z ich ubioru i mowy poznałem że nie są Syberyacy, ani téż miejscowi. Zapytałem ich, zkądby byli i dokąd się udawali na pieszo? odpowiedzieli: że byli z archangielskiéj gubernii, mezeńskiego powiatu najwyżéj ku północy posuniętego, bo przypierającego do brzegów oceanu półno-

cno-lodowatego, szli zaś do gubernii tobolskiéj, do Syberyi na zarobkowanie. Wszyscy byli weterynarze czyli konowały. Ci młodzi ludzie byli rosłéj i kształtnéj postawy, cery białéj i rumianéj, włosów nie blond jasnych, ale białych jak cienki len dobrze wyczyszczony, oczów błękitnych, słowem, byli podobni do Albinosów z wyjątkiem ócz czerwonych. Z ich opowiadań dowiedziałem się o wielu rzeczach dla mnie potrzebnych, jako też, że kraj z którego przychodzili, był bardzo biedny, nędzny; żadne zboże, nawet owies i jęczmień, już tam nierośnie. Mieszkańcy jego żyją tylko rybołóstwem i przemysłem, a chleb dla nich dostarcza się z Archangielska. Ci ludzie z tak daleka szli piechotą, to mnie pocieszyło. Udzieliłem im także wiadomości o Syberyi (ale nie o tych stronach zkąd uciekłem) i gdzie najwięcéj w niéj znajduje się koni, to było potrzebném w ich rzemiośle. Syberya dla północnych stron Rossyi jest ziemią obiecaną, jest to ich *El dorado*, zkąd to pochodzi, że całemi bandami mieszkańcy tych stron, nawet z familijami do niéj przybywają na zarobek za pasportem i na lat kilka.

We dwa dni podróży od Werchoturja rzuciwszy drogę wiodącą do bohotolskich zakładów na prawo, a wziąłem się drogą na lewo wiodącą po długiéj dolinie, na któréj księciu Lejchtenbergowi zwiedzającemu już niepomnę w jakim roku, górnicze Uralskie zakłady, padł koń w powozie. Odtąd szedłem tylko u podnóża Uralu dość gorzystego choć przeplatanego dolinami, teraz zbliżyłem się pod sam szczyt jego. W ilu dniach zrobiłem tę podróż, przy jednostajności drogi, noclegów i wypadków wiedzieć z pewnością niemogę; wiem tylko, żem szedł krokiem jak mógłem najspieszniejszym i ile mi tylko sił starczyło, chciałbym lecieć gdybym był miał skrzydła. Od czasu, jakem wszedł w lasy, szedłem nietylko dniem ale i nocą. Mrozy szczególnie w nocy były bardzo silne; przy ciągłym pochodzie, przy życiu niewygodném, bo żyłem tylko samym chlebem, przy noclegach, w których nietylko było

niepodobna ogrzać się, ale nawet przewdziać dla otrzeźwienia i oczyszczenia ciała, prawdziwie z sił opadałem, jedna tylko siła moralna wsparta nadzieją i ufnością w Bogu mnie jeszcze podtrzymywała. Idąc wyż wzmiankowaną doliną, przybyłem do jednej karczemki a raczéj izbuszki pobudowanéj nade drogą dla wygody podróżnych, i w któréj, jak we wszystkich innych przedaje się chleb i rozmaita miejscowa żywnosć; choć byłem zmęczony, niechciałem jednak w niej nocować, bo było jeszcze dość wcześnie, a i niebyło czém w niéj się pożywić, bo jamszczyki wszystko w niéj wykupili, chleb i wszystkie jadło, nazajutrz dopiero miała być żywność i chleb. Poszedłem tedy dalej i szedłem do późnéj nocy; zgłodniały ledwie już lazłem i mróz nielitościwy srogo czuć się dawał, a tu niewidać ani wsi ani karczmy. Nareszcie przybyłem do jakiejś wsi gdzie głucha już cichość panowała; skrzyp tylko śniegu zmrożonego pod memi rozlegał się nogami; minąłem już jeden, drugi i trzeci dom, a pamiętny na przypadek, jaki mi się zdarzył, o nocleg prosić nieśmiałem. W tem nagle z domu, gdzie się jeszcze świeciło, odezwie się głos mocny: kto idzie? Swój podróżny. A daleko masz do domu? O! daleko. Kiedy chcesz, to przenocuj u mnie. Bóg zapłać dobry człowieku, a niezrobię ci żadnéj przykrości, bo już jest późno i może śpią u ciebie? No, co za przykrość, jeszcze nieśpimy, chodź, chodź. Poszedłem tedy, ot tak jakoś mimowolnie, znaglony gwałtowną potrzebą ocalenia życia. Domek był ciepły, schludny, gospodarz i gospodyni w pewnym już wieku bardzo poczciwi ludzie. Zapytali mnie zaraz, czy mi się jeść niechciało. Jeśli macie co ciepłego, zjadłbym z chęcią. Dostano z pieca jakiegoś barszczu (szczy), który mi się zdał przewybornym, dalej podano parzonkę (parionka), to jest: rzepę, którą pierwéj upieczono, obłupiono i poskładano w kadzie; tę się później bierze i gotuje w wodzie zagęszczonéj zlekka mąką, albo całkiem albo na wpół przeciętą; rzepa tak upieczona, a która zwykle

jest małą, ma wiele w sobie cząstek cukrowych; zgotowana powyższym sposobem jest słodka i bardzo smaczna, do tego przydano zimnéj, kwaśnéj surowéj kapusty, ale nie szatkowanéj tylko w główkach na dwoje rozciętych i chleba ile się jeść podobało. Najadłem się do syta. Chociaż się rozebrałem do koszuli, kozią jednak perukę podwiązaną chustką zostawiłem na głowie. Od czasu wyjścia z Irbiti po raz dopiero trzeci ciepłą jadłem potrawę, a po raz drugi w ciepłém nocowałem mieszkaniu.

Na zapytanie, zkąd byłem i dokąd się udawałem? odpowiedziałem, żem z gubernii tobolskiéj i idę do Solikamska, gdzie jeden z moich dobrze znajomych oddawna osiadły, pisał do mnie, abym do niego przyszedł i pracował wraz z nim razem około warzenia soli (solowarni) za co dobrze płacą. Gospodarz poczciwy przestawszy na tém zapewnieniu opowiadał mi między innemi, że tędy wiele ludzi przechodzi do Sołowieckich monasterów za Archangielskiém położonych, i że nawet z jego sąsiedztwa bardzo wiele tam się udaje, i wiele mi szczegółów o tych Sołowieckich monasterach udzielił; co mi utkwiło w głowie i postanowiłem z tego korzystać. Na moje zapytanie, jak się ta wieś nazywa? odpowiedział: „to jest Pauda paudunskij zawod skarbowy, niegdyś zamożny a teraz od niejakiego czasu zupełnie opuszczony, i my ztąd musimy chodzić na robotę aż do bohotolskich zawodów, co jest dla nas wielkiém uciemiężeniem.“ Dla czegoż musicie tam chodzić? „Bo my jesteśmy podzawodskoje (to jest do zawodu należący) z pokolenia w pokolenie.“ I tu mi zaczął opowiadać szczegóły, o których już mówiłem pisząc o rozmaitych kategoryach mieszkańców w Syberyi będących, a między niemi o kategoryi podzawodzkich krestian. Dalej mi mówił, że kobiety, nawet dzieci od lat czternastu nie są wolni od pracy, na których także skarb wyznacza pewną ilość mąki i pieniędzy na miesiąc, ale już niepamiętam w jakiéj ilości. Całe to opowiadanie zakończył uskarżaniem się na swój los nieszczęśliwy, po-

równywając go z losem wolnego skarbowego wieśniaka. Kiedym go zaczął rozpytywać o drogę, opowiadał mi którędy iść potrzeba, że drogi do Solimska przez góry Uralskie są złe i niewygodne, a nawet niebezpieczne w téj porze roku, ale między innemi powiedział, że jak tylko wyjdziesz za Paudę, tam będą ludzie, co cię o paszport będą pytali, gdyż tam stoi warta, która daje bilety przepuszczające, u niéj więc dobrze rozpytasz się o drogę. Wszystkie te wiadomości były dla mnie bardzo pożądane, oprócz ostatniéj, to jest że mnie się o paszport spytają. Po takiéj pogadance z prawdziwie poczciwymi ludźmi usnąłem snem słodkim i spokojnym. Nazajutrz dodnia chciałem wyjść daléj w drogę, ale uprzejmi ludzie zatrzymali mnie na ciepłe śniadanie, już niepamiętam jakie. Chciałem im za wszystko zapłacić, ale choć biedni ani grosza odemnie wziąść niechcieli, mówiąc: twoja droga jest dość daleka, grosz ci się przyda, i ja kiedyś podróżowałem, wiem tedy co to jest podróż, kiedy się niema pieniędzy przy sobie, popadłem był w wielkie nieszczęście, ale Bóg mnie z niego wybawił, wiem zatém co to jest nieszczęście. *Non ignare malis miseris succurrere disco* wielką jest prawdą. W końcu pożegnawszy poczciwych ludzi wyszedłem z ich domu..

Przechodząc przez zakład paudunski w płaskim rozdole śród lasu położony, a więcéj może niż ze stu domów składający się, dziwiłem się głuchéj cichości, jaka w nim panowała, rzeczywiście ten zakład był opuszczony, gdzie niegdzie tylko pokazał się jakiś człowiek. Idąc nieposzedłem drogą, gdzie o paszport pytają, tylko zboczywszy na prawo udałem się w las brnąc w śniegu po pas, a czasami weń zapadając i z głową; uszedłszy kawał znaczny w tym kierunku rzuciłem się na lewo i napotkałem drogę, niebędąc jednak pewnym czy to ta sama, którą mi iść potrzeba było. Bez wahania się jednak poszedłem nią naprzód, szedłem dzień cały głuchą puszczą; ku wieczorowi przybliżyłem się do jakiéjś karczemki, którą

tam nazywają izbuszką, samotnej i śród lasu położonej, a przy której stała jedna banda jamszczyków wracających z jarmarku z Irbiti, już popasali konie i ruszyli w drogę. Byłem pod samym szczytem Uralu. Od tej karczemki czyli izbuszki droga ustępuje na drogę. Byłem zmęczony, potrzebowałem wypoczynku, ale żal mi było tracić czasu napróżno; choć już było ku wieczorowi kupiwszy chleba funt po sześć kopiejek czyli po trzy grosze w dalszą puściłem się podróż, odszedłszy kawał spory chciałem w lesie przenocować. Noc była cicha, spokojna a mróz tak silny, że aż kamienie pękały, niezadługo zeszedł i księżyc i pięknie uroczo przyświecał. Zachwycony tym pięknym, wzniosłym choć dzikim widokiem surowej przyrody, tak mocno przemawiającym do serca i umysłu człowieka o wielkości i przytomności Stwórcy wszechtworu, wpadłem zwolna w stan marzenia. Usiadłszy tedy na końcu drzewa dla wypoczynku, pogrążyłem się w dumaniach. Oh! tych wrażeń nigdy, nigdy niezapomnę; sam jeden śród dzikiej i surowej przyrody i dzikszych bo prześladujących mnie ludzi do tego stopnia że ich oblicza uciekałem, przeniósłem się myślą i sercem do mojej ojczyzny, do mojej zagrody; przebiegłem całą mą przeszłość, wspominałem na długie cierpienia i krótkie chwile szczęścia, ale jak one były miłe dla mojego serca, a kto nieumie cenić osób co mu życie uprzyjemniają, co go kochają, w podobnem dopiero, w jakiem byłem położeniu, dowie się co stracił. A zwróciwszy później myśl i uwagę na ówczesne moje położenie. na to co mnie otaczało. co mnie spotkać mogło i ujrzawszy się sam jeden śród puszczy i śniegów, dreszcz strachu mnie przebiegł, bo w rzeczy samej było coś okropnego w tej głuchej ciszy pustyni o tej porze roku i nocy; miotany byłem dwoma uczuciami: zgrozą mojego położenia i nadzieją wolności i szczęścia. Jakże wówczas daleki byłem od mniemania, że po powrocie moim do Francyi, zastanę tyle nowych nadspodziewanych wypadków, które kraj nie-

szczęśliwy Polski do nowych popchną zamiarów i w nowe wtrącą go nieszczęścia, jakże byłem daleko od przypuszczenia że w Poznańskiem tyle ofiar, że w Galicyi taką rzeź zastanę! że w końcu wszystkie moje nadzieje utrzymywane złudzeniem zamienią się w najokropniejszą pewność, że żadnej niema nadziei; i gdzie spodziewałem się znaleźć życie, znalazłem tylko — grób dla moich uczuć, dzięki Bogu że nie dla ojczyzny. Niewiem jakbym był długo siedział w tych rozmyślaniach pogrążony, gdyby mróz mocno się czuć dający niebył mnie z nich wyprowadził, podniósłszy się tedy z miejsca i wzniósłszy oczy i myśl do Boga, w którego nad sobą opiekę żywo wierzyłem, porwałem mój kostur do ręki i ochoczo z pewną otuchą i nadzieją w duszy zacząłem się wdzierać pod górę, drogą głęboko w śniegu oznaczoną, bo wydrążoną tak, że jej boki jak mur śnieżny sterczały na wysokość człowieka. Ktoby mnie wówczas widział w tym dziwnym ubiorze, z brodą, wąsami i brwiami grubo lodem namarzłemi, a snującego się jak cień między drzewami, wziąłby mnie niezawodnie za ducha nocy. Jakkolwiek miałem wielką ufność w Bogu i byłem przekonany, że nic mi się złego bez jego woli stać niemoże, jednak gałęzie gęstego lasu i drzew olbrzymich, grubo śniegiem obciążone, odbijając się przy blasku księżyca i cieni, tak niekiedy fantastyczne i okropne przedstawiały kształty, że wyobraźnia żywo niemi uderzona, ledwiem nieprzypuszczał że to są postacie licznych złych duchów. Po długim nocnym pochodzie wyszedłszy na sam szczyt góry Uralu dość w tem miejscu wysoki, zatrzymałem się na nim dla wytchnienia, a rzuciwszy wzrokiem naokoło zawołałem w duchu: „Boże tak jesteś wielkim, wszechmocnym i dobrym w twych dziełach: moja cię dusza wielbi całą wielkością swojego początku jak i poddaniem się wyrokom twej woli, czuję twą ojcowską opiekę nad sobą“ i zapłakałem z rozrzewnienia i wdzięczności, stanąłem już na samych kończynach Syberyi.

Wkrótce potém zacząłem schodzić na zachodnią pochyłość Uralu do Rossyi, w jakąś głęboką dolinę i szedłem wciąż daléj a daléj, minąwszy dolinę zacząłem znowu podchodzić pod górę. Po obrocie gwiazd, po księżycu miarkowałem, że się zanosi na świtanie; sen mnie zaczął morzyć, potrzebowałem wypoczynku i pod śnieg się schowałem. Kiedym wyszedł z nocnego schronienia już słońce znacznie podeszło w górę, więc moim zwyczajem mówiłem pacierze, ale wkrótce przyszedłszy do miejsca, gdzie się dwie drogi rozchodziły, niewiedziałem, którą obrać. Wybrałem jak mi się zdawało lepiéj utorowaną, azatém pewniejszą i tam poszedł. Ku południowi napotkałem samotną izbuszkę w któréj się dowiedziałem, żem zbłądził. Wskazano mi drożynę bardzo niewygodną, która stanowiła przejście do drogi właściwéj, nią poszedłszy i nikogo do późnéj niespotkawszy nocy, zanocowałem na drodze. Nazajutrz szedłem nią daléj i nieco z południa zstąpiłem na pierwszy od wierzchu szczebel Uralu, drożyna ta dopiero u téj góry na właściwą wyszła drogę. Ta góra, jak sam szczyt Uralu, przez który przechodziłem, mają swe nazwiska, które zapomniałem. Zacząłem się spuszczać z téj góry dość miejscami przykréj, i ku wieczorowi doszedłem do wioski u samego jéj podnóża położonéj. Ta wieś należała do jakiegoś prywatnego obywatela rossyjskiego, ale ani tego obywatela ani téj wsi nazwiska niepamiętam. Przeszedłszy tę wioskę, w któréj się wcale niezatrzymywałem, poszedłem daléj i już późno w nocy, napotkawszy izbuszkę w niéj zanocowałem.

W tych izbuszkach zwykle bywa mąż z żoną czyli dziad i baba, a często się zdarza że sam tylko mężczyzna w nich się znajduje, tam się o pasport niepytają. Przenocowawszy i przewdziawszy odzienie w dalszą rano puściłem się podróż. W tém usłyszawszy za sobą dzwonek jakby jaki zasiedatel lub sprawnik jechał, udałem się w bok drogi w las, i dopiero jak odgłos dzwonka minął wyszedłem z kryjówki. Tak zawsze robiłem gdym usły-

szał dzwonek czy za mną, czy naprzeciw mnie odzywający się. Wkrótce napędzili mnie jamszczyki z Irbiti do Czerdyna przez Solikamsk jadący. Przyczepiłem się do nich i miałem dosyć czasu przypatrzyć się jak oni jadą i jakie pokonywają trudności i przeszkody. Sani jednokonnych było do trzydziestu, jamszczyków tylko siedmiu; gdzie równa droga, jadą wszyscy razem, jeżeli droga idzie środkiem lasu a nie jest górzysta, jest najlepszą, bo konie idą drogą ubitą, z której niemogą się zmylić: po obu stronach takiej drogi, stoją prostopadłe mary śniegu, ale tak wysokie, że koń lub człowiek śród nich jadący czy idący, zupełnie znika. Droga zwykle w lasach jest tak wązka, że dwoje sani minąć się niemogą. Ztąd jeżeli się zdarzy, że kilka lub kilkanaście sani naprzeciw siebie jadących spotykają się razem, natenczas partya mniejsza lub z mniejszym ciężarem jadąca w śnieg zwracać musi; wpychają się konie z saniami do śniegu, gdzie niekłamiąc, nietylko sanie, ale i konie z uszami toną. Po rozwinięciu się, ludzie obuch partyi pomagają nawzajem sobie wyciągać konie i sanie; takie rozmijania się są bardzo przykre, choć jednak dość często zdarzają się. Jeżeli jamszczyki jadą po płaszczyźnie nie leśnej, wzniosłej czy wklęsłej, gdzie niema z przyczyny zamieci wyraźnej drogi, tu jeszcze stokroć przykrzejsza podróż, bo koń ani jamszczyk niebędąc pewnym, kędy jest dobra droga, idą prawie po omacku: ztąd zdarza się często, że koń z całym ciężarem ładownych sani, albo w śnieg, albo nawet w głęboki dół wleci; potrzeba tedy konie wyprzągać i jego samego i sanie wyciągać. Albo jeżeli droga niemając ścian pewnych, jest pochyłą na jednę, na drugą, lub na obie strony, sanie idąc w zatokę, konia za sobą wciągają i oboje toną w śniegu lub dole. Jeżeli ładunek sani tego jest rodzaju, że potrzeba jest wielkiej objętości, jak n. p. konopie, len, futra, których się zbierze 20 lub 25 pudów (800 lub 1000 funtów) na jednego konia i na je-

dne sanie: to się sanie wywracają a wywracając się, często i samego konia wywrócą. W miejscach górzystych, i skalistych, albo urwistych, gdzie się ogromne z téj przyczyny robią po drogach wyboje w głębokim śniegu, koń nawykły, z całym ciężarem skacze w tę przepaść, z któréj z wielkiém wysileniem sił swoich i przy pomocy ludzi może się zaledwo wydostać. Pod przykrą górą jamszczyki zaprzęgają po dwa konie do jednych sani i wyciągają naprzód jednę ich połowę a potém drugą. Zdarzają się w górach Uralskich miejsca tak trudne do przeprawy, że jamszczyki ledwie 20 werst (3 mile polskie) na dzień ujechać mogą. W takich to przeprawach ludzie i konie wiele trudów ponoszą, a wiele koni ginie. Z Irbiti do Wielkiego Ustjuga po drodze, po któréj jamszczyki jechali, dość koni nieżywych leżało. Moskale jamszczyki, są ludzie na wszystkie niewczasy, trudy, do nieuwierzenia zahartowani; można powiedzieć, że to są ludzie żelazni, którym nic nieszkodzi. Kiedym się spotkał z jaką bandą jamszczyków w trudnéj przeprawie będącą, pomagałem im w tych trudach: bardzo mi byli wdzięczni: a ja tymczasem korzystałem z ich towarzystwa i rozmowy, dowiadując się o tém wszystkiém, choć nieznacznie, co mi było potrzebném do wiedzenia. Takim i tym podobnym sposobem podróżując, przybyłem jednego wieczora do izbuszki, gdziem zanocował. W niéj mi opowiadano, że niedźwiedzie wielkie szkody czynią mieszkańcom, rozdzierając bydło i konie: a na moje zapytanie, czemu na niedźwiedzie niepolują? gospodarz izbuszki odpowiedział: a ktoby ich wypolował, tak ich jest wiele. Przytém rzekł dalej: niekiedy pies odważy się śledzić i zdarza się często, że jeżeli zwącha jego łożysko, stuli uszy, zwiesi ogon i przejdzie obok niego, żadnego niedawszy hasła.

Z przyczyny jednostajności drogi, niemożności wywiedzenia się dokładnie o wszystkiém, ważniejszych szczegółów mojéj dotychczasowéj podróży dać mi niepodobna, a nawet nie mogę pamiętać w jak długim czasie tę po-

dróż odbyłem; dość powiedzieć, że różnemi drogami, drożynami i lasami, przechodząc przez wioski i izbuszki, jednego dnia wraz z jamszczykami przybyłem do miasta Solikamska w permskiéj gubernii na zachodniéj części Uralu a zatém już w Rossyi położonego. Zachodnia pochyłość gór Uralskich zdawała mi się mniéj przykrą ale szerszą.

Począwszy od Tiumieni miasta położonego u ostatecznéj pochyłości gór Uralskich na wschodzie, ta pochyłość zaczyna się stopniami podnosić: znajdują się jednak w téj części bardzo obszerne doliny, a wsie w nich duże i zamożne, znać że ziemia jest urodzajna; lasów tu nie wiele. Zbliżając się ku Irbiti, pochyłość coraz się podnosi: tu już doliny są głębsze, przepaścistsze, ziemia mniéj urodzajna. Od Irbiti do Werchoturja droga idzie po wyniosłéj płaszczyznie przeplatanéj dolinami, w wielu miejscach skalista: wsie zaczynają tu należeć po większéj części do zakładów fabrycznych górniczych, tak skarbowych jak i prywatnych: to już lud mniéj jest przemyślny jak rólniczy, bo grunt górzysty, kamienisty, a zatém mniéj urodzajny; wsie rzadsze, ale duże lasy wszelkie. Od Werchoturja przez Paudę aż do Solikamska, wyjąwszy sam szczyt gór Uralskich i ich bezpośrednie pochyłości, gdzie żadnych wsi niema, wsie są rzadsze, niewielkie, choć dobrze pobudowane, ale ubogie w zboże, zamożne jednak w przemysł i wyroby; biedy na mieszkańcach niewidać, są weseli, przezorni i jakby kontenci ze swego losu. Każda tu niemal wieś należy, albo do jakiéj fabryki górniczéj prywatnéj i mieszkańcy tych wsi są najbiedniejsi, stosunkowo do wsi innych, albo do wieśniaków poddanych płacących czynsz swojemu dziedzicowi i ci są najszczęśliwsi. Skarbowych wsi jest tu bardzo mało.

Jedna rzecz mnie zastanowiła w tych stronach, to jest język ich mieszkańców. Już począwszy przez Irbitią i daléj przez Werchoturję do Solikamska i do Czerdyna, a szczególniéj po obu stronach gór Uralskich, język mniéj

jest zbliżony do języka ruskiego, ukraińskiego, niż do rossyjskiego. Rasa ludzi inna, odmienna od rasy rossyjskiej, jednem słowem, w mieszkańcach tych stron wiele podobieństwa tak w języku jak w ich powierzchowności do naszego ludu ruskiego ukraińskiego okolo Dniepru mieszkającego. Nie są to przypadkiem potomkowie tych nieszczęśliwych Kozaków uraińskich, których po zwycięztwie Karola XII i Mazepy pod Pułtawą Piotr Wielki i jego następcy do kilkudziesięciu a może więcej i sta tysięcy wysłali w głąb na północ Rossyi do kopania kanałów, ażeby się pozbyć z Ukrainy zuchwałej rasy kozackiej z niechęcią znoszącej jarzmo rossyjskiego despotyzmu, po dobrowolném oderwaniu się przez Chmielnickiego od Polski, a czego Kozacy później mocno żałowali. Wiadomo, że mało który Kozak z tych stron północnej Rossyi wrócił na Ukrainę, a niepodobna ażeby tak wielka liczba ich wymarła: zostawiono tedy ich do zaludnienia borów i szczytów Uralu.

Domy wsi w tych stronach są pobudowane sposobem, o jakim już mówiłem, a przyjętym w całej północnej Rossyi, to jest: z belek drzew grubych w zrąb składanych, z przedpułapem i niebielone. Cerkwie w téj części jak i w całéj gubernii permskiej są murowane, okazałe i w wielkim na zewnątrz i wewnątrz porządku, rzekłbym, w bogactwie utrzymane; dachy ich to jest kopuły zielono malowaną blachą pokryte i ogrodzone sztachetami. Z widoku cerkwi wnieść można, że i księżom musi się tam nieźle powodzić. Drzewa jodłowe, sosnowe, modrzewiowe, słowem szpilkowe, którego Ural i jego pochyłość wschodnia i zachodnia są pokryte, stanowi lasy piękne, gęste, niezmierzone, bardzo wiele jest drzewa masztowego i zdatnego do jakiéjkolwiek budowy lub rękodzieła. Drzewa jodłowe szczególniej są zadziwiającej objętości, wysokości i piękności Droga którą m szedł przez Ural, a która jest jedną z główniejszych, jest niepraktykowaną latem dla powozów z pewnym ciężarem: i dla tego tylko

zimową porą jamszczyki po niéj jeżdżą. Prawda, że rząd rossyjski od niejakiego czasu, dla kommunikacyi i handlu chce tę drogę uczynić więcéj sposobną do jazdy, i już w wielu miejscach, szczególniej ze strony zachodniej Uralu, powytykał, porównał i powycinał las na drogę: ale to można w stosunku roboty, jaka jeszcze pozostaje do uskutecznienia uważać tylko projektem.

Chleba funt w tych stronach kosztuje 5 do 6 kopijek (3 grosze polskie); zwykłym pokarmem mieszkańców jest ogrodowina, a najwięcéj rzepa, kapusta, kasza jęczmienna lub owsiana, kwas, jagody leśne i tym podobne. Od Werchorturja i daléj na północ kartofli nie widziałem.

ROZDZIAŁ XXVI.

Dalszy ciąg podróży z Solikamska, przez Czerdyn, Kai, Lalsk, do Wielkiego Ustjuga (gubernije Permska, Wjatska i Wołogodzka). Miasto Wielki Ustjug. Opis téj części kraju. Przygody téj podróży.

Bruksella (Belgia) 8 września 1849.

Miasto Solikamsk jak na tameczną ludność i swe przeznaczenie jest dość obszerne, choć nie bardzo porządnie z drzewa pobudowane: znajdują się w niém jednak i domy murowane, jedyną jego ozdobą mogą się nazwać cerkwie, których jest kilka. Muszą w tém mieście być i jakieś kuźnie, bo bardzo wielu spotkałem w niém ludzi czarnych jak węglarze, a niektóre ulice miasta są węglem dobrze poznaczone, co nadaje im widok nieochędostwa i nieczystości. Widziałem tam tuż pod miastem w najniższéj jego części wiele budynków w kształcie ostrokręgów ściętych dość wysokich; mówiono mi, że to były studnie słonéj wody, z któréj późniéj sól warzą: ztąd te studnie i inne budynki do nich należące, nazywają się Sołowarnią, to jest Solowarnią. To miasto i te zakłady należą do jakiegoś prywatnego obywatela rossyjskiego. Nie zatrzymując się ani chwili w tém mieście wraz z jamszczykami przeszedłszy je tylko, puściłem się daléj. Oprócz części wschodniéj, gdzie są lasy, z innych części miasta

odkrywa się dość obszerna i bezleśna płaszczyzna, ale droga sama szkaradna i wyboista. Ku wieczorowi napędziłem kilku mężczyzn i kobiet z prostego stanu udających się na odpust do Sołowieckich monasterów: a ponieważ i ja odtąd wziąłem za pozór mojéj podróży pielgrzymkę do tych monasterów, więc złączywszy się szliśmy razem i razem w jednym domu w najbliższéj zanocowaliśmy wiosce. Bohomolców czyli pielgrzymów chyba tylko władze pytają o pasport; u ludu zaś rossyjskiego, choć półbarbarzyńskiego, ale mocno wierzącego, jest przekonanie, że człowiek odprawujący pielgrzymkę do miejsc świętych, złym człowiekiem być nie może, a przynajmniéj że nie jest złodziejem lub rozbójnikiem: ztąd w całéj Rossyi jest wielkie dla pielgrzymów poszanowanie. Zdarza się często, że nietylko pielgrzyma w dom swój przyjmą, co mają sobie nietylko za obowiązek sumienia, ale nawet za błogosławieństwo nieba, lecz nadto nakarmią go i napoją nic za to nie wziąwszy; chyba w domu bieda jest tak wielka, że zgoła nie ma czém się podzielić z pielgrzymem. W téj części Rossyi, (o innych częściach wiedzieć z pewnością nie mogę) lud ma tyle ufności w pielgrzymach, że im daje nawet pieniądze, aby za nie na intencyą dawcy pielgrzym postawił zapaloną świeczkę przed cudotworcą miejsca, do którego się udaje — co z największą akuratnością jest wypełnianém. Rzeczywiście, cały lud rossyjski, o ilem go poznał, jest szczérze wierzący, bogobojny, a ztąd mający zasady wielkich cnót prywatnych i towarzyskich: szkoda tylko, że całą pobożność po większéj części zasadza na powierzchownem wypełnieniu religijnych przepisów, że nie rozumie, nie może nawet rozumieć wewnętrznéj i moralnéj ich mocy, ani czci ich piękności; że niema i mieć niemoże czystego i zdrowego pojęcia o religii Chrystusa, w dzisiejszym swym stanie, bo wszystko się spiknęło przeciw moralności i szczęściu tego ludu: rząd despotyczny, ciemnota ogólna a zabobonna rossyjskiego duchowieństwa, zostającego pod bezpośrednim wpływem

despotycznego rządu, a następnie niemającego ani wolności, ani możności wyrobienia w sobie i wpojenia w lud czysto świętych zasad religii chrześciańskiej; słowem, ciało i dusza tego ludu jest w niewoli.

Moi spółpielgrzymi i spółtowarzysze długą zmęczeni podróżą, bo byli z bardzo daleka; postanowili kilka dni wypocząć, co mi było wcale nie do smaku, bo chciałem jak najprędzéj i jak najdaléj od granic Syberyi się oddalić, a przytém wspomniawszy na odległość, jaka mnie dzieliła od Francyi i na szczupłe zasoby, niemiałem ani chwili do stracenia, nazajutrz zatém poszedłem sam jeden daléj. Szedłem czas jakiś należytym gościńcem, ale powstała zamieć ze śniegiem i mocnym mroźnym wiatrem północnym i zbiła mnie z toru; zbłądziwszy zatém inną poszedłem drogą. Kto niewidział północnych zawiei, ten niema o nich wyobrażenia. Ani bożego świata, ani drogi niewidać. Często w tych gwałtownych zawiejach durałem się z niemi ile mi tylko sił starczyło, jak Arab pustyni, ten Emir Mickiewicza durał się z uraganem, z tą tylko jedną różnicą, że uragan pokonany prysnął przed niezgiętą wolą i siłą Araba, ja zaś przed moim Boreuszem dmiącym silnie w oczy wiatr ziębiący członki i miotający śniegiem, bardzo prozaicznie pod śnieg lub w las się schowałem. Po kilku dniach przykréj wędrówki dobiłem się pod samo miasto Czerdyn, przez które niepowinienem był przechodzić, gdyż ono było daleko z drogi na prawo. Po zwykłych a wiadomych już noclegach potrzebowałem ogrzania się i wypoczynku, wstąpiłem więc do odosobnionego i daleko od miasta położonego domku; gościnnie przyjęty jako pielgrzym od gospodarza, pozwolono mi w nim przenocować i przesuszyć się; choć była zima, plugawe robactwo mocno już mnie było osiadło, a to jest jedna także z niemałych nieprzyjemności: a oczyścić się z niego niemiałem ani sposobności, ani czasu. Po kolacyi gospodarz poczęstował mnie brażką, którą po raz pierwszy w mém życiu piłem. Brażka, jest to napój zrobiony z mąki ow-

sianéj i przefermentowany, ale niewiem jakim sposobem; smak ma przyjemny, kwaskowaty, a tak mocna, że po wypiciu kwarty zaszumi nieco w głowie, żołądek się rozgrzeje i człowiek się nieco rozweseli. Do jéj smaku jednak trzeba się przyzwyczaić. Ta brażka w północnéj części gubernii permskiéj i w przytykających do niéj częściach gubernii wjatskiéj i archangielskiéj zastępuje miejsce kwasu powszechnie w całéj Rossyi używanego za zwykły napój codzienny.

Gospodarz który z parę razy chodził sam do sołowieckich monasterów i do innych miejsc świętych, których w tych stronach jest bez liku, wiele mi o monasterze sołowieckim i o tych miejscach ciekawych rzeczy prawił, a między innemi wymienił o mil kilka od Czerdyna odległe miejsce, którego niepomnę nazwiska, gdzie się znajduje także jakiś święty cudowny i gdzie za bardzo dawnych czasów, kiedy książęta rossyjscy prześladując się o podziały wzajemnie, okrutnie i dziko się z sobą obchodzili, był uwięziony i zakuty w kajdany jakiś książe rossyjski i tam zamknięty w lochu na całe życie, życia w nim dokonał. Zapomniałem nazwiska tego książęcia. W guberniach permskiéj, archangielskiéj, wjatskiéj i wołogodzkiéj, słowem w całéj téj części północno-zachodniéj Rossyi mnóstwo jest duchowieństwa, cerkwi, kaplic, i kapliczek po lasach i drogach, a najwięcéj miejsc wsławionych cudami, z których najwięcéj korzystają popi, nie zaś święci.

Przenocowawszy, obszedłem miasto Czerdyn i wszedłem na jakąś drogę, z któréj ledwo wybrnąć mogłem, taki śnieg był głęboki; konie tych co jechali saniami literalnie topiły się w śniegu. Od Czerdyna zaczyna się kraj płaski, nizki, wielkiemi i nieprzebytemi lasami pokryty i bagnisty i dla tego zimową porą najsposobniejszy do podróżowania. Był to podobno już początek marca 1846 roku. We dnie czasem słońce dosyć pięknie świeciło, ale w nocy znowu mróz, a nazajutrz burza i za-

wieje; często w dniu jednym masz odwilż, słońce i zamieć; czas najniegodziwszy do podróży. Niepamiętam już w jak długim czasie droga, którą szedłem zaprowadziła mnie na rzekę Kamę, po której jeżdżono i na której był gościniec, którym poszedłem daléj. Po obu brzegach rzeki Kamy, gdzie niegdzie były małe wioski z kilku domów złożone i w lesie pobudowane, wiele także było zupełnie odosobnionych i samotnych domków. Po kilku zatém dniach podróży i znaglony potrzebą, zaszedlem do jednego takiego domku dla posiłku, ciepłego noclegu i przewdziania się. Jako bohomolec, to jest pielgrzym, byłem dobrze przyjęty. Gospodarz szył bóty dla siebie, naprawiał łapcie, a młoda gospodyni przędła kądziel. Po chwili gospodarz zapytał mnie o pasport, który mu pokazałem, spojrzał i nic niepowiedział; kiwnął tylko głową na znak, że jest zadowolony. Ośmielony formalnością udaną mojego pasportu i znaczném już oddaleniem się od Syberyi, byłem nieco pewniejszym siebie i w razie potrzeby śmieléj mój pasport pokazywałem, rozumie się przed tymi, którzy się na nim znać dobrze niemogli.

W téj części gubernii permskiéj są już właściwi tak nazwani Permiaki, zapewno pokolenia finskiego nazwanego po rossyjsku czechońskiém. Permiaki mają swój odrębny język wcale różny od rossyjskiego swojém pochodzeniem czyli etymologią. Permiaki mężczyzni mówią jako tako po rossyjsku, ale wiele jest kobiet, z któremi rossyjskim językiem rozmówić się bardzo trudno, chociaż wszystkie modlą się po rossyjsku, bo są religii greckiéj; a gdym z tego powodu zapytał jednę Permiaczkę, czy rozumie pacierz, który mówi? odpowiedziała, że wcale nierozumie, ale ją tak pop nauczył, więc potrzeba mówić. Kobiety Permiaczki w ogóle są brzydkie, chociaż są wyjątki i szkaradnie głowę ubierają, jest to czepiec zwykle z jakiéj materyi pstréj lub tła ciemnego, szerszy u góry i dla formy obręczą wszytą rozpięty, a węższy u dolu, słowem w kształcie czapki bez denka, ale bardzo nizki i płaski

a tak szkaradny, iżby najpiękniejszą twarz oszpecił, nadając jej wyraz nieszlachetny, coś nakształt kaszkietów dawniejszych piechoty austryackiej. Ale wracam do moich gospodarstwa. Gospodarz choć już niemłody, ale zdrowy, czerstwy i silny mężczyzna, a do tego bywalec rozmaite mi od czasu do czasu robił zapytania lub opowiadał swoje wypadki; lecz młoda, ładna i ujmująca jego żona, choć śród lasów wychowana, nieodrodna jednak od płci swojej, lubiącej zawsze coś świegotać, z taką uprzejmą natrętnością o wszystko mi się rozpytywała, z taką o czém mówiła, wyrażała się płynnością i tyle w niéj było prawdziwie wdzięku kobiecego, że przedmiot rozmowy ciągle był nowy a nawet często w ambaras mnie wprowadzający. Być może, iż moja poważna postać pielgrzyma pokutnika wzbudziła w niéj ufność ku mnie, bo gdy mąż wyszedł za jakimś interesem, z kolei mowy i wzdychając często rzekła do mnie: gdybyście wy wiedzieli, jaką ja jestem nieszczęśliwą, mam męża, do którego serce moje przylgnąć niemoże, bom była przymuszoną wyjść za niego.— Przecież jest przystojny i zapewne, że cię kocha, a dzięki Bogu biedy u was niewidać, twój wstręt do niego jest niesłuszny. — Wszystko to prawda, na niczém mi niezbywa, a on mnie kocha aż do zazdrości, ale cóż, kiedy im więcéj mnie kocha, tém go więcéj nienawidzę, jego miłość jest tak ckliwą dla mnie, jak trucizna, cóż ja winnam, że go kochać niemogę, ach jaka ja nieszczęśliwa! i rzuciwszy wrzeciono zaczęła szlochać. Przyznam się, żem w prawdziwym był kłopocie, bo ja, niestety! nie bardzo twardego serca; ale moje położenie było zbyt poważne, niedozwalające mi najmniejszego zapomnienia się. Mimo zatém wszystkiego, pogłaskawszy ją, jak dziecko, po rozpalonem a gładkiém czole, zacząłem jéj czynić rozmaite poważne i moralne uwagi i cieszyć nadzieją. Słuchając, rzekła nakoniec: Wy bardzo dobrze mówicie i ja to sama bardzo dobrze rozumiem, ale cóż kiedy mi życie niemiłe. Pomyślałem sobie: rób co chcesz z kobietą rady

jej niedasz, aż zaspokoisz jej serce: odsunąwszy się tedy od niej, wkrótce poszedłem na przedpułap i tam położywszy się, moralizowałem jak mogłem i z większą mocą, bo byłem bezpieczniejszy. W tem nadeszła jakaś kobieta średniego wieku, miła, ale bardzo schorowana matka dzieciom; ta dowiedziawszy się od mojej gospodyni, żem bohomolec i udawałem się do sołowieckich monasterów, dała mi piętnaście kopijek miedzią (7½ gr. polskie), prosząc mnie, abym na jej intencyą postawił świeczki przed świętymi cudotwórcami Zosymą i Sawatijem. W ułożeniu tej kobiety, w całej jej postawie było coś jakby natchnionego, jakby anielskiego; zdawała się więcej należeć do przyszłego świata, niż do ziemskiego. Widok tej niewiasty uspokoił mnie zupełnie i wzniosłe, szczytniejsze w mem sercu obudził uczucia i obowiązki. Któż ten tajemniczy wpływ człowieka na człowieka, a szczególniej płci na nas mężczyzn wytłómaczyć może? Czyż nasze uczucia nie są pod niejakim względem tylko zwierciadłem, w którem się żywo odbijają uczucia kobiet? Jeżeli tak jest, to dobre i moralne wychowanie i ukształcenie kobiet powinno być jednym z najgłówniejszych a może i najpierwszym obowiązkiem każdego dobrze uorganizowanego i pojmującego swe wysokie powołanie towarzystwa. To dawanie na świeczki bohomolcom pieniędzy tak jest pospolite w tamtych stronach Rossyi, że jadący nawet drogą, a spotykający bohomolców, dają im pieniądze. Tym sposobem w ciągu mej podróży do sołowieckich monasterów naskładano mi do dwóch rubli assygnacyjnych (3 złtp. i gr. 10).

W tych stronach lesistych i bagnistych gdzie chleba mało, można poznać zamożność gospodarza po ilości worków napełnionych zbożem i ustawionych w kącie izby podobrazami, u mego gospodarza takich worów korcowych było ze sześć. Przenocowawszy, i kupiwszy jednę bułeczkę chleba, bo więcej niebyło pieczonego, w dalszą puściłem się podróż. Dzień był piękny i słońce świeciło, nawet dogrzewało: było mi wesoło i błogo, rzuciłem rzekę

Kamę i udałem się drożyną na prawo w las; minąłem w lesie parę kaplic i jednę wioskę i zanocowałem w lesie. Nazajutrz rano wstawszy, trudno, prawie niepodobna było patrzeć na świat, taka zamieć, taka burza, ani śladu drogi zasypanej śniegiem, poszedłem jednak, ot tak na pamięć, niebędąc pewnym, czy dobrą szedłem drogą. — Szedłem dzień cały, ani człowieka, ani izbuszki, ani wsi niespotkawszy. Przenocowawszy zwykłym sposobem, szedłem dalej, ale w krzyżowaniu się choć rzadkich drog w lesie, a raczej ich śladów, niemógłem wiedzieć, która z nich jest prawdziwą, a przynajmniej taką, coby mnie do jakiej wioski lub izbuszki zaprowadziła. Błądziłem tedy na dobre a i chleba już niestało. Siły słabły, bo chcąc wyjść na dobrą jaką drogę, nieszczędziłem kroku po głębokim brnąc śniegu i choć zawierucha nieustawała. Dzień następny błądziłem cały, przychodziłem już do rozpaczy i ledwie już iść mógłem, bo głód srodze się czuć dawał i byłem na siłach zupełnie omdlały. Ku wieczorowi niebo się wypogodziło i mróz mocny zastąpił miejsce zawiei, głód i zimno okropnie mnie dręczyły, spać niemógłem tej nocy kurcząc się i wijąc od bólu i czczości. Wywlókłszy się z legowiska, powitałem dzień piękny i jasny, omdlałem i niepewnem już spojrzeniem: czarna tęsknota, smutek i zwątpienie wstąpiły w mą duszę. Ani śladu jakiejkolwiek drożyny, a na około tylko las i las; orientuję się po słońcu, po mchu na drzewie, chcę iść dalej ale już nogi niesłużą, mdło mi się robi, z czczości dostałem jakby zawrotu głowy; dobywam jednak sił ostatnich podpierając się kijem, łzy mi się do ócz cisną, wzywam nad sobą Boskiej opieki i ją przeklinam: nareszcie po niedługiem passowaniu się zupełnie omdlały padam pod drzewem, kurcz żołądka mocno mnie dręczył; usiadłszy, oparłem się plecami o drzewo i śród cierpień duszy i ciała trudnych do opisania, śród modłów i bluźnierstw, rzekłem do siebie: Więc niezadługo tu w tej puszczy, pod tem drzewem wszystkie moje cierpienia i na-

dzieje się skończą, i żegnałem już na wieki i całą duszą mą ojczyznę, mych przyjaciół i drogie sercu osoby. Wkrótce sen podobny do jakiegoś odurzenia i z szumem w głowie zaczął mnie morzyć, byłem jakby zdrętwiały mimo bólu, jaki czułem wewnątrz. Jak długo byłem w tym stanie, wcale niepamiętam, bo całą duszą byłem już na tamtym świecie. W tem jakiś donośny głos mnie ocucił: otworzywszy oczy ujrzałem tuż przed sobą, a raczej nad sobą stojącego człowieka. To zjawisko, ten cud dla mnie nadprzyrodzony, tak mnie zelektryzował, tyle wlał od razu w me serce nadziei, ducha i energii, żem prawie zapomniał mojego ówczesnego położenia i stanu. Nieznajomy rzekł do mnie: Co ty tu robisz? — Zabłądziłem. — A zkąd jesteś? — Od Czerdyna i idę do sołowieckich monasterów, ale w czasie tej zamieci zbiłem się z drogi i od kilku dni już nic niejadłem. — To niewielka rzecz, żeś zabłądził, my tutejsi, a błądzimy często i przepadamy, źleś zrobił, żeś w czasie tej zawiei puścił się w drogę, potrzeba było ją przeczekać. No, napij się trochę wódki, widzę, żeś z sił opadł (otoszczał), to cię trochę pokrzepi — i dobywszy z tajstry czy drewnianą, czy tylko skórą oprawną flaszę, podał mi ją. Pociągnąłem łyk niewielki, który mnie orzeźwiwszy, zaczął mocno jednak palić wewnątrz; dobywszy później kawał zmarzniętego chleba i jakiejś ryby, i udzieliwszy część dla mnie, sam się napił wódki i usiadłszy jadł wraz ze mną. Był to promyszlennik myśliwy, który chodząc za zdobyczą, wracał do siebie na łyżach i ze strzelbą. Między innemi rzekł do mnie: Te lasy rozciągają się Bóg wie jak daleko, a szerokość ich jest do stu pięćdziesięciu werst, są w nich wioski, ale ty już na żadną z nich niepójdziesz, tobie iść trzeba wprost na miasto Kai pięćdziesiąt werst ztąd odległe; ztąd niedaleko jest wielka droga, z której zbłądziłeś, tam prowadząca, i tu blizko nade drogą jest izbuszka stojąca w samym środku lasu; pójdziesz naprost w tym kierunku, a najdalej za półgodziny będziesz na dobrej drodze i bli-

zko izbuszki. — Dziękuję ci bardzo, niech ci Bóg zagłaci, żeś mnie od śmierci uratował. — No, co tam, albož to my nie chrześcianie? no, wstawaj, pójdziemy, trochę cię podprowadzę. Podniosłem się jeszcze o swojej mocy, lecz z wielką trudnością, w głowie mi szumiało od wódki; poszliśmy, on po przodzie, ja za nim, ale bardzo wolno i z ostatniem sił wysileniem. Podprowadziwszy mnie kawał dość spory i wskazawszy jeszcze, którędy mi iść potrzeba, pożegnał mnie słowy: niech Bóg szczęśliwie prowadzi; a zwróciwszy się na lewo, poszedł w swą drogę i wkrótce znikł śród lasu. Ja idąc na prost, wkrótce wyszedłem na gościniec i postrzegłem na prawo niedaleko stojącą izbuszkę. Radość moja była do nieopisania. Dowlókłszy się do tej izbuszki i wszedłszy do niej, takiego nagle zawrotu głowy i niemocy doznałem, iż ledwiem zdołał usieść, a raczej osunąć się na ławę przy stole; żółto i ciemno mi się w oczach zrobiło, nic niewidziałem, nic niesłyszałem. Po kilku minutach takich mdłości przyszedłszy do siebie, prosiłem o gorącą potrawę. Dano mi szczéj (barszczu) i chleba: rzecz szczególna, jeść mi się chciało, a jeść niemógłem; zjadłszy zatém lekkiego, gorącego barszczu i bardzo mało chleba, i rozebrawszy się jak mógłem, położyłem się natychmiast spać na będącém tuż przy piecu, a szerokiém dla pomieszczenia kilku osób, rusztowaniu drewnianém, bez żadnéj pościeli i słomy. — Było to około południa, w izbuszce było bardzo ciepło. Spałem snem nieprzerwanym do południa dnia następującego, i gdyby gospodarz był mnie nieobudził, spałbym był zapewno jeszcze dłużéj. Obudziwszy mnie, rzekł: Dalibóg sądziłem, żeś ty umarł, ale ty chwała Bogu jeszcze żywy. Gospodarz był jakiś dobry człowiek. Ja zaś byłem tak spocony, jakbym się w wodzie wykąpał, koszule były mokruteńkie. Obudziwszy się, uczułem ból dość wielki i przykry u końców palców nóg, rąk i uszu; wszystkie te części mimo ciepłe odzienie i moje starania, były mocno nadmrożone, choć dzięki Bogu nieszkodliwie.

czułem się tak osłabiony, tak omdlały, że trudno mi się było podnieść; poleżawszy nieco, prosiłem o posiłek. Dano mi jakiegoś krupniku gorącego z rybą ugotowanego; tą razą jadłem dosyć, ale nieczując się w stanie iść dalej piechotą, ciągle leżąc, zatrzymałem się na noc drugą — i dosyć dobrze spałem, mimo że pluskwy, których jest krociami w tych izbuszkach, mocno mnie dokuczały. Ale to była najmniejsza z niedogodności mojej podróży.

Trzeba coś i o tych izbuszkach powiedzieć: stawiają się one zwykle nade drogami i w miejscach odległych od wsi i miasteczek dla wygody podróżnych i korzyści ich właścicieli. W tych izbuszkach znajduje się chleb, ryba, rzepa, kapusta, kwas, rzadko kiedy wódka i inne rzeczy do wygody życia służące; znajduje się w nich także siano i owies dla koni. Właściciele tych izbuszek mieszkający zwykle po wsiach i miasteczkach dostarczają wspomnionych zapasów, które stósunkowo do ich wartości, z przyczyny kosztów dostawy i odludnego miejsca każą drożej przedawać. Na ten cel osadzają w nich albo jednego tylko mężczyznę, zwykle podeszłego wiekiem, albo męża z żoną, a to stósownie do ważności drogi nad którą izbuszka stoi i do ilości domniemanéj podróżnych. Z tego samego powodu te izbuszki są mniéj więcej obszerne i okazałe, albo ciasne i nikczemne. Po większéj jednak części są to domki małe, ciasne, brudne i pełne plugastwa, niektóre z nich wewnątrz są tak okopcone dymem i sadzą jak wnętrze komina. Dla wygody podróżnych jest rusztowanie szerokie i długie, niby łóżko, ale bez pościeli i słomy. Jednak mimo to wszystko, te izbuszki w tych okolicach leśnych i bezludnych zastępują miejsce najwyborniejszych hotelów i więcéj dla podróżnych są użyteczne. Izbuszka, w któréj się na drugą noc zatrzymałem była jedną z lepszych i wygodniejszych, a dla mnie była przytułkiem ocalenia.

Możebym był powinien jeszcze jeden dzień w tej izbuszce zabawić dla zupełnego wypoczynku i wyzdrowie-

nia, ale obawa dłuższego pobytu i chęć, prawie rozkaz serca, popychający mnie ciągle naprzód a naprzód, niepozwoliły mnie dłużej tam pozostać i dla tego nazajutrz, to jest na trzeci dzień, po ciepłém śniadaniu i ze sporym zapasem chleba, puściłem się na pieszo w dalszą podróż, choć sił jeszcze niemiałem, choć byłem słabym, choć palce u nóg szczególniéj mocno mnie dolegały, szedłem więc wolnym i mdłym krokiem: ufność tylko w Bogu, który mnie od widocznéj zasłonił śmierci, i nadzieja wolności, mnie jedynie podtrzymywały; szedłem, z częstemi wypoczynkami, dzień cały śród téj puszczy: ale droga była pewna, bo jedna. Ku wieczorowi dwoje próżnych sani, na których odwożono siano do izbuszki, wracały do domu do Kai, dokąd i ja szedłem. Za nic nieznaczącą cenę wsiadłem do jednych sani i do wiozącego mnie, zajechałem na noc na kwaterę. Był to biedny człowiek, co się wynajmował u właściciela izbuszki. Przejechałem miasto Kai, na drugim brzegu rzeki Kamy i na wzgórku leżące, a będące niegdyś miastem powiatowém gubernii wjatskiéj, bo dom mojego gospodarza był na drugim końcu miasta. Miasto Kai, jak na miejscowość, dość obszerne, ma obszerny rynek, ale całkiém z drzewa pobudowane. Niedojeżdżając do miasta, obszerne nad rzeką Kamą odkrywają się ługi pokryte łozą, bo miejsce nizkie i błotniste. Gospodarz mnie wiozący mówił, że na wiosnę, a czasem i latem drogi tamtędy są niepraktykowane, mimo że śród tego ługu usypaną i wzniesioną była grobla, po któréj szła droga.

Z miasta Kai, wraz z innymi pielgrzymami spieszącymi do solowieckich monasterów wyruszyłem w drogę, ale dla osłabienia i bólu palców u nóg, niemogąc z nimi zdążyć, sam się zostałem. Tu mi się wielkie zdarzyło nieszczęście: od niejakiego czasu robactwo zaczęło mi dokuczać, a peruka moja znacznie się przyczyniała do jego rozmnożenia na głowie, więc ją czasami w drodze zdejmowałem. Jedną razą, niewiem jakim sposobem, zgu-

biłem ją; proszę sobie wyobrazić, czym się niezasmucił zgubą koziéj peruki, która rysopis mój zmieniała; cieszyłem się jednak, że byłem już daleko od Syberyi, a łysina zupełnie się zabrudziła, jak u prawdziwego tych okolic mieszkańca. Zostawszy sam, szedłem jak mógłem, nocując na przemiany: to w lesie, to w izbuszkach pobudowanych śród lasów, które tam ciągnęły się nieprzerwanie, gdzie niegdzie tylko i z rzadka ukrywając w swém łonie niewielkie wioski. W tamtych stronach jest zwyczaj, że ludzie odpoczywający po lasach, a nawet jeśli potrzeba każe, w nich nocujący śród zimy, kładą ogień wielki w lesie dla ogrzania się. Napotkawszy takich ognisk kilka nade drogą, to mi dało do myślenia, że i ja mógłbym mieć ogień; odtąd zatém ilekroć zanocowałem w lesie nanieciłem zawsze sobie ogień i było mi ciepło i wygodnie: jednak w takim razie zapuszczałem się w las daleko od drogi i wybierałem miejsca nizkie, a nawet doły, aby ognia z drogi niebyło widać.

Niebędę dłużéj nudził czytelnika jednostajnością opowiadania mojéj podróży nieprzedstawiającéj ani wypadków mogących zająć uwagę, ani wrażeń odświeżających uczucia, podnoszących umysł, zachęcających do wytrwania. Jedno wrażenie, jedno raczéj uczucie było nieodstępnym towarzyszem mych trudów, méj podróży, mojego losu: a tém było uczucie smutku ustępujące chwilowo miejsca uczuciu nadziei odzyskania wolności i swobody. Okolica, którą szedłem, nieprzedstawiała żadnych widoków, żadnéj rozmaitości godnéj zastanowienia się i opisania, bo wciąż tylko lasy, niziny, śniegi i lody, a wśród nich gościniec i drożyny przechodzące przez niewielkie wioski lub miasteczka. Opowiem jednak pewne zdarzenie w krótkości i jakby ogółowo: że nie raz jeszcze mimo wszelkich ostrożności, byłem głodny, przeziębnięty i zbłąkany; że w jednéj wiosce, niewiadomo z jakiego powodu, nigdzie mnie na noc niechciano przyjąć i musiałem nocować w lesie; że jedną razą idąc drożyną i lasem, spotkałem naprzeciw

siebie idącego szybkim krokiem, a raczéj bieżącego człowieka, który w popłochu uciekając, rzekł do mnie: Nie idź naprzód dalej: dwóch rozbójników za mną goni, ciebie zabiją. Z miny, ze strachu, jaki się malował na twarzy opowiadającego, byłem przekonany, że prawdę mówił. Był to już podeszły wiekiem człowiek, zbierający po okolicy składkę dla cudownego obrazu Matki Boskiéj Tychwińskiéj, będącéj w mieście Tychwinie w wołogodzkiéj gubernii. Na tę wiadomość niebardzo miłą, rzekłem do niego: Czy daleko są rozbójnicy? — Nie, niedaleko. — A więc zaczekaj, nieuciekaj, będziemy się bronili; ich dwóch i nas dwóch, możemy się z niemi popróbować. — Ale dziad przestraszony, niesłuchając rad moich, zmykał co tchu do izbuszki, którąm przed godziną był minął, zaklinając mnie, abym to samo uczynił. Ale żal mi było i czasu i zrobionéj już drogi, niechciałem się cofać. Zostawiony sam jeden chwilę myślałem, co miałem robić? nareszcie dobywszy z lasu drąg potężny, poszedłem naprzód na spotkanie rozbójników, układając plan obrony i zdeterminowany albo zginąć, albo im śmierć zadać. Szedłem naprzód całe trzy lub więcéj godzin z największą ostrożnością i oglądając się na wszystkie strony, a niespotkawszy ani żywego ducha, cisnąłem niepotrzebny ciężar, jakim mnie gniótł drąg ogromny, pod którym się pociłem i poszedłem daléj. Doszedłszy dnia drugiego do izbuszki, opowiedziałem jéj gospodarzowi to zdarzenie. Ten mi odpowiedział, iż w tych lasach niezmierzonych i nieprzebytych mnóstwo się ukrywa złodziei i rozbójników, i że rozboje nierzadko się zdarzają; najwięcéj jest w tych bandach rekrutów zbiegłych od wojska.

Inną razą kiedy w jednéj izbuszce, śród dnia zmuszony byłem zatrzymać się, i zrzuciwszy z siebie odzienie dla przesuszenia, zupełnie bo do koszuli rozebrany, odpoczywałem leżąc na przedpułapie; nagle ni ztąd ni z owąd dzwonek zajęczał, i chwilę późniéj wszedł do izbuszki jakiś major od piechoty i czynownik, obaj w całéj

paradzie. Łatwo wystawić moje położenie. Gdyby mnie spytali co byłem za jeden? zkąd jestem i czy mam pasport? jak mieli prawo zapytać, Bóg wie coby się wówczas ze mną stało. Ale oni chwilę się tylko zatrzymawszy dla zapalenia fajek, i coś z gospodarzem pomówiwszy wyszli i pojechali dalej. Ja zaś przez czas ich obecności leżąc udawałem że śpię, nastawiwszy jak zająo uszów do słuchania, coby mowili, i myśląc nad sposobami ratowania się, gdyby przyszło do jakiej rozprawy; sztylet był nieodstępnym mym towarzyszem, ileż byłem wówczas szczęśliwy mając go z sobą, w śmierci było moje ocalenie, smutna konieczność, ale żywo wziąćbym się niedał.

Tak idąc, a dwa czy trzy razy podjechawszy na próżnych saniach wieśniaków, już to jadących po jakieś ciężary, lub po ich dostawieniu wracających do domów, przebyłem jakiś zakład skarbowy i miasteczko Noszel, z drzewa pobudowane i nad rzeką Noszel leżące. Do tego miasteczka bardzo wiele bohomolców się ku wiośnie gromadzi, szczególniej z wjatskiej gubernii, i na statkach ze zbożem gdy rzeka puści, przez Wielki Ustjug do Archangielska płynących, przybywają do Wielkiego Ustjugu, ztąd do Archangielska, a z Archangielska do sołowieckich monasterów. Chciałem i ja także w Noszel aż do wiosny zaczekać, ale ponieważ bohomolców to jest pielgrzymów było jeszcze w nim bardzo mało, i przez długi pobyt na jedném miejscu mógłbym się jeszcze zkompromitować, azatém poszedłem dalej. Jednego dnia spotkałem z lasu jadącego chłopa, wiozącego rzepę wydobytą z piwnicy będącej w lesie; dał mi kilka rzep surowych, które natychmiast zjadłem z wielkim apetytem, bo były bardzo smaczne i słodkie choć niewielkie, ale nawet drobne. Rzepa w tych okolicach jest bardzo ważnym przedmiotem, wielka część mieszkańców nią żyje. Sieją ją w lesie między brzeziną i krzewami, równie jak sieją w tych stronach lny po lasach, wyniszczywszy ich część

na pole pożarem, lny w tych stronach są bardzo piękne, a tém piękniejsze jeżeli na nowinie są siane. Z tego to powodu mieszkańcy wiele lasów niszczą na ich zasiewy. Tego dnia na noc późno wieczorem zaszedłem do odosobnionego domku i daleko ode wsi położonego. Gospodarstwo Wjatczanie nieumiejący nawet dobrze po rossyjsku mówić, przyjęli mnie gościnnie, dla pewności pokazałem im mój pasport z czego byli zadowolnieni. Gospodarz przed wieczerzą, ponieważ to była sobota, wziął mnie z sobą do łaźni dla wymycia i wyparzenia się, z czego byłem bardzo kontent. Łaźnia była to maleńka izdebka z kloców drzewa w zrąb zbudowana z pułapem, ale bez dachu i bez podłogi, zupełnie tak jak w Polsce i na Wołyniu są pobudowane kuźnie. Piec téj łaźni z kamieni nieforemnych i ani gliną ani wapnem z sobą połączonych złożony, szeroki, długi i wysoki najwięcéj na trzy stopy, azatém półtora łokcia kubicznego mający, ogrzewa się drzewem wewnątrz a raczéj pod jego kamieniami położoném; komina niema, więc łaźnie są kurne. Kiedy się kamienie dobrze rozgrzeją, wówczas na nie leje się zimna woda, para ztąd wychodząca rozchodzi się po łaźni i w téj parze ludzie się grzeją, myją i oczyszczają. W takiéj łaźni i jam się wyparzył, i wyszedłem z niéj z odurzoną głową od pary. Z małą różnicą wszystkie łaźnie w tych stronach są w tym guście i z podobną wygodą pobudowane, wyjąwszy łaźnie miast i bogatszych mieszkańców, kupców, czynowników, którzy mają wygodniéj pobudowane.

Tymczasem wiosna, choć jakby ukradkiem, czuć się dawała: śniegi zaczęły tajać, a drogi psuć się: po niektórych 'miejscach, jak naprzykład w dolinach lepiéj od słońca ogrzanych, miejsce śniegów, zastąpiło błoto, a miejsce lodów, głębokie strumienie wody. Nocą i rankami mróz i gołoledź, a w dzień błoto i woda, po których brnąć potrzeba było. Słowem, podróż piesza, a nawet sanna lub jakakolwiek inna, stawała się coraz niewygo-

dniejszą, prawie niepodobną. Śnieg wilgotny i mokry padając, moczył odzienie aż do ciała, później od mrozu wszystko krzepło, tak, że człowiek cały z duszą trząsł się od zimna. Po kilku czy więcej dniach podobnej a dla niewygody trudnej do opisania podróży, przybyłem na saniach do miasta Lalska, na rozległej płaszczyznie położonego, miernej obszerności, źle pobudowanego z drzewa i błotnistego. W tym dniu, który zdaje się był niedzielny, był w niém targ dość liczny, na którym najwięcej było ryby. Przeszedłem to miasto wcale się nie zatrzymując i zanocowałem u jednego młynarza, którego dom z młynem stał daleko odosobniony nietylko ode wsi, ale od wszelkiego mieszkania. Młynarz był stary, ale jeszcze czerstwy, wysłużony żołnierz, rad bardzo mojemu przybyciu; a że to była sobota, zaprosił mnie z sobą do łaźni, równie wygodnej, jak ta, której dałem już opis. Po wyparzeniu się, zaprosił mnie na wieczerzę, którą jadłem wraz z nim i liczną jego, choć niebogatą rodziną, ale równie poczciwą i bogobojną jak jéj naczelnik. Po wieczerzy nasłał mi dosyć słomy na posłanie, na której po łaźni i po wieczerzy bardzom wygodnie i smacznom się wyspał. Nazajutrz posiliwszy mnie ciepłém śniadaniem, przy pożegnaniu się prosił mnie, abym powracając z sołowieckich monasterów, jego odwiedził, co mu przyrzekłem, dodawszy, jeżeli Bóg zechce, abym tędy wracał nazad. Tymczasem nogi mi się prawie zupełnie wyleczyły, i po śniegu zsiadłym od wilgoci a rankiem twardym jak bruk, szedłem spieszno, co mówię, prawie biegłem, aby zawczasu, nim śniegi zupełnie puszczą, nim Dźwina się rozmarznie, przybyć do miasta Wielkiego Ustjuga. Im bliżej byłem mojego celu, tém więcej byłem niecierpliwym dojść do niego.

Jednego dnia około południa zaszedłem do jednego domku, daleko ode drogi leżącego, dla kupienia sobie chleba. Zastałem w nim starca może sześćdziesięcioletniego, olbrzymiéj postaci, z długą siwą brodą i młodą,

może ośmnastoletnią dziewczynę, bardzo miłéj i uprzejméj postaci kołyszącą dziecko i przyśpiewującą mu dla uśpienia. Dziad przedał mi chleba za cenę dość drogą, po sześć czy siedm kopijek funt. Że zaś mi się jeść chciało, dobywszy soli i kazawszy dać sobie kwasu, zacząłem chleb z solą zajadać, popijając kwasem. Dziad po dobrym obiedzie, przypatrywał się obojętnie mojemu obiadowi, który z wielmik apetytem a nawet chciwością pożywałem, rozpytując mnie się o rzeczach zwyczajnych, ale młoda dziewczyna, patrząc na mnie i kołysząc dziecię, zdawała się być rozrzewnioną moją ucztą: bo się łzy w jéj oczach kręciły. Dziad pogawędziwszy, wyszedł na chwilę z domu. Ledwo drzwi zamknął, młoda dziewczyna jak błyskawica rzuca kolebkę, wspina się na ławę i z pólki dostawszy dwa smaczne pierogi pszenne z serem i masłem przychodzi do mnie i bez mojego pozwolenia, kładzie mi je w zanadrze za kożuch. Jakby się obawiając, aby jéj uczynku dziad niespostrzegł; późniéj usiadlszy przy kolebce, zaczęła dziecko kołysać i przyśpiewywać, jakby nigdy nic niebyło. Prawdziwie, tak mnie zdekoncertowała, mnie doświadczonego i ucywilizowanego człowieka, bywalca, ta młoda naiwna, wpółdzika dziewczyna swą śmiałością, dobrocią i skromnością, żem niewiedział, jak miałem sobie postąpić? Zły i dobry uczynek razem popełniła. Zły: bo bez pozwolenia i prawie kradnąc, dała mi pierogi; dobry: bo chciała dopomodz w nieszczęściu, w jakiém zdawało się jéj mnie widzieć. Jakkolwiek bądź, byłem jéj wdzięczny: i gdybym był sędzią lub adwokatem w téj sprawie, nietylko dałbym jéj wygraną, ale dałbym nagrodę godną czułego, tkliwego i szlachetnego serca.— Była to wnuczka starego gospodarza. Wychodząc z domu, rzuciłem wzrok na młodą dziewczynę pełen wdzięczności, i spółczucia: któż wie, czy to niebyła najszczersza z moich przyjaciółek, choć nie rodaczka, a dla których na próżno poświęciłem moje dziewicze uczucie i moję przyszłość. Głęboka wiara i fatalizm ciążący nad prze-

znaczeniem ludzi, zaciętą zwodzą walkę w sercu i sumieniu prawego człowieka. W tym względzie niema pewnika: bo czy grzech pierworodny zaćmi w człowieku jasne i czyste pojęcie o jego obowiązkach, [o jego przeznaczeniu; czy doświadczenie na dowodach czynów ludzkich lub na swoich własnych oparte, naprowadzą zawsze duszę niewinną i sumienie nieskalane na bezdroże wątpliwości w wyborze postępowania. Przedstawi się wówczas smutne dilemma: być szczęśliwym docześnie, lub wiecznie, to jest: wybrać życie ciała tak ponętne, tak łudzące, tak praktyczne; ale krótkie i niedoskonałe, nieszlachetne w środkach i celach; bo samolubne; albo wybrać życie duszy, ducha, poświęcające się dla szczęścia drugich, niepomnę o sobie, owszem tyrańskie i okrutne dla·ciała, zmysłów, słowem życie zakonne, życie Chrystusa, życie pojęte w pełnem znaczeniu katolicyzmu, niedbając o teraźniejszość, ale tylko o przyszłość. O! szczęście obiecane, ułudne, szczytne i wieczne, ale kosztem szczęścia praktycznego.

W tych usposobieniach w miesiącu kwietniu, odkryłem nakoniec przed samym Wielkim tygodniem ze wzgórza północną Dźwinę pokrytą jeszcze lodem, na której przewożono największe ciężary, i miasto Wielki Ustjug, najeżone mnóstwem wież cerkiewnych. W godzin kilka podróży wyszedłem do niego, przeszedłszy przez Dźwinę. Na wstępnej ulicy, długiej, dość szerokiej i gdzie same tylko domy drewniane, błota co niemiara, po i za kolana, ujrzałem snujących się żołnierzy, których od Werchoturja niewidziałem: tak mało w tamtych stronach jest wojska. Widok żołnierzy niebardzo mi był miłym, bo to dowodziło czujności władzy w tem mieście: ale spuściwszy się na Opatrzność boską, szedłem dalej na ulicę ku środkowi miasta, biedząc się co dalej począć? iść ku Archangielskowi już niepodobna z przyczyny tajania śniegów, popsutych i pozalewanych dróg, jak i wezbranych strumieni i rzek; zaczekać w Wielkim Ustjugu aż Dźwina

niepuści, aby na barkach płynąć do Archangielska, byłoby bardzo dobrze, ale czyż można tak długo zaczekać bez skompromitowania się? Z tego co mi po drodze opowiadano, domniemywałem się, że o téj porze w tém mieście musiało się już nazbierać mnóstwo bohomołców, nim się drogi popsuły, i aby ztamtąd na barkach popłynąć do Archangielska; ale jako nieświadomy miejscowości, niemógłem wiedzieć gdzie się bohomolcy zbierają i do kogo zajść wypada. Tak myśląc i wciąż idąc, zaszedłem nareszcie na plac, formujący rodzaj nieregularnego rynku, gdzie zatrzymałem się przed jednym sklepem jagieł i mąki, dla zastanowienia się, dokąd się miałem udać? Ale ledwiem się zatrzymał, gdy w tém wyszedł z tego samego sklepu jakiś bardzo młody mężczyzna, po mieszczańsku ubrany z niewielkim workiem mąki na plecach i spojrzawszy na mnie rzekł: czy nie bohomolec? Tak jest. W sołowieckij monastyr? W sołowieckij. No i ja tam idę; czy masz kwaterę? Jeszcze nie, bo dopiero przyszedłem. No, chodź ze mną, choć już tam jest kilkunastu, ale jeszcze miejsce dla ciebie, a gospodyni bardzo dobra osoba, gotuje nam jeść i chleb piecze i oto właśnie kupiłem mąki na chleb i jagieł na kaszę. No chodź, chodź ze mną. Rozumie się, żem téj sposobności niezaniedbał i poszedłem z nim. W rzeczy saméj, zastałem wszystko jak mi opowiadał. Gospodyni z chęcią mnie przyjęła, a we dwóch niewielkich izbach, bohomolców mężczyzn i kobiet było pełno na ławach, na połatiach i na ziemi. Dom ten z tego jeszcze względu dla mnie był dogodny, że oprócz bohomolców, mnóstwo tam ludzi coraz nowych przybywało i ubywało: byli to ludzie, którzy z nadchodzącą wiosną spieszyli najmować się na barki dla zarobienia grosza. O pasport nikt nikogo się niepytał, a wszystka ta ciżba musiała się mieścić w dwóch niewielkich izbach: byliśmy tam nakształt śledzi w beczce: ale cóż robić? w mojém położeniu była to schrona nieoceniona i bardzo z niéj byłem szczęśliwy. I ja kupiłem mąki na chleb i krup owsia-

nych na kaszę i mnie gospodyni upiekła chleba. Poznałem się z mymi towarzyszami i towarzyszkami brat za brat. Młody człowiek co mnie na kwaterę z sobą przyprowadził, nazywał się Maksym, mieszczanin z powiatowego miasta Urżuma, wjatskiéj gubernii; inni bohomolcy tak ci co zemną stali, jak i ci co stali po innych kwaterach, a których liczba do dwóch tysięcy blizko dochodziła, byli z rozmaitych gubernii, najwięcéj jednak było z gubernii wjatskiéj.

Przyjąwszy nazwę pielgrzyma, to jest bohomolca, potrzeba było wykonywać i wszystkie jego religijne obowiązki: musiałem tedy wraz z innymi bohomolcami chodzić codzień na jutrznią i nieszpor do cerkwi, żegnać się po rossyjsku, bić pokłony setnie, trzymać zapalone świeczki, a co najgorsza, popa w rękę całować: i jeszcze z tego nietylko się nieśmiać, ale zachować serio i minę pobożną. Wprawdzie w każdém miejscu, w meczecie lub synagodze, gdzie tylko ludzie zgromadzają się dla oddania czci należnéj jedynemu Bogu Stwórcy, bez różnicy wiary wszystkich ludzi, każdy chrześcianin może po swojemu Boga chwalić, a tém bardziéj katolik w kościele greckim. Z tém wszystkiém w tém mojém przymusowém postępowaniu było coś tak nienaturalnego, tak fałszywego, że sam przed sobą wstydzić się musiałem. I tylko moje położenie może mnie w części wytłumaczyć z uczęszczania i modlenia się w cerkwi. Umiałem po rusku cały Ojcze nasz i połowę Zdrowaś Marya, a Wierzę w Boga ani zacząć. Gdyby przypadkiem podobało się popowi kazać mi mówić pacierz po rossyjsku, mógłbym się znaleść w bardzo przykrém położeniu; szczęściem że do tego nieprzyszło. Ale jeżeli pacierza po rossyjsku nie umiałem, za to biłem pokłonów nierównie więcéj niż każdy inny bohomolec, w dowód, że prawosławnéj byłem wiary; nawiasem mam honor powiedzieć, że to niejest tak łatwo jak się zdaje, bić pokłony. Niech kto zechce, zada sobie pracy, nie sto, ale pięćdziesiąt, jeden

po drugim uderzyć pokłonów, a przekona się o skutku rossyjskich modłów. Obchodziliśmy koleją wszystkie cerkwie, najczęściej jednak lubiłem chodzić do cerkwi Śgo Michała. Pop tego kościoła, będący pierwéj professorem w Petersburgu czy w Moskwie, czuł powołanie do stanu duchownego i dla tego został popem, a żywa jego wiara była rozlana po pięknem bladém obliczu. Lecz kiedy po skończonej jutrzni lub nieszporach, wyszedłszy podług zwyczaju przed wielki ołtarz, mówił na głos i po kilkakroć: Panie Jezu Chryste Synu Boga, zmiłuj się nad nami grzesznymi (gospodi Isusie, Chrystie Synie Bożij, pomiłuj nas gresznych), to głos jego był tak rzewno przejmującym, tak pełnym wiary, że bez wzruszenia niemożna go było słuchać i szczerzem po katolicku choć w cerkwi rossyjskiéj Boga chwalił.

Chodzić do cerkwi katolikowi z musu, modlić się w niéj i bić pokłony, jeszcze nie wielkie złe, gdy inaczéj być niemoże, ale w Rossyi jest zwyczaj, że przed Wielkanocą każdy musi się koniecznie spowiadać: tu dopiero był dla mnie sęk z wielu względów. Naprzód ja niewiem jak to popi spowiadają, mógłbym na samym wstępie zdradzić się, a powtóre, jest to akt tak ważny w naszéj w każdéj chrześciańskiéj religii, że tu, jeżeli nie tajemnica sama, to jéj forma mogłaby być naruszoną. Szczęście żem się dowiedział, że kto przed Wielkanocą niedawno już się spowiadał, drugi raz przed nią spowiadać się w tym samym roku niepotrzebuje: a zatém moim towarzyszom bohomolcom powiedziałem, żem się niedawno w Lalsku spowiadał, czując się nieco chorym, w skutek czego ozdrowiałem, a zatém nieposzedłem do spowiedzi, równie jak niektórzy z moich spółkolegów, co tego aktu rzeczywiście dopełnili. Tak upłynął cały wielki tydzień na pokłonach i modłach. Przyszła Wielkanoc, byłem na rezurrekcyi noc całą, jak to zwyczaj w Rossyi i wraz z innym powitałem dzień Zmartwychwstania Pańskiego słowami: *Chrystos woskres*, to jest: Chrystus zmartwychwstał. Smu-

tna to była dla mnie Wielkanoc a Święcone łzami duszy oblałem, udając na pozór wesołość.

Dla uniknienia ile możności zgiełkliwego i nieznośnego, bo wcale pod każdym względem niestósownego towarzystwa, rzeczywiście lubiłem chodzić do cerkwi; tam spokojny i samemu sobie oddany, gorące zanosiłem w duchu do Boga modły. W chwilach nieczynności najkorzystniejszą jest rzeczą wzniosłemi zajmować się myślami, uszlachetniającemi człowieka. A cóż jest wznioślejszego i więcéj uszlachetniającego nasze serce, nasze uczucia, jeżeli nie modlitwa szczerze z serca płynąca do tego, który jest źródłem prawdziwego szczęścia i cnót najwznioślejszych; bez którego wsparcia wpadlibyśmy w zwątpienie i ujrzelibyśmy się śród przepaści, z któréj nasz rozum dźwignąćby nas niemógł. Są chwile w życiu człowieka, są wypadki i przeszkody, których rozumem pokonać mu niepodobna: wówczas udaje się do siły, do mocy nadprzyrodzonéj, do wiary: a wówczas na wszystko się odważa. Ja byłem w têm położeniu, gdzie rozum mój przewidywał moję tylko zgubę, wiara wskazywała mi ocalenie: otóż dla czego tak mocno wierzyłem, tak mocno wierzyć byłem powinien. W czasie téj mojéj podróży, byłem w wielkiéj, a ciągłéj pracy ducha, która mi bynajmniéj nieprzeszkadzała przedsiębrać wszystkich środków ostrożności dla pokrycia i zamaskowania się. Dla przekonania moich towarzyszy, żem z prostego stanu i prawdziwy rossyjski człowiek, dla ulgi gospodarzowi, niby przez grzeczność, że mi użyczył kwatery, pomagałem mu czyścić stajnią, gnój wyrzucać, zamiatać i czyścić podwórze i wodę dla gospodyni przynosić. Słowem, maskowałem się jak mógłem i rzeczywiście byłem tak od gospodarstwa jak i od moich towarzyszy lubiony, a nazywałem się Ławrentij, co znaczy Wawrzyniec. Nim dalszą opiszę mą podróż, chciałbym pierwéj opisać miasto Wielki Ustjug, w którém dość długo bawiłem.

Trzy rzeki: Noszel, Iug wypływające z wjatskiéj gu-

bernii i największa z nich Suchona, płynąca z gubernii wołogodzkiéj, zlawszy się z sobą pod Wielkim Ustjugiem, dają początek północnéj Dźwinie: miasto zatém Wielki Ustjug leży w kącie, a raczéj widlach, sformowanych rzeką Suchoną i Dźwiną, na lewym brzegu jednéj i drugiéj. Jak na tamte okolice, to miasto jest dość obszerne, nawet okazałe, choć niemal całkowicie z drzewa pobudowane; jednak wiele już jest domów murowanych i pięknych, szczególniéj około wielkiego rynku i nad rzeką Suchoną; te domy należą do bogatych kupców, których tu jest dosyć. Jest tam także kontora (bióro) kupca Anglika mieszkającego w Archangielsku, ale którego nazwiska zapomniałem. W przedniejszéj części miasta, są trotoary drewniane, które jeżeli nieprzeszkadzają, aby na nich wody niebyło, przynajmniéj niedozwalają ugrząść w błocie. Ludność tego miasta niemoże przechodzić piętnastu tysięcy. To miasto przez swoje położenie nad rzekami spławnemi, na wiosnę, a szczególniéj nad Dźwiną, w świecie handlowym tych stron, jest bardzo ważne: ono jest bowiem naturalnym składem tymczasowym produktów w gubernii wjatskiéj, permskiéj, wołogodzkiéj i Syberyi, które Dźwiną spławiają się do Archangielska, a ztamtąd morzem Białém i Oceanem Północnym w różne części świata. Płodami temi są: żyto, pszenica, jęczmień, owies, len, konopie, łój, skóry surowe, mięso solone lub wędzone, smoła, drzewo do budowy okrętów, lub budynków, tarcice, mąka, jagły, futra różnego rodzaju itd. W zamian z Archangielska do Wielkiego Ustjuga przywożą rybę morską różnego rodzaju, a w największéj ilości sztokfisz. Cukier z raffineryi archangielskiéj, któréj właścicielem jest wspomniony Anglik, sprowadzający kassonadę czyli piasek cukrowy do Archangielska okrętami. Cukier archangielski zimową porą dostarcza się do Syberyi. Stokfisz nazywa się po tamecznemu po rossyjsku sajga. Ustjug tak jest punktem ważnym, że rząd rossyjski miał zamiar doń przenieść wszystkie władze gubernialne z Wołogdy, stolicy

wołogodzkiéj gubernii, w któréj i miasto Wielki Ustjug położone. I jeżeli dotychczas niemasz władz gubernialnych, to zapewne jest temu na przeszkodzie jego geograficzne położenie, będące na kończynach gubernii wołogodzkiéj.

Najwięcéj miastu dodają okazałości piękne cerkwie murowane, a niektóre na żółto malowane z dachami zieloną pokrytemi blachą: tych cerkwi naliczyłem dwadzieścia dwie: cały brzeg Suchony cerkwiami jest ozdobny i dla tego z téj strony, miasto najokazaléj się przedstawia. Oprócz cerkwi, znajdują się w tém mieście dwa klasztory zakonne; jeden zakonników (czernców) obszerny, żółto malowany, na końcu miasta nieco w dole położony, pod godłem ś. Michała; a drugi zakonnic (czernic) na pięknėm wzgórzu za miastem pobudowany, mniéj okazały, ale weselszy; byłem w jednym i drugim. Zakonnice podzielone na dwa chory, same śpiewają na stałach (kryłasach); stare, jak zwykle stare, są przykładne i szczerze się modlą, ale młode, żywe i wesołe trzpiocą się i często śpiewając, najszczerzéj się śmieją. Widać, głupie, niewiedzą na czém modlitwa zależy, a niemając do zakonu prawdziwego powołania, sam tylko ubiór i powierzchowne obrzędy biorą za istotę reguły i za wypełnienie przyjętych na się obowiązków. Byłem zgorszony trzpiotostwem zakonnic. W przewodnią niedzielę, stósując się do zwyczajów miejscowych, poszedłem wraz z innymi na cmentarz, daleko w polu na wzniosłéj płaszczyznie położony za klasztorem zakonnic. Cmentarz obszerny i bardzo dobrze i porządnie utrzymany: niektóre grobowe pomniki z kamienia lub nawet z marmuru, były dość piękne. Na cmentarzu są dwie kaplice bogate i okazałe, w których się nabożeństwo za umarłych dusze odprawia.

Nigdziem w całéj Rossyi niewidział tyle żebraków płci obojéj co w Wielkim Ustjugu: ale też nigdzie niewidziałem tyle względów i miłosierdzia dla nędzy. Żebracy nie są jednak natrętni; nieprzychodzą do izby, ale

tylko pod jej okno mówiąc: proszę o jałmużnę; kto co ma, to daje; najczęściej kawał chleba lub pieroga, o którym niżej powiem, jeżeli niema co dać, to się mówi: niech Pan Bóg da i żebrak odchodzi. Dla tych żebraków jest tam szpital, a raczej dom przytułku kosztem miasta utrzymywany. W czasie mojego pobytu chciano wszystkim biednym zabronić żebraniny, a wszystkich pomieściwszy w rzeczonym szpitalu, dać im kosztem miasta przyzwoite utrzymanie: to jest mieszkanie, opał, odzienie i życie. Ale żebractwo tak się na ten dobroczynny zamiar władz oburzyło, iż wolałoby, jak się odgrażało wyjść ze szpitala raczej, niż nie żebrać, niewiem tedy co się z nimi stało? W rzeczy samej, wielu z nich żebrało nietyle z potrzeby, ile z lenistwa, a z wyżebranego chleba, którego zjeść było niepodobna, robili suchary i przedawali i to na pudy. Bohomolcy płynący na barkach z Wielkiego Ustjugu do sołowieckich monasterów kupują takowe suchary: ja sam kupiłem dla siebie ćwierć całą sucharów bardzo smacznych, jak mi się wówczas zdawało i to prawie za bezcen.

Kupcy tutejsi mają chwalebny, prawdziwie chrześcijański zwyczaj, podejmować każdy z nich, stósownie do swej możności własnym kosztem, pewną liczbę, kilku lub kilkunastu bohomolców, przez czas ich pobytu w Wielkim Ustjugu, nim odpłyną do Archangielska, dając im darmo obiad i wieczerzę, a to jedynie stósując się do ewangelicznego przykazania: łaknącego nakarmić, pragnącego napoić. Są w tym względzie wielkie nadużycia: bo bohomolcy mający nawet dostateczne zapasy, nadużywają tej chrześciańskiej gościnności. Jam się nigdy niemógł odważyć na podobną spekulacyą, mimo namowę moich spółpielgrzymów i towarzyszy. Żyłem o swoim koszcie i jak mogłem. Z mąki, którąm kupił, uczynna gospodyni upiekła mi chleba, a z krup owsianych tam najtańszych zgotowała mi rzadkiej kaszy, a raczej krupniku w dużym garnku, który mi na dwa lub trzy dni wystarczał. Na-

kruszywszy chleba do krupniku, jadłem go z apetytem. Przez cały ciąg pobytu w Wielkim Ustjugu, dwa razy tylko zgotowałem sobie krupniku z mięsem: dla oszczędzenia grosza, którego niemiałem wiele, a za którym miałem jeszcze odprawić podróż tak wielką.

W garnizonie miasta było kilkunastu Polaków, ale żadnemu nieprzyznawałem się, żem Polak. Tu także już po Wielkiej Nocy, z rozmów samychże mieszkańców dowiedziałem się, ale sposobem najniedokładniejszym, niewyraźnym, że był gdzieś w Polsce jakiś bunt, że kilku buntowników powieszono; ale ani czasu, ani miejsca nieoznaczono; a mówiono o tém z pewnym rodzajem obawy, podszeptem jakby pokryjomu i ukradkiem. Z tych pogłosek niewiedziałem co miałem wnosić; wnosiłem tylko, iż coś być musiało w Polsce (czy te pogłoski niebyły rozpuszczone w skutek powstania w Wielkiém Księstwie Poznańskiem i rzezi galicyjskiej w 1846 r. nastałych w miesiącu lutym? a o czém mi się ani śnić mogło). Tu także czytałem w jednym bardzo starym rękopiśmie kirylicyą, to jest po cerkiewnemu z tytułami pisanym, starannie utrzymywanym i jak mnie zapewniano jedynym, opowiadanie życia Matki Boskiej, a raczéj jéj rozmowy, rady i napomnienia, jakie dawała swemu synowi Jezusowi Chrystusowi, gdy się gotował do śmierci krzyżowéj. Po przeczytaniu tego rękopismu, po zastanowieniu się nad nim, uwierzyłem w jego autentyczność: tyle tam jest prostoty, tyle prawdy, tyle serca matki dla swojego syna i tyle tam gorącej miłości Chrystusa dla rodzaju ludzkiego. Chciałem ten rękopis nabyć, ale jego właściciel tameczny mieszczanin za żadne pieniądze pozbyć się go niechciał. Życie w Wielkim Ustjugu jest niedrogie przez wzgląd na miejscowość: funt pięknego żytniego chleba kosztuje 6 kopijek (3 grosze polskie), mięszanego z jęczmieniem 4 kop., pszennego pięknego 10; ryba tania, mięsa funt 10 kop. Wódka zła i bardzo droga i dla tego anim jéj tu niepokosztował; brażki już tu niema tylko kwas. Jak w ca-

łéj niemal Rossyi tak i tu pierogiem nazywają pszenny chleb biały i czysty. Ale oprócz pszennych pierogów w permskiéj, wjatskiéj, archangielskiéj guberniach i w Wielkim Ustjugu są jeszcze pierogi jęczmienne, bardzo smaczne, a które się robią takim sposobem: jęczmień naprzód dobrze wysuszony obłupują, zapewne pod lekkim kamieniem młyńskim z wierzchniéj łuski, jak to u nas robią z jęczmieniem dla pęczaku: późniéj tak oczyszczony z łupy jęczmień mielą na mąkę bardzo miałką i przedziwnéj białości: tę jeszcze przesiawszy na cienkie sito, stosowną jéj ilość zarabiają na ciasto, lecz nie na wodzie, tylko na mleku i to zdaje się kwaśnem: zapewne dla smaku i rostu; ciasto tak zatworzone i bardzo rzadko, z wieczora przez noc podchodzi i rośnie tak, że jest gotowe do pieczenia. Że zaś jest bardzo rzadkie a następnie mogłoby się rozpłynąć na łopacie lub w piecu, nakłada się na rozwałkowane ciasto żytne gęste, cienkie i okrągłe, którego brzegi zewsząd podniesione i w kształcie, jaki się pierogowi chce nadać, przeszkadzają rozpływaniu się ciasta jęczmiennego; tak przygotowane, lecz jeszcze przed wsadzeniem do pieca te pierogi, smarują się masłem, albo się posypują z wierzchu roztartym serem, do którego dodaje się masła, poczém sadzają się do gorącego pieca dla upieczenia się. Tak upieczone pierogi są białości nadzwyczajnéj i smak mają przewyborny, póki są gorące a przynajmniéj ciepłe: szczególniéj zaś są smaczne, gdy są z serem i z masłem, jak to już powiedziałem. Można także te pierogi smarować masłem, gdy już są wypieczone; ten sposób jest najpraktycznieszy. Zczerstwiałe, żadnego niemają smaku, bo są lekkie, kruche, dziurkowate i jak piasek się rozsypują w ustach. Te pierogi są miejscową łakocią. Wartoby i u nas sprobować tego sposobu pieczenia jęczmiennego ciasta; gdybym był gospodarzem, niezaniedbałbym próby. Jagły tu są przywożone i dość drogie; najpospolitsza kasza, któréj tu używają, a która jest najtańsza, jest kasza owsiana,

lekka, zdrowa i smaczna: przenoszę ją nad kaszę jęczmienną.

Miasto Wielki Ustjug ma dwóch swoich swiętych cudotworców: Ś. Prokopa, który niegdyś za swojego jeszcze życia (jak miejscowe kroniki i podania świadczą) miał wstrzymać swojemi modły straszny deszcz kamienisty, jakim Bóg tę okolicę za jéj grzechy ukarał. Jeden z takich deszczowych kamieni granitowych, okrągły jak kropla wody, poczerniały od czasu i niepogody, a ważący najmniéj ze trzy centnary, leży na podmurowanym i dwie stopy może wysokim słupie przy wstępie, to jest: przy samém wejściu do cerkwi tegoż Ś. Prokopa, w któréj także spoczywają jegoż samego zwłoki w bardzo bogatéj trumnie i w osobnéj kaplicy. Odkąd historya zaczyna nam czynić podania o cudach i karach bożych, to jeszcze ani mnie, ani nikomu zapewne nie zdarzyło się wyczytać, aby Bóg kamieniami ludzi zabijał, a jeszcze kamieniami takiéj wielkości! Był deszcz ognisty i siarczysty, co Sodomę i Gomorę pochłonął; spadają także kamienie natury wulkanicznéj jako fenomena, których naturaliści przyczyny jeszcze nie docieklі; ale żeby rzęsisty deszcz z kamieni granitowych, jakie w górach Uralu i około Wielkiego Ustjuga się znajdują, z nieba spadł, to jeszcze nigdy i nigdzie oprócz wyż wspomnionego przypadku nie było. Jakkolwiek bądź modły Ś. Prokopa musiały być bardzo silne, gdy tak ciężką plagę od swoich ziomków potrafił odwrócić. Święty Prokop jest uważany za szczególnego tu patrona kupców płynących i spławiających płody na barkach jako też i tutejszych flisów żeglujących po Dźwinie: i dla tego każdy niemal kupiec spławiający swe produkta Noszelą, Jugem lub Suchoną przybywszy do Wielkiego Ustjuga, nieomieszka nawiedzić grobu Ś. Prokopa i kazać odprawić solenne nabożeństwo za pomyślność dalszéj do Archangielska podróży, a przedewszystkiém nie zaniedba hojnym datkiem udarować cerkiew, gdzie świętego patrona zwłoki spoczywają. Jeżeli Ś. Prokop ma wiele czci jemu nale-

żnéj, to jeszcze więcéj mają zysku ci, co się jego grobem i świętością opiekują. Drugim miejscowym świętym jest Ś. Jan przezwany głupiuteńki (Swiatyj Iwan Duraczok) który za życia przez pokorę udawał głupiego, znosił obelgi z tego powodu i napominał lud do pokuty, aby świętym zostać.

Zdaje się, żem już wzmiankował wyżéj, że mieszkańcy północnéj Rossyi, z powodu ogromnych, nieprzebytych lasów, gruntów nizkich, bagnistych i nieurodzajnych są więcéj handlowi i przemysłowi niż rolnictwu oddani. W okolicach Wielkiego Ustjuga na około o czterysta werst a sięgając ku gubernii archangielskiéj jest nowy rodzaj przemysłu, a takim jest: kupcy gubernii permskiéj, wjatskiéj i wołogodzkiéj mając po kilka lub po kilkanaście barek ładowanych, a przeznaczonych do Archangielska, potrzebują ludzi umiejących chodzić po Dźwinie: więc dla zapewnienia ich sobie wysełają swoich prykażczyków jeszcze z początku zimy, którzy dają flisom zadatek z umówionéj ceny, z tym warunkiem, aby w czas naznaczony na wiosnę przybył na wskazane miejsce, co jak najakuratniéj zwykle się wykonywa. Jedni z tych flisów obowiązują się płynąć tylko do Wielkiego Ustjuga, a ztąd inni ich miejsce zastępują, inni zaś aż do samego płyną Archangielska. Otóż gdy czas żeglugi na Dźwinie się zbliża, takich najemników flisów krociami przechodzi przez Ustjug lub do niego przybywa. Jakkolwiek wielka ich jest liczba, jest jednak jeszcze niewystarczająca i dla tego barki przybywszy do W. Ustjuga prawie zawsze jeszcze połowy ludzi potrzebują i ztąd ci ostatni w tak wielkiéj liczbie do Ustjuga przybywają.

Tymczasem już i Wielkanoc i przewodnia niedziela przeszła, śniegi już prawie zupełnie, a przynajmniéj w wielkiéj części stajały, a Dźwina jeszcze lodem była pokryta, a zatém i barek nie było widać, na których chciałem płynąć do Archangielska: nudziłem się, niecierpliwiłem tak długo w jedném zostając miejscu; ale na piechotę iść było

niepodobna, takie zalewy; lecz co mnie niepokoiło, to to, aby przez długi pobyt w jednem miejscu przypadkiem nie skompromitować się. Każdy wie, że z nadchodzącą wiosną i nadzieja się budzi w sercu człowieka, jak większa tęsknota i niepokój się w nim rodzi. Bohomolcy z wytężonem okiem wyglądali przybycia barek, ja nic niemówiąc, wyglądałem je chciwiej od wszystkich — nudziłem się na śmierć tą nieruchomością. Nareszcie po trzech czy czterech blizko tygodniach tęsknego oczekiwania, około szóstego miesiąca maja pierwsze się pokazały barki płynące tuż i za krą i wraz z nią jeszcze: tak nagle i gwałtownie korzystają tamtejsi mieszkańcy z możności pływania na rzekach. Lecz Dźwiną jeszcze płynąć nie można było, gdyż rzeka Wyczegda daleko niżej od Ustjuga wpadająca do Dźwiny, ledwie się była rozmarzła i krą swoją wraz z krą Dźwiny wsparłszy się zatamowały odpływ Dźwiny; więc jeszcze potrzeba było czekać, a barki coraz przypływając zatrzymywały się przy Wulkszu-Ustjugu. Radość bohomolców była wielka, ale moja była do nieopisania, wypadało mi tylko jakim sposobem na te się barki dostać. Kupcy tych barek, a raczej z tych poleceń ich przykażczyki wprost z pięknego uczucia religijnego przyjmują darmo pewną liczbę bohomolców na każdą barkę, rozumie się, że tak przyjęci żyją o swoim koszcie i powinni mieć z sobą zapas dostateczny chleba lub sucharów, a kto może ryby i mięsa. Ale kupcy i ich przykażczyki wiedzą także, że między bohomolcami znajdują się i tacy, którzy dopełniając ślubu odwiedzenia miejsc świętych, chcieliby także zarazem coś zarobić, i przy mniejszej lub równej innym flisom zręczności w robieniu wiosłem lub rudlem chętnie najmują się za wpółdarmo: i takich bohomolców przyjmują bardzo uprzejmie, owszem ich poszukują. Wiadomo żem wyruszył z Irbiti mając przy sobie tylko 75 rubli assyg.: żyłem za nie przez trzy miesiące, to jest: luty, marzec i kwiecień, i maj już się poczynał. Chociaż żyłem bardzo skromnie, bo prawie

samym chlebem, a w Ultingu i kaszą, stosunkowo jednak do ilości funduszów i do drogi jaka mi jeszcze pozostawała do zrobienia, znaczny w zasobach moich pieniężnych poniosłem ubytek, bo przeszło 15 rubli assyg.; zostawało mi jeszcze 50 rub. assyg. Długom się zatém wahał co miałem zrobić, jakim sposobem pomnożyć mój kapitał, gdyż droga była jeszcze tak daleka, tak niepewna; a przytém pieniądz nadaje więcéj śmiałości, niepodległości, mniéj wzbudza podejrzenia, słowem ubezpiecza moję ucieczkę. Nie było co robić, potrzeba było odważyć się na salto mortale. Ja co nigdy wiosła a tém mniéj rudla w ręku nie trzymałem, więc za przykładem innych bohomolców najmujących się i jam się najął do Archangielska za 15 rubli assyg. do wiosła czy do rudla, bo dla mnie było jedno. Prykazczyk trudniący się najmem, w zaklad pewności wymagał pasportu: to mi było trochę nie do smaku, ale ufny w tłok, ciżbę i pospiech najmujących się, dostawszy mój pasport oddałem prykazczykowi, który rzuciwszy tylko okiem na jego pieczęć, wraz z innemi pasportami schował w zanadrze: a miał tych pasportów więcéj sta, bo na dwie barki ludzi najmował. Ledwie umowa na targu śród rynku była ukończona, każdy z nas natychmiast co tchu zabrawszy chleb, suchary, mięso, rybę, na kilku wielkich łodziach popłynęliśmy do barki stojącéj na kotwicy u początku Dźwiny i opodal od miasta. To się działo, bardzo dobrze pamiętam, dziesiątego maja 1846 roku. Pożegnałem tedy z wielką ochotą gościnne miasto Ustjug po długim i nudnym dla mnie w nim pobycie. — Tu się zatrzymam nieco dalszém opowiadaniem méj podróży dla zastanowienia się nad częścią kraju, którą przebyłem od Solikamska do Wielkiego Ustjuga.

Całą przestrzeń kraju od Solikamska przez Czerdyn, Kai, Lalsk aż do W. Ustjuga można nazwać jedną wielką płaszczyzną, nizką, pokrytą lasami, śród których na małych, okrągłych a raczéj wyrąbanych z lasów polach nie

wielkie pobudowane są wioski i to daleko jedna od drugiéj; od Lalska jednak ku W. Ustjugowi lasy są więcéj wytrzebione, więcéj jest pola i wiosek. Po tych lasach wielkie obszary bagien znajduje się. Ziemia w ogóle, z małym wyjątkiem nieurodzajna. Około Czerdyna i Solikamska sieją jęczmień, żyto i pszenicę: daléj zaś tylko jęczmień i owies i bardzo mało żyta; przyczyną tego jest klimat. Ale w zamian rodzą się piękne konopie, a szczególniéj piękne lny, które śród lasów brzozowych, wypaliwszy je wprzódy, sieją na nowém pogorzelisku. Wiele tu jest kapusty, buraków, a szczególniéj rzepy, którą także śród lasów sieją. Jagód a szczególniéj borówek czerwonych i klukwi jest podostatkiem; jako téż ryby, nabiału i mięsa, bo jest gdzie wypasać bydło, które jednak równie jak i konie jest drobne i nie pięknéj rassy: ale konie są krępe i wytrwałe. W miarę oddalania się od gór Uralskich nikną stopniami poddani prywatnych obywateli i nastają tylko sami włościanie rządowi. Kraj ten możnaby nazwać biednym pod względem płodów potrzebnych do utrzymania życia: ztąd to zapewne pochodzi, że niemal wszyscy mieszkańcy trudnią się przemysłem, handlem, lub idą na zarobek do fabryk skarbowych lub prywatnych w najodleglejsze strony Rossyi. Mimo jednak ubóstwa kraju, nie widać wielkiéj nędzy u ludu, a mieszkaniec jest obrotny i przezorny i zdaje się szczęśliwy ze swego położenia. Samaż więc tylko swoboda, jakiéj śród swych lasów używa, jest przyczyną jego szczęścia? — Porównywając stan tych wieśniaków w tych niewdzięcznych stronach osiadłych, ze stanem wieśniaków naszych na miodem i mlekiem płynącéj ziemi mieszkających, jakże pierwsi są swobodni od ostatnich, a nawet od wszystkich na świecie poddanych i niewolników! o ile zatém swoboda i wolność przyczynia się do uzacnienia i szczęścia człowieka, o tyle niewola i poddaństwo upadla go i jest przyczyną jego nędzy. Mieszkaniec tych stron jest śmiały i przedsiębiorczy; o kilka set, o kilka nawet tysięcy werst idzie

na zarobek i z dobytkiem wraca do domu i jest trzeźwy i skromny, ubiór jego stanowi pilśniowy ciemny, a raczéj bury wysoki kapelusz, lub czapka, kożuch lub sukmana, bogatsi mają bóty, ogół zaś, szczególniéj Wjatczanie chodzą w chodakach skórzanych lub łykowych. Pokarmem tych mieszkanców jest chléb, kasza jęczmienna lub częściéj owsiana, rzepa parzonka (parionka), kapusta kwaszona w główkach i buraki; czasem ryba i mięso jako téż nabiał.

Rząd w tych stronach, o ile miejscowość i ludność dozwolić mogła, liczne porobił kommunikacye dróg częścią ukończonych, częścią tylko wycięciem drzew w lesie oznaczonych: ale szczególniejszą swą troskliwość zwrócił na kommunikacyą rzek, które systematem kanałów dla ułatwienia żeglugi i handlu ściśle z sobą połączył i dla tego dowóz zboża i innych płodów z południowszych i więcéj urodzajnych części Rossyi, jak równie odbyt miejscowych płodów i przemysłowości do północnych prowincyj i północnych portów znacznie ułatwił. Z tego to powodu mieszkańcy tych okolic więcéj mają pociągu i ochoty do dalekich podróży. Rzadko tam znaleść wieśniaka domatora, każdy z nich prawie daleko bywał, i wiele widział i słyszał: ztąd tu daleko więcéj mają rozgarnienia i sądu.

Już mówiłem, że w permskiéj gubernii są Permiaki, zupełnie różni pochodzeniem od Słowiano-Rossyan; obok Permiaków we wjatskiéj gubernii są Wjatczanie, a w archangielskiéj około Wyczegdy i Peczory są tak nazwani Zyranie. Każdy z tych szczepów ma swój język zupełnie różny od rossyjskiego, a nawet każdy szczep ma swój odrębny język, którym mówiąc, sami siebie nie rozumieją; udzielają się tacy za pośrednictwem języka rossyjskiego, którym bardzo źle i to nie wszyscy mówią. Wnosićby jednak należało, że to są odłamy wielkiego niegdyś szczepu fińskiego, których Rossyanie nazywają Czuchońcami. W tych prawdziwie okropnych a bez końca kniejach i puszczach składających się po największéj części z drzew szpilkowych czyli iglastych, a poniekąd i z brzeziny, któ-

rych niejednokrotnie wielkie widziałem obszary pożarem spustoszone dla otrzymania nowego pola, znajduje się wiele zwierza, jakoto: niedźwiedzi, wilków, zajęcy, lisów, wiewiórek, i bardzo wiele włóczęgów, zbiegów od wojska, złodziei i rozbójników. Z tego względu mimo czujność władz, kradzieże i rozboje dość często się zdarzają. Przytém nazwałbym tę część Rossyi, licząc w to guberniją Archangielską i Wołogodzką krajem nadprzyrodzonych cudów: dla ilości i wpływu w niéj grecko-rossyjskiego duchowieństwa dla mnogości cerkwi, kaplic i kapliczek po drogach, jako téż z przyczyny mnogości świętych cudotworców i miejsc cudownych. Nigdzie, w saméj nawet Rossyi tyle świętych i miejsc słynnych cudami niema.

ROZDZIAŁ XXVII.

Dalsza podróż Dźwiną do Archangielska; przygody téj podróży. Miasto Archangielsk. Próżne moje usiłowania dostania się na okręt. Opis Sołowieckich monasterów.

Bruxella (Belgia) 15 września 1849 roku.

Kupiec, na którego barkę się nająłem, był z gubernii Wjatskiéj, ale już zapomniałem jak się nazywał; miał dwie barki ładowane: jednę żytem a drugą jęczmieniem. Obie barki, jak już powiedziałem, stały na kotwicy i daleko od brzegu, do którego jednak oprócz kotwicy były przytwierdzone grubemi linami uwiązanemi do słupów wbitych w ziemię. Po przybyciu na barki zaczęto dzielić ludzi po równéj liczbie na każdą barkę; losem padło, że ja z dwoma drugiemi powinienem był płynąć do drugiéj barki opodal od pierwszéj i na przodzie stojącéj; siedliśmy tedy we trzech na małą łódkę, lecz bałwany Dźwiny silnym pędzone wiatrem tak nagle ją porwały, żeśmy nie mieli czasu od razu dobrze nią zakierować: bokiem więc łódki mieliśmy wpaść na tuż przy nas będącą linę, na któréj barka do brzegu była przytwierdzona, a następnie musieliśmy się koniecznie wywrócić; gdyby to nastąpiło, w ciężkiem odzieniu, w jakiem byłem, przy bystréj, szerokiéj i bałwanami pieniącéj się Dźwinie, chociaż nie źle umiem

pływać, wątpię jednak, abym się mógł uratować. Szczęściem dla nas, że jeden z moich towarzyszy flis z professyi, pewny siebie i nieustraszony, tak zręcznie w chwili największego niebezpieczeństwa wiosłem pod nad głowami podtrzymał linę, że łódka po pod nią przeszła, i cali przybyliśmy do naszéj barki, chwała Bogu. Wlazłszy na barkę postrzegłem więcéj 40 bark wdłuż Dźwiny, i opodal jedna od drugiéj na kotwicy stojących, tylko pomyślnéj pory do podróży czekających, tak wielka ich liczba od razu naleciała.

Nie wszędzie barki jednakowym sposobem są pobudowane: opiszę więc te co po Dźwinie ze zbożem pływają. Niemal wszystkie, z małą różnicą są jednakiéj wielkości i objętości, długość mniéj więcéj stóp trzydzieści, szerokość stóp 25, kształtu równoległoboku najdoskonalszego bez nosa i ogona; wysokość zrębu stóp dziesięć, cały zrąb barki jak i samo jéj dno jest zrobione z całych drewien (drzew) ociosanych, ocheblowanych w czworobok i ściśle z sobą spojonych, zbitych i mchem poprzetykanych, nawet przędziwem, co wszystko zalewa się smołą aby woda nieprzeciekła. Wewnątrz pierwszego zrębu bez dachu, robi się zrąb drugi zupełnie pierwszemu podobny, lecz najmniéj o półtory stopy od ścian i podłogi zrębu pierwszego oddalony, i w ten to drugi zrąb dobrze opatrzony, rogożami zewsząd wysłany a równy prawie co do wysokości pierwszemu, nasypuje się zboże. Między ścianami pierwszego i drugiego zrębu w środku długości barki, po lewéj jéj zwykle stronie jest pompa do pompowania wody, która się sączy do barki przez ściany zrębu pierwszego i na podłodze osiada. Cały ten zrąb przykrywa się dachem z mocnych desek lub dranic i na mocnych opartym krokwiach, wspierających się zewnętrznemi końcami na ścianach zrębu pierwszego; te krokwie a następnie i sam dach, nie są tak strome jak krokwie domu, są jednak dosyć spadziste, aby nieostróżnie chodzący mógł się z niego stoczyć; sam szczyt dachu

zewnętrznego przykrywa się mocnem wiązaniem z grubego drzewa w kąt zaciosanego, którego wierzchołek albo raczéj grzbiet do wierzchu, a boki wewnątrz w całéj swéj długości wydrążone na dół, to jest na dach opadają. Zapewno dla mocy barki, w samym jéj środku, a przechodzący od samego spodu aż po nad dach, nad który o dwa łokcie wystaje, stoi słup pionowy, mocny i gruby, tak że jego średnica mieć może do 30 cali. Tuż obok tego słupa na dachu na lewéj jego pochyłości, stoi duża kwadratowa z surowego drzewa zrobiona skrzynia, wsparta na czterech słupkach niby nogach, i do większéj swéj połowy napełniona ziemią: jest to kuchnia barki. Cały dzień ogień się na niéj pali, a w nocy dla ostrożności gasi się. Nad ogniem na zewnętrznych i wysokich ścianach skrzyni, kładą się dwa drewniane poprzeczniki przez całą długość skrzyni przechodzące; na tych poprzecznikach zawieszają się kociołki na drewnianych hakach do gotowania jedzenia. Z prawéj strony barki na przeciw pompy, azatém w środku barki i na najniższéj części dachu, jest otwór kwadratowy, którędy ludzie z dachu do środka barki wchodzą. Zboże do wierzchu drugiego zrębu nasypane przykrywa się rogożami pozszywanemi z sobą, a raczéj poprzytykanemi drewnianemi dużemi iglicami. Ponieważ od powierzchni zboża, aż do dachu szczególniéj ku środkowi barki jest dosyć jeszcze miejsca próżnego, azatém kładą się na wierzch zboża worki z mąką, z krupami lub innemi płodami, jeżeli potrzeba tego wymaga. Tam także składają się wiktuały flisów i bohomolców. Rogoże zaś rozesłane na zbożu służy zarazem za posłanie wszystkim ludziom znajdującym się na barce, flisom, bohomolcom, mężczyznom i kobietom. Między powierzchnią rogoż a dachem, jest wysoka przestrzeń (4 łokcie najmniéj), aby można swobodnie pod dachem chodzić, dach ten zniża się zbliżając się ku krawędziom jego, i dla tego wszyscy śpią głowami do krawędzi, pod które się wsuwają. Pod dachem przybijają się półki dla składania

chleba, i wieszają się torby. Z tyłu barki nad dachem i na ścianie zewnętrznego zrębu jest przytwierdzona cała ogromna jodła, której cieńsza i krótsza połowa, azatém lżejsza i z olbrzymiém co do długości i szerokości uzbrojona wiosłem spuszcza się w wodę, a dłuższa i grubsza pochylo sterczy nad dachem; cała ta ogromna massa drzewa nazywa się rudlem (rul). Podobny zupełnie rudel i tak samo przytwierdzony tylko nieco mniejszy, jest z przodu barki i nazywa się dla różnicy *ponosna*. Oba te rudle zarzucają się barkami ramionami, lub sznurami. Dla lżejszéj niby manipulacyi ponosną, to jest: przednim rudlem przytwierdza się do samego jego końca słupek długości wyrównywającéj najwyżéj podniesionego rudla wysokości, i mogący się z łatwością obracać, ten słupek nazywa się *dziewką* (diewka). Jeżeli zatém potrzeba zarzucać ponosnę z jednéj strony barki na drugą, to jest: jeżeli tym rudlem potrzeba odbijać dla nadania barce właściwego kierunku, natenczas jeden z flisów bierze się natychmiast do dziewki, i kiedy rudel zostanie podniesiony do pewnéj wysokości tak, że dziewka stanie prostopadle do dachu utyka ją w miejsce na to naznaczone, rudel podtrzymany tym punktem oparcia się z większą łatwością i mocą przechyla się na drugą stronę. Na zręczném oprawianiu się z dziewką wiele zależy, bo gdyby przez gapiostwo lub niezręczność będący przy niéj nie utkwił jéj w sam czas, i w miejsce na to przeznaczone, dziewka mogłaby mu się z rąk wymknąć, a rudel całym swym ciężarem mógłby spaść na głowy tych, co nim kierują. Zwykle do dziewki wybierają zręcznego chwata. Do większego, to jest: tylnego rudla, potrzeba sześciu do siedmiu ludzi, do przedniego to jest do ponosnéj czterech lub pięciu. Niewiem dla czego tylny rudel jest bez dziewki? W ogóle mechanizm rudlów, jak i urządzenie całéj barki jest głupie, potrzebujące wiele ludzi, i ciężkiéj, bardzo ciężkiéj pracy i wysilenia, którym tylko jeden rossyjski człowiek podołać jest zdolny; tu żadnéj niema sztuki,

tylko sama siła zwierzęca, muskularna wszystko działa, i sztukę zastępuje. Stosownie do wielkości barki i jéj ładunku wioseł jest 30 lub 40, połowa z każdéj jéj strony; ale tak, że jedna ich połowa z jednéj strony barki będąca, jest posunięta ku tyłowi barki, a druga połowa z drugiéj strony barki będąca jest posunięta ku przodowi. Wiosła, a raczéj ich rękojeście, które niczém inném niesą tylko całemi jodłami cienkiemi, przytwierdzają się także na wierzchu barki jak rudle, cięższe i grubsze ich końce na dach wystają, a cieńsze uzbrojone szerokiemi wiosłami spuszczają się do wody. Wszyscy więc pracujący ludzie około barki muszą koniecznie znajdować się na jéj dachu; taka barka, w którą zwykle mieści się od 24,000 do 28,000 pudów zboża, oprócz innych ciężarów i ludzi na niéj się znajdujących, wystaje nad wodę stóp 5; przydawszy do tego wysokość dachu stóp 8, a barka płynąca wydaje się jak jaki spichlerz lub dom.

Barką dowodzi a raczéj kieruje tak nazwany nośnik (szyper); ten powinien znać najdokładniéj w całéj jéj długości łożysko Dźwiny, jéj mielizny, przeszkody; a po nurcie, po barwie wody, wiedzieć powinien, gdzie głębia, gdzie mielizna, gdzie miejsce pewne, a gdzie niebezpieczne. Na nośników wybierają zwykle flisów doświadczonych i często po Dźwinie pływających; kupcy nośnikom, ludziom w tych stronach wielkiego znaczenia, bardzo dobrze płacą. On zwykle stać powinien i zawsze stoi, jak żóraw na warcie, na wierzchu dachu, pośrodku barki, około środkowego słupa, na tak zwanym koniu, to jest, na samym barki grzbiecie i patrzy ciągle przed siebie; jednem słowem, nośnik jest kommendantem barki, którego woli i skinieniu cały ekwipaż jest i musi być posłuszny: i na nim ciąży wielka odpowiedzialność. Oprócz nośnika na każdéj barce znajduje się także tak nazwany gospodarz barki, trudniący się jedynie porządkiem na niéj, między ludźmi. Prykazczyk zaś kupca ma dozór ogólny nad wszystkiemi kupca barkami. Subordynacya

na tych statkach jest wielka i posłuszeństwo bez wymówki. Każdy musi być zawsze przy swojém wiośle lub przy swoim rudlu, aby za danym znakiem każdy rączo i razem wziął się do pracy. Oh! wielka to praca i ciężki zarobek, tak przy wiośle jak i przy rudlach, a nadwerężone zdrowie i nabyta choroba nigdy mi o niéj zapomnieć nie dadzą. Do pędzenia takiéj barki potrzeba 40 do 50 lub czasami do 60 ludzi.

Po przybyciu na właściwą barkę podzielono nas wszystkich na partye i na specyalności: kto do wiosła, kto do rudla. Ja byłem przeznaczony do przedniego rudła; podzieliliśmy się późniéj dobrowolnie sami między sobą, kto z kim miał jadać i naprzemian jeść gotować. Co ukończywszy, obrałem sobie miejsce do spania na zbożu, a ułożywszy się na niém rozmyślałem, jak tu się wziąć do pracy, do któréj niebyłem nawykły i wesół zarazem, że już byłem blizko Archangielska, gdzie, jak sobie ułożyłem, bez trudności mógłem się dostać na jaki europejski okręt, wyjechać z Rossyi i tym sposobem uwolnić się raz na zawsze od obawy ciągle mnie dręczącéj być schwytanym i oddanym w ręce władzy dzikiéj i okrutnéj. W tych myślach usnąłem doczekując się dnia następującego, którego mieliśmy z Wielkiego Ustjuga odpłynąć. Nazajutrz dodnia każdy już był na swojém miejscu: nośnik stojąc na swojém stanowisku donośnym zawołał głosem: *sadiś*, *moliś*, *Bohu*, to jest: siadaj, módl się Bogu. Ilu nas było na dachu, każdy siadł na swojém miejscu; jeden tylko nośnik stał na grzbiecie (koniu) barki, to jest jego przywilej, a raczéj obowiązek. Po minucie siedzenia wstawszy, zaczęliśmy się żegnać znakiem krzyża świętego i kłaniać, a raczéj kiwać, jak to zwyczaj w Rossyi przy żegnaniu się. Poczém wszyscy flisi, nośnik, prykazczyk i bohomolcy, dla uproszenia zapewno szczęśliwéj podróży, każdy wrzucił do rzeki Dźwiny pieniądz miedziany, jakby zakupując u niéj pożądane względy. Chociaż poczytywałem to za głupstwo i niewierzyłem w te gusła, udając

jednak, że w nie wierzę, z wielkiém przykładném nabożeństwem także wrzuciłem do Dźwiny dwie kopiejki. Odwiązano liny, podniesiono kotwicę, barka spokojnie z wodą popłynęła; czasami tylko odbijano rudlami: postrzegłem, że niewielka sztuka.

Dzień z rana był pogodny i płynęliśmy kilka godzin dość szczęśliwie, ale wkrótce niebo się zachmurzyło, powstał wiatr silny i zaczął dąć z tak wielką mocą, że wzniesione i wzdęte bałwany Dźwiny groziły barce rzuceniem jéj na brzeg lub na mieliznę; musiano tedy znowu zarzucić kotwicę i linami barkę mocno do brzegu przytwierdzić. Z tą okropną burzą naleciał nawał śniegu; burza trwała całe dwa dni, a ogromne kupy śniegu pokryły całą nieprzejrzaną przestrzeń. Zimno zaś było tak dokuczliwe, że flisi i bohomolcy kolejno zchodzili z barek na brzeg do domów poblizkiéj wioski dla ogrzania się. Jam i z niéj nie zchodził, bom ciepło był odziany, a do tego już się zahartowałem; przytém nie na to wlazłem na barkę, abym z niéj za lada przypadkiem zchodził. Po burzy i śniegu nastąpiła odwilż, a wieczorami, nocami i rankami gołoledź tak, że po dachu na barce bez niebezpieczeństwa iść było niepodobna. Dwóch z flisów téj barki z tego powodu z dachu ześliznęło się do rzeki: jednego wyratowano, drugi utonął. Jam się z parę razy także był pośliznął po dachu choć niebezpiecznie, ale dzięki Bogu nieszkodliwie, bom ocalał. Nareszcie jednego dnia około południa cała flota barek, opodal jedna od drugiéj dla bezpieczeństwa stojących, ruszyła się z miejsca; piękny to był prawdziwie i zajmujący widok.

Każdą razą, kiedy barka wyrusza z miejsca, gdzie jakiś czas zatrzymała się na kotwicy, nośnik stojący ciągle na samym grzbiecie barki, woła zawsze: siadaj, módl się Bogu; natenczas wszyscy siadają na swoich miejscach, lecz broń Boże usiéść na grzbiecie (na koniu) barki, to byłaby zła wróżba, a nośnik wściekłby się od gniewu. Nośnikowi tylko wolno stać na koniu. Po jednéj minucie

takiego poważnego siedzenia, jak Muzułmanie w swoich meczetach, każdy wstaje, żegna się, kłania i modli — i jam się żegnał i kiwał po moskiewsku: ale modliłem się po katolicku i szczérze prosiłem Boga, aby błogosławił téj podróży, prosiłem go tak szczérze, jak dziecko ojca. Wszystkie te ceremonije i modły były dla uproszenia szczęśliwej podróży. Nad brzegami Dźwiny po jednéj i drugiej jéj stronie jest dosyć wiosek i cerkwi, do każdéj zatém cerkwi żegnaliśmy się i kłaniali.

Czas nastał pogodny i piękny i wesołośmy płynęli. Jeżeli barka szła należytym nurtem, to ją zwykle zostawiano naturalnemu biegowi rzeki, bynajmniéj niepomagając jéj wiosłami tylko odbijając rudlami dla nadania jéj kierunku; wówczas wioślarze odpoczywają leżąc, siedząc, gwarząc lub śpiewając. Lecz jeżeli natrafiono na miejsce niebezpieczne, to jest: że niedaleko była mielizna, lub że prąd wody przy zgięciu rzeki był tak silny, iż mogła barka o brzeg uderzyć i ugrząźć w piasku lub się nawet rozbić, natenczas nośnik woła: wstawaj, zapuszczaj wiosła (wstawaj, zapuszczuj griebi): wówczas to następuje praca dla wioślarzy i rudlarzy, często wiosłują i rudlują bez ustanku godzinę i dwie, aż się krwawy pot z nich leje, choć są rozebrani do koszuli; wówczas to rudle przerzucają się z jednéj strony na drugą tylko siłą fizyczną, jak tylko można najprędzéj, aż do omdlenia rudlarzy; a powiedzieć niemożna: że już niemogę, że sił braknie. Piękny to jest widok patrzeć na wioślarzy kilkunastu lub kilkudziesięciu barek, pokładających się na swoich wiosłach i od nich powstających razem i w takt jak fale pszenicy przy mocnym wichrze. A kiedy dla ochoty krzykną na siebie: no, drużno, to jest: no, z ochotą, to prawdziwie zwijają się z mocą szatana. Jedni tylko Rossyanie zdolni są podobnego ruchu i podobnéj energii: i jam się musiał do nich stósować, bo chociaż byłem przeznaczony do rudla, z przyczyny słabości jednych, a nieobecności drugich flisów, musiałem się wziąć i do wiosła, a nawet i do dzie-

wki, z którą wówczas dość zręcznie się uwijałem, tak, że wkrótce zacząłem uchodzić za jednego z lepszych i najpilniejszych flisów, i kiedym się przypadkiem z potrzeby oddalił, a konieczność wymagała pracy, to wołano: gdzie Ławrenti, na którego pomoc można było liczyć. Z tego powodu łatwo z flisami zaprzyjaźniłem się i byłem od nich lubiony. Jeżeli, a co się często zdarzało i czas był piękny i niebyło czego robić, bo barka z biegiem wody zawsze płynęła, wówczas wioślarze zasiadłszy w koło, różne śpiewali pieśni, ale to po moskiewsku z siłą, z duszą, z ochotą, z melodyą i akcentem temu narodowi tylko właściwym; niektóre pieśni były bojowe, więcej było miłosnych, niby romansów. W ogóle jednak można powiedzieć, że oprócz melodyi, a raczéj sposobu śpiewania, w tych pieśniach była wielka czczość myśli i uczucia, a co jest charakterystyką niemal wszystkich pieśni gminnych rossyjskiego ludu. Z przyjemnością przysłuchiwałem się tym śpiewom, nauczyłem się kilka ich melodyj, nigdy jednak niemógłem się nauczyć akcentu śpiewania, to jest: nagłych zwrotów, zacięcia, i że tak powiem, zahaczenia kończącéj się i jakby konającéj nóty do przejścia do nóty chorowéj, żywéj i pełnéj energii. Jeżeli noc była ciemna, albo gdy w dzień nastała burza lub wiatr mocny, barka musiała stawać na kotwicy; jeżeli zaś noc była pogodna, co z nielicznym wyjątkiem prawie było zawsze, płynęliśmy bez przerwy dzień i noc. Jednak mimo wszystkie ostrożności, nasza barka dwa razy weszła na mieliznę; pierwszą razą po dwugodzinnéj pracy sam ekwipaż barki ztamtąd ją wycofał, ale drugą razą tak mocno zaryła się w piasek, że z dwóch innych barek ekwipaże przyszły na pomoc. Do wycofania barki użyto bardzo prostéj maszyneryi, nazwanéj strzałą (striela), która niczém innem nie była tylko tylnym rudłem, będącym zwykle całém ogromném drzewem, jodłą grubą i wysoką, jak maszt okrętowy. Odwiązano zatém rudel od barki i postawiono go pionowo w wodzie, aby się oparł o dno rzeki, przy jednym

boku i pośrodku długości barki; rudel tak prostopadle do powierzchni wody postawiony nazywa się strzałą; na wierzchu téj strzały przystrojono mocną pulę, na którą zarzucono wielkiéj grubości linę, któréj jeden koniec okręcony jest około środkowego słupa barki, jako punktu środkowéj grawitacyi całego jéj ciężaru, a za koniec drugi któréj ciągną ludzie stojący na téjże saméj barce, aby ją z miejsca wzruszyć i na wodę spławić; lina dwiema wstecznemi lecz nierównemi siłami ciągniona, skracając się, coraz wzrusza a w końcu podnosi barkę; tego sposobu użył nośnik Żukow z drugiéj barki innego kupca na pomoc przybyły. Praca ta ciężka trwała przeszło dwanaście godzin, nim barka szczęśliwie popłynęła. Nierzadkie na Dźwinie bywają przypadki, że barka uwiązłszy w piasku na zawsze tam została; zboże z niéj na inną barkę przesypywać potrzeba, albo jeżeli się nadwerężyła, rozszczepiła, zboże do Dźwiny spłynęło, albo przez zamoczenie zupełnie się popsuło. Takowe przypadki są wielkiém dla kupców nieszczęściem; bo oprócz kapitału włożonego w zboże, traci jeszcze kapitał włożony na pobudowanie barki, która z opłatą, jaka się daje rządowi za pozwolenie pobudowania, wynosi, jak mi wiadomo, do trzech lub więcéj tysięcy rubli assygnacyjnych. Oprócz tych wielkich barek chodzą po Dźwinie mniejsze jeszcze nierównie statki nazwane karbasami; te karbasy w kształcie dużéj łodzi, a raczéj zwykłego statku z masztem pobudowane, mogą mieścić w sobie od 500 do 2000 pudów ciężaru. Mają pokłady i zwykle służą do przewożenia mąki, jagieł, krup, ryby, mięsa itd. Duże barki służą tylko jedynie do przewożenia zboża.

Kiedy barka stała na miejscu w nocy, każdy z kolei po dwie godziny musiał stać na dachu dla warty, mniejsza czy deszcz, czy śnieg, czy burza. Tymczasem coraz ściślejsze z mymi kolegami pozabierałem znajomości; fizyonomija jednego z nich bardzo mi się podobała i wpadła w oko; miał lat około 40, mocny, brunet, gdy

tymczasem mieszkańcy tych okolic są blondyni, biali, rysy twarzy miał łagodne i szlachetne, i był dobrym, poczciwym i koleżeńskim człowiekiem; słowem, pod wielu względami różnił się od ogółu flisów i bohomolców. To musi być z rodu polskiego, pomyślałem sobie; ale ponieważ Rossyanie mają zwyczaj wołać się między sobą tylko po imieniu chrzestném, niemógłem zatém wiedzieć jego nazwiska familijnego. Nieznacznym sposobem w toku rozmowy , zapytałem go o jego nazwisko; odpowiedział, że się nazywał Matkowski, urodził się w archangielskiéj gubernii, dokąd jego ojciec przybył gdzieś z głębi Rossyi, a dziad był z nad Dniepru; a więc się niezawiódłem, pomyślałem sobie; oh! gdzież dzisiaj niema rozproszonego lackiego pokolenia?!

Dźwina ma dno piaszczyste i często zmienia łożysko nurtu, jest dość bystrą i w tę porę roku mocno i daleko rozlewa, tak że w niektórych miejscach jéj szerokość do kilka werst zajmuje; przy samém Archangielsku jéj szerokość być może do trzech werst czyli do tysiąca pięćset sążni. Po nad Dźwiną z obu jéj stron gęsto choć niewielkie wioski i bardzo pięknie choć z drzewa pobudowane; domy zwykle są dwupiętrowe, lecz zwyczajem w tych stronach przyjętym wcale niebielone, ale zwykle te wioski pięknemi murowanemi cerkwiami są przyozdobione. Jużem mówił, że tam bardzo wiele jest świętych miejscowych, a zatém przed każdą cerkwią niemal na cześć tych świętych potrzeba było żegnać się, modlić i kłaniać, prawie w pół drogi do Archangielska na prawym brzegu Dźwiny w jedném niewielkiém miasteczku, jest święty Mikołaj cudowny szczególniejszy patron Rossyi i rossyjskich majtków; każdéj barki ekwipaż musi się koniecznie składać stosownie do swojéj możności i chęci dla tego św. Mikołaja. Im bliżéj Archangielska, tém domy wsiów są okazalsze, obszerniejsze i zwykle o piętrze. Z bardzo wielu wsi nadbrzeżnych mnóstwo kobiet i dzieci płci obojga podpływają na łódkach pod barki, prosząc o jałmużnę

i mówiąc tonem wpólśpiewającym i bardzo żalosnym: *Batiuszki*, *Diadiuszki*, *dajtie chlebca*. W kilku miejscach, około wpół drogi do Archangielska, wyjeżdżający na łódkach i proszący o jalmużnę, śpiewają piosnkę, życząc, aby płynących Bóg szczęśliwie do portu doprowadził i pozwolił wrócić do domu; wyrazy téj piosnki są szczęśliwie dobrane, myśl piękna, poetyczna, a jéj nóta tak zajmująca, tak tęskna, że z prawdziwą przyjemnością jéj się przysluchiwałem; żałuję, że ani wyrazów, ani melodyi nie mogłem spamiętać. Każdy zatém z flisów, co ma, to daje; zwykle daje się chleba. Wyznać potrzeba, że u tego ludu rossyjskiego, o ilem go poznał, jest serce prawdziwie dobre, chrześciańskie i milosierne. Wieśniak rossyjski, chybaby wcale nic niemiał, aby proszącemu o jalmużnę, nic nieudzielil; a jeżeli ma kawał chleba przy duszy, i tym się z bliźnim podzieli. Pod tym względem ludzie i narody tak nazwane barbarzyńskie, daleko przewyższają ludzi i narody tak zwane ucywilizowane. Niechcę się rozwodzić nad tak rażąca różnicą, chociaż bardzo łatwo dostrzedz jéj przyczyny; powiem tylko: że u ludów ucywilizowanych, skrzywieniem najświętszych zasad chrześciańskich, następstwa są sprzeczne z temi zasadami. Brzegi Dźwiny i ich okolice niemają nic zajmującego: lasy tylko po największéj części sosnowe i jodłowe, w wielu miejscach wyrąbane dla przepalenia ich i przetopienia na smołę, lub na rozmaitego rodzaju budowle, tarcice i gonty, są jedyną ich ozdobą, jeżeli dzikość przyrody tych brzegów i tych miejsc bez powabu nienadawałyby im pewnego uroku. W niektórych miejscach brzegi Dźwiny są bardzo strome i wzgórkowate, choć niezbyt wysokie. Brzeg prawy Dźwiny jest nierównie wyższy od lewego.

Mieszkańcy archangielskiéj gubernii, są dość rośli, kształtni, blondyni; ubierają się niemal wszyscy, z wyjątkiem mieszczan, w białe sukmanki nakształt wieśniaków krakowskich, w wysokie pilśniowe kapelusze, z których

najwięcej cenne i w modzie u młodych fanfaronów są tak nazwane kapelusze z periechwatom, to jest: będące pośrodku zwężone, u góry szerokie, nakształt kaszkietów ułańskich, tylko że okrągłe; kobiety w ogóle bardzo czysto, gustownie i kokieteryjnie się ubierają. Przepływając około miasta Kołmogorow, niedaleko Archangielska i opodal od brzegów Dźwiny leżącego, lecz którego szczyty cerkiew ztamtąd wyraźnie widzieć się dają, przywitałem życzliwém sercem to miejsce, które było kolebką pierwszego grammatyka rossyjskiego, sławnego Łomonosowa, i dziwiłem się, jak w tych stronach podobny człowiek mógł się narodzić, który jeszcze za czasów Elżbiety Piotrównéj carycy, swéj wielkiéj protektorki, śmiał odważyć się pisać przeciw brodom tak w Rossyi poważanym księży greckich, dowodząc serio-ironicznie, że ponieważ na tamtym świecie dusze wszystkich ludzi będą bez bród, a zatém słuszna jest, ażeby popi ich i tu na ziemi nienosili, że nawet nosić niepowinni, jeżeli niechcą być w sprzeczności z religią chrześcijańską. Tym dowcipnym Łomonosowa żartem tak duchowieństwo grecko-rossyjskie było oburzone i rozżarte, że bez szczególnéj opieki i woli carycy byłby Łomonosow poszedł na tortury (pytki), jak to był wówczas jeszcze w Rossyi zwyczaj. Bydło rogate kołmogorskie jest sławne na całą Rossyą; krowy kołmogorskie są pięknéj rassy, duże i niezwyczajnie dające wiele mleka. Bydło kołmogorskie w którąkolwiek stronę Rossyi przeniesione dla rozpłodu, prędko się rozradza i traci sobie właściwe przymioty; trudno tego dociec przyczyny, zdawałoby się jednak, iż to zależy od zmiany pokarmu i od braku pastwisk podobnych pastwiskom naddźwiniańskim.

Im bliżéj podpływaliśmy pod Archangielsk i zbliżaliśmy się ku końcowi maja, tém więcéj nocy się skracały, a ostatnia noc przed przybyciem do Archangielska była tak widna, że można było czytać i pisać, a tak krótka, że ledwie parę godzin było przedziału między zachodem

a wschodem słońca. Kiedy nakoniec o wschodzie słońca szczyty wież cerkiewnych miasta Archangielska się pokazały, wszyscy wydali okrzyk radości; tymczasem miasto się coraz więcéj odsłaniając, coraz wspanialszy widok przedstawiało, do czego niepomału się przyczynił piękny, jasny poranek poczynającego się lata. Jeszcześmy opodal byli od miasta, kiedy flisi, stosując się do miejscowych przesądów, kuchenną skrzynię wraz z ziemią w niéj będącą, słowem, całą kuchnią z największą uroczystością zwalili do Dźwiny. Każda barka tak samo postępuje ze swą kuchnią. Za zbliżeniem się do Archangielska stojącego na prawym nierównie wyższym od lewego brzegu, widzieć się dawały na jego początku od wjazdu szpetne i nikczemne drewniane domki, ale płynąc daléj wzdłuż miasta domy stawały się coraz okazalsze i wspanialsze, a brzeg prawy Dźwiny zdobiące. Archangielsk zdał mi się i jest rzeczywiście bardzo długim i mającym widok wielkiego miasta. Nareszcie płynąc wzdłuż Archangielska, barka się zatrzymała na drugim jego końcu niedaleko od brzegu prawego, nieopodal przed mostem drewnianym pobudowanym na przesmyku Dźwiny, a łączącym miasto Archangielsk z wyspą i przedmieściem dość obszerném nazwaném jedno i drugie Sołonbał. Ledwo się barka zatrzymała na kotwicy i została przytwierdzoną linami do brzegu, pierwszą czynnością flisów było łamanie wioseł, to jest tych części wioseł, które się w wodę nurzają; to także należy do przesądów miejscowych flisów. Stanąwszy u portu Archangielska, dopiąłem prawie w połowie celu mych życzeń, bo jak sądziłem, ztąd łatwo wsieść na jaki okręt cudzoziemski. Nasza barka przypłynęła jedna z najpierwszych. Odebrawszy tedy mój pseudo-pasport i wziąwszy za mą krwawą pracę zarobionych 15 rubli assygnacyjnych, wesoło i ochoczo, tak z bohomolcami jak i niektórymi flisami, przesiadłszy z barki na łódkę, wypłynąłem na brzeg i udałem się do miasta w całém tém towarzystwie; flisi szli za interessem osobistym, a boho-

molcy i ja z nimi szliśmy do Sołowieckoho dworca (sołowieckiego domu).

Idąc wybrzeżem czysto i pięknie brukowaném, dziwiłem się czystości i porządkowi miasta, jak i piękności jego domów: ale zaprzątnięty ważniejszemi myślami, patrzałem jakby z niechcenia na to wszystko, co mnie otaczało. Co dalej począć? jakim sposobem dostać się na okręt? oto myśl co mnie zajmowała jedynie. Dla pokrycia jednak mych uczuć i zamiarów, szedłem spokojnie i udałem się wraz z innymi bohomolcami do Sołowieckiego Dworca. Tam mnie przyjęto, jak każdego innego bohomolca bez trudności i wcale niepytając o pasport. Złożyłem podług zwyczaju w tym Dworze przyjętego, mój tłomoczek na ręce klucznika, który go zamknął do komory. Sam zaś pochodziwszy cokolwiek w tłumie bohomolców, i przypatrzywszy się miejscowości, wyszedłem niby dla przypatrzenia się miastu, w rzeczy zaś saméj, aby daleko od zgiełku módz swobodnie zastanowić się i wynaleźć sposoby wydostania się z Archangielska i z Rossyi. Przechodząc zatrzymałem się przy pięknéj statui Łomonosowa dla przypatrzenia się jéj z bliska, a stojącéj prawie w środku długości miasta na obszernym zieloną murawą pokrytym placu. Łomonosow w postaci kolossalnéj, z odkrytą głową i rzymską togą przyodzian, jest lany z bronzu, i lewą ręką sięga po arfę, którą mu geniusz w postaci skrzydlatego aniołka na klęczkach podaje. Cała ta gruppa jak mi się zdawało, tak pod względem myśli jako też i sztuki, dobrze pojęta i wykończona stoi na niewielkiéj wysokości (może 10 lub 12 stóp z podstawą) słupie; ale czy okrągłym lub czworobocznym, marmurowym czy granitowym, tego już niepamiętam; pamiętam tylko jego kolor nieco czerwonawy. Udając gapia zatrzymałem się przy wielu innych wieśniakach na barkach przybyłych i przypatrywających się statui, a chcąc się przekonać, czy wiedzą na kogo patrzą, i czy znają przynajmniéj nazwisko tego człowieka, zapytałem jednego

z nich, który zdawał się być między nimi najmędrszym, bo wiele rozpowiadał: *a szto oto takoje?* (a co to takiego?) Da szto, odpowie: to był wielki czarodziéj, umiał czytać na gwiazdach, deszcz, burzę i pogodę sprowadzać, i przyszłość przepowiadał; a temu dziecięciu (malczyku) swą umiejętność przekazuje, podając mu czarodziejski instrument, którego strony tyle różnych wydają dźwięków, ile być może przemian różnych w świecie i różnych losów między ludźmi. Że Łomonosow patrzał na gwiazdy, że wzdychał sercem do nieba jak każdy poeta szukający natchnienia, nic w tém niepodobnego do prawdy, ale że był czarnoksiężnikiem i przyszłość przepowiadał, to tylko dowodziło głupotę tłumaczącego i słuchających go. Idąc daléj wszedłem na środkową miasta ulicę, przez całą jego długość ciągnącą się; pięć szóstych najmniéj domów jest drewnianych, ale bardzo okazale i wspaniale pobudowanych; ulica zaś prosta, czysta i porządnie brukowana: zwróciwszy się nieco na lewo, u samego końca miasta spuściłem się nieco na dół i wszedłem na most drewniany, o którym już mówiłem, łączący miasto z wyspą Sołonbał, a za przejście przez który trzeba zapłacić kopijkę. Zaraz za mostem na prawo, już na wyspie Sołonbał stoi dom drewniany, obszerny, bez piętra, niby pałac; to jest mieszkanie gubernatora, czy wice-gubernatora. Idąc daléj na prost w kierunku mostu, prostą, szeroką, lecz niebrukowaną ulicą, na jéj prawéj ręce rozściela się szeroko przedmieście Sołonbał z kilku set domów, drewnianych, nikczemnych, na nizinie i prawie na trzęsawisku śród błota pobudowanych, złożone; wprawdzie ulice Sołonbału są wyrównane, ale na nich pełno błota i wody, mimo że gdzie niegdzie są pomosty drewniane. Po domach i po sklepach wilgoci a nawet i wody pełno. Może w lecie tego niema, ale w czasie mojego przybycia tak było zupełnie jak opisuję. Na lewo zaś téj ulicy zbliżając się ku portowi, naprzeciw niewielkiego rynku brukowanego, i jako tako zabudowanego, stoją piękne, okazale, o kilku

piętrach, murowane i bardzo obszerne koszary, i tuż przed niemi czysty, wyrównany, przestronny i zieloną pokryty murawą plac, na których żołnierze się mustrują, a na który nikomu z cywilnych wejść niewolno, bo jest sztachetami ogrodzony; tuż za koszarami i po lewéj także ręce, jest warstat gdzie się budują okręty; ten warstat nazywa się po rossyjsku werf' i znajduje się na południowym cyplu wyspy, tuż pod samym portem. W samym końcu ulicy przypierającéj do portu, tuż za warstatem, stał wówczas nowo zrobiony i już spuszczony na wodę piękny okręt wojenny o trzech masztach; był ochrzcony jakiémś carskiém, czy carskiéj familii mianem, ale już zapomniałem. Stanąłem tedy nad samym portem ciągnącym się na prawo, daleko wzdłuż wyspy Sołonbał.

Chociaż to było przy samym dopiero końcu maja, do dwudziestu kilku jednak zagranicznych okrętów w porcie się już znajdowało; najwięcéj było angielskich, reszta holenderskich, szwedzkich, norwegskich i hamburgskich, a żadnego francuzkiego. Zwróciwszy się zatém w prawo, poszedłem wzdłuż portu, mijając jeden okręt po drugim; niby gapiąc, przypatrywałem się pilnie, z uwagą, chciałbym był z jakim z majtków porozumieć się, rozmówić, ukradkiem, potajemnie, po francuzku lub po niemiecku, ale wszędzie byli natrętni świadkowie: oprócz tego na każdym okręcie cudzoziemskim stał lub przechadzał się jeden żołnierz rossyjski z dwiema lub trzema szewronami, świadek ciągły, bo dzień i noc na pokładzie będący, i natrętny wszystkiego świadek, co się dzieje na okręcie i zna wszystkie osoby do tego okrętu należące jak i ich liczbę, obcemu na ten okręt wejść niemożna. Nadto, oprócz tych żołnierzy na każdym okręcie będących, stał długi łańcuch szyldwachów pieszych; nikt do okrętu wejść ani z niego wyjść niemógł, póki nieudowodnił, że do tego okrętu należy. Snuło się także wiele ludzi z pospólstwa i mieszczan; jak tu przy nich mnie po chłopsku przebranemu, chłopu rossyjskiemu, odezwać się po francuzku lub po nie-

miecku? Czyżby to od razu nieściągnęło na mnie jakiego podejrzenia, jak równie i na moje zamiary? Czyż majtek, z którym miałbym był sposobność pomówienia, niemiałby był także jakiego podejrzenia i obawy? zresztą bez kapitana okrętu przyjąćby mnie niemógł na okręt, a sam kapitan nawet, czyby niebył w stanie powątpiewać o mnie i sądzić, że to łapka na niego ze strony władzy nasadzona: te i tym podobne nastręczając mi się uwagi, miotały naprzemian moją determinacyą. Jednak uparłem się mówić z jakimkolwiek majtkiem gdzie na ustroni, bez świadków: a później nawet z samym kapitanem okrętu. Ale cały ten dzień przechodziwszy nad portem, szczęśliwej nieznalazłem sposobności i smutny nad wieczorem wróciłem nazad do sołowieckiego dworca dla przenocowania. Przechodząc obok statui Łomonosowa, zatrzymałem się i tą razą przed nią, dla lepszego jej przypatrzenia się: stał przed nią jakiś młody człowiek porządnie po mieszczańsku ubrany, z kobietą, zapewnie swą żoną i w suknią i kapelusz przystrojoną. Mężczyzna przyglądał się statui z wielką naiwną wesołością: sądząc, że musi wiedzieć, kogo ta statua wyobraża, dla ciekawości i przekonania się z gapiowską miną, jak poprzednio zapytałem go: proszę mi powiedzieć co to jest? Czy ty niewiesz, odpowie z uśmiechem i kiwając głową, że to był wielki rycerz? Ho, pomyślałem sobie, cóż to dalej będzie. Ale jakże się nazywa? Aleksander Iszy, odpowie. Małom nieparsknął od śmiechu i natychmiast odszedłem, aby mi jeszcze niepowiedział, że geniusz klęczący był następcą rossyjskiego tronu. Taką znalazłem niewiadomość narodowych rzeczy w ludzie tamtych okolic.

Sołowiecki dworzec i cały jego dziedziniec dość obszerny były napełnione i zasłane bohomolcami zabierającymi się do snu: niektórzy z nich jutro rano mieli już płynąć na karbasach do sołowieckich monasterów; zachęcającym mnie do podróży odpowiedziałem: że będąc trochę niezdrów, muszę jeszcze jutro odpocząć, i dla wy-

nalezienia miejsca poszedłem do domu: ale we wszystkich jego pokojach i na wszystkich piętrach, pełno było bohomolców. Z piętra tedy na piętro, dostałem się po schodach aż pod sam strych domu, równie jak pokoje napełniony: ledwie mogłem znaleźć dla się kącik mały w samym rogu dachu i tuż pod nim: między mną, a tuż obok mnie śpiącymi a raczej tylko leżącymi, było miejsce próżne na jednę osobę, które umyślnie zostawiłem dla uchronienia się od wszów, których bohomolcy, zapewno dla większego umartwienia, krociami mają, ale przyszła jakaś pokutnica i zabrawszy je, położyła się obok mnie. Na tém poddaszu byliśmy ściśnięci, jak śledzie w beczce: starzy i młodzi, kobiety i mężczyzni, wszystko to leżało pokotem i tuż obok siebie: jedni gwarzyli, inni już usnęli, jam cicho leżał i dumał. Z tego com widział nad portem, przekonałem się, że w mojém położeniu wielkie są trudności do pokonania, a prawie nawet niemożność dostania się na jakibądź okręt. Postanowiłem jednak użyć wszystkich sposobów, aby z majtkiem, lub z samym nawet mówić kapitanem. Moim smutnym dumaniom przeszkadzały wszy, co się na ciele wylęgły i coraz w większej liczbie od bohomolców przybywające, i sąsiadka, która krwi bardzo gorącéj, rzucała się na wszystkie strony i rozmaite przybierała pozycye.

Nazajutrz rano część bohomolców odpłynęła do sołowieckiego monasteru, a większa część ich do dworca przybywała: gdyż barki coraz w większej liczbie z Wielkiego Ustjuga do Archangielska przybywały: ja rano zaszedłem do cerkwi należącéj do dworca i tuż przy nim pobudowanéj; pełno było w niéj bohomolców: jedni kazali nad sobą, to jest nad swą głową, odprawiać modlitwy, inni akafysty (antyfony) i różne cerkiewne ceremonie; inni zaś schyleni, trzymali na głowie ewangelią. Ewangelia ta in folio: ogromnemi głoskami drukowana, miała więcej dwóch stóp długości i stósownie była szeroką i grubą; okładki miała grube drewniane, czarną skórą powleczone, na których było lanych ze srebra 12 apostołów, po 6 na ka-

żdéj strony okładki; ciężar ten ewangelii musiał być bardzo wielki, sądzac z jéj ogromu i wysileń popa, który ją dźwigał. Kto chce, aby nad nim czytano ewangelią, stojąc schyla się tak nizko, aby pop mógł na głowie położywszy ewangelią czytać. Jeżeli jest kilka głów razem schylonych, ciężar ewangelii rozkładając się na nie, nietyle jest dotkliwym, ale podług mniemania ludu nietyle modły są skuteczne, bo zamiast na jednę osobę, skutek ewangelii rozkłada się na osób kilka. Ale jeżeli ewangelia na jednéj spoczywa tylko głowie, o co się bohomolcy bardzo ubiegają, to trzeba prawdziwie moskiewskiego karku, aby ten ciężar, niemówię bez przerwania medytacyi religijnéj, ale bez nadwerężenia samego karku, przez cały kwandrans, przez który trwa czytanie ewangelii znieść można było. Ale rossyjskiemu człowiekowi (ruskomu czełowieku) wcale to nieszkodzi. Widziałem jak jeden mużyk (chłop) wjatski, po takiéj nad jego głową modlitwie, w czasie któréj krwią mu nabiegły żyły oblicza, wyszedłszy z cerkwi rzekł: sława Bogu, po przeczytaniu nademną ewangelii, jakby ręką odjął ból głowy, który od tak dawna cierpiałem. Za wszystko się płaci; kto da więcéj, temu głośniéj i szczerzéj czytają i śpiewają, kto zaś da mniéj, temu śpiewają ciszéj i jakby z niechcenia. Rozpatrując się po Archangielsku, poszedłem znowu na Sołonbal i kazałem jednemu szewcowi, odstawnemu żołnierzowi podszyć parę butów, którem zdarł w podróży, przyrzekł poszyć je jutro rano i dotrzymał słowa: miałem znowu dwie pary butów. Od szewca udałem się wprost nad port: ta sama ostrożność, te same przeszkody: dwa czy trzy okręty już się ładowały zbożem, za kilka dni już odpłyną; jakże chciwém okiem patrzałem na te okręty! z jakąż swobodą myśli i uczucia, raz będąc na okręcie i wolnym od obawy być schwytanym, oddałbym się uniesieniom i pewności słodkiéj nadziei i dopięcia mojego zamiaru. Z niektórych okrętów wynoszono balaszt, a coraz nowa liczba okrętów cudzoziemskich przybywała: lecz żadnéj francuzkiéj ban-

dery. Szukam sposobności mówienia z majtkami, spotykam trzech nieco opodal od brzegu i od ciżby, do okrętu coś przyprawiających: niby się przypatrując i gapiąc zapytałem po francuzku: zkąd jesteście? nic nieopowiedziawszy patrząc tylko na mnie śmieli się; o to samo zapytałem ich po niemiecku? taka sama odpowiedź. Zapytałem ich nareszcie dwoma językami: gdzie kapitan okrętu? Pokręcili tylko głową swoje robiąc i śmiejąc się; trudno się porozumieć, świadkowie nadeszli, musiałem się oddalić. Idąc wzdłuż portu zwróciłem się na prawo między łozy wyspy Sołonbał i zrzuciwszy z siebie odzienie i tak dalej, zacząłem się mścić z zaciętością nad słabszym od Moskala, ale równie dokuczliwym nieprzyjacielem, nad wszami, które się krociami zagnieździły. Ten szczegół wcale niejest poetyczny, a tém mniéj miły do czytania, ale z bajki się słowa niewypuszcza, jak mówi przysłowie i nędza ludzka ma swoję także poezyą, z tą tylko różnicą, że niejest ułudą, tylko rzeczywistością. Wracając z polowania, choć woda była jeszcze zimna, szczególniéj w tamtych stronach o téj porze roku, wykąpałem się w niéj do syta i uczułem się rzeźwiejszym. Póżniej wróciwszy nad port, szukałem sposobności mówienia z majtkami, lecz żadnéj nieznalazłem: i ten więc dzień zszedł bez skutku. Wróciłem tedy znowu do miasta i zwykłym sposobem przenocowawszy w sołowieckim dworcu, rano znowu udałem się na port; lecz wszystko było napróżno; a dłużéj nad trzy dni we dworcu pozostać niemożna było. Gdybym był miejscowym, albo przynajmniej zaopatrzonym dobrym i niepodejrzanym pasportem, mógłbym może długi czas w Archangielsku zostając, znaleźć sposobność pomówienia i porozumienia się z majtkami, a nawet jakim kapitanem okrętu, dowiedziawszy się wprzód od nich gdzie on bywa, gdzie go znaleźć można i jakim sposobem wypadałoby z nim mówić? Lub gdybym był porządnie i czysto ubrany, mógłbym bywać w kawiarniach lub restauracyach porządnych, gdzie mówiąc nawet ob-

cym językiem, niczyjéj niezwróciłbym uwagi i mógłbym w końcu spotkać się, pomówić, porozumieć się z jakim kapitanem okrętu. Ale w mojém położeniu ani jedno, ani drugie było niepodobném.

Z tych i innych względów, i z rozmaitych dotychczasowych usiłowań, przekonawszy się najoczewiściéj o niepodobieństwie dostania się na okręt i płynienia na nim, z prawdziwym bólem serca i głębokim smutkiem widziałem się zmuszonym daléj przez Rossyą znowu na pieszo odbywać podróż, znowu się tułać po lasach i pustyniach i znowu się lękać ludzi i przed nimi ile możności ukrywać. Dwie zatém obrałem sobie drogi do dostania się do Francyi, w obu razach wypadało mi koniecznie iść naprzód wzdłuż południowego brzegu morza Białego aż do miasta Onegi; tu doszedlszy, albo wziąść się na prawo i przez bagna przez Finlandyą na północ dójść aż do rzeki Torneo, wpadającéj do północnéj części odnogi Botnickiéj i stanowiącéj granicę między Rossyą a Szwecyą; przepłynąwszy rzekę przejść Szwecyą na południe, zkąd jakimkolwiekbądź sposobem dostać się do Francyi; albo z Onegi miasta pójść wzdłuż południowego brzegu morza Baltyckiego, około Rossyi przez Inflanty i Kurlandyą, i dostawszy się około Połągi do Prus, dostać się w Poznańskie; a ztamtąd gdyby potrzeba kazała do Francyi. Na wszelki wypadek iść mi naprzód wypadało do miasta Onegi. Z Archangielska do Petersburga idzie także wielki pocztowy gościniec, najprostszy, a zatém najkrótszy i najwygodniejszy; z Archangielska do Petersburga tym gościńcem, jak mi mówiono, jest tylko tysiąc czterysta werst, czyli dwieście mil polskich: ale tym gościńcem pójść niemogłem z przyczyny mojego pasportu i zwykłéj czujności władz rossyjskich. Ale nim dalszą opowiem mą podróż, niech wolno mi będzie zatrzymać się nieco jeszcze nad archangielskim i sołowieckim monasterem.

Archangielsk, jak już wiadomo, leży na prawym brzegu Dźwiny wznioślejszym od lewego, i o czterdzieści

lub sześćdziesiąt werst od jej ujścia do morza Białego. Miasto jest bardzo długie, ale stosunkowo do długości, bardzo wązkie, a pobudowane tak samo jak Petersburg, na bagniskach po rossyjsku nazwanych Tundra, a zatém na upośledzonéj od przyrody ziemi; praca jednak, sztuka i przemysł uczyniły z Archangielska rzeczywiście piękne miasto. Wiele jest wspaniałych cerkwi i domów murowanych, reszta z drzewa, ale porządnie pobudowanych i czysto utrzymanych; wyjąwszy tylko tę część miasta, która się znajduje od wjazdu od strony Wielkiego Ustjugu; jedna tylko, dobrze brukowana, szeroka i czysto utrzymana ulica przechodzi przez całą długość miasta, poprzecznych zaś ulic pod kątem prostym przecinających podłużną jest kilkanaście. Jest wielki plac niebrukowany i zieloną murawą pokryty, na którym stoi statua Łomonosowa niedaleko i przed frontem jednéj cerkwi, nazwałbym tę część miasta najpiękniejszą. Za tym placem idąc obok sołowieckiego dworca, nieco daléj i na prawo znajduje się obszerny na pochyłości ku Dźwinie i brukowany rynek, miejsce targów; tu wszystkiego co tylko do jadła jest potrzebném, można dostać: śledzi, mięsa, ryby, wódki, mleka, sera itd.: funt chleba żytniego dobrze upieczonego kosztuje 5 do 6 kopijek, a pszennego pytlowego kop. 10, wódka droga i zła. Ile razy jeść mi się zachciało, poszedłem na rynek, kupiłem mleka z tworogiem na pół zmieszanego, i tam na miejscu na rynku, sposobem przyjętym zjadłem, przekupka udzieliła mi miski i łyżki; nabiał i ryby są bardzo tanie. Za tym rynkiem nieco niżej tuż nad samą Dźwiną, jest przystań barek i łódek, i targowisko. Tam mnóstwo tych łódek i barek ładowanych owsem, jęczmieniem, sianem, bydłem, drobiem, jajami itd. z stolic przybywa. Idąc od Sołonbału ku sołowieckiemu domowi samém wybrzeżem, wszystkie domy tego wybrzeża porządnie wybrukowanego, są piękne i okazałe, między niemi odznacza się dom Anglika, o którym już wspomniałem, a którego niepamiętam nazwiska; przy do-

mie jest piękny dziedziniec, niby ogród drzewami nasadzony; przed tym domem na samym brzegu Dźwiny stoi wysoki maszt z linami, koszem (hune) i banderą angielską, a przy tym maszcie jest piękna altana. Niedaleko domu, i w téj saméj linii jest dość obszerny gmach murowany, jest to jak mi mówiono raffinerya cukru, będąca własnością Anglika, a która dostarcza cukru nawet do Syberyi przez Wielki Ustjug, itd. Daléj widne były szczątki niby ruiny jakiegoś opuszczonego, a obszernego magazynu z czerwonéj cegły. Cała część tego wybrzeża pięknie wybrukowana, a dla podtrzymania brzegów Dźwiny powbijane są pale, lub porobione drewniane parkany. Przy długiéj ulicy widziałem jeden gmach nowy, jeszcze zupełnie niedokończony, lecz obszerny i ozdobny; mówiono mi, że to miał być teatr. Archangielsk w ogóle jest piękne, wesołe i bardzo czyste miasto: widok z niego na lewy brzeg Dźwiny daleko się rozszerza, ale jak tylko którąkolwiek z poprzecznych uliczek wyjdziesz za miasto, aż ci się tęskno zrobi, tak smutna przyroda; i tuż pod miastem, pod domami zaraz jest tundra, to jest: bagnisko z drzew ogołocone, i tylko zielonym mchem pokryte. Przy samym końcu północnéj części Archangielska, a jedném wyższém ramieniem Dźwiny od niego oddzielona, znajduje się obszerna, lecz niska, bagnista i łozą pokryta wyspa Solonbał, na któréj jest przedmieście tegoż nazwiska. Ponieważ o tém przedmieściu dość już mówiłem, dodam tylko dla dopełnienia jego opisu niektóre szczegóły. Portem nazywa się po prostu brzeg Dźwiny na południo-zachód wyspy, do któréj okręty przystają: wzdłuż tego brzegu, to jest: portu powbijane są ogromnéj grubości nizkie słupy, do których się okręty przytwierdzają; a z ilości tych słupów można wnosić, że kilka set okrętów rok rocznie tam przybywa. Nad portem niedaleko, i wzdłuż brzegu pobudowanych jest kilka dużych kucheń drewnianych, tak nazwanych angielskich, gdzie majtkowie cudzoziemscy, najwięcéj zapewne Anglicy jeść sobie

gotują i ogrzewają się. Do środka tych kuchni wejść nieśmiałem. Niedaleko od portu stoi kilka drewnianych magazynów, gdzie kupcy zsypują zboże i zkąd to samo zboże ładuje się na okręty; najczęściej jednak i prawie zawsze tak się zdarza, że barki ze zbożem przybyłe z Wielkiego Ustjugu do Archangielska, podprowadzają się pod okręty, do których z nich zboże przesypuje się; te barki tym lub innym sposobem wypróżnione niepłyną nazad do Wielkiego Ustjugu, ale się sprzedają na miejscu; gdyż drzewo z nich jest przydatne do różnego rodzaju budowli i rękodzieł; na okręty ładowne zbożem, bierze się także czasami i pewna ilość drzewa. Ludność Archangielska może wynosić, o ile mogłem wnosić, od 20,000 do 25,000 ludzi, nielicząc w to przybyszów w wielkiej liczbie tu znajdujących się; ruch w mieście i w porcie jest wielki. Około Archangielska znajdują się tartaki, hamernie i innego rodzaju zakłady. Dla ułatwienia handlu i przewozu, znajdują się w Archangielsku dwa parostatki, którem na własne widział oczy. Mieszkańcy Archangielska ubierają się czysto i wykwintnie: z tego względu możnaby Archangielsk nazwać miastem fastionablów ryssyjskich mieszczan, i którzy przeciw rossyjskim, a nawet w ogóle przeciw słowiańskim zwyczajom, poświęcają potrzebę żołądka, dla potrzeby stroju. Między żołnierzami tam znajdującym się, byli także i Polacy, ale z żołnierskich dzieci; trzech tych malców, po lat 14 lub 16 mających raz spotkawszy nad portem, zapytałem czy im jest dobrze w tej szkole? Cóż robić, dobrze, nie dobrze, być w niej trzeba. Zapewno was w niej niebiją? Da, tak, niebiją, czyż car naprózno karmi i daje odzienie? jak dadzą rózgi, to aż krwią spłyniesz; jednak chłopaki były zdrowe i dobrze wyglądały. Archangielska gubernia najobszerniejsza, i najmniej ludna w Rossyi europejskiej, jest jedną z najuboższych ale najwięcej przemysłowych i handlowych; prawie nieznajdziesz mieszkańca, któryby jakim przemysłem lub handlem się niezajmował. Wogóle jednak są daleko

szczęśliwsi od mieszkańców gubernii żyzniejszych lecz poddanych. Oprócz znanych już kategoryi, na które się dzielą wieśniacy rossyjscy, znajdują się w téj gubernii krestianie tak nazwani, do dóbr ekonomicznych rządowych należący, ci odrabiają pewną dla skarbu powinność w naturze.

Teraz chcę nieco powiedzieć o sołowieckich monasterach do których się pozornie udawałem, a w których nigdy niebyłem z powodu, że mi były nieco z drogi i niechciałem ani czasu ani szczupłych zasobów tracić. Jednak chociaż w nich nigdy nie byłem, znam jednak ich historyą dosyć dokładnie: już to z powodu że dla pobożnych ludzi drukowane wychodzą książeczki, w których znajduje się opis tych monasterów, życie w nich mieszkających, i cuda jakie się w nich działy i taką książeczkę, którą niektórzy bohomolcy mają, sam czytałem; już to, z powodu że będąc długi czas z bohomolcami, z których niektórzy po kilka już razy chodzili do monasterów, a niektórzy z nich po kilka lat w tych monasterach bawili, nasłuchałem się szczegółów, które mnie w wielu względach o tych monasterach objaśniły. Mogę zatém w krótkości dać dokładny ich opis. 280 werst czyli o czterdzieści mil polskich na zachód od Archangielska, na morzu Białém znajduje się kilka wysepek: największa z nich nazywa się *Sołowki*; wnosić należy, iż pierwiastkowo należała do Finlandyi i jéj mieszkańców Finów. Póżniéj promyszlenniki staréj Rzeczypospolitéj nowogrodzkiéj, sięgający coraz daléj na północ, tak dla obłowu zwierza, futer, jak dla połowu ryb i handlu tę wyspę do siebie zagarnęli; tak że się stała własnością Rzeczypospolitéj, która póżniéj znowu odstąpiła tę wyspę na własność prywatną swojéj znakomitéj posadnicy Marcie, w nagrodę jéj cnót prywatnych i wielkich przymiotów i zdolności w rządzeniu. Kiedy religia chrześcijańska przyjęta przez Włodzimirza Igo wielkiego księcia kijowskiego rozszerzywszy się szybko po najodleglejszych częściach Rossyi, rozkrzewiła się także w całéj

Rzeczypospolitéj nowogrodzkiéj, gorliwi téj boskiéj religii wyznawcy szukali spokojnych zaciszy, a nawet pustyni, aby bez przeszkody i daleko od zgiełku mogli się oddać rozważaniu jéj świętych tajemnic i zasłużyć sobie na szczęście wieczne, robili się tedy pustelnikami. Wyspa Sołowki samotna na morzu, a śród srogiéj i dzikiéj przyrody położona, mogła prawdziwie ascetę zachęcić do szukania dla się na niéj schronienia przed światem. Jeden z najpierwszych pustelników téj wyspy był tak nazwany Święty Zosyma, który własnoręcznie pobudował sobie tam drewniany domek i drewnianą kapliczkę; po nim nastąpił Święty Sawatij, a późniéj inni pustelnicy i Święci. Świątobliwe życie tych ludzi, a szczególniéj Zosymy i Sawatija, stawszy się głośnem w tych stronach sprawiło, że ludzie pobożni zaczęli ich nawiedzać, niektórzy z nich tam zostawali i z czasem i pomału założyli klasztor zakonników (czerncόw). Cuda jakie Święci Zosyma i Sawitij za życia i po śmierci czynili, wliczyły ich w poczet świętych rossyjskich. Klasztor z drewnianego został niezadługo murowanym. Dzięki składanym ofiarom pobożnych ludzi, ze szczupłego stawał się coraz obszerniejszym i przestrenniejszym, tak że z czasem i dzisiaj został ogromnéj wielkości i niepospolitéj wspaniałości. Ponieważ w klasztorze z czasem przybyło bogactw i położenie wyspy tego wymagało, zatém naokolo klasztoru zrobiono mocną fortecę. Kiedy Rzeczpospolita nowogrodzka przeszła pod berło żelazne carów moskiewskich, i Sołowki wraz z monasterem temuż samemu losowi uległy, carowie tak dla ochrony miejsca świętego, jak i dla własnych widoków, jeszcze mocniéj Sołówki obwarowali. I musiała ta forteca już za dawnych czasów uchodzić za bardzo mocną, kiedy Rossyanie z sąsiednich i nawet ze zbyt odległych okolic, obstający przy władzy Borysa Godunowa przed partyzantami Dymitra Samozwańca, jak to pismo, com czytał, wyraża się (czy nie przed Lisowczykami), którzy aż po morze Białe zapędzili się, skryli się do téj fortecy wraz ze

wszystkiemi swojemi najdroższemi skarbami. Partyazanci Dymitra Samozwańca kusili się niejednokrotnie fortecę sołowieckiego monasteru zdobyć, ale zawsze odparci zostali. Odtąd sława monasteru cudami świętych Zosyma i Sawatija od napadu obronionego o wiele się powiększyła, a datki coraz się pomnażały. Zaczęto odtąd nie pojedyńczo, ale po kilkaset razem i po kilka nawet tysięcy odwiedzać te cudowne miejsca; ten sołowiecki monaster tak wzrósł w sławę, iż na całą Rossyą jest pierwszym po Kijowie; schodzą się do niego pielgrzymi z najodleglejszych części Azyi. Monaster ten jeden z najobszerniejszych w dostateczną liczbę czerńców zaopatrzony, będąc położony w strefie lodowatéj i ledwie przystępnéj, utrzymuje się tylko z jałmużny i datku bohomolców. Od niejakiego jednak czasu, przez usilność i pracę zakonników, rodzą się na téj wyspie dla potrzeby monasteru niektóre jarzyny: a najlepiéj z nich udaje się kapusta, któréj sadzą podostatkiem: mąkę, krupy, oléj, zboże w ziarnie i inne rzeczy potrzebne do życia sprowadzają z Archangielska. Kwas, który ma być bardzo dobrym, robią zakonnicy w wielkiéj ilości, zlewają go do obszernych beczek dla potrzeby bohomolców. Klasztor ten ma dosyć krów, wołów i nieco koni: jest przy nim także młyn wodny, własność klasztoru. Tuż koło klasztoru jest wielkie jezioro przezroczystéj wody, nazwane jeziorem oczyszczenia (na kształt Siloe w Jerozolimie). Żaden pielgrzym, to jest: bohomolec, niemoże wejść ani do klasztoru, a tém mniéj do cerkwi, póki się wprzódy w tém jeziorze dobrze niewykąpie i niewymyje i na biało nieprzywdzieje. Jeżeli to jest akt religijny, niemniéj jednak nazwać go można środkiem hygienicznym, a szczególniéj zręczną ostrożnością przeciw ćmie robactwa, którego bohomolcy tysiącami na sobie mają. Tuż przy monasterze są pobudowane liczne i obszerne komory dla tłomoczków bohomolców, a liczniejsze i nierównie obszerniejsze mieszkania dla nich samych. W tych salach znajdują się stoły długie, a na około nich

ławki: tu bohomolcy śpią, mieszkają i jadają: osobno kobiety, osobno mężczyzni. Są zakonnicy przeznaczeni do przyjmowania bohomołców i do utrzymania między niemi porządku; odbierają od nich tłomoczki i pod numerem składają je do komorek i pod klucz zamykają, później partyami dzielą ich po salach. Każdy bohomolec ma prawo przez trzy dni mieszkać, odpoczywać i żyć kosztem klasztoru, za co ani grosza niedaje; jeżeli zaś dłużéj dla nabożeństwa chciałby w klasztorze pozostać, musi wówczas żyć o swoim koszcie. Bohomolcy jedzą dwa razy na dzień, obiad i wieczerzę; na każde cztery osoby jest miska, to jest: porcya osobna; obiad i kolacya zwykle składa się z dwóch potraw: z barszczu z rybą i kaszy, lub z kapusty i czego drugiego. Daje się tych potraw do syta, do których wydziela się każdemu bohomolcowi wielka skiba chleba, jak bohomolcy powiadają, bardzo smacznego, a kwasu daje się tyle, ile kto wypić może. W czasie obiadu bohomolców jeden czerniec czyta w każdéj sali Żywoty Świętych lub jakie inne modlitwy. Przyjęcie prawdziwie chrześcijańskie i bardzo podobne do przyjęcia i gościnności naszych polskich dawnych klasztorów: Bernardynów, Kapucynów itd. Bohomolec w ciągu trzydniowego pobytu i nabożeństwa modli się, stawi świeczki, każe odprawiać nad sobą akapysty, czytać ewangeliją na swéj głowie, spowiada się jeżeli chce itd., rozumie się na wszystko jest cena i za wszystko potrzeba płacić; cena zaś jest tak mała, że każdy bohomolec, choćby najbiedniejszy, był w stanie zapłacić; od dobréj woli jednak bohomolca zależy dać więcej nad przepis. Oprócz tego do dobréj woli także bohomolców zostawia się wrzucić co do skarbony lub nie, nikt mu o tém ani wspomni; jednak pobożność ludu słowiańskiego, a następnie i rossyjskiego, jest tak wielka, iż chybaby który wcale nic niemiał, aby do skarbonki grosza niewrzucił. Niewiem z pewnością, ale zdaje się jednak, że za odwiedziny grobu Świętych Zosymy i Sawatija także się coś

płaci. Nierzadko się zdarza, że zamożniejsze osoby, jak n. p. kupcy bogaci z wielką hojnością darzą monaster; rzeczywiste jednak dochody monasteru składają massy bohomołców, których tu każdego lata do kilkudziesięciu tysięcy rok rocznie przybywa. Niektórzy z bohomolców czynią ślub pozostania rok i dwa i więcej lat w monasterze dla pokuty, lub ćwiczenia się w obowiązkach chrześcijańskich. Chętnie takich zakonnicy przyjmują, pozwalając im modlić się i pokutować, ale pod jednym tylko warunkiem, to jest: pod warunkiem być użytecznym klasztorowi: potrzeba albo być bogatym i płacić klasztorowi za pobyt w nim i życie, co jest bardzo słusznem, albo w braku pieniędzy potrzeba być jakim rzemieślnikiem, szewcem, krawcem, piekarzem, ogrodnikiem, albo przynajmniej mieć dobre zdrowie, aby być zdatnym do zwykłych monasteru posług, jako to: do rąbania i wożenia drzewa, do palenia w piecach i t. d. — inaczej próżna chęć pokuty. Po dopełnieniu ślubu lat naznaczonych, pokutach, namodliwszy się wiele, napracowawszy się daleko więcej i niedostawszy w zamian ani grosza, syt tylko wiarą dobrego uczynku, i rozgrzeszeniem jakie mu przełożony lasztoru udzielił, odchodzi do miejsca rodzinnego; wszyscy jednak bohomolcy zgadzają się w pochwałach dla uprzejmości, łagodności, dobroci i bezinteresowności tych zakonników. Niekiedy nawał bohomolców jest tak wielki, że niema gdzie ich pomieścić w klasztorze.

Jak tylko statki zaczynają pływać po morzu Białem, a co zwykle poczyna się z samym początkiem czerwca każdego roku, natychmiast bohomolcy z różnych stron uwijają się do monasteru sołowieckiego; najwięcej ich jednak przybywa z Archangielska, dokąd przybywają na barkach i pieszo, a ztąd dopiero płyną do monasterów niewielkiemi statkami nazwanemi Karbasy; w tych karbasach bohomolcy gnieżdżą się dosłownie jak śledzie po ośmdziesięciu, lub po stu i po więcej, stosownie do objętości karbasa; podróż ta jest bardzo niewygodna i przykra, jak

mi bohomolcy mówili. Cena za przewóz z Archangielska do monasteru i napowrót jest bardzo umiarkowana; z przyczyny jednak niewygodnéj i niebezpiecznéj podróży morzem, wielu bohomolców z Archangielska udaje się na pieszo południowym brzegiem morza Białego i doszedłszy aż do cypla wystającego w morze na wysokości wyspy Sołowki, od któréj ten cypel oddzielony jest morzem na kilkadziesiąt tylko werst szerokiém, tam dopiero siadają na karbasy i przewożą się. Pielgrzymka do tych monasterów trwa tylko do końca miesiąca września, to jest przez cztery tylko miesiące, czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień. Przy końcu września i na początku października żegluga na morzu Białém ustaje z przyczyny północnych wiatrów wzburzających morze, a jeszcze więcéj z przyczyny ogromnych a licznych brył lodu doń naniesionych z Oceanu północno-lodowatego. Z końcem zatém września sołowiecki monaster zupełnie jest opuszczony od bohomolców. Troskliwość zakonników sołowieckiego monasteru dla bohomolców rozciągała się aż do Archangielska i tam wybudowali dla ich wypoczynku i przyjęcia tak nazwany z powyższego powodu sołowiecki Dworzec, to jest: Sołowiecki Dom, o którym już mówiłem i w którym podczas pobytu w Archangielsku stałem i nocowałem.

Ale jeżeli sołowiecki monaster z odludnego i lodowego ustronia wlewa rok rocznie w serca tylu tysięcy otuchę, nadzieję i pociechę, podnosząc częstokroć z upadku dusze, namiętnościami lub zbrodnią skażone i obiecując im przebaczenie od Boga Ojca, gdy powstaną z grzechu i nawrócą się szczerze do niego; to władza despoty jakby na urągowisko miejscu świętemu wybrała takie to ustronie dla wlania boleści i rozpaczy w serca szlachetne i dla tego jéj nienawistne, albo te, których uczucia mogły trwożyć duszę i bezpieczeństwo samodzierżcy. Na własnem oczy niewidział tego, ale od wielu ludzi, a szczególniej prostodusznych bohomolców, którzy po lat kilka w sołowieckich monasterach bawili, słyszałem to, co tu powiem. Za wia

rogodność prawdy nie ręczę, ale za wiarogodność opowiadania, którem słyszał, zaręczam sumieniem. Niedaleko murów monasteru w fortecy jest więzienie; prostych złoczyńców ani politycznych jawnych przestępców tam nie sadzają; jest na to Syberya, posielenie i katorga. Któż w tém więzieniu siedzi? ilu tam jest więźniów? — Głucha tajemnica jak cisza grobowa nad tém panuje — a jednak ktoś tam musi siedzieć, bo i ścisła warta żołnierzy czuwa i niewolno się dowiadywać o tym, kto tam jest zamknięty. Przed kilką laty, jak mi mówiono, siedział w tém więzieniu jakiś starzec wysokiego pochodzenia, z długą białą brodą, za młodu jeszcze do niego wtrącony; w tém więzieniu postarzał, osiwiał i ociemniał na oba oczy — od płaczu. Ale nikt niewie, kto był rzeczywiście ten człowiek. Czy niema w tych więzieniach kogo nakształt Iwana, co zrodzony na cara, od kolebki saméj do więzienia wtrącony, w niém wzrósł i z rozkazu Katarzyny II., *cnotliwéj* babki Mikołaja Igo dla bezpieczeństwa jéj tronu i jéj spokojności w niémże zamordowany został? Czy Konstanty carewicz wraz z żoną i dzieckiem rzeczywiście w naszéj i po naszéj rewolucyi jak na komendę pomarli? czyli też mniemanie ogólne w wojsku rossyjskiém od Kijowa aż do głębi Syberyi rozszerzone i utrzymywane (a o czém sam miałem sposobność przekonania się), o jego życiu tajemniczém, jest przeczuciem, że istotnie Konstanty jeszcze gdzieś żyje? — Jakkolwiek bądź zgroza i tajemniczość jakby mgłą pokrywające więzienie sołowieckiego monasteru mogą naprowadzać na rozmaite domysły, za których fałsz lub prawdziwość ręczyć równie jest niebezpiecznie. Może w nich jaka się maska żelazna (Masque de fer za Ludwika XIV) za panowania *łaskawego* Mikołaja Igo rzeczywiście ukrywa.

Lud rossyjski, równie jak ruski i polski i w ogóle słowiański jest religijny: w czasach gorliwości chrystyanizmu, cały świat chrześcijański odwiedzał święą Jerozolimę. My Polacy dotychczas odwiedzamy Matkę Boską

Częstochowską, Ostrobramską, Berdyczow i Kalwaryą; Rossyanie mają Kijów, Moskwę, Wielki Nowogród i Sołowiecki monaster: ze wszystkich stron obszernego państwa rossyjskiego, dla którego słońce nigdy nie zachodzi, lud pobożny tysiącami te miejsca cudowne odwiedza: i są bohomolcy, którzy za jedną pielgrzymką kilka lat trwającą wszystkie te miejsca od razu zwiedzają. W czasie mojéj podróży z Archangielska, za miastem Onegą zdarzyło mi się spotkać z dwiema kobietami, jedna młoda a druga średniego wieku, obie bohomołki a rodem z irkutskiej gubernii w Syberyi, które piechotą zwiedziwszy Moskwę, Kijów, Poczajów i Wielki Nowogród, szły tą razą do sołowieckich monasterów, zkąd zwiedziwszy jeszcze inne miejsca cudowne tych okolic, miały wracać przez góry Uralskie i Werchoturje nazad do irkutskiéj gubernii. Prosty kozak syberyjski Nazimow rodem także z irkutskiéj gubernii, przejęty uwielbieniem dla swego cara Mikołaja, o własnym koszcie piechotą z irkutskiéj gubernii przybył do Petersburga jedynie dla widzenia carskiéj osoby. Otrzymał posłuchanie, widział cara i całą jego rodzinę: od samego cara i od każdego członka jego rodziny otrzymał upominek i wrócił do Syberyi szczęśliwy i zadowolony z przedmiotu osiągniętego swéj podróży. Historya podróży Nazimowa i jéj cel z rozkazu wyższéj władzy została wydrukowaną. W Rossyi ludzie nawet majętni, jak np. kupcy ślubują częstokroć piechotą odprawić pobożne pielgrzymki. Ci bohomolcy w całéj Rossyi są dobrze widziani i przyjmowani: chociaż między nimi wielu jest także istotnych próżniaków lubiących się włóczyć z miejsca na miejsce. Wielu pomiędzy bohomolcami ani grosza prawie nie mając, długie lata podróżują, a nie zbywa im wcale na pierwszych potrzebach życia; tak są gościnne, tak szczodre serca rossyjskiego ludu; rzeczywiście ten naród rossyjski godzien jest lepszego losu, który go może w niedalekiéj czeka przyszłości. — Bohomolcy udają się do sołowieckich monasterów, dla uniknienia nie-

wygodnéj w tych stronach bagnistych podróży, czynią podróż zimową porą aż do miejsca, gdzie są rzeki spławne, tam zatrzymawszy się aż te rzeki nie puszczą: poczém wsiadają na barki i na nich płyną do Archangielska; wielu z bohomolców mniejszemi statkami przypływa rzeką Onegą aż do miasta Onegi, zkąd karbasami udają się do sołowieckich monasterów. — Teraz wracam do dalszego opisu méj podróży.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Dalszy ciąg podróży (mieczki) z Archangielska przez Onegę, Wytiegry, Nową Ładogę, Schlüsselburg, Petersburg, Rewel, Rygę, Mitawę, Połongę (gubernia Archangielska, Wołogodzka, Ołowiecka, Sankt-Petersburgska), Estonija, Liwonija (Inflanty), Kurlandya. Przejście granicy pruskiéj; podróż przez Memel, Tylżę. Przybycie do Królewca. Przygody téj podróży.

Bruksella (Belgia) 12 lutego 1850.

Przenocowawszy po raz trzeci w Sołowieckim Dworze, odebrałem mój tobołek od klucznika, któremu oświadczyłem, że odpływałem do sołowieckich monasterów; rzeczywiście zaś chciałem iść piechotą, nie do sołowieckich monasterów ale ku Polsce. Kupiwszy kilka bułek chleba na drogę, udałem się na przystań dla znalezienia przewozu na tamtę stronę Dźwiny, to jest na brzeg jéj lewy: był to dzień targowy a 2 czerwca 1846 roku. Po długiém szukaniu i dopytywaniu się, znalazłem jednego chłopa, który przywiozłszy na łodzi siano i takowe sprzedawszy, miał z południa wracać do domu za Dźwinę. O naznaczonym czasie siadłem samotrzeć na łódkę i po trzygodzinném może płynieniu przybyłem na drugą stronę Dźwiny, zapłaciwszy za przewóz 50 kop. (25 groszy) po-

szedłem dalej. Dzień był piękny i ciepły. Okolica równa, ale dzika, pusta, aż mi się tęskno zrobiło. Idąc wskazaną drożyną i minąwszy parę wiosek małych opodal od drożyny leżących, ku wieczorowi przybyłem do trzeciéj jeszcze mniejszéj, na drodze położonéj, ale któréj domki opodal od siebie były odosobnione. Robactwo mnie mocno dokuczało, potrzebowałem z niego się oczyścić; zaszedłem do jednego domu na noc, przy którym była łaźnia, za kilkanaście kopiejek napalono ją mocno, poszedłszy do niéj, zabrałem z sobą wszystko moje odzienie, które na drągach wysoko w najgorętszém miejscu porozwieszałem, aby robactwo podusiło się w parze. Operacya udała się najwyborniéj; ani jednéj sztuki żywéj nie pozostało. Sam się przytém wykąpałem, wymyłem mydłem, oczyściłem i bieliznę przeprawszy w gorącu wysuszyłem. Po téj kąpieli i tém oczyszczeniu się z robactwa, stało mi się jakoś lżéj, raźniéj i weseléj. Niewiem, dla jakiéj przyczyny zachciało mi się gwałtem świeżego, surowego słodkiego mleka; moja gospodyni go nie miała, ale wskazała mi dom, gdzie go można było dostać. Wszedłszy do wskazanego mi domu i sposobem grecko-rossyjskim przeżegnawszy się trzy razy, pozdrowiłem trzy kobiety, które się tam znajdowały; poczém prosiłem o mleko za pieniądze; wahając się jedna z nich, pewno gospodyni, odpowiedziała że jest, i dawszy dosyć mało za pieniądze, którem ofiarował, zaczęła a raczéj zaczęły wszystkie trzy, podczas gdy jadłem, mnie się rozpytywać zkąd i dokąd idę i t. d. Ztąd wpadła mowa na religiją: wkrótce postrzegłem, że to były starowierki i silne swych zabobonów propagatorki, naprzód zaczęły mnie strofować, że się źle, nie po chrześciańsku żegnam; odpowiedziałem, że mnie tak nauczono; zaczęły tedy mnie uczyć żegnać się po swojemu, utrzymując, że kto się inaczéj od nich żegna, to nigdy zbawion nie będzie i po uszy będzie siedział w piekle. Chociaż dobrze znałem ich sposób żegnania się, udałem że pierwszy raz go widzę: po długiém z ba-

bami certowaniu się i po licznych dowodach z ich strony, aby raz z niemi tę dysputę zakończyć, udałem, że im wierzę, że się nawróciłem i że ten a nie inny sposób żegnania się jest prawowierny jedynie i do zbawienia wiodący, a na dowód że wierzyłem, przeżegnałem się sposobem wyuczonym. Baby tak były kontente z nowonawróconego, że dwa razy mi tyle co poprzednio dały mleka, ani kopijki za to niewziąwszy: ja zaś śmiejąc się w duchu, z prawdziwej wdzięczności z apetytem zajadałem mleko. Otóż co to jest sekciarstwo. Przy pożegnaniu się z niemi, przeżegnałem się trzy razy nauczonym sposobem, i przy najszczerszych ze strony bab życzeniach, aby mnie Bóg na drodze prawowierności, to jest: starowierstwa zachował, odszedłem na kwaterę, gdzie musiałem się znowu inaczéj żegnać, bo gospodarstwo niebyli storowiercy. Trudno sobie wyobrazić nienawiść, jaka panuje między starowiercami a prawosławnymi. W téj wiosce z kilku chałup złożonéj były dwie partye najzaciętsze, z powodu żegnania się.

Dodnia puściłem się w drogę. Idąc dzień cały krajem, wrzosem i niewielkiemi karłowatemi szpilkowemi lasami śród bagien pokrytym, a śród których długą i ciężką pracą złą usypano drogę, zanocowałem w lesie, choć prawdę mówiąc niebyło nocy, bo tu dla mnie nowy przedstawił się fenomen. O téj porze roku w téj części północnéj Rossyi prawie niema nocy; bo chociaż słońce zajdzie, to brzask dnia od zachodzących promieni trwa tak długo, iż prawie widać jak się posuwa ku wschodowi, gdzie niezadługo i samo pokazuje się na horyzoncie. W dalszéj podróży to jeszcze wyraźniéj widzieć się dało; tak, że noc odednia można było rozróżnić tylko po pewnéj ciszy panującéj w naturze. Słońca na horyzoncie wprawdzie niewidać: ale mimo to tak jest widno, jak kiedy śród dnia tarcza słońca chmurami jest powleczona: słowem nietylko można najwygodniéj pisać i czytać, ale najdelikatniejsze ręczne roboty, światła i dobrego wzroku wyma-

gające można wykonywać. Jeden z flisów, z którym razem z Wielkiego Ustjuga do Archangielska Dźwiną płynąłem, ten sam co tak zręcznie wiosłem linę pochwycił i być może życie mi ocalił, pływał dwa razy z Archangielska do Islandyi za stokfiszem (sajgą) i mówił mi, że przez cały czas żeglugi od maja do września nigdy im słońce niezachodziło: tylko to się podwyższało, to zniżało. Z systematu słonecznego i z formacyi globu ziemskiego wiedziałem dobrze o tém; ale mimo tę wiadomość, to, że tak powiem, zjawisko działające wprost na moje zmysły, dziwne na mnie sprawiało wrażenie. Odpocząwszy, usnąwszy, nieśmiem powiedzieć przenocowawszy, gdzie nocy niebyło, udałem się dalej. Szedłem piaskami, lasami gęstemi, ale karłowatemi a wszystko szpilkowemi. Okolica biedna, smutna i tęskna i wyszedłem w końcu na sam brzeg morza Białego, którym odtąd szedłem. Długo była piękna pogoda, a słońce tak dogrzewało, że zrzuciwszy nawet z siebie kożuch, jeszcze mi iść było gorąco. Nareszcie powstał wiatr silny i morze Białe burzyć się zaczęło. Jak lubię słuchać burzy, gromów i piorunów, tak lubię się przypatrywać piętrzącym się w górę wściekłym bałwanom rozhukanego morza: zatrzymałem się tedy nieco nad tym widokiem; a później wszedłszy na wzgórza długom się ztamtąd przypatrywał z zachwyceniem strasznemu żywiołowi; całe morze od pieniących się bałwanów białych zdawało się pokryte śniegiem, (czy nie dlatego nazywa się Białem?) a fale jak wysokie wzgórza rzucając się na brzeg daleko od morza i znowu się cofając a następnie poruszając na dnie kamienie trącające się o siebie, oprócz szumu i ryku, wydawały jeszcze odgłos najwyraźniej naśladujący rozgłos ciągle nieustającego gromu. Poczém zstąpiwszy z pagórka na drogę tak blizko morza będącą, że fale na nią wskakiwały, poszedłem dalej, przysłuchując się z upodobaniem wspaniałemu głosowi przyrody, opowiadającemu tém strasznem pieniem potęgę Stwórcy: szedłem dni kilka a wiatr i burza nieustawały, nocując po lasach, rzadko kiedy ja-

kiego człowieka na drodze spotkałem. W jednem miejscu na drodze na samym brzegu morza widziałem świeżo ubitego węża, co jest dowodem, iż pod tą szerokością jeszcze płazy się znajdują. Jednego dnia przybyłem do jakiegoś bardzo małego miasteczka nad samém morzem położonego, a które tam jeszcze dawnym sposobem od Rzeczypospolitéj nowogrodzkiéj przyjętym, Posadem się nazywa, (Posad zapewne kolonija), w tém miasteczku znalazłem bardzo wielu bohomolców, a między nimi niemal wszystkich moich znajomych, którzy dwoma dniami przede mną wypłynęli karbasami z Archangielska do sołowieckich monasterów. Burza zmusiła te karbasy mocno uszkodzone przybliżyć się do brzegu, tak dla ich naprawy, jak i dla bezpieczeństwa życia bohomolców. Jeden karbas wraz z bohomolcami rozbił się i zatonął. Bohomolcy czekali tedy pogody, a ja z nich niby żartując, że piechotą prędzéj będę w monasterze sołowieckim, niż oni karbasami, poszedłem daléj. Ku wieczorowi burza ustała, nazajutrz morze się uspokoiło pomału. Ja przybywszy nad samo morze i utkwiwszy w niém mój kij pielgrzymi, przypatrywałem się jego powierzchni lśniącéj się od jasnych promieni słońca a gładkiéj jak powierzchnia zwierciadła. Stojąc i dumając myślałem: mój Boże! za dawnych, świetnych Rzeczypospolitéj Polskiéj czasów, gdy Polak z dumą przed światem podnosił swe czoło, a wrogi przed nim drzeć musiały, zwycięzkie pułki naszych dzielnych Lisowczyków, może tu na tém miejscu płukały kopyta bitnych swych rumaków i pewno wówczas ani im się marzyło, aby który z ich następców we dwa wieki późniéj, ratując się ze srogiéj niewoli tylekroć od nich pokonanego wroga, zabłąkał się w te strony z uczuciem swéj niemocy, trwogi, z uczuciem poniżenia i wstydu, że jego ojczyzna dźwiga kajdany, a on prócz westchnienia, łez i gorących pragnień za jéj oswobodzenie, nic więcéj dla niéj zrobić niemoże: i dziś tułając się jako złoczyńca zaparł się nawet swego pochodzenia i rodu i jak podły

niewolnik niewolniczym sposobem, bo chytrością tylko i przebiegłością stara się oszukać czujność swych dzikich władzców, mszczących się dzisiaj na nas naszej przeszło wielkości, naszej sławy i znaczenia, a może cnót naszych! Poczém idąc daléj, przybyłem do jakiegoś obszernego zabudowania i samotnie na samym brzegu morza położonego: była to solowarnia, gdzie z wody morskiéj sól gotowano. Wkrótce zwróciwszy na lewo od morza, napotkałem wieś niewielką, w któréj chciałem kupić chleba, ale już od kilku dni w całéj wsi go niebyło. Przyczyna tego była ta: wszystkie wioski i posady blizko brzegów, lub nad brzegami południowemi morza Białego pobudowane, z przyczyny surowego klimatu i złéj, bo po większéj części bagnistéj ziemi, sieją i to tylko w bardzo małéj cząstce, i na najlepszych z wielkim trudem i nakładem uprawianych ziemiach jęczmień i owies, co ani w setnéj części niewystarcza do wyżywienia ludności tych okolic; dla zaradzenia zatém temu niedostatkowi zboża sprowadzają takowe karbasami z Archangielska w zamian swojego przemysłu i połowu ryb. Otóż z téj wsi oddawna popłyniono do Archangielska za mąką, ale niewiadomo, z jakiéj przyczyny opóźniono się z powrotem; azatém i w całéj wsi niestało chleba. Ale w niedostatku chleba dostałem w téj wsi kilka świeżych, wielkich i dość smacznych śledzi z morza Białego. Idąc daléj spotkałem człowieka już powracającego z sołowieckich monasterów, w których ciągle dwa lata bawił jako pokutnik, a teraz wracał do domu: usiadłszy obaj dla odpoczynku: wiele mi o tych monasterach opowiadał; poczém w przeciwną każdy z nas udał się stronę. Wkrótce znalazłszy się na wysokości Cypla, zkądby można się udać karbasem do monasterów, rzuciłem drogę na prawo do nich prowadzącą, a wziąłem się na lewo drogą prowadzącą do miasta Onegi, jako ten co niby wracając z sołowieckich monasterów tamtędy przechodzi. Szedłem więc odtąd jako bohomolec wracający z sołowieckich monasterów, a udający się przez Wielki

Nowogród do Kijowa na pokłonenie światym moszczom, (na oddanie czci zwłokom świętych). Po niejakim czasie wyszedłem znowu nad samo morze i wpadłem na tak wielkie piaski, że po kilkogodzinnym ciężkim marszu ledwiem z nich wybrnął, a wróciwszy się na lewo i wszedłszy na wzgórza, opuściłem odtąd na zawsze brzegi morza Białego i szedłem już tylko lasami, gdzie niegdzie polami i tak zbliżyłem się do miasta Onegi. Ilem dni szedł z Archangielska do Onegi, tego już niepamiętam, wiem tylko żem ani sił, ani nóg nieszczędził, a szedłem dniem i nocą. Brzeg morza południowy, niemal w całej swéj długości opiera się o nieprzerwany łańcuch wzgórz dość wysokich, pokrytych lasami prawie bez przerwy wzdłuż brzegów ciągnącemi się. Droga od Archangielska do Onegi, bardzo zła i niewygodna, wielką pracą i kosztem utrzymana, ciągnie się jużto po wzgórzach nadmorskich, jużto samym brzegiem morza i nad samym brzegiem jest najlepszą, najrówniejszą. W najpiękniejszéj dla tych okolic porze roku cała przestrzeń od Archangielska do Onegi, przedstawia bardzo smutny widok, bo jest nędzną i biedną. Oprócz lasów, choć obszernych i gęstych, ale niebujnych, oprócz bagien, wrzosu i piasku, nic więcéj niewidać; gdzie niegdzie tylko około biednych wiosek, widać trochę pola ornego. Jednakże i tym miejscom w ogóle smutnym nie braknie na pięknych gdzie niegdzie widokach, szczególniéj nad samém morzem: lud jednak wszędzie jest wesół, zdrowy i zdaje się być szczęśliwym ze swego położenia. Prawda, że tam niema ani poddaństwa, ani niewoli, bo mieszkańcy wszyscy są to skarbowi włościanie. Niewidziałem tam twarzy smutnéj i melancholicznéj cechującéj wieśniaka Litwy lub żyznéj Ukrainy.

Z dość wysokiego wzgórza postrzegłem w szerokiéj i długiéj dolinie przeciętéj jakby wstęgą rzeką Onegą, miasto Onegę, na prawym brzegu rzeki zabudowane, bardzo długie, ale bardzo wązkie, bo w większéj części swéj długości jeden tylko szereg domów nad rzeką mające; to

miasteczko a raczéj wieś duża, oprócz kilku pięknych cerkwi nic w sobie niema szczególniejszego, domy wszystkie są drewniane. W porcie tego miasta było kilka okrętów zagranicznych, przybywających tu za drzewem do budowy okrętów, za tarcicami Zrażony niepowodzeniem się w Archangielsku, niechciałem tu próbować, czyby mi się nieudało wsieść na jaki okręt, a przytém brakowało mi powodu i sposobności bawienia, gdyż bohomolców tu zapewno niebyło; rzeka Onega wpada, także do morza Białego. Ze wzgórza skąd przyglądałem się miastu, postrzegłem na około nieprzebyte lasy. Z Onegi potrzeba mi było iść albo przez Finlandyą i rzekę Torneo do Szwecyi, albo przez Wytiegrę obok Petersburga, i do Prus. Pierwsza droga była niezawodnie nierównie dłuższą, więcéj mordującą, ale za to pewniejszą; druga zaś nierównie krótszą, wygodniejszą, ale bardzo niebezpieczną: potrzeba tedy było wybierać. Gdybym uciekał wprost z Onegi, uciekałbym niezawodnie do Finlandyi, ale po tylu trudach i niewygodach doznanych, po tylu i tak długich pragnieniach, stanąć jak najprędzéj u celu méj podróży, ta długość drogi mnie przeraziła; obrałem więc drogę krótszą obok Petersburga, a choćby nawet i przez sam Petersburg; powodowany tą maksymą: audaces fortuna juvat, a bardziéj ufnością w Bogu, który mnie dotychczas we wszystkich przygodach życia ratował.

Rozpytawszy się tedy jako bohomolec, miejscowych ludzi, których po drodze spotykałem, o drogę do Wytiegry, przeszedłem przez niewielką część miasta, w którém kupiwszy tylko chleba i wcale się niezatrzymawszy, udałem się małą drożyną, lasem i prawym brzegiem rzeki Onegi i ku jéj źródle idącą. Ponieważ już było ku wieczorowi, zboczywszy w las przenocowałem. Dodnia ruszyłem w podróż, i może o werst tylko kilka od miasta Onegi, nad rzeką Onegą, w lesie i nade drogą, ujrzałem dość wielki tartak drewniany, a na około niego ogromne stósy pięknych tarcic; niemogę twierdzić z pewnością, czy

ten tartak jest rządowy czy prywatny. Wiem tylko, że on najwięcej dostarcza dla okrętów drzewa do budowy. Niedaleko za tym tartakiem dał mi się słyszeć szum wody, który powstawał z powodu progu przez całą szerokość rzeki przecinającego; próg ten czyli katarakta, bardzo mało nad powierzchnią wody wystająca, czyni rzekę Onegę niesposobną do żeglugi większemi nieco statkami, małe zaś statki ładowne mąką lub czem innem, zatrzymują się przed progiem w pobliskiej wiosce, zkąd do Onegi na wozach ładunek się przewozi. Czy jest jeszcze więcej progów na Onedze, o tem niewiem. Przybliżywszy się do wioski, zaszedłem do odosobnionego, lecz porządnie zabudowanego domu, dla rozpytania się o drogę. Córka gospodarza może siedmnastoletnia i ładna dziewczyna była bardzo chorą; rodzice jéj i przyjaciele leczyli ją, każąc jéj jeść szczaw' zielony, surowy, do którego zresztą miała apetyt z przyczyny wielkiej gorączki, co ją trawiła. Zdziwiony tym sposobem leczenia gorączki, zapytałem czy szczaw' jéj niezaszkodzi? odpowiedziano mi, że to jest u nich zwykły sposób leczenia się, i że to jest bardzo pomocném; choć temu niewierzyłem, nic innego jednak radzić nieśmiałem. Żal mi tylko było patrzeć na tę piękną z niebieskiém okiem dziewczynę, mordującą się z gorączką, a może niezadługo i ze skonem; gdybym był lekarzem szczérzebym był chciał przyjść jéj w pomoc. W téj wsi na czołnie przewiozłem się na lewy brzeg Onegi, którym kilka dni szedłem; dolina rzeki Onegi jest bardzo piękna. Na prawym jéj brzegu są pobudowane wioski, a na lewym naprzeciwko są pola orne i łąki do tych wiosek należące. W ogóle jednak pola ornego, jest bardzo mało, ale łąk podostatkiem i pięknych, jak równie podostatkiem jest tam bydła, i dla tego nabiał jakoto: mleko i ser jest prawie za bezcen; dowiedziawszy się o tém często się mlekiem i serem zasilałem. Dnie były piękne i gorące, przeplatane jednak niekiedy

rzęsistym, długo trwającym i chłodnawym deszczem; nocowałem jak zwykle po lasach. Jedną razą gdy deszcz mnie cały dzień moczył, i gdy potrzebowałem od niego ochrony, przenocowałem w oborze pobudowanej z drzewa jak izba, i pokrytej słomą. W niektórych wioskach nad Onegą jest zwyczaj, że i obory są z drugiéj strony rzeki, a to zapewne z przyczyny pastwisk, na téj stronie znajdujących się. Po drodze spotykałem mnóstwo bohomolców, kobiet i mężczyzn, ciągnących jak żórawie do Sołowieckich monasterów, z których niby już wracałem i różnych im udzielałem w tym względzie wiadomości, jeżeli byli ciekawi wiedzieć o czemś. Między innymi spotkałem samotnie do Sołowieckich monasterów idącego jednego staruszka do sześćdziesięciu lat liczącego, białego jak gołąbek, nizkiego wzrostu, ale żywego, wesołego, zwinnego, czerstwego, pełnego życia i ochoty, i na bok kapelusz trzymającego; spotkawszy się, zatrzymaliśmy się i zaczęliśmy gawędzić. Z kolei zapytałem go, zkądby był rodem? A zgadnij. Zgadnąć trudno, bo świat wielki. Jednakowoż jak ci się zdaje? Może z Petersburga? Nie. Może z Moskwy? Nie. No to już niewiem. Ja Kargopał, odpowie pocieszny staruszek, ale to z taką dumą, z taką powagą, z takiém uwielbieniem dla swego pochodzenia; jak niegdyś Rzymianin mówił: sum civis romanus. Od niego tedy dowiedziałem się, którędy mi iść wypadało do Wytiegry; musiałem pierwéj przechodzić przez jego rodzinne miasto Kargopał, do którego miałem jeszcze 400 werst. Wśród lasów nieustannie ciągnących się po lewym brzegu Onegi, jest jakiś klasztor zakonników (Czerncówì); ale nazwiska tego monasteru niepamiętam. Minąłem oprócz wiosek, kilka tak nazwanych Pohostiej. Pahost′ nazwa sięgająca, równie jak posad, jeszcze czasów Rzeczypospolitéj nowogrodzkiéj; jest to zwykle duża wieś mająca jednę lub więcéj cerkwi i smętarz. Nie jestem pewny, ale zdaje mi się, że pahost′ to samo

znaczy co parafia, a raczéj miejsce gdzie ksiądz parafii mieszka. Jednego dnia chcąc się posilić, zaszedłem do samotnego domu, opodal ode drogi położonego; zastałem w nim tylko gospodynią i jakąś inną kobietę. Oprócz tołokna nic w domu niebyło. Prosiłem tedy, aby mi dała tego tołokna, o którém bardzo często słyszałem, a którego dotąd nietylko nie jadłem, ale nawet niewidziałem. Gospodyni postawiwszy przedemną na stole niewielką drewnianą miseczkę, a raczéj kubek napełniony do połowy jakąś mąką suchą i brunatną, jakby była przepaloną, dawszy łyżkę i postawiwszy dzbanek z wodą, usiadła przy mnie i rozpytując się o mojéj podróży zapraszała mnie do jedzenia. Ale ja niewiedząc, jakim sposobem wziąć się do tego jadła, nieśmiałem zaczynać obawiając się, aby się niezdradzić niewiadomością użycia pokarmu tak narodowego, tak miejscowego. Bo mi się jakoś niezdawało, aby można łyżką jeść suchą mąkę, którą możnaby się zakrztusić, zadławić nimby było podobno ją przełknąć. Mniemiałem tedy, że musiała być jakaś do téj mąki, to jest: do tego tołokna przyprawa, ale niewiedziałem jaka; zdawało mi się także, że gospodyni albo się pomyliła, dawszy mnie czego innego na miejsce tołokna, albo wszystkiego co do niego było potrzebném niedała. Byłem rzeczywiście zaambarasowanym. Niewiedząc jak wybrnąć z tego kłopotu, bawiłem kobietę rozmową, ażby mi się nadarzyła sposobność mogąca mnie naprowadzić na prawdziwy sposób jedzenia téj potrawy. Gospodyni pewno zdziwiona, że rozmawiam a niejem, zapytała mnie, czemu niejem i czemu do miski niewlewam wody? i natychmiast podchwyciła, może lepiéj lubisz z kwasem, niż z wodą? Tym sposobem dowiedziawszy się o sekrecie, i niby przenosząc jeść tołokno z kwasem niż z wodą, odpowiedziałem: pożałujtie kwasu, to jest: proszę mnie dać kwasu. Gospodyni przyniósłszy kwasu, nalała go do mojéj miski i roztworzyła z tołoknem; mąka

sucha nasycona cząstkami wodnemi tak napęczniała, że z połowy miski całkiém ją napełniła; a mąka przybrała istotę ciasta. Wziąwszy tedy za łyżkę zacząłem zajadać, i przyznam się, że mi ta potrawa zdała się dość przyjemnego smaku i jadłem ją z apetytem. Ponieważ kilka razy to tołokno w tych okolicach jadłem, chcę objaśnić czytelnika, jakim sposobem ono się robi. Bierze się po prostu owies w ziarnie, i gotuje się przy ogniu w piecu w dużych garnkach, poczém do gorącego wsypuje się pieca, dla wysuszenia go jak można najmocniéj aż do przypalenia: tak zgotowany i upieczony owies, aż do nadania mu brunatnego koloru, oczyszcza się z łuski, poczém mieli się na mąkę, z któréj robi się *tołokna*, nalawszy wody lub kwasu i posoliwszy. Tołoknem nazywa się od *tołoczenia*, zacierania na ciasto. Wartoby tego sposobu nauczyć naszych karpackich górali, żyjących po największéj części owsiannemi plackami. Jęczmienne pierogi o których już mówiłem, byłyby dla nich wielką także łakocią.

Jednego razu prawie o wschodzie słońca i niedaleko już miasta Kargopola, przechodząc przez jednę wieś na trakcie położoną, zaszedłem do jednego, drugiego i trzeciego domu dla kupienia chleba; niewiem z jakiego powodu chleba w tych domach niebyło; w ostatnim z nich mi powiedziano że na przednówku w téj wsi trudno dostać chleba wyjąwszy w jednym, gdzie się zawsze chleb znajduje, i tu mi gospodarz wskazał ten dom; dla lepszéj jednak pewności powiedział mi: Widzisz ten wóz przed domem stojący? — Widzę, odrzekłem. — Otóż w tym domu dostaniesz chleba. Ale ten wóz porządniejszy od zwykłych wozów nieco mnie zastanowił, zapytałem tedy: Czy kto w gości do tego domu nieprzyjechał? — No jacy tam goście, to kapitan i sprawnik zjechał tutaj za jakiemiś rządowemi obowiązkami (po kazionnym diełam). Na tę wiadomość aż mnie dreszcz przejął, byłbym samo-

chcąc wlazł w matnią i szpony czynownika. Pożegnawszy tedy gospodarza, który natychmiast wszedł do swego domu, nietylko że nieposzedłem do wskazanego domu za kupnem chleba, ale skręciwszy na bok wszedłem w drugą ulicę, aby nawet przed tym domem, gdzie stał kapitan i sprawnik, nieprzechodzić, boby mnie z okna mógł dostrzedz i porwać w swe szpony. Jeść mi się odechciało, zapomniałem o chlebie i co tchu bocznemi uliczkami opuściłem wioskę tyle dla mnie złowrogą. Niebyłaż to Opatrzność, która mnie i tu uratowała? Pominąwszy nudne opowiadanie jednostajnéj mojéj podróży, w któréj oprócz trudów, ciągłego i o ile sił mi tylko starczyło pochodu, obawy, trwogi i pragnienia dostania się czémprędzéj za granicę Rossyi, nic szczególnego nie zaszło, i przepłynąwszy kilka razy z lewego na prawy, a z prawego na lewy brzeg rzeki Onegi, przybyłem w końcu do miasta Kargopola, gdzie na zawsze opuściłem rzekę Onegę. Rzeka Onega dość długa i często w łuki zaginająca się, jest małą rzeką w porównaniu z Dźwiną północną i nietylko z powodu progu (katarakty), ale nawet z ilości wody nie jest sposobną do dźwigania nieco cięższych statków. Oprócz niewielkich batów, a raczéj łodzi, i to napełnionych tylko ludźmi, a nie towarami, żadnego ruchu statków na niéj niewidziałem; ta rzeka zdaje się być fałszywym nerwem w systemacie komunikacyj wodnych w tych północnych okolicach. Ale za to większa część doliny, którą przebiega, począwszy od miasta Onegi, jest prawdziwie zachwycającą. Być może, iż czas i pora roku w któréj ją przechodziłem, wiele się do jéj uroku przyczyniła; jednak z tém wszystkiém niemożna téj dolinie odmówić pewnych piękności, do których najwięcéj się przyczyniają zielone ogromne lasy i bujne, zielonością i kwiatami pokryte obszerne łąki. Ponieważ czas był prawdziwie piękny (w miesiącu czerwcu), choć w tak smutném znajdowałem się położeniu, żywo jednak czułem piękność przyrody, powab

życia i ojcowską dobroć i Opatrzność Stwórcy. Smutek, tęsknota, wdzięczność, wesołość i uniesienia naprzemian mną miotały. Przechodząc tę dolinę, czułem się nierównie szczęśliwszy, niż wtedy, kiedy cztery miesiące temu nazad przechodziłem góry Uralskie.

Kargopol, jest to niepoczesna mieścina jedynie z drzewa pobudowana i wyglądająca raczéj na wieś niż na miasto; ulice szerokie, domki szeroko od siebie i odlegle pobudowane, tém bardziéj mu to podobieństwo nadają. Kupiwszy chleba w dalszą puściłem się podróż już wielkim gościńcem, co mi wcale do smaku nieprzypadało, ale wkrótce zeszedłem z niego z wielką mą radością. Na wielkim gościńcu, gdzie przejazd jest większy, gdzie lud więcéj handlowy, przemysłowy, a nawet w swoim rodzaju więcéj oświecony, to jest: przebiegły, i interesowność jest większa; tu jak wszędzie na całym świecie pomiędzy narodami oświeconemi i dbającemi o lepszy byt materyalny, gościnność nie jest popłatną, a każdy stara się jak może coś dla siebie zyskać. Przekonałem się o tém najoczywiściéj kupując chleb lub inne drobniejsze żywności zapasy; i tak w jednóm miejscu za trochę tołokna wartującego najwięcéj 5 kopijek, wzięto po długim targu kopijek 15. Tu nabiał, jak mleko i ser, w mniejszéj nierównie obfitości i droższy jak na dolinie ciągnącéj się wzdłuż Onegi rzeki. Zboczywszy z wielkiego gościńca, zmuszony byłem dla powzięcia pewności o drodze wiodącéj do miasta Wytiegry, zajść do domu na ustroniu i niedaleko ode wsi i drogi położonego. Zastałem w nim jednego tylko starca z długą, siwą brodą i z wielką uprzejmością mnie przyjmującego. Po rozpytaniu się o drodze, odpoczywając rozpoczęliśmy z sobą gawędkę, i wkrótcem się przekonał, żem rozmawiał ze starowierem. Ten staruszek starowier tak był przywiązanym do swojéj sekty, tak w wielkiéj nienawiści miał wszystkich popów i rząd i cara, że jeżeliby wszyscy jego spółwyznawcy tchnęli

podobną nienawiścią, bunt byłby nieuchronnym. Nienawiść ta jednak niepochodziła z osobistości, ale z głębokiego przekonania, że religija starowierców jest najświętsza, i że popi i rząd ją skazili. Rozmawiając o tém, płakał z rorzewnienia, a na dowód, że sposób żegnania się przyjęty przez reformę Nikona jest odszczepieńczy, a ich starowierców jest jedynie prawosławny, po zapewnieniu się uprzedniém, że nikomu o tém niepowiem, dostał z ukrycia ulany z żółtéj miedzi obraz niewielki przedstawiający Chrystusa błogosławiącego, gdzie istotnie palce prawéj błogosławiącéj ręki były złożone tak, jak kiedy starowiercy żegnają się; robota tego obrazku była gruba, nieokrzesana i zapewno datująca od pierwszych czasów wprowadzenia religii chrześcijańskiéj, rytuału bizatyńskiego do Rossyi. Opowiadał, że ich zmuszają chodzić do cerkwi odszczepieńców przemocą i popi każą im się żegnać po swojemu, ale po powrocie z cerkwi, mówił daléj, modlimy się, aby nam Bóg przebaczył ten grzech, który przez przemoc tylko popełniamy. W tych modlitwach przeklinamy i popów i cara. O wszystkiém tém staruszek mi mówił, aby ze mnie zrobić swojego sekciarza. Niewielem się temu sprzeciwiał, bo jedna i druga grecka wiara dla mnie była zupełnie rzeczą obojętną. Nareszcie wydostawszy jakiś stary sextern obejmujący opis życia Józefa najmłodszego syna Patryarchy Jakóba, którego bracia przedali, a który późniéj stał się zbawcą Egipcyan przez zapobieżenie grożącemu głodowi, zaczął czytać niektóre ustępy, i tak się unosił nad cnotą czystości Józefa prześladowanego od Putyfarowéj, że staremu aż się łzy toczyły. Jednem słowem, przekonałem się, że ten staruszek był poczciwym człowiekiem, bo miał uczucie moralnéj piękności. Ale nierozważny fanatyzm religijny mógłby z niego zrobić najokrutniejsze narzędzie prześladowania. Ztąd wnieść można, że wszystkie stronnictwa tak religijne, jak i polityczne nawzajem siebie srogo

prześladujące i niszczące są tylko dowodem słabości umysłu i głupoty.

Idąc dalej, dogoniłem w tę samę co i ja udających się stronę ze dwudziestu żołnierzy rossyjskich bez liderwerków i najmniejszej broni, tylko w czapeczkach i płaszczach, po większej części byli to młodzi żełnierze, którzy się okazali niezdatnymi do frontowej służby, choć większa z nich część dopiero rok, dwa, a najwięcej pięć lat do wojska była wziętą. Zdziwiony młodością i zdrowiem tych żołnierzy w pogadance z nimi zapytałem o przyczynę tej ich niezdatności do służby frontowej i dowiedziałem się, że jeden był głuchym, drugi ślepym na jedno oko, inny niemiał zębów, ten miał żebra poprzetrącane, ów ciężki oddech, ten chory na nogę itd.; a kiedym zapytał o przyczynę tych defektów, przekonałem się, że po nawiększej części pochodziły one ze złego i nieludzkiego obchodzenia się z tymi nieszczęśliwymi ich oficerów. Bijąc bez litości w czasie mustry, pięściami po głowie, po twarzy, po zębach i pod boki swych żołnierzy, ci dzicy i barbarzyńscy oficerowie ich pooglaszali, pooślepiali, powybijali im zęby i pognietli żebra itd. Takie to jest traktowanie rossyjskiego żołnierza w carskiej służbie. Ci nieszczęśliwi byli przeznaczeni i szli na służbę i do dozoru kanałów tak licznych w gubernii ołonieckiej. Nareszcie po kilku czy więcej dniach pochodu przybyłem do miasta Wytiegry.

Od Kargopola do Wytiegry kraj mi się wydał i w rzeczy samej był bardzo biednym; tu już w niektórych miejscach byli poddani (krepostnyje) prywatnych dziedziców. Wsie małe choć dość porządnie z drzewa pobudowane; domy ich podobne do domów w całej Rossyi. Ubiór mieszkańców tych okolic nic niema w sobie szczególnego. Lasy od Kargopola do Wytiegry ciągnące się prawie bez przerwy, w wielu miejscach wytrzebione, są to nieprzebyte puszcze przeplatano jeziorami licznemi i obszernemi

dostarczającemi wody do kanałów i rybnemi. Ztąd też ryba jest tam jednym z najgłówniejszych zapasów do życia; gdzie niegdzie są piękne wzgórza i widoki zachwycające. Nad kanałami łączącemi system rzek i jezior, są pobudowane piękne drewniane domki zwykle na żółto pomalowane z pięknemi przy nich ogródkami z wielką pracą wyrównanemi, poprzecinanemi w grzędy, w klomby drzew, a w niektórych miejscach napełnionemi jarzynami. W tych domkach są żołnierze przeznaczeni do pilnowania kanałów; takie domki najwięcéj znajdują się przy szluzach. Przechodząc przez mosty tych kanałów i obok tych domków, bardzo często napotykałem w liczbie żołnierzy Polaków, żołnierzy rewolucyjnych, a których łatwo rozeznawałem po złém mówieniu po rossyjsku, jak to zwykle Mazury po rossyjsku mówią. Serce mi się ściskało na widok mych braci w te strony od tak dawna, bo już od lat szesnastu zagnanych (szedłem w roku 1846) i może przeznaczonych nigdy więcéj nieoglądać swojéj kochanéj ojczyzny. Widok mych braci i cieszył mnie i smucił zarazem, z niektórymi nawet rozmawiałem wypytując się niby o drogę, w rzeczy zaś saméj, aby mieć sposobność pomówienia z nimi, choćby nawet po rossyjsku. Ośmielałem się niekiedy ich zapytać, niby sądząc z akcentu mowy, że niebyli rodem Rossyanie, z jakiego byli pochodzenia? Odpowiadali: że byli Polacy; ale na to imię Polak, na to wspomnienie poruszające najgłębsze i najświętsze uczucia serca, jakby zelektryzowani płonili się nie wiem czy ze wstydu z przyczyny poniżenia w jakiém się znajdowali, czy z oburzenia i gniewu przeciw tym co do tego stanu ich przyprowadzili, czy nakoniec z żalu tak naturalnego w ich nieszczęśliwém położeniu, czy ze strachu, bo im niewolno mienić się Polakami. W ogóle postrzegłem w tych moich braciach wielkie nieukontentowanie z ich losu, i wielką, wieczną nienawiść ku sprawcy ich i ich ojczyzny niedoli. Oni zaś ani się domyślali, ani się mogli nawet domyślić z kim rozmawiali; bo nietylko

że przed żadnym z nich nie przyznawałem się, żem Polak, ale ani cienia pozoru nierzuciłem, aby się nawet mogli domyślić. Bo niestety wiedziałem z doświadczenia, że wielu z naszych nieszczęśliwych rodaków jarzmem niewoli długo ugniecionych opadło na duchu, a ztąd mały przedział do spodlenia się. Zresztą cóżbym sobie, cobym im dopomógł mojém przyznaniem się? Za chwilę radości i wynurzenia się, mógłbym zapłacić i moim ich nieszczęścia.

Przy tych kanałach spotykałem także gdzie niegdzie żołnierzy żydów, którzy zapomniawszy i o swojéj religii i o swojém pochodzeniu, przyjęli wiarę grecko-rossyjską i pożenili się z Moskiewkami. Drogą, którą szedłem, często przechodziły partye (jak mi miejscowi ludzie mówili), dzieci żydów polskich od dziesięciu do piętnastu lat i nawet mniejszych, a przeznaczonych do Archangielska na majtków. Tych biednych dzieci wielka liczba po drodze umierała. Wszędzie tedy, którędy tylko szedłem widziałem ślady błogiego panowania Mikołaja. Na kanałach, rzekach i jeziorach ruch statków rozmaitéj objętości jest wielki; kanały dość szerokie w ziemi kopane, lecz ani podmurowaniem, ani drzewem niepodtrzymane, muszą się często zamulać i częstego zapewne potrzebują, wyczyszczenia; jednak na ludność miejscową dość starannie są utrzymane.

Od samego Archangielska, przez Kargopol aż do Wytiegry, z nielicznym wyjątkiem (w miesiącu czerwcu) czas był piękny i pogodny przeplatany niekiedy ciepłym deszczem. Jeżeli zimową porą najczęściéj nocowałem w lasach pod śniegiem, to latem nocowałem zawsze w lesie. Zwykle z drogi wchodziłem w głąb lasu i daleko ode drogi, aby czasami pies mnie niezwąchał i niedał hasła; tam dopiero wybrawszy jakie najgęściéj drzewami i krzewami zarosłe miejsce, i nagromadziwszy kupę liścia pod głowy dla wygodniejszego spania układałem się, po zmówieniu wprzódy gorącego pacierza. Tak się przyzwyczaiłem do podobnego noclegu, iż żadnego już na mnie nie-

czynił wrażenia i zachodziłem do lasu jak do jakiego gościnnego domu. Prawda, że bez żadnéj będąc broni, samotny i śpiący, łatwo mógłem być od niedźwiedzia lub wilków rozszarpany, ale nigdy mi się nawet niezdarzyło ich spotkać, choć wycia wilków słyszałem, choć mi mówiono, że wiele jest w lasach niedzwiedzi i wilków wielkie czyniących szkody. Ale ja miałem wielką ufność w Bogu, że mi się nic złego nietylko niestanie, ale nawet stać niemoże. Wiara moja zbawiła mnie.

Przybyłem do Wytiegry w piękny czas około południa, miasto to nad rzeką Wytiegrą położone jest obszerniejsze i piękniejsze od Kargopola, znajdują się w niém nawet domy murowane, a że jest położone nad rzeką spławną pośredniczącą między kanałami, któremi odbywa się wielki ruch handlu przewozowego, jest zatém dość handlowém. Wszedłszy do tego miasta jakąś uboczną drógą i wcale się w niém niezatrzymując, przybyłem od razu i wprost nad przystań czyli nad port, gdzie zwykle przechodzące statki się zatrzymują. Wzdłuż przystani, pobudowanych mnóstwo sklepów drewnianych a napełnionych różnemi zapasami żywności, jakoto chlebem, jaglami, krupami, rybą itd. dostarczają łatwo i za dosyć umiarkowaną cenę wszystkiego co tylko potrzeba do życia i wygody majtków. Ledwiem stanął nad przystanią, gdzie dosyć było ludu, gdy jeden z przytomnych wieśniaków, przybliżywszy się do mnie zapytał: zkąd jestem i dokad się udaję? Jestem bohomolec wracający z sołowieckich monasterów i udający się przez Petersburg do Wielkiego Nowogrodu a ztamtąd do Kijowa dla oddania czci zwłokom świętych (dla pokłonienija światym moszczam). No to dobrze, ja z moją małą barką płynę do Petersburga, kiedy chcesz, to cię wezmę z sobą, a ty mnie przez drogę będziesz pomagał. Dobrze, ale co mi dasz za to, że ci będę pomagał? Zawiozę cię do Petersburga, moja barka bardzo mała, mam konia do ciągnienia, robota na niéj niewielka i nieciężka. Ja wiem, co jest ro-

bota na barkach i jaka na nich praca, no co dasz? Właściciel barki kontent, że mu się nadarzyła gratka, niechciał się odemnie odczepić, obawiając się, abym się na inną barkę niezobowiązał: ale przytém niechciał mi nic zapłacić. Ze wszystkich barek, jakie były na przystani a mających płynąć do Petersburga, jego najwcześniéj odpływała, co mi było bardzo na ręce, a zatém wymógłszy od niego, aby mi kiedy niekiedy dał ciepłéj potrawy do jedzenia, zobowiązałem się z nim płynąć. Kontent z ugody, zaprowadziwszy mnie do pobliskiego szynku, poczęstował ogromną szklanicą, ale kiepskiéj wódki, aż mi się wesoło zrobiło, tego samego dnia przed wieczorem naładowaliśmy jego małą barkę, w kształcie wielkiéj łodzi z pomostem zbudowanéj, a mieszczącéj w sobie niewięcéj nad 400 pudów ładunku, mąką w workach, którą się zobowiązał dostarczyć do Petersburga. Wymagał ode mnie, abym dla bezpieczeństwa mojego zobowiązania się, oddał mu mój pasport do schowania, ale tego uczynić niechciałem i przestał na tém.

Kiedy mały ten statek był zupełnie naładowany, przyprowadził konia, którego na statek po umyślnie na to zrobionym mostku wprowadził i mostek na statek wyciągnął. Tak przygotowani, gospodarz barki, siedmnastoletni chłopiec dosyć krępy i zręczny, i ja trzeci odbiliśmy barkę od brzegu i płynęliśmy rzeką Wytiegrą w tym samym co i my kierunku płynącą i jak się zdaje wpadającą do jeziora Onegi. Gospodarz był u steru barki. W niewielkiéj od miasta Wytiegry odległości, rzeka Wytiegra płynie nieco na prawo, a na lewo, czy to dla skrócenia drogi, czy dla jakich na téj rzece przeszkód, łączy się z tą rzeką kanał. Przybliżywszy tę barkę do brzegu i wyprowadziwszy na brzeg konia, z chłopcem mającym tego konia brzegiem prowadzić, jako też zaczepiwszy barkę na długim sznurze do konia, popłynęliśmy kanałem. Koń barkę ciągnął spiesznym krokiem. Ponieważ już było późno w nocy, choć noc była widna, gospodarz poszedł odpoczywać, a ja

usiadłszy u rudla, sterowałem barką; i choć to robota niebyła ciężka, wymagała jednak ciągłej czujności i pracy, aby barka albo o brzeg, albo o inne przechodzące lub stojące barki lub płyty drzewa niezawadziła. W niektórych miejscach trudno było się rozminąć; a natłok statków i płytów drzewa płynących do Petersburga trudny do opisania. W jednem miejscu tak wielki, a nieprzerwany był ciąg płytów drzewa odpoczywających, iż nieprzesadzę gdy powiem, że ich rozciągłość zajmowała przynajmniej cztery wersty. Nad wschodem słońca, płynąc noc całą, przybyliśmy nad samo jezioro Onegę, gdzie kilkanaście statków rozmaitej wielkości stało na przystani. W tem miejscu śród piasków i karłowatych drzew, znajduje się mała wioska z kilkunastu domów złożona. Około 8 lub 9 z rana tego samego dnia, pięć statków rozmaitej objętości, w liczbie których była i nasza barka, przyczepionych do parostatku, puściło się na jezioro Onegę. Jezioro Onega jedno z największych w Rossyi i największe po jeziorze Ładodze, ma mieć, jak mi miejscowi ludzie mówili, 60 werst czyli 8¹/₇ mile szerokości, a do 250 werst czyli 30 mil polskich długości. Nasza barka jako największa, była przyczepiona na samym ostatku, a mimo to jednak z powodu kół parostatku bałwaniących wodę, wznosiła się i opadała, jakby na jakim wzburzonem morzu. Czas był cichy i pogodny, spokojna powierzchnia jeziora, jakby zwierciadło odbijało w sobie jasne promienie słońca. Widok prawdziwie był zajmującym i zniewalającym do spokojnej rozwagi i marzeń. Dla mnie stan taki duszy jest prawdziwą rozkoszą, której byłbym się niezawodnie oddał, gdyby nie gospodarz wraz z koniem swoim, którego znowu na barkę wprowadził, nieprzyjął był także na nią trzech chłopów, swoich znajomych a między którymi jeden był tak pijanym, iż trzeba go było pilnować, aby z barki niestoczył się do jeziora. Oprócz mnie wszyscy byli mniej więcej pod dobrą datą i niewiele się troszczyli o pijanicę. Śmieli się tylko z jego

grymasów i stanu, w jakim się znajdował, ale ja musiałem mieć na niego bardzo baczne oko i niemal ciągle go trzymać aż do zmordowania się. Gdybym był w innem położeniu, możebym sobie tyle trudów i pracy niezadawał, bo pijak gniewał się na mnie, klął mnie i z pięściami się rzucał. Ale w położeniu, w jakiém się znajdowałem, na nic niezważałem; szło mi tylko o to, aby pijak się nieutopił. Przyczyna mojego stoicyzmu była ta, że gdyby ten człowiek utonął, na pierwszéj zaraz przystani, barkęby zaraz zatrzymano dla zrobienia przedwstępnego śledztwa. Wszyscy, którzy na téj barce byli, jako świadkowie musieliby koniecznie wykazać kto i zkąd byli? Wszyscy ci jako niemal miejscowi, łatwoby się mogli wykazać; ale ja musiałbym jedynie zasłonić się mym pasportem; gdybym ten mój pasport pokazał, to byłoby dostatecznem dla zatrzymania mnie samego, a wówczas coby mogło się stać ze mną? Łatwa bardzo odpowiedź. Otóż dla czego słusznie się lękałem, aby pijak nieutonął. Nareszcie może około pierwszej z południa przybyliśmy na drugą stronę jeziora Onegi. Na przystani tego miasteczka mnóstwo było statków rozmaitéj objętości i kształtu i nasza barka na téj przystani zatrzymała się. Wesół ze sposobności, jaka mi się nadarzyła, spiesznie módz odprawiać podróż i bez wszelkiéj obawy, bo raz na statku nikt się o pasport niepyta, wesół żem się pozbył pijaka, którego śmierć mogłaby mnie popchnąć w nieszczęście, wyszedłem z barki poszedłem do przystani i dla ufetowania się kupiłem dwa funty białego pszennego chleba, który z łakomstwem zjadłem od razu i napiłem się do syta kwasu. Pokrzepiony tą ucztą, wróciłem do barki i spać się położyłem na pokładzie obok konia.

Gospodarz przyjąwszy na barkę dwóch mężczyzn, z których jeden porządnie po mieszczańsku ubrany i dwie jakieś kobiety ubrane po wiejsku, około 6 wieczorem popłynęliśmy z biegiem rzeki Świry. Rzeka Świr; poczynająca się w jeziorze Onega ma swe ujście w jeziorze Ła-

dodze: z początku niezbyt szeroka, ale bystra, za zbliżeniem się ku Ładodze staje się coraz szerszą i wolniejszą. Poczynając od jeziora Onegi, ma 6 czy 7 progów w pewnéj odległości od siebie będących; te progi są tém niebezpieczniejsze, iż niewystając nad powierzchnią wody, są ukryte; każdy jednak z tych progów ma przejście, czy z natury, czy sztuką otworzone, a przez które największe rzeczne i kanałowe statki mogą przechodzić, cała zatém trudność w przebyciu tych progów zależy na tém, aby trafić na ten otwór i nieutkwić statku na sterczących w wodzie ostrych kamieniach. Dla pewności i bezpieczeństwa statków, zapewne z polecenia rządowego, przy każdym takim progu jest pewna liczba tak nazwanych po rossyjsku łocmanów (pilotes); za zbliżeniem się statku do progu, jeden łocman podjeżdża na łódce do statku i nim kieruje. Jeden z takich łocmanów wszedł na naszę barkę od samego początku rzeki Świry i przeprowadziwszy ją przez próg pierwszy, wrócił piechotą nazad. Przez drugi próg przeprowadził ją drugi łocman do tego progu należący i znowu wrócił, i tak następnie przez wszystkie progi. Co jednakże nieprzeszkadzało, choć płynęliśmy z wodą, robić doskonale wiosłami, szczególniéj gdzie przejście było wązkie i niebezpieczne. Przez noc i drugiego dnia do południa, wszystkie sześć czy siedm minęliśmy progów i wypłynęliśmy na miejsce wolne od zawad. Dwa wielkie statki natknięte na kamienie minęliśmy, co wszystko dowodzi, że rzeka Świr nie jest bardzo bezpieczną do spławu. Płynęliśmy dzień i noc; za zbliżeniem się ku jeziorze Ładodze, gdzie rzeka Świr bardzo jest szeroka i powolna, rozpięliśmy na jednym maszcie żagiel, ale ponieważ wiatr ustał i aby barka należytą płynęła drogą, tak sobie zaradzono: nasza barka uczepiła się do wielkiego statku; kotwicę tego statku na długiéj przywiązano linie, odwożono na łódce na wielką naprzód i nieco w bok odległość i rzucano ją na dno. Statki wolnym biegiem wody popychane, nierzucały się na bok, ale należytym

nurtem płynęły. Kiedy barki minęły kotwicę na całą długość liny, znowu tę kotwicę wyciągano i przewożono na przód i tak następnie. Praca ta jest zbyt mozolna i przykra. Ponieważ nasza barka była przyczepiona do większego statku, a zatém nasz ekwipaż dla pomocy przeniósł się na statek. Na tym statku był mały piętnastoletni chłopiec, żywy, zręczny i jak wiewiorka po statku i po jego ławkach biegający. Ja z kilku innymi stałem na ławkach po obu bokach statku będącemi dla popychania go długiemi i ciężkiemi drągami, nazwanemi szostami. Ławki były wązkie i bez poręczy. Deszcz rzęsisty, który chwilą przed tém przepadł, uczynił ławki bardzo ślizkiemi. Chłopiec biegający po ławkach niedaleko mnie, poślizgnąwszy się wpadł do rzeki i w nią się zanurzył. Sądziłem, że popłynie pod statek i utonie, aż po chwili wybrnął na wierzch, lecz nałykawszy się wody, stracił przytomność. Podbiegłem czemprędzéj do niego, aby go z ławki można ratować; na nieszczęście ławka była za wysoko a chłopiec nieco od niéjże za daleko. Położywszy się zatém na ławkę, sięgnąłem raz i drugi ręką, ale napróżno: chłopiec to się zanurzał, to wypływał; nareszcie sięgnąwszy raz trzeci, schwyciłem go za długą czupryne, wystającą z wody, ale w tym samym czasie straciłem równowagę ciała, trzymając go jedną ręką za łeb, a drugą za ławkę ślizką, zacząłem się ja zsuwać do wody, bo chłopiec obiema rękami chwycił się za moją rękę; po krótkiém lecz silném passowaniu się, ławka mi się z rąk wysunęła i ja głową naprzób także do wody się wsunąłem i moim ciężarem chłopca głębiéj zanurzyłem; niewiem coby się ze mną stało, bo choć dobrze pływam, ale chłopiec trzymając mnie za rękę zupełnie mnie zbezwładnił, ale na szczęście w téj chwili, gdym się głową zanurzył w wodzie, dwóch ludzi porwało mnie za nogi, i mnie i chłopca, co się zawsze mnie trzymał, wciągnęli na statek.

Niedaleko ujścia rzeki Świry do jeziora Ładogi, ob-

czepiwszy naszą barkę od wielkiego statku, wpłynęliśmy do kanału tak nazwanego ładozskiego od jeziora Ładogi. Ten kanał ładozski zasilony wodą z jeziora Ładogi, ciągnie na całą długość jeziora ze strony południowego jego brzegu; rzekę Świr zostawiliśmy na prawo, a kanał jest na lewo. Zapytawszy gospodarza barki, dla czego niepłyniemy jeziorem Ładogą, ale kanałem, ten odpowiedział: że jezioro jest bardzo burzliwe i bardzo niebezpieczne dla małych statków, i że tylko większe statki po niem pływać mogą. Niemogę wiedzieć z pewnością, czy dla przeprowadzenia statków przez to jezioro są parostatki czy nie. Wypłynąwszy do kanału wyprowadziliśmy znowu konia na brzeg dla ciągnienia barki. Ledwieśmy minęli wioskę nad kanałem, i niedaleko jego początku będącą, a ujrzeliśmy za naszą barką i za innemi kilkanaście cyganek i cyganczaków dzieci, bieżących brzegiem, proszących o jałmużnę sposobem zupełnie cygańskim, a dla wzbudzenia litości płynących, przewracających młynkowego koziołka i bijących się w tył piętami; rzucano im na brzeg kto co mógł i chciał, ten kopijkę, ów kawał chleba: wszystko to z nadzwyczajną porywali chciwością. Rzecz godna uwagi i zastanowienia się, że cyganie gdzieby się nieznajdowali, wszędzie mają te same zwyczaje i obyczaje, wszędzie prowadzą ten sam sposób życia. Widziałem cyganów w Węgrzech, na Wołyniu, na Ukrainie, w orłowskiéj gubernii, w Syberyi, i nad jeziorem Ładogą: wszędzie prowadzą życie koczujące, próżniacze, łajdackie; cywilizacya kraju, w którym żyją, jego obyczaje żadnego na nich niemają wpływu. Żyją tylko żebraniną, okpiewaniem i kradzieżą. Cyganczaki co nas prześladowały były brudne, obdarte, w pół nagie. Między nimi była cyganka dość ładna, szesnasto letnia dziewczyna, w pół naga. Odczepiwszy się od prześladowania cyganczaków, popłynęliśmy daléj. W niektórych miejscach kanał tak blisko jeziora Ładogi przechodził, żeśmy jego szum słyszeli. Tymczasem gospobarz jednych pas-

sażerów przyjmował na swą barkę, drugich się z niej pozbywał. Kilka nareszcie zostało tylko kobiet, z których jedne były już w Petersburgu, a drugie poraz pierwszy do niego się udawały, wszystkie zatém jechały do Petersburga. Że zaś barka była mała i trudno się było wszystkim na pokładzie pomieścić, wpychano tedy kobiety pod most napełniony workami mąki, i gdzie zostawiono dla wygody podróżujących próżne miejsce, najwięcéj dwa kubiczne łokcie; w tak szczuplém miejscu mieściło się pięć lub sześć osób płci obojga, tak we dnie jak w nocy. Niektóre z młodych kobiet naprzemian musiały się brać do wiosła (nasza barka miała dwa wiosła) po dwie osoby do każdego. One się przemieniały, ja zaś ciągle wiosłowałem; miałem tedy zaszczyt i przyjemność z każdą naprzemian wiosłować i zabrać ściślejszą znajomość. Niektóre z tych młodych kobiet po kilka i kilkanaście lat bawiły w Petersburgu w służbie, i na powrót do niego płynęły, i wcale niewiele się różniły od tak nazwanych gryzetek wszystkich miast europejskich, pod względem ukształcenia, kokieteryi i świegotania, a nawet wszystkich nałogów. Lubiły ze mną rozmawiać, i ja dla przepędzenia nudnego czasu, w braku milszego i więcéj stósownego towarzystwa, niebardzo także od nich stroniłem. Jako młode, więc z rozmów poważniejszych często i z chęcią wpadały na rozmowy lżejsze i pełne pustoty. Ja jako poważniejszy wiekiem, i zaszczycony tytułem bohomolca, miałem prawo wesołe trzpiotki karcić, i tego karcenia pozwalałem sobie; ale z kobietami w stolicy, choćby nawet w Petersburgu wychowanemi, lub do jego sposobu życia i prowadzenia się przywykłemi, trudno poradzić. Na wszystkie moje argumenta miały zawsze gotowe odpowiedzi, z których często śmiać się musiałem, niewiedząc czasu jak się wywikłać z zastawionéj sieci, ich prostego i naturalnego rozumowania.

W takich z niemi na wpół wesołych i poufałych, na wpół poważniejszych rozmowach, starałem się od nich

dowiedzieć o sposobie życia w Petersburgu, o tanich gospodach, o miejscach, gdzie się te gospody znajdują, i o innych rzeczach i szczegółach na wszelki przypadek mogących mi być użytecznemi. W liczbie tych kobiet była jedna staruszka do siedmdziesięciu lat mająca, a udająca się do Petersburga dla odwiedzenia swéj córki, będącéj w téj stolicy od lat już piętnastu praczką. Staruszka była rodem z prowincyi Korelii, graniczącéj z prowincyą Ingrią, w któréj się znajduje Petersburg. Jak wszędzie tak i na naszéj barce starość niedołężna była przedmiotem żartów, śmiechów i szykan próżnéj i pustéj, a źle wychowanéj młodzieży. Stara zatém Korelka niemogła ujść losu swojego, żartowano z niéj i śmiano się. Ja zawsze trzymałem stronę staruszki, i wpół żartem, wpół na serio strofowałem młode psotnice, przekładając im, jak jest nie po chrześcijańsku i z obrazą Boga, żartować ze starości, kiedy my wszyscy, jak Bóg wieku dozwoli, zestarzeć się musimy. Te uwagi i morały broniły staruszkę, która mi za to bardzo była wdzięczną, i przez szacunek nazywała mnie zawsze swoim batiuszką, to jest: ojcem; zobaczymy, iż ta staruszka bardzo mi się przydała późniéj i stokroć mi się wywdzięczyła. Mieszczanin, którego gospodarz wziął na samym wstępie do rzeki Swiry, widać dość majętny, bo niemal przy każdéj wiosce wysiadający z barki dla kupowania wódki, tak się nieraz nią upijał i tak po pijanemu bruździł, żeśmy go nieraz musieli pod pokład zamykać.

Płynąc kanałem, naszą barką lekką i małą mijaliśmy wiele statków cięższych i większych, a nieciągnionych końmi, tylko podpieranych szosami, to jest: drągami. Wkrótce przybyliśmy nad rzekę Wołchów, w poprzek kanału będącą, dość szeroką, a w téj chwili mocnym północnym wiatrem z jeziora Ładogi, w wielkie wzdętą bałwany, i oddzielającą nas od miasteczka nazwanego Nowaja Ładoga, na drugiéj stronie rzeki położona. Z przyczyny wiatru dmącego z jeziora Ładogi,

i pędzącego fale w tym kierunku, niemógłem rozpoznać, czy rzeka Wołochow wpada do jeziora Ładogi, czyli też z niego wypływa. Za zbliżeniem się do rzeki Wołochowa, konia wzięto na barkę, wszystkim kobietom kazano się schować pod pokład; a nas czterech mężczyzn zostało na pokładzie, sam gospodarz wziął się do steru, drugi wziął się do żagla już rozpiętego, a dwóch do dwóch wioseł; ja byłem przy jedném wiośle. Wołochów wzdęty i wzburzony był niebezpieczny dla naszéj barki, i bardzo łatwo mógł ją zatopić, ale mimo to puszczono się na rzekę. Z początku było jako tako, ale ledwieśmy wyjechali na miejsce, gdzie wiatr z wściekłością porusza bałwany rzeki, które przeskakiwały przez naszą barkę; barka mocną falą w bok prawy uderzona, i żagiel z téj saméj strony gwałtownem uderzeniem wiatru wzdęty, tak mocno barkę nachyliły na lewą stronę, iż mało co brakowało aby się nieprzewróciła. Kobiety zaczęły wrzeszczeć, modlić się i z pod pomostu wydobywać, ale je napowrót wepchnięto i zamknięto, a koń stojący na barce, zachwiawszy się i padłszy na tylne nogi, o mało że się niezsunął do rzeki. W tém gospodarz krzyknie na mnie: Ławrentij, deržij łoszad' za chwost: to jest: Ławrenty trzymaj konia za ogon. Rzuciwszy wiosło i uchwyciwszy konia za ogon, trzymałem go póty, pókiśmy na drugą stronę rzeki nieprzejechali. Przybywszy do przystani zatrzymaliśmy się przy samém wejściu do nowego kanału i blizko śluzy. Ściany kanału pięknie, mocno i wysoko z ciosanego kamienia wzniesione i obwarowane, przypomniały mi kanały Francyi. Zatrzymawszy się na odpoczynek z wielu innemi statkami, na téjże przystani znajdującemi się, poszedłem do miasta Ładogi tuż nad samym kanałem i po obu jego stronach położoném. Miasto Nowa Ładoga niewielkie, nie dość porządnie zabudowane, ma rynek w nizinie. Oprócz chleba, bułek, ryby i innych zapasów żywności, wielka ilość znajdowała się zielonéj cebuli, którą Rossyanie chętnie jedzą nadrobiwszy ją do kwasu. Ku-

piwszy chleba i napiwszy się w miejsce gorącéj herbaty sbitniu, wróciłem na barkę. Sbitień jest to napój gorący zwykle w Rossyi, szczególniéj zimową porą używany; kto tylko był w Rossyi, musiał koniecznie widzieć po miastach ludzi, czy roznoszących na plecach w naczyniu, czy siedzących na miejscu przed samowarem a krzyczących: czaj garaczaj. Otóż to są przedawacze sbitniu, który jest herbatą pospólstwa; herbatę zastępuje trawa tak nazwana perz, lub jaka inna trawa, mająca w sobie cząstki cukrowe; miejsce cukru zastępuje miód, albo po prostu melas lub ostatki jego.

Wkrótce otworzono szluzę i w nowy wjechaliśmy kanał; koń znowu zaczął barkę ciągnąć. Jeżeli w poprzednich kanałach wiele mijaliśmy statków, to w tym kanale, ciągnącym się bez przerwy od miasta Nowéj Ładogi, aż do miasteczka Szlisselburga (Schlüsselburg) była tych statków moc nieprzeliczona, dosłownie kanał był zapchany, nabity. Były statki ze smołą, z przędziwem, ze zbożem różnego rodzaju, z mąką, z sianem, z bydłem rogatém, z drobiem, były płyty drzewa, sposobnego do różnego rodzaju budowy, i z tém podobnego rodzaju zapasami; wszystko to płynęło ku Petersburgowi. Kto w północnych stronach Rossyi niebył, kto niewidział jaki ruch handlowy na rzekach i kanałach tych okolic się odbywa, ten z trudnością o nim będzie miał dokładne wyobrażenie. Gdybym na własne oczy tego niewidział, możebym także opowiadającemu o tém ruchu nieuwierzył. Ja byłem nim zdziwiony, bo to prawie do nieuwierzenia. Ale jeżeli byłem zdziwiony, nieidzie zatém abym był z tego zadowolony, gdyż te ciągłe omijania się wymagały ciągłéj baczności i pracy, to przyczepianie się hakami do innych statków, to odpychanie się od nich; była to praca prawdziwie mozolna. Nareszcie około południa, przybyliśmy do miasteczka Szlisselburga, także nad kanałem i po obu jego stronach położonego, i północną swą częścią sięgającego rzeki Newy; tuśmy się zatrzymali dość

długo, jawyszedłem na miasto. Miasteczko Szlüsselburg niewielkie, ale czysto, pięknie i na wesołém miejscu pobudowane, podobne jest do cacka. Nad samym kanałem ma przechadzkę drzewami wysadzaną i żwirem wysypaną; niżéj przechadzki porządne domki, po większéj części na żółto malowane i z kamienia pobudowane, w rzęd postawione piękny przedstawiają widok. Jest tam nawet kilka wielkich gmachów dość okazałych. Miasteczko Schlüsselburg mogłoby się nazwać willą Petersburga, gdyby forteca Schlüsselburg oddzielna zupełnie od niego, mała, wodą ze wszech stron oblana, a położona w miejscu, gdzie Newa rzeka wypływa z jeziora Ładogi, swym widokiem nieprzypominała tragicznéj sceny, każącéj piękność położenia i wesołość miasta. Wiadomo bowiem wszystkim, że książe Holsztyński będący późniéj carem Rossyi pod nazwiskiem Piotra IIIgo, z rozkazu swéj żony, księżniczki Anhalt-Zerbst, panującéj późniéj pod nazwiskiem carycy Katarzyny IIgiéj, godnéj babki w prostéj linii łaskawego Mikołaja Igo dziś szczęśliwie nam panującego, w téj fortecy był uduszony przez Aleksieja Orłowa będącego późniéj admirałem w nagrodę swéj zbrodni, księcia Boratyńskiego i trzeciego ich spólnika, którego nazwiska niepamiętam.

Około 8méj wieczorem tego samego dnia przy piękném ku zachodowi chylącém się słońcu wypłynęliśmy ze Schlüsselburga rzeką Newą, szeroką, głęboką i dosyć bystrą: a dla prędszego przybycia do Petersburga dopomagaliśmy bez przestanku wiosłami. Noc była spokojna i cicha, a myśmy ciągle płynęli. Śród ogólnego śmiechu i radości z przyczyny końca podróży, jam się pogrążał w dumania jak wejść do Petersburga, jak w nim nie być schwytanym. Może jest najbezpieczniéj wleść w paszczę smokowi, gdyż jedno z dwojga, albo nas pochłonie, albo go można udusić. Różne mną myśli i uczucia miotały, przyszli mi na myśl i Mucyusz i Brutus. Któżby mi zabronił wstąpić w ich ślady? bo na ich sercu i mnie nie zbywało. Miłość i niewola onéj ojczyzny bolały mnie jak Rzymia-

nina, a jéj poniżenie i moje własne przez cara nadawały mnie święte prawo odwetu; jako niewolnik, jako katorżny, mógłem, możem był powinien zemścić się po niewolniczemu; utkwić mój sztylet w sercu, co w tylu milionach serc nieszczęsnego ludu długiego konania męki wszczepiło: i cóżbym był na tém stracił? Własne tylko życie, ale kosztem życia najdzikszego z naszych tyranów. Ludzkość i Bóg sam tę cnotliwą zbrodnię pewnieby mi przebaczył, stawałem w obronie praw własnych, naturalnych. Była zatém chwila walki okropnéj w mém sercu. Nareszcie cofnąłem się przed wykonaniem tego zamiaru. Dla czego? Może z obawy, z bojaźni? Oh nie, stokroć nie, miałem serce zbyt zakrwawione, a życie było mi ciężarem. Może z przyczyny niepodobieństwa wykonania zamiaru. W mojém ubraniu chłopa rossyjskiego mógłbym znaleść sposobność. Może dla tego, że to był car, pomazaniec bony jak go nazywają? Dla czegoż się tedy przed tym zamiarem cofnąłem? Dla prostéj, może kto powie błachéj przyczyny: to jest, że zabić kogoś potajemnie i podstępnie, nie jest uczciwie, a przedewszystkiém nie jest po polsku. Oko w oko, szabla na szablę tak Polakowi przystoi, bo tak szlachetnie, dla czego? bo otwarcie i bez zdrady. Ale zabić potajemnie lub podstępem i zdradą choćby najsroższego swego nieprzyjaciela jakim jest naprzykład Mikołaj: to było tak przeciwném mojemu uczuciu, mojemu przekonaniu o szlachetności i moralności, iż mimo mojego uwielbienia dla cnót obywatelskich dawnych Rzymian, w tym przynajmniéj względzie niemogłem być Rzymianinem i uczułem, że jestem tylko Polakiem, do którego duszy i serca żadna zbrodnia nawet usprawiedliwiona, i wszelkiemi pozorami słuszności upiększona przystępu mieć nie może. Gdyby Mikołaj miał w sobie choć iskierkę szlachetnego uczucia, jakżeby się czuł poniżonym tą wspaniałomyślnością katorżnego? I nad takim to narodem tyran pastwi się?

O wschodzie słońca zaczęły się pokazywać stojące

nad brzegiem Newy po obu jéj stronach liczne piękne domki, wioski grupowane, i ogromne fabryki, znak najpewniejszy blizkości wielkiego miasta i stolicy, jakoż wkrótce w dali sam się nam odsłonił Petersburg; około 8méj z rana przybyliśmy do przystani czy do portu stolicy, będącego naprzeciw i w przedłużeniu bardzo szerokiéj i długiéj ulicy nazwanéj Prospekt Newski. Płynąłem tedy ze Schlüsselburga do Petersburga 12 godzin. Port był dosłownie mówiąc zatarassowany statkami różnego rodzaju, różnéj wielkości, i z rozmaitemi zapasami jako z mąką, owsem, sianem, krupami, drzewem, bydłem, drobiem itd., mieliśmy wiele trudności w zatrzymaniu naszéj barki z przyczyny téj ilości statków, w końcu stanęliśmy za piątym czy szóstym statkiem od brzegu. Wszyscy podróżni co ze mną płynęli, tak mężczyzni jako i kobiety, powtórzywszy mi jeszcze na któréj ulicy i pod którą nazwą i numerem są tanie kwatery, co tchu zabrali się, wyszli z barki każdy w swą stronę: jedna tylko staruszka Korelka, uprosiwszy, aby dano znać jéj córce praczce, aby przyszła pomódz jéj zabrać rzeczy, została się na barce i rzekła do mnie: zaczekaj batiuszka, pójdziemy razem z moją córką do miasta; ona od tak dawna mieszkając w Petersburgu może ci najlepiéj wskazać, gdzie jest najtańsze mieszkanie. Niemając co lepszego robić, że tak powiem, machinalnie zostałem. Nikt statka ani rewidował, ani się o cokolwiek pytał. Oczekując przybycia staruszki córki, leżąc, myślałem co daléj będzie. Ale spuściwszy się na Opatrzność i łaskę Boga spokojnie usnąłem. W usposobieniu w jakiem zostawałem zapewno sen miałem niespokojny, bo marząc zacząłem coś mówić po polsku i dość głośno, żebym się przecknął. W chwili kiedym się ocknął i natychmiast postrzegł, żem coś mówił przez sen po polsku: usłyszałem rozmawiających tuż przy mnie z gospodarzem barki kilku przybyłych do niego znajomych, z których jeden przerwawszy rozmowę rzekł do przytomnych, mówiąc o mnie: da kakim on jazykom

bałtajet? to jest: jakim on językiem bełkoce? Drugi rzekł na to: No ty chcesz się dowiedzieć jakim językiem śpiący mówi: śpiący jak pijany, ani on sam siebie ani nikt go nierozumie. I tu poszła między niemi gawęda o marzących we śnie i pijanych, kontent byłem z tego toku nadanego rozmowie i udałem że śpię. Rzecz szczególna: ta długa, ciągła choć pojedyńcza baczność nad sobą tak myśl moję do siebie nazwyczaiła, że ledwiem się przecknął, pojąłem od razu i moje położenie i następstwo, jakieby mogło dla mnie wyniknąć, gdyby się domyślano z sennéj mowy, żem Polak. Poleżawszy chwilę udałem, żem się dopiero obudził, choć już wcale niespałem; gospodarz rzekł do mnie: Ławrentij, co ty tam we śnie bruździłeś? albo co? Coś bełkotałeś, bełkotałeś, wpół po rossyjsku, wpół czort wie po jakiemu, ani cię można było zrozumiec? U mnie to jest nałogiem: jak tylko zasnę, tak zaraz nagadam więcej niż potrzeba; gdybym był złodziejem, wszystkobym przez sen wyśpiewał: gdzie kiedy i kogo okradłem i gdzie schowałem. Tak przez to samo ty musisz być uczciwym człowiekiem, odpowie gospodarz przy ogólnym przytomnych śmiechu! Tak się spodziewam dzięki Bogu. No to dobrze i na tém się w tym przedmiocie cała rozmowa skończyła.

W końcu nadeszła córka starej Korelki: wziąwszy tedy z córką jej skrzynkę na drąg i na plecy, i naczepiawszy na tę skrzynkę i na siebie różnych jéj łachmanów, i choć przy upale ubrany w kożuch jak przystoi na ruskawo człowieka, wyszliśmy wszyscy troje z barki wprost na ulicę Prospekt Newski. Dla większéj oryginalności zgarbiona staruszka ledwie idąca, włożyła sobie na wierzch czepca na głowę swoję drewnianą miseczkę, w któréj zwykła była jadać. W takim ekwipażu śmiałym choć wolnym krokiem szliśmy przez ulice Petersburga, ściągając od czasu do czasu na siebie uśmiech przechodzących. — Przechodząc, przypatrywałem się temu rzeczywiście pięknemu i okazałemu miastu: jego gmachom ogromnym, jego

ulicom szerokim, czystym i porządnie brukowanym; dziwiłem się tylko, że na swój ogrom Petersburg zdawał mi się pustym: ludzi bardzo mało. Nareszcie przeszedłszy kilka czy kilkanaście ulic i kilka mostów pobudowanych na kanałach ciągnących się śród miasta, przybyliśmy do mieszkania praczki, córki Korelki. Był to tak nazwany dom postojałyj, to jest: dom postoju czyli gościnny. Ten dom postojałyj mający wnijście od małej i dość brudnej uliczki, był to gmach czworoboczny o dwóch piętrach z dziedzińcem pośrodku: z wewnątrz dziedzińca naokoło przy każdém piętrze były galerye drewniane z przykryciem i dość szerokie. Ten dom jest przeznaczony dla najbiedniejszych wyrobników, których w tym domu z nadchodzącą nocą jest jak mrówia. Większa ich liczba śpi po komnatach, ale ponieważ wszyscy niemogą się w nich pomieścić, wielka ich część śpi na galeryach, i to tak po rossyjsku, na gołéj podłodze a pięść pod głowy. — Wielka liczba tych wyrobników jest tak biedną, że nie ma obuwia, chodzą więc boso lub w lichych łapciach i w jednéj obdartéj sukmance i w koszuli brudnéj jak sadza. Ale oprócz mężczyzn znajdują się także w wielkiéj liczbie w tym samym domu i kobiety; rozumie się wolnego i rozwiązłego życia. Propinacyjne nosy i obrzękłe twarze tak mężczyzn jak i kobiet jasno poświadczały, że oprócz nędzy, w tym tłoku ludzi panuje wszelkiego rodzaju rozpusta i poniżające człowieka nałogi. Gdzie taka ciżba, gdzie tyle nędzy i rozpusty się znajduje, tam niemoże być czystości i ochędóstwa: ztąd też atmosfera całego domku postajałego jest zepsuta i zaraźliwa. Ale oprócz téj zgrai biedoty w tym domu są lokatorowie stali, najmujący rocznie lub na więcéj kilka komnat i przyjmujących do siebie za pewną opłatą na kwaterę. Córka mojéj Korelki była jedną z takich lokatorek; ale że jéj stancya była całkiem zajętą, niemogła tedy mnie u siebie umieścić i nastręczyła mnie swojéj sąsiadce obok mieszkającéj, która z chęcią mnie przyjęła na kwaterę. Ale

opowiem, jakim sposobem byłem przyjęty na kwaterę w Petersburgu, gdzie policya tak ostrożna i ostra.

Przyszedłszy do nowej przyszłej kwatery, przeżegnawszy się trzy razy i tyleż razy pokłoniwszy się obrazom w kącie postawionym, pozdrowiłem gospodynią i zapytałem jéj, czy może mnie przyjąć na kwaterę? — I owszém, bardzo dobrze. — Cóż zechcesz za dobę? — Ośm kopijek (4 grosze). — Zgoda: ale gdzie spać będę? — Ot na tym tapesanie rzekła pokazawszy mnie gołe deski. — Dobrze: teraz powiedz mi, gdzie jest policya, abym w niéj mój pasport zameldował. Zadałem jéj to pytanie dla tego, aby, gdyby koniecznie potrzeba było iść do policyi, do któréj żadnym sposobem iść mi było niepodobna, aby powiadam, przekonany o niemożności pozostania w Petersburgu, wynieść się z niego cichaczem: nie przez rogatki, gdzie ścisła czujność i rewizya, ale wypłynąć Newą tak jak nią wpłynąłem, a w razie gdyby niepodobna było znaleść łódki, rzucić się do Newy wpław i wypłynąwszy z wodą za Petersburg, dojść do morza Baltyckiego i jego brzegów, tak samo jak brzegiem morza Białego w dalszą puścić się drogę. Na moje tedy zapytanie, gdzie jest policya dla zameldowania w niéj pasportu, gospodyni odrzekła: a długo tu w Petersburgu myślisz zabawić? — Trzy lub pięć dni najdłużéj, chcę tylko trochę odpocząć. — A dokąd idziesz? — Jestem bohomolec, wracam z sołowieckich monasterów, a teraz udaję się przez Wielki Nowogrod do Kijowa dla oddania czci świętym zwłokom. Dobrze robisz, niech ci Bóg dopomaga. — A zkąd jesteś? — O zdaleka, z Zawołogodzkiéj gubernii. — A pokaż swój pasport. — Ponieważ nie było nikogo, tylko my dwoje i ponieważ była prostego stanu, a zatém jak sądziłem nieumiejąca czytać, w czém się nie omyliłem, więc jéj pokazałem niby mój pasport; spojrzawszy na pieczęć rzekła: Dobrze, tak ja tobie powiem, że ty niemasz po co iść do policyi. — Jak ci się podoba, bo ja niewiem jaki tu zwyczaj, ale dla czego nie iść? — Ty za trzy lub pięć dni ztąd wyjdziesz,

a chodzić do policyi to tak wiele kłopotu. — A to jakim sposobem? — Gdybyś ty szedł do policyi, to i ja z tobą jako gospodyni, u któréj stoisz, także iśćbym musiała. — A pocobyś ty ze mną chodziła? — Od niejakiego czasu policya nadzwyczaj jest surowa: dawniéj kto przybywał do Petersburga, sam tylko szedł do policyi i sam do niéj chodził kiedy z Petersburga wyjeżdżał; dziś przeciwnie i gospodarz lub gospodyni u któréj przybyły stoi, z nim do policyi iść musi i to czy staje na kwaterze, czy z niéj odchodzi. W policyi zawsze jak nabito ludzi, nim przyjdzie koléj, trzeba bardzo długo czekać. Jeżeli lokator staje na miesiąc lub więcéj, to jeszcze nie żal czasu i fatygi; ale jeżeli staje na jednę noc lub tylko na kilka dni, to gdybym z każdym z tych lokatorów którzy przybywają lub odchodzą chodziła do policyi, to całybym dzień straciła na samém chodzeniu, nic w domu nie zrobiwszy, a tu żyć trzeba, policya chleba nieda; otóż z tych powodów my tak robimy: jeżeli lokator staje u nas na długo, to idziemy z nim do policyi, a jeżeli na dzień lub na kilka dni, to ich nie meldujemy. Tym sposobem jako tako zarabiamy na utrzymanie, a jak policya nie wie, to nic w tém złego. Gdyby we wszystkiém jéj słuchać, to potrzebaby chyba z głodu umrzeć. Otóż dla czego i ty nie chódź do policyi. Po kilku dniach pójdziesz sobie z Bogiem spokojnie; a jak spytają się ciebie na rogatkach, dla czegoś nie wizował pasportu w policyi, to powiesz, że ty tylko przechodzisz przez Petersburg, wcale się w nim nie zatrzymując. Jak łatwo wnosić, bardzo byłem szczęśliwy z podobnego zdarzenia, któregom wcale nie przewidywał, ani mógłem się spodziewać; ale tając mą radość, odpowiedziałem dobréj gospodyni, jakby z niechcenia: no, kiedy tak mówisz i chcesz, niech tak będzie, dla mnie wszystko jedno, ale w duszy byłem jéj nadzwyczaj wdzięczny.

Dwie ostateczności stykają się z sobą, mówi przysłowie: zbytnie pobłażanie jak zbytnia surowość, jednakowe

sprowadzają następstwa; w pierwszym razie każdy robi co mu się podoba, lekce waży rozkazy słabego rządu, w drugim widząc się w niemożności wykonania woli i rozkazów rządu zbyt surowego, ludzie mimowolnie tych rozkazów niemogąc wykonać, chwytają się sposobów samowolnych, tém niebezpieczniejszych, bo ukrytych i niewidzialnych. Do pewnego stopnia rząd może być tylko surowym, przestąpiwszy zaś tę granicę, jak z jednéj strony okazuje się jego słabość przez samę surowość i okrucieństwo (bo okrucieństwo jest także oznaką słabości i podłości), tak z drugiéj strony powiększa się śmiałość i zuchwalstwo gnębionych; wielkim uciskiem tylko przygnębieni, słabi, uczują całą swą moc i siłę. Rząd despotyczny surowy jest to łuk mocno naprężony, który albo daleko strzałę poniesie, albo sam pęknie. Z tego małego wypadku wniosłem: że nawet w Petersburgu pod bokiem samego cara, lud pomału przyzwyczaja się do gardzenia środkami surowemi ostrożności despoty. Miejmy nadzieję, że z czasem przyzwyczai się i do pogardy samej jego władzy. Lecz jakkolwiek bądź, ta surowa ostrożność może najwięcéj takich, jakim ja wówczas byłem tycząca się, była jedynym powodem mojego ocalenia, a mogła prawie z pewnością być przyczyną śmierci Mikołaja gdybym był — Rzymianinem a nie Polakiem. Z tém wszystkiém rzadko komu tak jak mnie Opatrzność dozwoliła tak zażartować i wyszydzić tak samego Mikołaja jak i całą jego potęgę. Byłem w jego ręku, w jego żelaznych kleszczach; jego życie było może w méj mocy, jednak nic tak dalece złegośmy sobie nie zrobili; jam tylko nabył większego przez cierpienia doświadczenia, i większéj nabyłem ufności w sprawiedliwość Boga i jego miłosierdzie; a Mikołaj może tegoż doświadczenia i przekonania także nabędzie, to jest: że niewolno być zbrodniem choćby ukoronowanym bezkarnie, że oprócz ziemskiéj jest sprawiedliwość nieba, która z tém większą mocą dotyka występ-

pnych, im więcéj na nich łask swych Opatrzność zlała, dla uszczęśliwienia, a nie pognębienia innych.

Otrzymawszy tak łatwym sposobem i nad wszelkie moje spodziewanie bezpieczny i wolny pobyt w Petersburgu na dni kilka i nieco uspokojony takim wypadkiem, rozgościłem się na swojéj nowéj kwaterze; moja gospodyni między innemi rzekła do mnie: jeżeli wieczorem zechcesz wyjść na miasto, to wiele pięknych rzeczy zobaczysz, bo całe miasto będzie oświetlone. — A to dla czego? — Dziś są zaręczyny czy wesele, już tego dobrze niepamiętam, księżniczki Olgi z jakimś księciem. Były to właśnie zaręczyny księżniczki Olgi z księciem Würtenbergskim. Przybyłem zatém do Petersburga właśnie na weselne gody, które o ile sobie przypominam, były 27 czerwca 1846 roku: ale już niepomnę, czy podług kalendarza rzymskiego czy greckiego. Ale ponieważ i podróżą, a raczéj bezsennością i pracą na barce byłem zmęczony i nieznałem wcale Petersburga, niechciałem tedy awanturować się po jego ulicach w nocy, gdzie mógłbym się łatwo zabłąkać i przypadkiem dostać się (jako nieznający i zwyczajów i miejscowości) do rąk policyi; przytém ważniejsze rzeczy od wesela i oświetlenia mnie zajmowały; położyłem się zatém z wieczora spać i całą noc aż do białego dnia przespałem bez przebudzenia się.

Nazajutrz wyszedłem do miasta, obszedłem kilkanaście ulic i kilka rynków: dni następnych chodziłem także po mieście, przypatrywałem się jego gmachom i ludności, jak i sposobowi jéj życia. Miasto Petersburg, wielkie, piękne, okazałe, może najokazalsze z całéj Europy pod względem ogółu swych gmachów, szerokich a wyrównanych ulic; domy stoją rzędem, jak żołnierze w ściśniętym szeregu, jednak przy tém wszystkiém zdało mi się, jakby puste i mało ruchu mające, z wyjątkiem rynków i portu. Jest coś nienaturalnego, jakby przymusowego, w życiu mieszkańców téj stolicy, niema w niéj niczego, coby nosiło cechę rzeczywistego miasta i życia miast mieszkańców;

jest to raczéj hyperboliczne naśladowanie miasta tak dalekie od rzeczywistości; możnaby to miasto porównać do wybujałego płodu noszącego w sobie zarody rychłéj śmierci; łatwo dostrzedz, że to miasto niepowstało ze zbiegu naturalnych okoliczności, ale z woli despoty, który jedynie tylko utrzymuje jego znaczenie i wielkość. Petersburg godnie odpowiada swą napuszystą zewnętrzną postawą ochrzconą z ukazu mianem miasta, a czczą wewnątrz, napuszystéj, nadętéj władzy i postawie cara, który mimo napuszystość, jak wiadomo, jest bardzo ograniczonego umysłu, jak równie jego władza jest szyderczą anomaliją w dzisiejszym wieku i przy dzisiejszych pojęciach; słowem, wart Pac pałaca, a pałac Paca. Niech dzisiaj pryśnie władza carska, a Petersburg zostanie tém, czem być powinien, to jest: podrzędném miastem portowém, którego większa połowa dzisiejszych gmachów zamieni się w pustki i gruzy. Pojedyńczych zaś pałaców okazałych, jakie są na przykład w Warszawie, bardzo mało widziałem. Pałac, gdzie mieszka książe Lejchtenberg, zupełnie od innych domów odosobniony, a niedaleko Isakowskiej cerkwi i placu, gdzie znajduje się statua Piotra Wielkiego, stojący jest jeden z najokazalszych w Petersburgu i przynamniéj ma minę pałacu. Idąc od pałacu księcia Lejchtenberga, przechodzi się obok cerkwi Isakowskiéj, wspaniałéj nie tyle swą architekturą, ile kolumnami, a którą wówczas poprawiano; cerkiew ta znajduje się po prawéj ręce przechodzącego; od téj cerkwi otwiera się i poczyna obszerny plac czworoboczny, kończący się u rzeki Newy; poprowadziwszy prostopadłą od cerkwi do Newy, plac będzie przecięty prawie na dwie równe części: z lewéj strony téj linii i placu pewno dla jego ozdoby, jest jeden czy dwa maneże (rejtschule), już dobrze niepamiętam, na którego froncie z białego marmuru znajdują się dwa rozhukane konie naprzeciw siebie stojące, a trzymane przez jednego każdy jezdca na pieszo; daléj w téj saméj linii jest ogromny gmach, ale wcale nieokazały pochodzący na prostą kil-

kopiętrową kamienicę; w tym gmachu była kordegarda wojskowa i dosyć w niej żołnierzy; ten gmach, jak mi mówiono, miał być miejscem posiedzeń senatu; przypiera on do samej Newy, od której jest oddzielony szeroką drogą idącą brzegiem. Z drugiej strony linii, to jest: po prawej stronie placu znajduje się tak nazwane zabudowanie admiraltiejstwo (Amirante), gmach bezpiętrowy i wcale nieokazały. Prawie po środku placu stoi statua Piotra Wielkiego przez Falkoneta. Piotr Wielki na koniu, w todze i bez kapelusza trzyma lewą ręką cugle rwiącego się rumaka, a prawą rękę trzyma podniesioną, jakby rozkazywał. Pospólstwo petersburgskie mówi: że Piotr Wielki chciał Newę przeskoczyć. Obejrzawszy plac zbliżyłem się do statui ogrodzonej opodal na około i w czworobok żelaznemi kratami; wewnątrz téj zagrody na około statui były nasadzone niewielkie drzewka już wtenczas rozwinięte drzącej topoli (osiki), szyldwach stał przy statui. Ledwiem się zaczął z bliska przez kraty przypatrywać téj statui i temu arcydziełu i wyczytałem napis: Katarzyna II Piotrowi I, w tem szyldwach krzyknął na mnie: Idź precz chłopie, niewolno ci patrzeć (padi procz mużyk, tiebie nielzia smatrieť), więc poszedłem Do pałacu Mikołaja (Carskawo Dworca) anim się zbliżał. Odstąpiwszy od mojego zamiaru zabrania ściślejszéj z carem znajomości, a wiadomo dla jakiej przyczyny, niechciałem się napróżno narażać i kompromitować, bo nieznając miejscowych zwyczajów i obejścia się mieszkańców w przytomności carskiej osoby i na widok jego pałacu, mógłbym przestąpić zakres naznaczony dla pospólstwa, mógłbym niezdjąć czapki, gdzie zdjąć potrzeba podług ukazu, mógłbym stanąć na lewo lub tyłem, gdzie potrzeba stanąć na prawo i przodem, mógłbym spojrzeć na prost i w górę, gdy potrzeba patrzeć w bok i na dół; mógłbym kichnąć; gdzie kazano milczeć lub kaszlać; a wszystko to, jak wiadomo, w Petersburgu i około pałacu cesarskiego, jest wielkiém przestępstwem przeciw nakazanéj subordy-

nacyi, i dla tego mógłbym popaść w nowe nieszczęście bez żadnej przyczyny.

Żyłem w Petersburgu sposobem następującym: jako prawdziwy ruskuj czełowiek, brałem u gospodyni dzbanek i na targu, na bliskim rynku kupiwszy kwasu, zielonej cebuli i chleba wracałem na kwaterę: gdzie do kwasu nadrobiwszy tej cebuli (łuku) zajadałem smacznie. Zdarzało się także czasami, że tamże na rynku, sposobem używanym, kupiwszy ryby, lub szcuj, pożywałem je, raz czy dwa razy napiłem się sbitniu gorącego (to jest herbaty z siana). Tym sposobem można żyć bardzo tanio w Petersburgu. Sławne są w Petersburgu szynkownie pod domami tak nazwane pogrebok to jest piwnica, gdzie pospólstwo hojnie się raczy napitkiem różnego rodzaju, bo są nawet i wina.

Ale czy chodząc po Petersburgu ostrożnie choć śmiało i przypatrując się jemu, miałem jedynie na celu zaspókojenie próżnej ciekawości? oh nie. Dostałem się do Petersburga, to prawda i dobrze, ale jak z niego i którędy się wydostać, to było dla mnie zagadką, nad której rozwiązaniem od samego przybycia rozmyślałem i zastanawiałem się. Przez rogatki wyjść ani podobna, mimo zapewnienia gospodyni, bo pasportu mojego pokazać niemogłem, mógłbym ostatecznie, jak to już mówiłem, wypłynąć Newą i brzegiem morza Baltyckiego pójść dalej, ale z tém wszystkiem sposób łatwiejszy i prędszy wydostania się z Rossyi, gdyby tylko był możliwym, nie był wcale do odrzucenia. Wiedziałem dobrze, że statek parowy chodził z Petersburga do Hawru we Francyi, ale jakim sposobem na ten statek się dostać, mnie co niemiałem czém tej podróży opłacić, i w których dniach miesiąca on z Petersburga odpływa; to było celem moich usiłowań. Nieśmiałem nikogo pytać, gdzie ten statek na Newie się zatrzymuje, dla niewzbudzenia nieufności i podejrzenia, postanowiłem tedy sam go szukać w moich najczęstszych przechadzkach nad Newą: i gdybym go był znalazł, my-

ślałem sobie, starałbym się pod różnemi pozorami wywiedzieć, czy niemożnaby dostać się do niego szczególniej, gdyby kapitan był Francuzem; w takim razie może mógłbym odkryć się przed nim, kim byłem i dla czego żądałem jego wsparcia; gdyby zaś kapitan był Rossyaninem w takim razie niebyło co nawet i myśleć o tém. W tych myślach i zamiarach pogrążony postanowiłem szukać tego statku: na Newie w Petersburgu dosyć jest statków parowych, a przy każdym z nich na szerokiej czarnej tablicy żółtemi, lub na białej czarnemi głoskami napisano po rossyjsku i po niemiecku, czyj statek dokąd i kiedy odchodzi. Poszedłem tedy lewym brzegiem Newy ku jéj ujściu od placu statui W. Piotra; zbliżam się wolnym krokiem do jednego statku i z ukosa i nieznacznie czytam na tablicy: Parochod Jewo Jmpieratorskowo Wieliczestwa Nikołaja Igo, to jest: Parostatek Jego Cesarskiéj Mości Mikołaja Igo; znajduję drugi statek parowy, na nim napisano: Parostatek Jego Cesarzewiczowskiéj Mości następcy tronu; daléj parostatek Cesarzowéj i jéj frauzymeru, daléj, Wielkiego Księcia Michała (Panie świeć nad jego duszą), późniéj inne tytułowane statki podług rodu i czynów, nareszcie znalazłem kilka statków prywatnych kompanij, ale w przeciwną od mojéj podróży udających się stronę, a tego którego szukałem, wcale nie znalazłem. Zlustrowawszy brzeg lewy w całéj jego długości, przeszedłem na prawy po moście naprzeciw statui Piotra Wielkiego zbudowanym i udałem się tym brzegiem ku ujściu Newy. Niedaleko od mostu doszedłem do dwóch sfinksów starożytnéj egipskiéj roboty, dobrze wykończonéj, bez najmniejszego uszczerbku zachowanych, ogromnéj wielkości, nad samym brzegiem Newy, i naprzeciw muzeum sztuk pięknych (Izjaszcznych Iskustw) postawionych i głowami do siebie obróconych. Sfinksy egipskie w Petersburgu nieco mnie zastanowiły: tém mocniéj, że niewiedziałem jakim sposobem i kiedy one się tam dostały. Przypatrywałem się tedy choć z ciekawością, ale z gapioską

miną jak prosty mużyk zwykł i powinien się przypatrywać. Lecz dla niezwrócenia na siebie uwagi przechodzących, po chwili odszedłem i wolnym krokiem zbliżałem się do jednego parostatku ze smutném przekonaniem, że i ten musi mieć jakąś rangę: jakież jednak było moje zadziwienie i radość, gdym na jego tablicy wyczytał: Statek idący z Petersburga do Rygi i że jutro odpływa. Na taką niespodziankę zwolniłem kroku przypatrując się niby statkowi, wreszcie zatrzymałem się zupełnie. Było to około siódméj wieczorem. Niby gapiąc się i jakby z niechcenia wzrok rzucając na parostatek, w rzeczy saméj myślałem, jakimby sposobem można się nań dostać. Na statku oprócz przechadzającego się chłopa, pewno służącego, nikogo nie było: ja stałem, myślałem i czekałem, sam niewiedząc kogo i czego? Gdy w téj niepewności zostawałem, ten chłop w czerwonéj koszuli na spodnie napuszczonéj, przechadzający się po pokładzie parostatku spojrzawszy na mnie zapytał: Może ty chcesz do Rygi płynąć: to siadaj na ten statek. — Ja mu na to jakby z niechcenia: Ja właśnie miałbym potrzebę udać się do Rygi, ale gdzie mi tam myśleć płynąć parostatkiem, to zapewne tak drogo kosztuje, nie nam to mużykom parostatkami pływać. — Dla czego nie nam, niebój się, siadaj, jak od ciebie mużyka to nie drogo wezmą. — A ileż? — No co tam, i tu mi powiedział tak nizką cenę, że ażem się zdziwił, ale ile, już niepamiętam. Cena mi się podobała, ale cóż kiedy bez pasportu nieprzyjmą na statek. Gdym tedy myśląc nic nie odpowiadał, on mnie znowu zagadnął, no i cóż niemyśl, zabieraj się i siadaj. — Siadać nie wielka sztuka i cena nie zbyt droga, to prawda. — No tak, czegoż się ociągasz? — Dla czego? dziś dopiero przybyłem do Petersburga i jeszcze pasportu mego w policyi niezameldowałem, a zatém muszę go pierwéj zameldować. — A ten mi na co: he, he, he: jeżeli chcesz pasport swój meldować, to i za trzy dni niebędziesz gotów, ja znam lepiéj jak ty, policyą tutejszą; a statek jutro odchodzi. — No

to jakże zrobić? — Siadaj tak niemeldując pasportu. — Ba, żeby w biedę później popaść? — Ot durak mużyk, on jeszcze chce mnie uczyć, kiedy ja ci mówię siadaj, to siadaj, ja wiem, co robię, polegaj na mnie. — No kiedy już tak mówisz, to niech tak będzie, ty wiesz lepiéj, jak ja, co trzeba robić. — To się rozumie: a masz pasport przy sobie? — Mam. — Pokaż. — Wyciągnąłem mój pasport z kieszeni, chustką obwiniony jak to zwyczaj między rossyjskiém pospólstwem i zacząłem go rozwijać. Eh, musi być bardzo ważnym, kiedy go tak starannie choważ i utrzymujesz, schowaj go nazad. — Domyślałem się, że zapewno nieumiał czytać — ja zaś go zapytałem, kiedy statek odchodzi? — Jutro rano o siódméj czy o ósméj godzinie, 'już dobrze niepamiętam. — Ale czy mnie tu przyjmą, jak ja przyjdę? — Niebój się, przyjdź tylko i patrz gdzie ja będę i przyjdź do mnie; a jakby mnie nie było, to poczekasz mnie tu na tém miejscu: a ja ci już powiem, co masz robić — a teraz stupaj.

Po takiéj opatrznéj choć dziwnéj ugodzie, ledwie mógłem wierzyć podobnemu zdarzeniu; byłem wesół, szczęśliwy, choć niezupełnie jeszcze spokojny. Nazajutrz rano wstawszy i zapłaciwszy gospodyni, co się należało, oświadczyłem jéj że wychodzę do Kijowa i pożegnawszy ją, wyszedłem. Przybywszy do statku o naznaczonéj godzinie, zastałem tam mnóstwo ludzi i w ich tłumie postrzegłem mego Mentora. Kiedym się do niego zbliżył, rzekł do mnie: dawaj pieniądze (dawaj dieńgi), dałem mu je, lecz ledwie je wziął odemnie, natychmiast gdzieś zginął w tłumie. Pomyślałem sobie: i pieniądze zabrał, i na statek nie wsiędę, i jeszcze może mnie w kłopot wprowadzić. Po dość długiém czekaniu wrócił i przyniósł mi żółtą kartę na ostatnie miejsce, to jest: na pokład i w nosie parostatku. Chociaż wiedziałem dobrze, co ta kartka znaczy, zapytałem go jednak, co ja z tém mam robić? Ot durak myżyk: już stój nic niemów, ja ci powiem, co masz robić. Więc stałem i czekałem. W tém dzwonią raz,

dzwonią drugi i trzeci, baryera parostatku się otwiera, podróżni się nań cisną, a mój mentor wziąwszy mnie za ramię i powiedziawszy stupaj, popchnął mnie na statek, na którym sam prawie niewiedziałem, jakim sposobem się znalazłem.

Puszczono parę, woda pod kołami zaszumiała, parostatek popłynął. Dzięki Bogu, pomyślałem sobie, żem się wydostał z matni, jestem w bezpieczeństwie aż do samej Rygi. Z Archangielska do Petersburga moja podróż trwała cały miesiąc czerwiec; 27 przybyłem do Petersburga, a pierwszych dni lipca, to jest: 2 czy 3go z niego wyjechałem; bawiłem więc w Petersburgu 5 czy 6 dni. Słońce podróży pięknie przyświecało, parostatek z biegiem wody szybko pędził i Petersburg wkrótce znikł za nami. Niedaleko ujścia Newy pokazało się niezadługo miasto i forteca Kronstadt wychodząca z morza i jakby na jego powierzchni wzniesione; płynąc obok i blizko Kronstadtu, który był z prawéj naszéj ręki, z ciekawością i jemu samemu i lasowi masztów okrętów w jego porcie będących przypatrywałem się. Dziwny to, zajmujący, choć naturalny widok, miasto śród morza. Choć słońce świeciło, wiatr jednak gwałtowny z północy wysoko wzdymał bałwany Bałtyckiego morza i przeszkadzał parostatkowi szybszym płynąć pędem; prawie na wysokości Kronstadtu niemal cała flota, zapewne robiąca ewolucye, wówczas stała na kotwicy, w jeden długi nieprzejrzany szereg i wyrównany pod liniją jak żołnierze; okręt od okrętu stał w pewnéj odległości. Nasz parostatek przejeżdżając przez tę liniją, a raczéj ją przecinając, zwolnił swój pęd, i kapitan jego w rozszczepany kawał dość grubego i długiego drzewa włożywszy jakieś papiery, rzucił w morze ku łódce, na któréj kilku majtków wojskowych podpłynęli. Domyśliłem się z tego, że to była brandwachta czyli straż morska rewidująca pasporta, a przynajmniéj listę osób przejeżdzających, którą kapitan rzucił w morze. Na téj liście zapewno Ławrentija niebyło. Po

téj formalności popłynęliśmy daléj. Parostatek należący do towarzystwa miasta Abo w Finlandyi, był okazały i piękny, passażerów było mnóstwo i dosyć osób z wysokiego towarzystwa płci obojga. Przy świeżém powietrzu, przy wesołym humorze jeść mi się zachciało; inni podróżni kazali sobie podawać herbatę, kawę, beftiki, bulliony, wina itd., ja zaś dobywszy z mojéj błękitnéj torby jeszcze z Francyi czarnego chleba, soli i zielonéj cebuli dla zaostrzenia apetytu, jak to zwyczaj u prawdziwych rossyjskich ludzi, zacząłem smaczno zajadać przyprawiając to jadło częstém westchnieniem, a niekiedy i zwilżoną powieką. Zapachy z kuchni smacznych potraw mile drażniąc nerwy węchu, budziły szósty zmysł żołądka, któremu niestety zostało tylko wspomnienie chwil szczęśliwych, ale już dawno ubiegłych. Kiedym pożywał na otwartém powietrzu, na pokladzie i na nosie parostatku, chleb, sól i cebulę przy których siedziałem, dwóch jakichś Ichmościów porządnie ubranych przybliżywszy się ku mnie i patrząc na mą ucztę, rzekli do siebie ze wzgardą i po niemiecku mówiąc o mnie: *Man sieht, dass es eine russische Shweine sey*, to jest: łatwo poznać, że to jest rossyjska świnia. Małom nieparsknął od śmiechu na taki dla mnie komplement, ale przytém niemałom się ucieszył, że tak podobnym byłem do Rossyanina w téj chwili i w tym ubiorze. Pomyślałem jednak sobie: a wy niemieckie pijawki, co naszę krew polską i w ogóle słowiańską od tak dawna ssiecie, czyście zapomnieli, że do nas przyśliście z torbami, albo skacząc po linie dla zarobienia na kawał chleba u nas, a teraz spanoszywszy się naszym kosztem i zajadając knedle, już zapomnieliście o swoim początku i pochodzeniu?

Parostatek miotany bałwanami, które wskakiwały na pokład, nabawił mnie jak i wielu innych morskiéj choroby, do któréj naturalnie mam wiele skłonności, najmniejszego wahania się znieść długo niemogę; zacząłem chorować dość mocno, ale mimo choroby niemógłem się

od śmiechu czasami wstrzymać, patrząc na chorobę innych, szczególniej na damy, które prowadzone przez swych mężów lub braci czy znajomych, równie jak one chorych, przedstawiały oryginalny widok. Dla ulżenia słabości położyłem się na pokładzie, mniej dbając o bałwany, co mnie oblewały; siermięga, kożuch, kamizelka, koszula były na wskroś przemoczone; nadeszła noc, zimno mi się zrobiło, deszcz zaczął padać. Marudząc i nudząc się na pokładzie, niewiem dla czego zszedłem do kajuty drugiego miejsca, gdzie były damy; to było w nocy. Jedne siedziały, drugie leżały, w toalecie i negliżu, w kapeluszach i we włosach roztrzepanych i w nieładzie, a wszystkie prawie stękały. Ledwiem zstąpił do kajuty, jedna z dam poważna już wiekiem: rzekła, a raczej krzyknęła do swoich towarzyszek po francuzku: Ah! ce paysan va nous empêster encore davantage, il nous manque dejà d'air, il vient pour le corrompre tout a fait, il faut le chasser d'ici. Słysząc te groźby, z których mi się śmiać chciało, sam się już zabierałem do wyjścia, gdy wszedł lokaj, niosąc na tacy filiżankę bulionu czy herbaty, a postrzegłszy mnie, krzyknął, zacziem ty zdieś mużyk, paszoł won, to jest: po co ty tu chłopie, pójdź ztąd precz. Wygnany tym sposobem z ciepłej kajuty i z pośród miłego dam towarzystwa, wyniosłem się na świeże powietrze na pokład.

Płynąc dzień cały i noc prawie całą nadedniem parostatek zatrzymał się pod samem miastem Rewlem w Estonii. Ponieważ miał dopiero ruszać o dziesiątej z rana, więc jak się rozwidniło dobrze, z drugim podobnym mnie kolegą prostym Rossyaninem poszedłem do miasta, gdzie na rynku zjadłszy mięsa, kazaliśmy sobie dać w jednej traktyerni gorącej herbaty; wypiliśmy jej po pięć czy po sześć szklanek i bardzo tanio nas kosztowała; poczem wróciliśmy do statku. Miasto Rewel na wzgórku i staroświeckim sposobem zabudowane, z wązkiemi i krętemi ulicami, było i dziś jest jeszcze dosyć warowne; mnóstwo dział na okopach się znajduje, fortyfikacye wówczas na-

prawiano, ludność po największéj części niemiecka. Przybywszy do Rewla, wspomniałem na dawne świetne polskie czasy, kiedy Zygmunt III Waza widział się w tém miejscu ze swoim ojcem królem szwedzkim: i Rewel był niegdyś polskim. Ta myśl przez porównanie dzisiejszego stanu Polski z dawnym, mocno wpłynęła na mój humor: wróciłem tedy na statek pełno smutnego usposobienia i tęsknoty. O dziesiątéj chciano ruszyć, ale parostatek uwiązł na podwodnych palach; wezwano marynarki wojskowéj do pomocy, przyszło z pięćdziesięciu majtków i dwóch oficerów marynarki i po godzinnéj niemal pracy parostatek wyszedł na pełne morze. Dzień z rana pochmurny wkrótce się wypogodził, płynęliśmy szybko, bo wiatr ustał i bałwany nie tamowały siły pary. Między podróżnymi było dwóch młodych Polaków wracających z Petersburga do Litwy a ztąd do Polski jeden, a drugi na Ukrainę. Ci dwaj Polacy wcale się niemieszali do towarzystwa, choć mieli prawo do kajuty, niemal ciągle byli na pokładzie i z sobą tylko po polsku rozmawiali. Smutek rozlany na ich obliczu, jak na obliczu każdego Polaka czującego położenie Polski, świadczył, że cios, który dotknął ich ojczyznę, głęboko utkwił w ich sercu. Zbliżając się do Rewla, rzekli do siebie z cicha: i tu niegdyś była Polska, jak boleśnie jest myśleć, że dziś prawie jéj nigdzie niema. Słysząc mych braci po polsku rozmawiających i cierpiących nad niedolą ojczyzny, powziąłem o nich najlepsze wyobrażenie i z chciwością nastawiałem ucha na ich rozmowę, nie dla wybadania od nich jakichkolwiek tajemnic, któreby mi się na nic nieprzydały, ale jedynie dla nasycenia się miłym dźwiękiem mowy rodzinnéj, téj mowy, w któréj od kolebki nauczyliśmy się wyrażać i wynurzać nasze myśli i uczucia, naszę radość i boleści: przytém tak miło jest słyszeć choćby z ust Polaka, szczere chęci i życzenia dla Polski, dla téj Polski tyle dziś nieszczęśliwéj, od całego świata opuszczonéj, téj sieroty, nad którą nikt litości, nikt spółczucia niema, iż

ta moja ciekawość, jak u mnie samego tak i u wszystkich pewnie znajdzie przebaczenie. Doznane własne nieszczęście czyni ludzi więcéj ludzkimi, więcéj przystępnymi; kto doznał nieszczęścia i niedoli, ten żadnym człowiekiem pogardzać nieumie, a przynajmniéj niepowinien. Otóż i ci moi rodacy ze wszystkich passażerów byli mi najprzychylniejszymi, i chociaż mieli mnie za Moskala, wchodzili czasami ze mną w rozmowy. Wiedziałem co i jak miałem z nimi mówić. Że ja miałem dla nich sympatyą, nic w tém dziwnego, bo wiedziałem, że byli Polacy i kochali Polskę, a zatém byli ludzie poczciwi; ale że oni dla mnie, dla Moskala mieli pewne względy i zdawali się mieć przyjemność w moich z nimi rozmowach, to rzecz trudna do pojęcia. W tych wzajemnych a przychylnych dla siebie usposobieniach przybyliśmy tego samego dnia około 7méj wieczorem do miasta Rygi. Płynęliśmy tedy z Petersburga do Rygi dwa dni i noc jednę mimo złéj pogody. Przy samém ujściu Dźwiny zachodniéj na lewym jéj brzegu jest forteca, niegdyś za Polski czasów dość słynna Dünamünda czyli Dyament, zresztą nic szczególnego na obu brzegach Dźwiny aż do Rygi, po przybyciu do któréj wysiadłszy z parostatku, każdy się udał w swą stronę; ja zaś z moim kolegą Moskalem, z którym piłem herbatę w Rewlu, udałem się wprost na tak nazwane rossyjskie przedmieście, gdzieśmy się wkrótce z sobą rozłączyli.

Jeszcze w Petersburgu, jakem tylko wsiadł na statek parowy, przyjąłem na siebie miano szczetinnika, to jest: tego, który po wsiach zbiera, skupuje, lub za pierścionki i inne bagatele zamienia i bierze szczecinę dla dostarczenia jéj na okręty. W Rossyi, w ziemiach ruskich i na Litwie ten przemysł jest dosyć znany. Przybywszy do Rygi, udałem się do jednego kupca ryczałtowego, mieszkającego na rossyjskiém przedmieściu, dla zobowiązania się dostarczać mu szczecinę za umówioną cenę; ten za miernéj wartości szczecinę pud płacił 50 rubli as-

sygnacyjnych, a za wyborowéj szczeciny pud płacił 70 rubli. Przytém wskazał mi, w których miejscach najlepsza jest szczecina; w Kurlandyi bardzo zła, na Litwie dość dobra, a najlepsza na Ukrainie, dokąd mnie namawiał, abym się udał, co mu przyrzekłem. W takich umowach kontraktu żadnego niema, tylko polubowna ugoda: ile mu dostarczę, tyle mi zapłaci. Że zaś już było późno, kupiec pozwolił mi przenocować w swojéj wozowni, bynajmniéj niepytając się o pasport, zapewne dla tego, że kto wchodzi w układy pasport mieć musi. Przespawszy się wygodnie i smaczno w wozie, gdzie było trochę słomy, rano wyszedłem na miasto.

Ryga leży na prawym brzegu Dźwiny na pochyłości niewielkiego wzgórza zniżającego się ku Dźwinie i nad samym jéj brzegiem; miasto samo było niegdyś okopami obwarowane, i dziś tych okopów czyli szańców są mocne ślady; pobudowane staroświeckim sposobem, ma ulice wązkie i kręte, a jednak w niém jest coś, co się podoba. Zamek niegdyś kawalerów mieczowych niedaleko Dźwiny stojący, jest mieszkaniem gubernatora gubernii inflantskiéj (Inflant polskich czyli Liwonii). Obwarowane staremi szańcami, Ryga miasto ma mocne bramy i może się dziś jeszcze nazwać miastem obronném. Nad samym portem przed bramą do miasta jest targ i rynek na którym można dostać jadła już gotowanego, choć niebardzo smacznego, ale za to dość drogiego. Przedmieście rossyjskie za okopami i nad brzegiem Dźwiny rozciągające się, jest dość piękne, obszerne i długie: na niém mieszka mnóstwo żydów. Język powszechnie używany jest niemiecki, ale mówią także po rossyjsku, a nawet i po polsku; są w Rydze nawet mieszkańcy Polacy. Chodząc po Rydze, przypomniałem, jak niegdyś Karól Chodkiewicz w wojnie ze Szwedami w tém mieście gospodarzył. Dziś się wszystko zmieniło. Gdzież sława, gdzie świetność imienia polskiego, gdzie dziś Polska sama? Aż mi oczy nabrzmiały

łzami od tego wspomnienia. W porcie Rygi było dosyć statków handlowych.

Zabawiwszy w Rydze niemal do godziny drugiéj z południa, przeszedłem most drewniany łączący Rygę z przedmieściem na lewym brzegu Dźwiny położoném i udałem się piękną szosą i przy parném dnia słońcu ku Mitawie, wstępując na lekko pochyłe ku Dźwinie wzgórze. Szedłem krokiem sporym i w zamyśleniu przypatrując się pięknym i chędogim domkom po obu stronach drogi położonym. Tu zawczasu nadmienię, że nic piękniejszego, nad gościniec wiodący z Rygi do Mitawy; na wielką odległość od Rygi, piękne, osobne, zwykle z ogródkami i laskami przedstawiają się villa, zapewne bogatych kupców albo też właścicieli w nich samych mieszkających; rola dobrze uprawna, widać porządek, przemysł i gospodarność. Piękne dyliżanse, nakształt francuzkich, często przechodzą z Rygi do Mitawy i nawzajem, a droga dobrze wymoszczona i gładka ciągnie się po gładkiej jak dłoń równinie. Choć było gorąco i parno, szedłem jednak w kożuchu, jak przystoi na Rossyanina, z workiem na plecach, do którego, dla większego prawdopodobieństwa mojego nowego powołania, włożyłem kilka paczek kupionej i złej szczeciny. Było mi wesoło i tęskno zarazem, bo już byłem w granicach dawnéj Polski. Gdy w myślach pogrążony szedłem zwykłym krokiem, mało zważając, co się na około mnie działo; buda żydowska grubém płótném powleczona, dla ochrony podróżnych od upału słońca i deszczu, jak to zwyczaj w tych stronach u Żydów furmanów, zaprzężona trzema końmi, minąwszy mnie, zatrzymała się nagle. Po chwili wyskoczyli z niéj moi dwaj Polacy, z którymi zabrałem znajomość, płynąc z Petersburga statkiem do Rygi i kazawszy swemu furmanowi jechać stępą, zbliżyli się do mnie, uprzejmie mnie przywitali. Jechali także z Rygi do Mitawy, a z niej do Litwy. Rozmawiając ze mną ciągle po rossyjsku, prosili mnie, ponieważ w tę samę co i oni stronę udawałem się,

abym z nimi wsiadł do bryki i dojechał aż do Mitawy. Ta ich uprzejmość i dobroć mocno mnie zniewoliła, ale ich ofiary przyjąć niemógłem, rozmaite dając powody. Gdy oni nalegali, a jam się ciągle wymawiał, jeden z nich się odezwał: niewiem jakie uczucie nas ku wam pociąga, ale to pewna, że od pierwszéj chwili naszego poznania się, myśmy w was widzieli poczciwego człowieka i mimo wasz ubiór, mniemamy, że nie tym jesteście, kim się być okazujecie i że jakiego nieszczęścia musieliście doświadczyć, ztąd chcielibyśmy choć małą wam oddać usługę i dla tego prosimy, abyście z nami do bryki usiedli. Na to pytanie, którém byłem nieco wzruszony i zatrwożony, odpowiedziałem: jeżeli macie dla mnie uczucie, to moje dla was jest nierównie większe, jest tajemna siła co ludzi do siebie zbliża lub odpycha, a co się tyczy nieszczęścia, jakie przypuszczacie, że na mnie spadło, to ono tak jest ogólne, że jak mniemam i wy od niego niejesteście wolni i dla tego niechcę z wami jechać. Na tę odpowiedź spojrzeli się na siebie i jeden z nich rzekł: ach! czyżby to była podobna? Nietylko że podobna, ale tak jest w rzeczy saméj; jestem przekonany, że jesteście poczciwi ludzie, a przedewszystkiém prawi Polacy, wiem, że tajemnicy niezdradzicie (i tu odezwawszy się po polsku rzekłem:) jestem Polak i uciekam z Syberyi; niepytajcie zkąd i kto jestem, mogę być lada chwila schwytanym, w takim razie niechcąc was kompromitować, niechcę z wami siadać; znam rząd rossyjski: powiedzianoby, żeście mi ucieczkę ułatwili. Jedźcie z Bogiem i nikomu niepowiadajcie, żeście mnie znali. Na tę wiadomość obaj zbledli i zczerwinili się i łzy im się potoczyły; ja także mocno byłem wzruszony. Chcieli mi dać pieniędzy, ale nieprzyjąłem, nareszcie postanowili mnie czekać w jedném mieście w Litwie, aby mi ułatwić ucieczkę za granicę; zgodziłem się na to, a uścisnąwszy się nawzajem, rozstaliśmy się z sobą. Oni dogoniwszy bryczkę, wsiedli do niéj a ja poszedłem daléj piechotą.

Przenocowawszy w polu w zbożu, dodnia ruszyłem w podróż; około 8 z rana, daleko przed sobą postrzegłem zamek czyli pałac Mitawy, i aż mi się sprzykrzyło patrzeć na niego, nim do niego doszedłem, z tak daleka go widać. Kiedym się zbliżył do rzeki, nazwanéj zdaje się Aa, za którą ten pałac jest wzniesiony, zatrzymałem się dla przypatrzenia mu się z bliska i wcale niepojmowałem, jakim sposobem Karól książę syn Augusta III króla polskiego, chciał i mógł się w nim bronić? gdy ze wszystkich stron był odsłoniony, a ślepy artylerzysta mógłby do tego zamku działo wymierzyć i weń trafić. Kurlandya jak wiadomo była pierwszym powodem zaczepki Rossyi przeciw Polsce. Katarzyna II przywoławszy Birena dzikiego i okrutnego z Syberyi, dokąd go była wysłała Elżbieta Piotrowna, chciała go uczynić, co i uczyniła księciem Kurlandyi, która należąc prawnie do Polski, któréj się dobrowolnie pod opiekę oddała, żadnego do siebie prawa Rossyi niedawała. Zamek ten o kilku piętrach, obszerny i okazały, a złożony z frontu obróconego ku Rydze i z dwóch pawilonów długich zgiętych ku Mitawie i od tego miasta bynajmniéj pawilonem niezamknięty, a który gdyby był zamknięty, formowałby równoległobok, jest postawiony na nizinie, na najniższéj części i cokolwiek opodal przed miastem. Widać że dawniéj na około niego były okopy, które go jednak niemogły bronić od kul działowych, i obszerny ogród : dziś zaś są wały zaniedbane, drzewa gdzieniegdzie sterczące i połamane, woda w dawnych zapewno wałach stojąca, zapleśniała i śmierdząca, żadnego płotu i ogrodzenia: oto są ozdoby pałacu, który choć sam okazały a stojący pośród bagna, zdaje się smucić, że zamiast książęcia krwi Kettlerów, lub w braku jego księcia krwi polskiéj, musi mieścić w sobie jakiegoś stupajkę gubernatora z woli najmiłościwszego Mikołaja I. Pałac ten w porządku utrzymywany musiał mieć swe powaby i dla tego wcale się niedziwię, że piękna i dowcipna panna Krasińska, jeżeli rozkochała się w księciu Karólu, musiała także

niebyć obojętną na wspaniałe mieszkanie księżnéj Kurlandyi.

Przypatrzywszy się do syta bogatéj i wspaniałéj nędzy zamku, przeszedłem most drewniany na rzece Aa będącéj i groblą, po któréj szedł gościniec, udawałem się ku Mitawie: zamek stał po prawéj méj ręce. Przed samém wejściem do miasta boczną ulicą, spotkałem stojących i rozmawiających po polsku, jednę poważną już damę, młodą pannę i młodzieńca, zapewno jéj dzieci z księdzem; widok téj grupy polskiéj, któréj naturalną ozdobą była młoda ośmnastoletnia Litwinka i dźwięk mowy polskiéj, tak miłéj i powabnéj dla ucha i serca Polaka, mile mnie zajął i wzruszył, żałowałem, że niemógłem do ich grona się wmięszać; przeszedłszy zatém obok nich wolnym krokiem dla nacieszenia się dźwiękiem ich mowy, wszedłem do miasta. Miasto Mitawa nieco na wzgórku pobudowane jest obszerne, wesołe i porządnie zabudowane; rynki przestronne, ulice wyrównane i szerokie, zdaje się nierównie rozleglejsze od Rygi; jednak niewiem, dla czego przeniósłbym mieszkać w Rydze niż w Mitawie. Był to dzień targowy; przybywszy daleko przed południem, wmięszałem się w tłum targowy, gdzie kupiwszy chleba i sera, którego podostatkiem wieśniacy nawieźli i nim się posiliwszy, w dalszą ruszyłem podróż. Ale zaledwo wybrałem się z tłumu na wolniejszą przestrzeń, gdy jakiś kacap z długą rudawą brodą mnie spostrzegłszy, zbliżył się do mnie i bardzo uprzejmie mnie przywitał, biorąc mnie za swego spólziomka i może swego spółwyznawcę; a czegom się wcale niezapierał i owszem. Po kilku słowach rozmowy przekonałem się, że był starowiercem, ja naturalnie nim być musiałem; ztąd otwartość i zaufanie zobopólne bez granic; témci łatwiejsze do otrzymania, że był pod dobrą datą. Niebędę powtarzał, com już gdzieindziéj o téj sekcie starowierców powiedział, dodam tylko, że ten zwolennik sekty w niczém nieustępował najzaciętszym jéj wyznawcom, w przywiązaniu do

niéj i w nienawiści ku popom i carowi. A ponieważ był miejscowym, korzystałem zatém z téj sposobności dla rozpytania się u niego o rozmaite drogi, tak do Litwy jak i w głąb' Kurlandyi prowadzące, zasłaniając się mojém przybraném mianem i obowiązkiem szczetinnika.

Przypomniawszy sobie obietnice dwóch moich rodaków mających mnie czekać na Litwie w umówioném miejscu, chciałem się wprost z Mitawy przez Janiszki udać do Litwy, tém bardziéj, że do tego byłem popchnięty bardzo naturalném uczuciem ujrzeć ojczystą ziemię, być między rodakami, jeżeli się nie pocieszyć, przynajmniéj posmucić z nimi, a późniéj za ich pomocą przeprawić się za granicę do Prus, zkąd do Poznańskiego, a późniéj do Francyi. Już zbliżyłem się do samych rogatek, to jest: do końca ulicy wiodącéj ku Janiszkom, kiedy nagle nową uderzony myślą, cofnąłem się i wróciłem nazad do miasta. Że dwaj moi rodacy byli poczciwymi ludźmi, dobrymi Polakami i życzącymi mi dobrze, niemiałem w tém żadnéj wątpliwości, ale czy byli dość ostrożni i wytrwali, za to ręczyć niemógłem po doświadczeniu, jakie miałem na sobie w Kamieńcu, Kijowie a nawet w Syberyi. Przytém gdyby i posiadali sami wszystkie te przymioty, któż wie, czy ci, którym się zwierzą, a zwierzyć się muszą, takowe przymioty mają? W tém ostatniém przypuszczeniu i ja, i oni, i ci wszyscy, coby do téj niebezpiecznéj tajemnicy byli przypuszczeni, popadlibyśmy w nowe i wielkie niebezpieczeństwo; a tak mimowolnie stałbym się znowu przyczyną nieszczęść kilku lub może kilkunastu rodzin, bez korzyści dla mnie i ze szkodą własnego kraju. Miłą mi jest ich spokojność i bezpieczeństwo, z wielkim tedy moim żalem opuściłem drogę do Janiszek, a udałem się drogą wiodącą ku Goldyndze.

Pódróż moja przez Kurlandyą była jedną z najprzyjemniejszych; pora roku i czas piękny jéj sprzyjały i wkrótce postrzegłem, że mój ubiór chłopa rossyjskiego

był między mieszkańcami księstwa najlepszym i otwartym pasportem. Cała Kurlandya dobrze uprawna i zagospodarowana, przedstawia jednę wielką płaszczyznę, przeplataną dość częstemi lecz niewielkiemi laskami jakby gaikami. Wsie choć dość częste, ale za to bardzo małe, niektóre z kilkunastu lub nawet ledwo kilku domków złożone, lecz w zamian widać po wszystkich polach otwartych porozrzucane domki jakby folwarki dość gęsto. Pomiędzy temi domkami bardzo skromnemi, jako téż czasami i przy wiosce, widać okazałe domy i pałace, to są mieszkania właścicieli, dziedziców. Mimo urodzajność ziemi i rolnictwo posunięte do wysokiego stopnia, widoczna jest jednak nędza ludu, która się objawia w ich potulnéj postawie, w ich nędzném i brudném odzieniu, słowem w pewnéj poniżonéj powierzchowności. Przyczyna tego jest ta, że tam jest pańszczyzna i niewola. Ale za to dziedzice żyją wystawnie i okazale. Smutna sprzeczność, smutniejszy jeszcze przywiléj zdobyty siłą oręża, a zamieniony w prawo. Kiedyż sprawiedliwość zostanie opartą na właściwéj podstawie? Wszyscy niemal dziedzice z bardzo nielicznym wyjątkiem są Niemcy, i mówią po niemiecku; są to potomkowie sekularyzowanych kawalerów mieczowych. Wszyscy zaś mieszkańcy pierwotni Kurlandyi, mówią odrębnym swym językiem łotewskim do żadnego narzecza słowiańskiego niepodobnym. Ztąd miałem nieraz wielką trudność dać się im zrozumieć, gdym się pytał o drogę, lub kiedy jeść potrzebowałem. W wielu miejscach stodoły, fabryki, browary i domy, są pomalowane na czerwono, jak to jest zwyczaj w Prusach wschodnich.

Im bardziéj zbliżałem się ku Polsce, ku Litwie, tém większy smutek mnie tłoczył, jakby powietrze z ziemi ojczystéj zalatujące a przesycone cierpieniami nieszczęsnych jéj mieszkańców, mnie owiewając i odnawiając krew w mych płucach, mieszała zarazem do niéj boleść i westchnienia nieme i ukryte, które uniósłszy z sobą w taje-

mniczości, w braku serc spółczujących rozniosło po podniebnej przestrzeni jako skargę wielkiego i nieszczęśliwego narodu przed przyrodą, przed samym Bogiem, gdy rządy, ludy, i świat cały są głuche i nieme na jego boleść, smutek, poniżenie i niewolą. W takiém usposobieniu człowiek zwykle głębiéj wchodzi sam w siebie, i odkrywa i bada najskrytsze tajniki swéj duszy, poznaje sam siebie i pokazuje się tém czém jest rzeczywiście. Niemogąc ani żyć poświęceniem się dla szczęścia drugich, ani swemi cierpieniami dopomódz ich niedoli, bo i poświęcenia się zamknięte pole, bo i uskarzać się zabroniono, z jednéj ostateczności przechodzimy w drugą: z pola działań w ustronie, z ruchu w bezczynność, z towarzystwa w osamotnienie, z zawiedzionego rzeczywistego szczęścia do zwodniczéj nadziei, z ogółu do szczegółów, z ogólnéj miłości narodu do samolubstwa, do miłości siebie; z obywateli kraju stajemy się tylko ludźmi, a nieczując się w stanie przyczynić do dobra powszechnego, szukamy przynajmniéj osobistego szczęścia; wielkie nieszczęście jak wielka pomyślność, są równie i nadzwyczaj samolubne. Zagrodźmy człowiekowi szlachetnych popędów i wzniosłych a gorących uczuć, drogę do wylania się z niemi na zewnątrz, na korzyść i cel ogólny, zmuśmy go do zagrzebania tych, że tak powiem, skarbów w samym sobie, a mimowolnie stać się musi ich lichwiarzem, i on co żył tylko, co oddychał dla dobra i szczęścia drugich, żyć odtąd jest zmuszony dla siebie, i aby wynagrodzić niczém i nigdy nieodżałowaną stratę, żadnych, chociaż godziwych tylko, niezaniedba sposobów dla uczynienia o ile można znośném swe istnienie. Może to choć w części wytłómaczy pozorną odrętwiałość i obojętność wielu z naszych rodaków tak w kraju jak i za granicą będących, tak co do położenia sprawy narodowéj, jak i co do stanu nieszczęśliwszych od nich rodaków. Była chwila, gdziem i ja uległ tak zgubnemu wpływowi, w czasie mojego przejścia przez Kurlandyą; piękny czas i urocze miejsce, przez które

przechodziłem, mocno się przyczyniły do tego usposobienia. Było to ku wieczorowi: przechodziłem obok wioski, tuż nade drogą i za wioską stał niezbyt okazały, ale schludny, niewielki, biały i o piętrze domek, zapewno mieszkanie dziedzica wioski; wychodząc z domu ku drodze na mały dziedziniec, po lewéj jego stronie był ogród owocowy, za nim obora i stodoły, po prawéj zaś jego stronie znajdował się niewielki ogród angielski z krętemi ścieżkami, kląbami, trawnikami, a pośród nich mały strumień wody; przed domkiem i przed dwoma ogrodami otwierała się wielka przestrzeń, zasiana zbożem już wkrótce mającém wynagrodzić trudy gospodarza, i zasadzona kartoflą: a kończąca się pięknym lasem, prawie w półkole zagiętym i zasłaniającym z téj strony horyzont; na prawo angielskiego ogrodu i za nim, równie jak i za domem odsłaniały się obszerne, piękne i zielone łąki zakończone małemi wzgórzami, upstrzonemi niewielkiemi gaikami, i rozsypanemi po nich tu i owdzie odosobnionemi domkami; świeżość powietrza i woń kwiatów z ogrodu zalatująca, nadawały piękności tego miejsca czarujący powab, co przez wrażenia na nas zdziałane, zlewając, że tak powiem, nasz organizm z przedmiotem, na który patrzymy z zachwyceniem, i z nas i z przedmiotu tworzy prawie jednę tylko, całość. Minąwszy wolnym krokiem domek i część ogrodu angielskiego, usiadłem niby dla odpoczynku na podniesioném nieco miejscu tak, abym domek, ogród i całą otaczającą je okolicę mógł widzieć; rzuciwszy z kolei okiem na wszystkie strony, i przypatrzywszy się całéj okolicy, mimowolnie prawie utkwiłem wzrok błędny w ogródek, i wpadłem w marzenie — ach! jak błogo, jak mocno czułem rozkosz życia. Gdyby po tylu latach tułactwa, trudów i znojów, dozwolono mi było na przyszłość odpocząć w podobném temu ustroniu, nietylko żebym niezłorzeczył, alebym błogosławił przeszłości: bo przez porównanie podwójniebym cenił spokojne, błogie, rzeczywiste szczęście. Cóż ja, co tysiące mnie podobnych rodaków

zyskali broniąc i poświęcając się za prawa najświętsze prawdzie, ale których teraz odzyskać niepodobna? Czyż nie lepiéj, nie rozsądniéj poddać się nieubłaganemu przeznaczeniu i szukać ulgi w cierpieniach, którym zapobiedz niepodobna w spokojném, domowém, rodzinném życiu? Tak i tym podobnie rozmyślając i przechodząc z jednego uczucia w drugie, zupełnie sprzeczne, napełniałem przyszły mój raj ziemski lubemi marzeniami, a którego najpiękniejszą i jedyną osobą być musiał koniecznie anioł méj duszy. Niewiem, jak długo byłbym rozmyślał i marzył, gdyby jadący chłopi swym hukiem i łoskotem wozów byli mnie niewywiedli z tego letargicznego usposobienia. Kiedym się ocknął, już słońce zaszło i ciemnieć zaczynało; niestety! smutna rzeczywistość boleśnie mnie przekonała o czczości mych nadziei, i srodze byłem ukarany za chwilę samolubstwa. Podniósłszy się z miejsca poszedłem daléj, i wkrótce zanocowałem nie w domku z angielskim ogródkiem, ale po prostu między krzakami w lesie.

Niebędę opisywał po szczególe méj podróży przez Kurlandyą, która oprócz mnie nikogo niemoże zajmować, gdyż ta podróż nic osobliwego w sobie niema, chyba to tylko: że szedłem i szedłem; przytoczę jednak kilka ważniejszych zdarzeń. — Jednego dnia późno już wieczorem przybywszy do odosobnionéj karczmy nade drogą stojącéj, ośmieliłem się w niéj przenocować; gospodarz luter wskazał mi na wielki długi stół, na którym mógłem się spać położyć; znużony podróżą, choć na gołych deskach, prędko i mocno zasnąłem. W tém przez sen usłyszałem jakąś melodyą szumnéj muzyki; jakież było moje zadziwienie, kiedy po zupełném przebudzeniu się usłyszałem rzeczywiście w drugim karczmy pokoju hałaśliwą muzykę, grającą mazura na nótę pieśni: *Nasz Dwernicki wojak, dzielny, śmiały* i t. d.; niewiedząc, co to znaczy, porwawszy się usiadłem, przysłuchując się muzyce hucznéj, ale kaleczonéj swóm zacięciem i dysharmonią nasz śpiew narodowy.

Była to banda Żydów muzykantów przejeżdżających czy przechodzących, a którą kilku młodych Kurlandczyków rzemieślników do téjże karczmy przybyłych, a chcących trochę pohulać, zniewolili do grania za ugodzone pieniądze; poczém grali trzeciego maja i inne mazurki i walce, ale to po żydowsku; młodzi rzemieślnicy podpiwszy dobrze i popoiwszy muzykantów tak się dobrze bawili, że całą noc przehulali i mnie wcale spać nie dali, a zatém daleko jeszcze do dnia wyruszyłem z bardzo gościnnego domu. Tego dnia przeszedłem obok wsi opodal ode drogi leżącéj a będącéj własnością hrabiego Medem i gdzie jest pałac niewielki, ale okazały z jedną wieżą; czy nie będzie to ten sam Medem, który był w Londynie chargé d'affaires petersburgskiego dworu?

W Kurlandyi niechętnie biorą banknoty rossyjskie, tylko miedź, srebro i złoto: sprzeczność dyametralna z Syberyą, z któréj tylko same wyniosłem banknoty. W ciągu podróży starałem się te banknoty wymieniać na srebro; zostawała tylko jedna dziesięciorublowa bumażka; zbliżając się ku granicy pruskiéj, chciałem i tę zmienić na srebro. W karczmie tedy jednéj w dość obszernéj wsi kazawszy sobie dać kwartę piwa, chciałem za nie zapłacić banknotem, ale karczmarka wolała piwo mi darować, niż wziąć banknot; zapłaciłem jéj innemi pieniędzmi, a karczmarka powiedziała mi, że mój banknot będę mógł zmienić u dziedzica téj wsi, którego piękny dworzec stał opodal wioski za rzeką, przez którą mi koniecznie przeprawić się należało. Długom się wahał, czy miałem pójść do tego dziedzica czy nie, ale dowiedziawszy się, że Kurlandczyk i bardzo mało po rossyjsku mówi, to mnie ośmieliło i poszedłem do niego. Przyszedłszy do dworu, ledwiem się dał zrozumieć, że mam interes do samego dziedzica, tak tam mało po rossyjsku mówią, a po niemiecku odezwać się nie chciałem; trafiłem na sam obiad, więc dla poczekania wprowadzono mnie do kuchni. Stanąwszy tedy w kącie, czekałem. Miły zapach pieczeni,

ogromnego szczupaka nadziewanego i innych smacznych potraw zaleciał mi do nosa z całą bezczelnością szyderstwa i wzruszył mi wnętrze zgłodniałego żołądka wskazanego od kilku już miesięcy (sześciu) tylko na chleb i wodę, albo w zbytku na rzepę, tołokno i nabiał, a każdą potrawą, którą lokaj obok mnie przenosił, ślina mi się mimowolnie do ust toczyła; tém bardziéj, że wszystkie niemal potrawy były mocno korzenne, byłem tantalem nowego rodzaju, blizko godziny, nim się obiad skończył. Jeżeli wszyscy dziedzice Kurlandyi żyją, jak ten dziedzic (a nazywał się Nigry czy Negry), to przyznam się, że prawie w niczém nieustępują, przynajmniéj co do stołu, naszéj szlachcie polskiéj, jeden dowód więcéj, że Kurlandya powinna do Polski należeć. Po skończonym obiedzie jeden czy dwóch chłopczyków i trzy córeczki starsze, dzieci pana Negry, bardzo ładne i miłe, szczególniéj panienki, paradnie i czysto ubrane wraz ze swą guwernantką, zapewno dla przypatrzenia się rossyjskiemu chłopu, wyszli przez kuchnią na dziedziniec dworu dla zabawy. Po chwili wyszedł do mnie do kuchni sam pan Negry, słusznego wzrostu, bardzo szykownéj budowy, prosty, sprężysty, twarzy ściągłéj, pięknéj, wyrazu męzkiego, dumnéj, choć uprzejméj, z wąsami bez faworytów, blondyn, w obcisłém odzieniu: słowem, w całym swym układzie doskonale reprezentował wyższą, a wyłączną klassę w Kurlandyi; stanąwszy na progu kuchni, zapytał mnie złą moskiewszczyzną, ale głosem uprzejmym i łagodnym: Czego ode mnie potrzebujesz? — Pokłoniwszy mu się nizko i skrobiąc się w głowę odpowiedziałem: że niechcą mi tu nigdzie banknotu rozmieniać i przyszedłem do niego, aby mi tę łaskę wyświadczył. — Co za głupi naród, odpowie, przecież banknoty są tak dobrze carskie pieniądze, jak srebro i złoto; dobrze, rozmieniam tobie, zaczekaj trochę, i wróciwszy do pokoju przez lokaja wkrótce przysłał mi srebra. Kontent z rozmiany co tchu oddaliłem się z domu pana Negry, którego kuchnia długo mnie prześladowała. Ażeby

choć w części przynajmniej zaspokoić natrętną prośbę żołądka, nazajutrz rano w jednéj karczmie kazałem sobie dać jakiéjś gorącéj potrawy; właśnie gospodarze gotowali wówczas kluski z jęczmiennéj mąki, niewiem dla kogo, a które tam po miejscowemu nazywano kiłkien: więc i ja temi kiłkien uraczyłem się do syta. Już mówiłem, że lud w Kurlandyi, mówi odrębnym językiem łotewskim, do żadnego słowiańskiego narzecza niepodobnym, a jednak kiedy rachowali, wszystko rozumiałem, bo zupełnie liczą podobnie, jak dawni Rzymianie, to jest nakształt: unum, duo, tres, quatuor, quinque, sex i t. d. Dziwiłem się, jakim sposobem ten sposób liczenia został przyjętym przez ludność kurlandzką tak różną pochodzeniem i tak wielką przestrzenią oddzieloną od dawnych Rzymian. Chybaby przypuściwszy, że Żmudzini byli koloniją rzymską, przypuścić należało, że ta kolonija rozpostarłszy się i w Kurlandyi i uległszy wpływowi miejscowéj ludności, zostawiła jéj w spuściznie swój język rzymski tylko w liczeniu, gdy tymczasem język mowy rzymskiéj z czasem zupełnie się zatarł. Ale w takim razie przypuścićby należało, że język żmudzki jeżeli nie ten sam co kurlandzki, to przynajmniéj bardzo do niego zbliżonym być musi, i że Żmudzini także po łacinie liczą, a o czém wcale sądzić niemogę, nieposiadając wcale ani jednego ani drugiego języka. Pomijając, iż podobny przedmiot godzien byłby zająć uwagę badaczów starożytności i pochodzenia szczepowego Żmudzi i Kurlandyi, aby raz rozwikłać nierozwiązaną dotąd w historyi naszéj zagadkę; ja tymczasem śmiém mniemać, że szczątki mowy łacińskiéj w liczeniu tylko między ludnością kurlandzką zostawione, są ślady panowania nad nią niegdyś bractwa kawalerów mieczowych chociaż Niemców, ale i z cywilizacyi ówczesnych wieków i z obowiązku język łaciński posiadających i nim zapewno mówiących, bo w owych wiekach język łaciński był językiem naukowym, dyplomatycznym, administracyjnym.

Jednego dnia około południa przeszedłem przez mia-

steczko dość rozległe jak na Kurlandyą Grobingę, położone niedaleko od portowego miasta nad Bałtykiem, Lipawy (Libau); w Grobindze są ślady, a raczéj jeszcze stojące mury małego zameczku warownego niegdyś wałami i wodą opasanego. Z Grobingi udałem się na lewo drogą na Połondze: niedaleko od Grobingi poczynają się lasy, które z niektóremi małemi przerwami ciągną się aż ku saméj Połondze, a przez które przechodzi droga, którą szedłem; droga ta w niektórych miejscach przypiera niemal do samego morza zasłonionego jednak drzewami. Szedłem ochoczo i raźnie, choć byłem smutny, mijałem lasy i wioski. Kożuch długi, zwierzchni, a całkiem od słoty i wilgoci zeskorupiały, dla ulżenia sobie w marszu w gorącéj letniéj porze, rzuciłem w lesie nade drogą niedaleko Archangielska; armiak jeszcze z Syberyi, dobrze już podszarzany i wystrzępiony zgubiłem w pochodzie niosąc go na plecach niedochodząc do Grobingi, został mi tylko spodni kożuch krótki po kolana, jeszcze dobry i mało uszkodzony, bo na spodzie odzienia będący, ale zbliżając się ku granicy pruskiéj i jego chciałem się pozbyć, to jest: gdzie rzucić w krzaki. Już dobrze z południa, w dzień znojny i gorący, idąc z Grobingi ku Połądze, zaszedłem do jednéj karczmy dla rozpytania się o drogę, i gdzieby można zebrać wiele szczeciny. Gospodarz karczmarz wpół chłop, a wpół szlachcic zagonowy, dawszy mi dokładne objaśnienia, zaczął na mnie nalegać, abym mu przedał mój kożuch, dając za powód, że w nim musi mi być bardzo gorąco; tego mi właśnie potrzeba było. Po pozornym z méj strony oporze, gospodarz dla zachęty poczęstował mnie sporym kieliszkiem wódki bardzo taniéj w całéj Kurlandyi: udałem żem się trochę rozochocił, co i w rzeczy saméj było; podczas gdym się posilał chlebem i solą, gospodarz nalegając ciągle o mój kożuch, chciał mi jeszcze dać wódki; ale ja poprosiłem o kwartę piwa. Niby dobrze podochocony skłoniłem się na sprzedanie kożucha: za krótki surdut ledwo do kolan dochodzący, z grubego

szarego sukna, z którego wieśniacy noszą opończe i dobrze już podszarzany, i za trzy ruble miedzią (3 franki) w dodatku; nadto ani za wódkę, ani za piwo nic niewziął. Karczmarz zapewno sądził, że mnie okpił, korzystając z wesołego mojego usposobienia, które więcej jednak było udane, niż rzeczywiste, ale ja życzyłem sobie tak być okpionym. Poczém bardzo kontent z zamiany, włożywszy mój surdut do worka, który niosłem na plecach niby na szczecinę, poszedłem daléj. Ten dzień był dla mnie dniem szczęśliwym. Ku wieczorowi w drugiéj bardzo biednéj karczmie, gdziem zastał żyda zbierającego starzyznę, przedałem temuż żydowi, który mi się sam nastręczył, sukienne spodnie, które miałem na sobie, parę koszul rossyjskich, i bóty naprawione w Archangielsku, prawie za nic, bo też wszystko to było prawie zupełnie zszarzane. Przewdziawszy się na czysto, to jest: wziąwszy na siebie nowe bóty mniéj wielkie, a zrobione jeszcze w Syberyi, nowe błękitne kitajkowe spodnie, także z Syberyi i ruskim krojem zrobione i białą koszulę, poszedłem dalej na noc całą; rozumie się samo przez się, żem kupionego surduta nie kładł na siebie, bo nastajaszczemu ruskomu czełowieku nietylko surdut podobnym krojem robiony jest nie do twarzy, ale nadto byłoby mnie w nim bardzo niebezpiecznie.

Drugiego dnia od czasu mojego nowego przebrania się, około ósméj z rana przybyłem do rogatek Połągi. Przy rogatkach stał żołnierz; na widok prawdziwego Moskala, zamiast pytać mnie o pasport (jeżeli miał polecenie), żołnierz mnie zapytał: A z któréj gubernii ziemlak? Już niepamiętam z jakiéj byłem, ale po tém zapytaniu wszczęła się rozmowa: żołnierz kontent z ziemlaka rozmawiał z ochotą; na moje zapytanie: czy nie wie, gdzie tu wiele świń, a następnie i szczeciny? odpowiedział: a czort jego wie, ale idź do miasta, to tam się rozpytasz, tém bardziéj, że dziś dzień targowy; więc poszedłem. Przybywszy na rynek, gdzie dosyć było ludu i wozów żmudz-

kich z kurami, jajami, serem, masłem itd.; zacząłem się wałęsać po targu, przysłuchując się z uniesieniem mowie polskiej dość powszechnie tam używanéj. Ale żeby mieć jaki taki pozór wałęsania się, wchodziłem ze Żmudzinkami w targi, mówiąc nawiaseem, bez chęci kupienia, tam targowałem ser, tu masło, gdzieindziéj co innego, a nic niekupiłem. Nareszcie zbliżyłem się do jednéj Żmudzinki siedzącéj na swym wózku, wygadanéj i przedającéj sery: Co za ten ser? zapytałem po rossyjsku. — Tyle i tyle. — No, co tak drogo, weź tyle? — A kiedy drogo to nie jedz, odpowie. — Równie tak biedny, jak i bogaty chce jeść. — To się najedz pieczonéj rzepy lub brahy. — Cóż się ty tak gniewasz? — Oto idź sobie i kupuj gdzieindziéj, nie u mnie. Odstąpiwszy od niéj cokolwiek, kontent z gniewu Żmudzinki na Moskalu, odwróciłem się w inną stronę, niby dla gawronienia, a moja Żmudzinka nuż się dąsać na Moskali: oj dałabym ja wam dobrego sera, ażbyście przełknąć go niemogli, gdyby to było można, czarci was tu nanieśli itd. itd., całą litaniją życzeń wyrecytowała, a ja małom nieparskał od śmiechu; w końcu odszedłem spojrzawszy tylko na nią. Chodząc po rynku i targu, myślałem: otóż już jestem na saméj granicy Rossyi i Prus, idzie tylko o to, jak i którędy przejść granicę? Moskale i Prusacy zapewno pilnują granicy. Jeżeli w Prusach mnie schwytają, bez wątpienia wydadzą Moskalom, bo kartel wzajemnego wydania zbiegów został odnowiony, obostrzony; o tém wiedziałem jeszcze w Syberyi. Za przejściem zatém granicy pruskiéj potrzeba się przewdziać do niepoznania, a przedewszystkiém potrzeba ogolić brodę, a tu ani odzienia, ani brzytwy niema. Ale przedewszystkiém jak i którędy przejść granicę? w dzień czy w nocy? Niebędąc miejscowym, a następnie niewiedząc przepraw, mógłbym najść sam na strażnika lub żołnierza. Czy nie lepiéj w takim razie zajść do jakiego nadgranicznego szlachcica żmudzkiego i zwierzyć mu się ze wszystkiém, aby mi dopomógł do przeprawy i jeżeli

potrzeba czas jakiś u siebie przechował, nim się przyjazna okoliczność nastręczy? Ale jak znaleźć, jak trafić mnie zupełnie tu obcemu i nieznanemu na takiego szlachcica, któryby do patryotyzmu łączył potrzebną w dzisiejszych szczególniej czasach, gdzie się każdy obawia własnego prawie cienia, odwagę do przeprawienia za granicę mnie katorżnego, uciekającego z Syberyi? Któryby mi zawierzył i nie mniemał, że to łapka na niego od rządu zasadzona? Jakie mu złożę rękojmie, że jestem ten a nie inny? Ja, którego nikt tu niezna, i o którym nikt nawet niesłyszał? Zresztą gdybym i trafił na prawego i śmiałego Polaka, któryby mnie nawet i przeprawił za granicę; a nuż, jakimkolwiek sposobem ten jego postępek szlachetny zostanie odkrytym i doniesionym rządowi, cóż się z nim, co z jego całą rodziną i majątkiem stanie? On musiałby pójść na całe życie na moje miejsce do katorgi, majątekby jego skonfiskowano, a cała jego rodzina osierocona i nieszczęśliwa. Czémbym mu i jego rodzinie wynagrodził jego szlachetność i nieszczęście? Nie, cudzym kosztem, cudzemi łzami, łzami i nieszczęściem mych ziomków własnego niechcę ocalenia. Jeśli mam zginąć, zginę sam, nikt przynajmniej méj pamięci niebędzie złorzeczył! Przytém któż może zaręczyć, iż zamiast na dobrego, trafię na złego lub tchórza Polaka, który albo dla przysłużenia się rządowi, albo z obawy skompromitowania się przed nim, zamiast pomocy, o którą prosiłem, wyda mnie wprost rossyjskim władzom? Nie, niech się dzieje wola Boga, sam przejdę granicę; z Syberyi aż tutaj pod opieką Boga i bez żadnej obcéj przybyłem pomocy, pod opieką Boga i bez żadnéj obcéj pomocy przejdę granicę i pójdę daléj.

Takie uczyniwszy postanowienie, zaszedłem do jednego sklepu, w którym kupiłem małe lusterko składane i oprawne w blachę, do drugiego zaszedłem dla kupienia brzytwy; żyd kupiec patrząc na mnie, zapytał: A na co tobie brzytwa? — No, co ci do tego żydzie, na co, da-

waj jeśli masz i to dobrą a nie drogą. — Czy ty nie konował? — A jużci, na cóżbym kupował brzytew, wszak widzisz, że się niegolę: jaki ty nieprzezorny! — Czy ty wieprze, czy konie pokładasz? — I wieprze i konie. Kupiwszy brzytew prawdziwie angielską, ale zardzewiałą, za bardzo tanie pieniądze, zapewno jako pochodzącą z kontrabandy, zapytałem żyda: Słuchaj, kupiec, ty tutejszy, ty musisz wiedzieć, gdzie tu wiele świń i koni, nastręcz mi miejsce. — No, tutaj wszędzie pełno świń i koni w każdéj wsi znajdziesz. — Dobrze, bywaj zdrów — i wyszedłem. Mydła kawałek jeszcze miałem z Syberyi; zaopatrzyłem się tedy we wszystko, co było potrzebném do ogolenia brody. Poszedłem późniéj do szlifierza żyda dla wyostrzenia brzytwy; u tegoż żyda obrabiano piękne bursztyny na musztuki do fajek i na naszyjniki (collier).

Szło mi tylko teraz o wybór miejsca, którędy miałem przejść granicę, a postanowiłem ją przejść czy przeleźć w nocy. Kiepskie miasteczko Połąga (z przeproszeniem szanownych i kochanych Żmudzinów) leży na saméj granicy tak, że jedno jego przedmieście już jest w Prusiech; granica pruska na Żmudzi idzie w klin ku morzu Baltyckiemu. Połąga od morza jest oddaloną najwięcéj na werstę. Za miejsce przejścia granicy obrałem zatém przestrzeń między Połągą a morzem. Ponieważ miałem tę granicę przejść w nocy, postanowiłem ją w dzień nieznacznie zlustrować, co tém łatwiéj mógłem uczynić bez zwrócenia na siebie niczyjéj uwagi, że o téj porze dosyć się zjeżdża do Połągi na kąpiele morskie, i wiele ludzi, szczególnie w dzień targowy, snuje się po nad samą granicą między Połągą a morzem. Idąc zatém z Połągi ku morzu dla zrekognoskowania granicy, przechodziłem mimo łożyska dość szeroko wydrążonego, zapewno wezbraniem wody na wiosnę i w jesieni, a wpadającéj do morza; w tém korycie długiém i szerokiém, jakby koryto małéj rzeki, była woda; tak dla zabicia czasu do wieczora, jak i dla oczyszczenia się z brudu i wymycia bielizny, korzystając

z dnia gorącego, zacząłem się w têm korycie kąpać i myć bieliznę, rozmyślając nad sposobami przejścia granicy. Po chwili przyszedł jeden żołnierz także dla wykąpania się i dla wymycia swej bielizny z niewielkim szaflikiem. Jak się masz? — jak się masz; wszczęła się rozmowa; z akcentu, jakim żołnierz mówił po rossyjsku, poznałem, że był Rusinem; więc go zapytałem: z której gubernii? — Z pułtawskiéj, odpowie. — I ja z pułtawskiéj. — Tak my ziemlaki. — Ziemlaki. Żołnierz jeszcze się więcéj rozochocił w rozmowie i zaczął, jako przed swoim rodakiem, więcéj mówić otwarcie, narzekać na swój los i użalać na służbę; żołnierz rossyjski jest tak nieszczęśliwa istota, iż więcéj dziwićby się należało, gdyby się nieuskarżał, niż że się użala. Czuły na nieszczęście drugich, bo sam nieszczęśliwy, cieszyłem go, jak mogłem, ale zarazem postanowiłem korzystać z jego szczerego przedemną wynurzenia się na korzyść mojego zamiaru przejścia granicy; potrzeba mi było wiedzieć, jak i gdzie najwięcéj granica jest pilnowana? W ciągu zatém rozmowy rzekłem: Już to że bieda, to bieda być żołnierzem, was zapewno tak tu, jak i wszędzie męczą mustrą i służbą? — Już to że męczą to męczą, a do tego jeszcze pałki. — To jeszcze przynajmniéj dobrze, że Bóg dał noc, jak człowiek zaśnie, to i o biedzie zapomni. — Da, gdyby to w nocy jeszcze spać dali. — A cóż wy w nocy robicie? — Co? musimy iść na warty i z kolei na czaty na granicę. — Jak to, to wy jeszcze w nocy i granicy pilnować musicie? — Da jakże. — A kozacy, a strażnicy na co? — Ta i oni pilnują, ale to niestarczy. — To wierzę, że jesteście mocno nieszczęśliwi; męczą, biją i jeszcze spać niedają: ani w dzień, ani w nocy niemacie pokoju. — Da, cóż robić, widać tak podoba się Bogu. — Ale po cóż tak mocno granicy pilnujecie? — Żeby niebyło kontrabandy i żeby nikt z Rossyi do Prus nieuciekał. — Co to znaczy kontrabanda? — Oto że towary zagraniczne w nocy przez granicę przekradają i wprowadzają do

Rossyi. — Przyznam się, że wcale niepojmuję, jak można w nocy upilnować, chyba, że bardzo gęsto stać musicie? — Dosyć gęsto, na strzał od siebie, a czasami i gęściej; na werstę (to jest na 500 sążni, czyli na 1500 kroków) stoi nas zwykle czterech, dwóch kozaków lub kawalerzystów i jeszcze objezdczyk. — Jeżeli tak pilnujecie, to zapewno trudno kontrabandziście przejść w nocy. — A jednakże czasami przechodzą. — Rozumiem, to jest: jeżeli biedny żołnierz zmęczony dzienną mustrą uśnie czasami na warcie; bo też czortby mu wystał całą noc bez spania, to prawie niepodobna, tém bardziej, że tam w nocy nikt żołnierza niepilnuje. — Da zaśniesz, niepilnuje, nam zabroniono nawet usieść i musimy chodzić jeden do drugiego naprzemian, aby łańcuch utrzymać i czuwać; a gdyby oficer albo runt zastał żołnierza śpiącego, takby do śmierci pałkami go zabito; za to bardzo srogo karzą; przytém boimy się kontrabandzistów, którzy bandami i zbrojni na nas napadają; jeżeli uśniesz albo się niestrzeżesz, to cię nietylko wezmą i zwiążą (a jeżeli się bronisz, to cię i zabiją), ale nadto każą iść z sobą i nieść towary, które przekradają; a później zaprowadziwszy Bóg wie gdzie w lasy, jeżeli niezabiją, to puszczą i idź wtenczas gdzie chcesz; niedawno jednemu żołnierzowi się zdarzyło, że na niego kontrabandziści napadli, rozbroili, sznurkiem go przewiązali i włożywszy jeszcze na niego kilka pak ciężkich, kazali je nieść; później zaprowadziwszy gdzieś w lasy i dawszy mu pięćdziesiąt kijów i chleba na drogę, puścili; po sześciu czy po dziesięciu dniach wrócił do nas, natychmiast wzięto go do aresztu, a później tak go jeszcze zbito pałkami, że półżywego do lazaretu zanieśli. A drugiemu przed nim jeszcze gorzej było; ten pilnował brzegu morza, bo kontrabandziści podpływają czasami w nocy na łodziach z towarami, napadłszy zatém na niego śpiącego kazali mu wyładowywać z łódki towary, poczém wziąwszy go na łódkę, chcieli w morzu utopić; co się ich nienaprosił, nienamodlił, nic niepomogło; kilka razy z łódki

rzucili go w morze na sznurku, później wpółmartwego wywiózłszy na brzeg, zostawili; nieszczęśliwy tak się przeląkł, że dostał gorączki i ledwie nieumarł po długiéj chorobie; kiedy wyzdrowiał, już go niebito, przebaczono mu. Ale na samo wspomnienie kontrabandzistów drży ze strachu; pewnie że drugi raz już nie zaśnie (i tu się śmiać zaczął). Ot sukiny syny kontrabandziści, co z nami wyrabiają, śpij tu jak chcesz. Dla zachęcenia nas, gosudar przykazał, aby, jeżeli kto z nas złapie kontrabandzistę i towary, płacono nam 50 czy 100 rubli assygnacyjnych (tego już dobrze niepamiętam), a dla naszego biednego brata 50 rubli to nie żart, toż my dla tego w nocy dobrze pilnujemy i nie życzymy nikomu, aby się w nasze ręce dostał. — To przynajmniéj dobrze, że gosudar taką nagrodę przeznaczył; nie żal i niespać i dobrze pilnować, przynajmniéj jest za co sołdata trochę podchmielić i trosków zapomnieć. — Da, to lepsze nad wszystko. — Czy na całéj granicy tak mocna warta? — Na całéj, i dla tego na saméj granicy pobudowane są koszary w pewnéj, niewielkiéj od siebie odległości. — Nad morzem jednak najmniéj pilnować musicie, bo tu kontrabanda jest trudniejsza? — Przeciwnie, tu ostrzéj pilnujemy niż gdzieindziéj, bo kontrabanda idzie i morzem i ziemią. — Ale zapewno w dzień niema po co granicy pilnować, bo złodziéj dnia się boi? — W dzień tylko połowa nas stoi na granicy, dla tego, że daleko widać, a przytém niezdarza się, aby w dzień przekradano kontrabandę. — Ja niepojmuję, jakim sposobem kontrabandziści odważają się przekraczać granicę, bo jeżeli nasi ich niezłapią, to ich złapią Prusacy, wszak i oni muszą swojéj pilnować granicy? — Toboto i bieda, że Prusacy granicy niepilnują, a wszystko na naszego cara złożyli i my musimy i za siebie i za nich pilnować. — To nie po sąsiedzku, to niesprawiedliwie. — Cóż robić? Dowiedziawszy się o wszystkiém, o czém potrzeba mi było wiedzieć, zacząłem rozmawiać z żołnierzem o innych rzeczach dla odwrócenia

jego uwagi. On zaś wymywszy swą bieliznę i wykąpawszy się, pożegnał mnie wyrazy: praszczajtie. Praszczaj, to jest: bywajcie zdrowi, bywaj zdrów — i odszedł.

Z otrzymanych wiadomości wniósłem, że pierwiastkowy plan potrzeba zmienić i zamiast w nocy, przejść należy granicę we dnie i nie między Połągą i morzem, ale gdzie dalej za Połągą. Niecierpliwość rosła do najwyższego stopnia, a biłem się z myślami aż do zmordowania się, których ostateczny wynik był: dziś w dzień muszę przejść granicę, albo na niej zginąć. Ubrawszy się zatem, poszedłem drogą wiodącą z Połągi ku Kurszanom, która, jak miejscowym dobrze wiadomo, idzie z początku na pewną odległość od Połągi o kilkaset tylko kroków od samej granicy. Przyszedłszy do pierwszej wsi niedaleko Połągi będącej, należącej na prawej stronie drogi, a zatem ku granicy, wszedłem do niej i pod oknem pierwszej izby krzyknąłem po rossyjsku: nietu szczetiny? to jest: czy niema szczeciny? Odpowiedziano z domu: niema; a tu żołnierz z kawaleryi zmierzywszy mnie podejrzliwém pierwéj i badawczém okiem (widać, że tam stała kawalerya, a żołnierz graniczny z rozkazu musi być podejrzliwym), rzekł później obojętnie, jakby niewierząc właściwemu podejrzeniu: w tej wsi jest mało szczeciny, ale pewno się znajdzie, idź dalej w górę, to rzekłszy, poszedł ku Połądze. Poszedłem tedy dalej ulicą wiodącą między domami prostopadle ode drogi do granicy, wszędzie krzycząc pod oknem: nietu szczetiny? Odpowiadano mi: niema; ja idę dalej: aż nareszcie kilka kobiet razem stojących rzekły do mnie: teraz w całej wsi nieznajdziesz szczeciny, chyba we dworze, idź do dworu, który, jak uważałem, leżał już na samej granicy; więc poszedłem do dworu położonego na wzgórku i oddzielonego ode wsi niewielką przestrzenią. Wszedłszy na dziedziniec obszerny, w którym kilkunastu ludzi było zajętych jego czyszczeniem i wywożeniem gnoju czy czegoś podobnego, zapytałem ich: czy niema we dworze szczeciny? — A niewiemy,

czy jest szczecina, idź do dworu, sam zapytaj, ale jeżeli chcesz jeść, to znajdziesz ser, masło, wódkę i chleb, bo tu mieszka pachciarz. — Dobrze, pójdę, zapytam, a może co i podjem — i wszedłem do dworu. Zapach nabiału mocno czuć się dawał, służąca zaprowadziła mnie na pierwsze niewysokie piętro, a raczéj na podniesienie tylko, na którém stało vez-de-chaussée do saméj gospodyni. — Gospodyni młoda, Polka, na moje zapytanie: czy niema u niéj szczeciny, odpowiedziała bardzo złą moskiewszczyzną (za co jéj mocno jestem wdzięczny), że szczeciny niema, ale jeślibym chciał jeść, to może mi sprzedać. Da sztoż diełat', nada pokormytsia, odpowiedziałem; wypiłem kieliszek wódki, wziąłem trochę masła i za wszystko zapłaciwszy, dobyłem z torby i z worka chleba, który zawsze z sobą miałem, zacząłem jeść w drugim zupełnie pustym i nieumeblowanym pokoju, położonym po drugiéj połowie domu; drzwi pokoju, w którym jadłem i drzwi do téj połowy, gdzie mieszkała gospodyni, były otwarte, mogłem tedy nietylko wszystko słyszeć, co w nim mówiono, ale i widzieć, co się w nim działo. Prędzéj, prędzéj, Kasiu czy Marysiu (już niepamiętam), nastaw samowar, bo niezadługo goście przyjadą, rzekła młoda gosposia po polsku do służącéj. — Ja już o tém pamiętałam i nastawiłam samowar. — To bardzo dobrze, jaka ty poczciwa, a teraz zapnij mi i popraw sukienkę; czy moje włosy dobrze ułożone, czy mi tak do twarzy? — Wszystko leży bardzo dobrze, a Panienka tak ładnie wygląda, że jak przyjedzie jéj narzeczony z Panem Wysockim, to jeszcze się więcéj w Panience zakocha. — Ty myślisz; niewiem czy ksiądz z nimi przyjedzie. — Mniejsza o księdza, niech tylko kawaler przyjedzie; jak będzie mąż, będzie i ksiądz. — Prawdę mówisz — i tu się śmiać zaczęły. Gdyby ten kacap (mówiąc o mnie) prędzéj sobie ztąd wyszedł, żeby go goście niezastali, rzekła gosposia. — Jak zje, to sobie pójdzie, cóżby on tu robił? — odrzeknie służąca.

Przysłuchując się téj rozmowie, może nie bez pewnego przykrego uczucia, rozmyślałem o przykrém mém położeniu, jako téż, czy niebyłoby bezpieczniéj zwierzyć się téj Polce i jéj bratu ze wszystkiém i prosić ich, aby mnie przeprawili przez granicę tuż pod ich bokiem będącą: ale i tą razą cofnąłem się przed następstwami podobnego udziału w moich zamiarach; tymczasem przez okno postrzegłem dość wielki budynek drewniany na wzniosłém miejscu i najdaléj na dwieście kroków, jak mi się zdawało, od domu gdzie byłem, oddalony; ze struktury tego budynku i z blizkości granicy wniosłem, że to były koszary, na saméj granicy już postawione. Gosposia już ubrana i wesoła wyszła do pokoju, gdzie byłem, pewnie dla wyproszenia mnie z niego, i stanąwszy w oknie patrzyła na pola i koszary. Dla przekonania się, czy to rzeczywiście koszary, wziąwszy na siebie worek, bo już jeść dawno skończyłem, zapytałem gosposi: a w tym dworku, wskazując na koszary, czy niemożna dostać szczeciny? Albo to dworek, odpowie, to są koszary, tam żołnierze mieszkają, nieidź tam, bo cię wezmą i do aresztu wsadzą. A za co by mnie mieli sadzać do aresztu? Za co, będą myśleli, że ty chcesz przez granicę uciekać. Przez jaką granicę? Jak to, to ty niewiesz, że to już granica? Gdzie granica, pokażcie mi proszę, ja jeszcze od urodzenia granicy niewidziałem. Patrz, to jest nasz dom, ten rów co po pod domem idzie to już granica, to żyto, które widzisz pomiędzy pierwszym a drugim rowem, jeszcze do nas należy, brzoza ta za tém żytem stojąca jest już na saméj granicy, widzisz i koszary na téj linii stoją; a za tą brzozą za trzecim rowem, to już cudza ziemia. Bardzo dziękuję za przestrogę, niewiedząc o niczém, chciałem pójść do tego dworu za szczeciną. Poszedłbyś tam na swoje nieszczęście, nikomu niewolno do granicy się zbliżać, nieidź tam, nieidź. A jaki naród mieszka za granicą? Prusacy. Bardzo dziękuję: bywajcie zdrowi. Idź z Bogiem; a niechódź nad granicą, a po cobym ja nad nią

chodził, bywajcie zdrowi i wyszedłem z pokoju. Ledwiem się znalazł na dziedzińcu, gdy w tejże chwili zajechała przed dom parokonna bryczka niekryta, na któréj siedział ksiądz i dwóch cywilnych; zapewno kawaler młodéj gosposi i Pan Wysocki. Spojrzawszy tylko na nich i ani im się nieukłoniwszy, poszedłem daléj, przez dziedziniec na prost małą drożyną wiodącą do Połągi, a idącą nad samą granicą, będącą po lewéj méj ręce; odszedłszy za wrota może na sto kroków, w pole, na którém z rzadka gdzieniegdzie były pojedyncze drzewa, zwróciłem się na lewo ku granicy, i o dwadzieścia kroków najdaléj od pierwszego granicznego rowu położyłem się na trawie pod drzewem niby dla odpoczynku, w rzeczy zaś saméj dla zebrania ducha i upatrzenia chwili sposobnéj do przeprawy granicy, to było może między 3 a 4 z południa w miesiącu lipcu; leżałem minut z dziesięć i jeszczem się wahał; nareszcie niech się dzieje wola Boga rzekłem, żyć lub zginąć, audaces fortuna juvat; dobyłem z za cholewy duży nóż składany w kształcie sztyletu zrobiony, który miałem z Syberyi, rozłożyłem go i porwawszy się na nogi, w prawéj ręce trzymając sztylet, a w lewéj mój worek, spiesznym krokiem i śmiało przybliżyłem się do szerokiego i głębokiego rowu, którego wał osłoniony był porosłemi na nim krzewami; uczepiwszy się za nie, wlazłem na wał; ponieważ ten rów był na wzgórzu a sama granica ciągnęła się doliną leżącą między tém wzgórzem i jemu przeciwném już na stronie pruskiéj, więc z wału, na którym już byłem łatwo było objąć całą przestrzeń okiem: na lewo na trzysta lub najwięcéj czterysta kroków na dość wyniosłém wzgórzu były koszary, przedemną na kilkaset lub mniéj kroków jeden od drugiego, dwóch żołnierzy chodziło z bronią po granicy w przeciwnym od siebie kierunku: jeden z nich zatém szedł ku koszarom, a obaj byli do siebie obróceni plecami, niebyło więc ani chwili do stracenia; zpełzłszy zatém z wału i zgiąwszy się prawie we dwoje, biegiem po pod żytem zasłaniającém

mnie do koszar zacząłem się spuszczać w dolinę; gdy brakło żyta, wyprostowałem się jak struna i pędem zbliżywszy się do drugiego rowu, jednym skokiem go przesadziłem; byłem na saméj linii granicy, po któréj żołnierze chodząc ścieżkę udeptali. W tém krzyk z koszar: łowij! strielaj! ale nim się żołnierze zdołali obejrzeć, już przesadziłem rów trzeci i skryłem się do tuż za rowem będącego lasku już na granicy pruskiéj: teraz pomyślałem sobie, łapaj i strzelaj jak ci się podoba, a tymczasem co tchu zmykając i ubieglszy może z tysiąc kroków od granicy, skryłem się pod bardzo nizki, ale rozłożysty i prawie po ziemi się rozściełający a liściasty dębczak. Zdaje mi się, żem nigdy w życiu nieczuł się tak lekkim i tak szybko niebiegałem; jak drugi, ale więcéj szczęśliwy Akteon, miałem jelenie nogi. Wdarcie się na wał pierwszego rowu, bieg chyłkiem, przesadzenie skokiem dwóch pozostałych rowów i skrycie się do lasu, co miało przestrzeń do dwiestu kroków: słowem cała ta przeprawa trwała może dwadzieścia sekund; ledwiem mógł wierzyć, żem już na drugiéj stronie: żołnierze chodzący po granicy niemogli ani razu wystrzelić, czy zdziwieni tym wypadkiem, czy téż tak chyżo im się przesunąłem, iż niewiedzieli, co mają robić.

Tymczasem, gdy po tak gorącéj kąpieli, trzymając ciągle sztylet w ręku, leżałem pod krzakiem przyczajony, jak zając przed sforą psów go ścigających, powstał na granicy, od chwili spostrzeżenia mnie z koszar wielki hałas, krzyk, szamotanie się, tentent koni i przeklęstwa. — Czemu ty sukin syn niestrzelał, czemuś dobrze niepatrzał? — A diabli go widzieli — czort się mógł spodziewać, jeszcze przykładu niebyło, żeby kto w dzień przed naszym nosem uciekał. — Ot śmiały i zuchwały sukin syn moszennik. — To nie kontrabandzista, to pewno buntowszczyk. — Nie to mużyk. — Czemu sukije syny Prusaki niepilnują granicy. — Śród tych i tym podobnych grzeczności rossyjskich, słychać było i policzkowanie,

i pałki i jęk pamilujtie, to jest: zlitujcie się, jaki zwykle żołnierz rossyjski wydaje, kiedy go biją pałkami. Widać także, że wpadli i do pachciarza Wysockiego, z przyczyny zapewno, że to się stało blizko jego domu, mocne szczekanie psów licznych i wielki krzyk i hałas rozlicznych zmięszanych głosów mnie przekonywały o tym domyśle, a raczéj pewności. Ale o czém tam dowiedzieć się mogli? Chyba że był kacap, napił się wódki, zjadł chleba i poszedł — szukać szczeciny. Żal mi tylko jeżeli z tego powodu wcale nieproszeni goście popsuli humor Państwu narzeczonym.

Ten hałas, krzyk i ruch trwał więcéj godziny; ja leżąc ciągle, trzymałem sztylet w ręku więcéj dla siebie niż dla kogo innego. Znając Moskali, sądziłem że wyszlą pogoń nawet za granicę i że będą ten lasek przetrząsali; na wszystko zatém byłem jeszcze przygotowany i nieczułem się bezpiecznym. Gdyby las był większym, szedłbym nim wciąż daléj, ale ponieważ był małym, dobiegłszy do jego krawędzi, nieśmiałem w dzień wyjść na pole obawiając się, aby Prusacy mnie nieschwytawszy, niechcieli wydać Moskalom na mocy kartelu wzajemnego wydania sobie zbiegów; co nastąpić mogło tém łatwiéj, że to jeszcze było na saméj granicy. Z tych więc powodów musiałem leżeć i czekać. Niebo się nieco zachmurzyło i mały deszczyk zaczął padać, co w części ochłodził skwar dnia znojnego.

Kiedy się już wszystko uciszyło i pogoni niewidziałem, chociaż jeszcze niepewny, co się ze mną stać może, ośmieliłem się jednak ruszać pod krzakiem, ale bardzo z wolna i cicho. Położywszy przy sobie i na podorędziu sztylet, dobyłem z torby brzytwę, mydło i lusterko i zacząłem się cywilzować. Zawiesiwszy lusterko na gałązce pod krzakiem zacząłem mydlić brodę, ale niebyło wody; mógłbym nazbierać wody dla pomoczenia brody z rosy osiadłéj na trawie, ale z pod krzaku wyleźć nieśmiałem; a zatém ścierając dłonią wilgotne liście mojego krzaku

i plując w nią, częścią wody, a większą częścią śliny namydliłem jako tako brodę. Leżąc oparty tylko na lewym łokciu, zacząłem się golić; trzeba było widzieć operacyą; kto wie co to się golić tępą brzytwą mając brodę źle namydloną, ten tylko może mieć o niéj jakie takie wyobrażenie; krzywiąc się, zgrzytając, podczas gdy łzy z oczu padały, w części ogolony, w większéj daleko wyskubany i pokaleczony, jako tako poradziłem z brodą: to jest tylko z tą częścią, co była na przodzie, resztę zaś długich włosów zebrawszy w dłoń do kupy i położywszy je na grubéj gałęzi krzaku, oderznąłem brzytwą i tak dokończyłem postrzyżyn europejskiego człowieka. Poczém podczesawszy faworyty podwiązałem je chustką, aby się ułożyły; włosy także uczesałem jak mógłem najlépiéj. Z czapki sybirskiéj okrągléj, niegdyś czerwonéj, a dziś wypłowiałéj i grubo podwatowanéj, wypruwszy watę i podszewkę już zużytą, zszyłem ją u góry na bok, niby nakształt francuzkiéj *bonnet de police*: a zatém z okrągłéj stała się owalną i bardzo płytką, tak, że się ledwie na głowie trzymała: dodajmy do tego, że ta czapka miała obwódkę ciemną i dość szeroką futrzaną jakiegoś zwierza, którego nazwiska niewiem, a łatwo pojąć, co to za dziwoląg i z kształtu i z materyi była ta moja czapka. Ale ponieważ odtąd postanowiłem udawać Francuza, a Francuzowi wszystko uchodzi i naśladują go wszyscy w modzie, mniéj się o to troszczyłem. W końcu przewdziałem koszulę. Tym sposobem doczekałem się poźnego zmroku pod krzakiem, pod którym zapewno z pięć godzin leżałem.

Kiedy się już dobrze zmierzchło, i kiedy sądziłem, że już ludzie z pola zeszli, podziękowawszy szczerze Panu Bogu za jego pomoc i opiekę nade mną, wylazłem z pod krzaku, ale już zupełnie ucywilizowany człowiek, byłem zaś ubrany tak: biała koszula z kołnierzem, moja własna jeszcze z Kamieńca Podolskiego, a którą wziąłem z Syberyi; kamizelka z granatowego grubego sukna, w któréj

byłem przez całą podróż, spodnie kitajkowe błękitne z fałdami po rusku robione, szerokie, ale nogawice nie w bóty ale na bóty napuszczone, szaraczkowy sukienny krótki surdut, którym wymieniał za kożuch, ale już wystrzępiony i podartemi łokciami; ten surdut zasłaniał fałdy szerokich mych spodni, szalik bawełniany szary z Syberyi na szyi: a dla dokompletowania całego tego ubrania, na głowie już wiadoma czapka. O jakże czułem się szczęśliwym i spokojnym, będąc już za granicą, ciężkie brzemię obawy, cierpień i smutku przez sześć miesięcy ciągle mnie tłoczące, zdawało się, że spadło z mych piersi; czułem się wesołym, rzeskim i pełnym nadziei: ledwie sam sobie wierzyć mógłem, że już byłem w Prusach. Obejrzawszy się na około dla zorientowania się i przeżegnawszy się, poszedłem na ukos ku wielkiéj drodze idącéj z Połągi do Memla (Kłajpedy żmudzkiéj) przez łąki, zboża, orne pola, sianożęcia i bagna. Daleko od miejsca gdzie odpoczywałem pod krzakiem na koszoném sianie rzuciłem mój worek z resztą niepotrzebnych rzeczy, wziąwszy z sobą tylko moję błękitną torbę, nieodstępną towarzyszkę méj niedoli. Po dwugodzinnym może pochodzie nocnym (noc była bardzo ciemna), wybiłem się po omacku na wielką drogę; chwała Bogu, poczém zwróciwszy się na lewo szedłem ku Memlowi. W ćwierć godziny najdaléj, przybyłem do jakiegoś małego miasteczka, przy którego rogatkach stał żołnierz pruski. Idąc śmiało, jakbym był miejscowym, prosto w rogatkę, powiedziałem żołnierzowi: Guten Abend, a odebrawszy od niego podobne pozdrowienie i o nic go niepytając, wszedłem do miasteczka. Czy to było jakie święto, niedziela, lub jaka inna miejscowa uroczystość, bo choć już było po północy, w wielu miejscach, zapewno po karczmach, brzmiała wesoła muzyka, przy weselszzych jeszcze okrzykach i tańcach. Wyszedłszy za miasto i oddaliwszy się od niego na dość wielką odległość, położyłem się na spoczynek w sosnowym lesie. Jakże ten spoczynek był dla mnie błogim, a sen pokrze-

piającym, nowa nadzieja we mnie wstąpiła, swobodniéj oddychać zacząłem, nowego nabrałem życia a raczéj się odrodziłem, pod tym rossyjskim, okrutnym rządem, zdaje się, że krew w naszych żyłach, że uczucia w sercu, że życie duszy, że nawet powietrze, którém oddychamy, są w więzach i więzieniu. Bóg tylko w surowéj swéj sprawiedliwości, a szatan w zaciętéj zemście, pierwszy jako karę za grzechy, drugi aby popchnąć do grzechu, mogą na ludzkość podobny rząd sprowadzić, a raczéj nim ją jakby zarazą dotknąć. W tym rządzie carskim, w jego duchu, jego ustawach jest coś tak zabójczego dla czującego i myślącego człowieka, iż jeżeli się nie zniży i nie spodli aż do stanu nierozumnego bydlęcia, jeżeli zechce, co mówię, jeżeli może czuć i zachować swą godność, to albo zostać musi męczennikiem swych uczuć i swojego poznania, albo zwątpić o wszystkiém. Smutne dwie, ale konieczne ostateczności, od których żaden może mieszkaniec rozległéj Rossyi nie jest wolnym — jeżeli nie zawsze, to przynajmniéj bardzo często i taki to rząd ma jeszcze swoich zwolenników!

Pokrzepiony snem słodkim i bezpiecznym, jeszcze do dnia ruszyłem w podróż: a gdy się dobrze rozwidniło, spojrzałem na siebie, na mój ubiór, i przez lusterko na ubiór głowy, na czapkę; i mimo położenia, w jakiém zostawałem, nie mogłem się wstrzymać od śmiechu. W różnobarwném, w różnonarodowém odzieniu bardzo podejrzanego pochodzenia, sam osmolony, byłem podobny do włóczęgi najpośledniejszego stopnia jeżeli nie do rozbójnika to przynajmniéj do złodzieja. Mimo to szedłem śmiało i ochoczo odpowiadając przechodzącym albo ich pozdrawiając jako to w Prusiech i w Niemczech jest zwyczaj, wyrażanie: *Guten Morgen!* Wiedziałem dobrze, że w Prusach nikt oprócz chyba żandarma przechodzącego na drodze i we wsi nie zaczepi; ale jak tylko chcesz gdzie nocować, natychmiast gospodarz pyta: *haben Sie Pass?* z tego więc powodu postanowiłem nigdzie w Prusach po karczmach

lub po innych domach nie nocować, tylko w polu lub lesie. Tego dnia około dziesiątej z rana zaszedłem do odosobnionego domu dla rozpytania się o drogę; w tym domu był Żmudzin i z trudnością po niemiecku mi wytłómaczył, że jestem na wielkim gościńcu do Memla; tamże kazałem sobie dać śniadanie, dano mi kaszy jęczmiennéj gorącéj, a do niéj zimnego słodkiego mleka bez chleba; zapłaciwszy co się należało, poszedłem daléj. Około południa odpocząwszy na ustroniu, gdzie zniszczyłem mój dotychczasowy niby pasport, aby i śladu moskiewszczyzny nie zostało. Idąc, spotkałem wielu przejeżdżających i przechodzących, którzy po zwykłém pozdrowieniu, z wielką ciekawością mnie, a raczéj mojéj przypatrywali się toalecie. Minąwszy kilka wiosek i kilkanaście karczem około szóstéj wieczorem zbliżyłem się do Memla (Klajpedy). Niebędąc pewnym, czy na rogatkach tak wielkiego i handlowego miasta niema warty i czy nie pytają o pasport, zamiast rogatkami wszedłem do miasta szeroką alleą drzewami wysadzoną opodal od rogatek z szosy na lewo poczynającą się. Od Połągi aż do Memla wszędzie biorą pieniądze rossyjskie srebrne, od Memla zaś szczególnie drobne, kursu nie mają. Zaszedłszy więc do jednego bankiera, rozmieniałem ruble rossyjskie srebrne na talary pruskie; z téj zamiany otrzymałem *dwanaście talarów srebrem*, z któremi miałem dostać się w Poznańskie, a może i do Francyi. Wiadomo, ile miałem pieniędzy w Wielkim Ustjugu, ile zarobiłem na barce do Archangielska: łatwo więc sobie wyobrazić z jak wielką żyłem oszczędnością przez dwa miesiące (czerwiec i lipiec), kiedy mi się jeszcze tyle zostało. Z bankierem rozmawiałem po francuzku i uchodziłem za wyrobnika fabrykanta en coton Francuza wracającego z Rossyi, któremu tam się niepowiodło i szukającego zatrudnienia w Prusach. Ten bankier miał jakiś proces z Moskalem, już od lat kilku ciągnący się; narzekał na przedajność i szachrajstwo urzędników rossyjskich a jam mu potakiwał jako bliżéj się znający. —

Z Memla tego samego dnia wyszedłem wielkiemi rogatkami, a nie widząc żadnéj na nich warty, ztąd wnosiłem, że w wielkich miastach pruskich przechodzących o paszport nie pytają, co nowéj dodało mi otuchy. Przenocowawszy w sosnowym lasku niedaleko za Memlem, rano puściłem się w drogę. Wciąż idąc i posilając się chlebem, czasami piwem lub kartoflami ze śledziem, jak to tam jest zwyczaj, i nocując po lasach i zbożach, które niejednemu Prusakowi wygniotłem, przybyłem do Tylży miasta mniejszego, ale nierównie weselszego od Memla i dość porządnie i czysto zabudowanego, a do którego wszedłem przez most na Niemnie; a z Tylży do Królewca, nietylko bez najmniejszego przypadku, ale bez najmniejszéj nieprzyjemności; oprócz że idąc szybkim pochodem od świtania do późnéj nocy dzień w dzień z małym odpoczynkiem; tak byłem zmęczony, że ledwie iść mogłem; ale im bliżéj byłem celu, tém większa, gwałtowniejsza rosła niecierpliwość, prawie gorączka czém prędzéj dojść do niego: prawdziwie byłem dla siepie najnielitościwszym tyranem. Przybyłem tedy do Królewca przez wielkie rogatki około 2giéj z południa w dzień skwarny a 26 czy 27 lipca. Podróż zatém moja z Petersburga do Królewca trwała jeden miesiąc nie spełna.

Od Połągi przez Memel, Tylżę i aż pod sam niemal Królewiec z wyjątkiem mieszkańców miast i kolonistów, ludność cała składa się ze Żmudzinów, których rysy zawiędłe, ponure i jakby grożące, muskuły suche i wydatne zupełnie różnią od napływowych Niemców. Z rozmów jakie z tymi Żmudzinami ciągle po żmudzku, a bardzo licho po niemiecku mówiących, miałem, przekonałem się, iż bynajmniéj nie życzą, ani chcą być Niemcami, a jeżeli Żmudzina zapytasz czy on Prusak, Niemiec, z oburzeniem ci natychmiast odpowiada: O nie, nie, ja nie Prusak, nie Niemiec, ja jestem Litwin (ich bin Lithau): ale z taką dumą ci odpowie, że on Litwin-Żmudzin, że się drugi raz mu nie odważysz powiedzieć, że on Prusak,

czy Niemiec. Mają siebie za coś wyższego od Prusaka i Niemca, jak równie za dzielniejszych siebie od Prusaków i Niemców żołnierzy. Jak między naszymi bracią Litwinami, tak równie i między nimi wielkie jest braterstwo i jestem pewnym, że Żmudzin Żmudzina krzywdzić Niemcowi niepozwoli. W ogóle ci Żmudzini niecierpią Prusaków-Niemców i ze wstrętem i z pogardą o nich mówią, a jednak kochają swojego króla. Zapewne to pochodzi ztąd, że niebędąc prawie wcale oświeconymi (mówię tu o ludzie wiejskim) w ich przekonaniu król nie jest Prusakiem-Niemcem, ale jakoś odrębną i oderwalną istotą, która żadnéj nie ma narodowości. Ci Żmudzini tak są o sobie uprzedzeni, iż jeden z nich mi powiedział: że gdyby król niemiał żołnierzy Żmudzinów, toby niemiał się czém bronić i na kim polegać. Jednak jakkolwiek bądź przekonanie narodowości żmudzkiéj od tak dawna jarzmem niemieckiém przytłoczonéj nie jest bez znaczenia w zamiarach Opatrzności względem Polski. W danym czasie potrzeba tylko umieć tę narodowość zobowiązać, podnieść i właściwy nadać jéj kierunek: nasi bracia Żmudzini tylo kochający Polskę, swą ojczyznę, tyle się dla niéj poświęcający, mogliby mocno wpływać na swoich jednoszczepowych braci, aby wiedzieli, na kogo mają obrócić straszną szablicę Kiejstuta ich przodka. Liczba Żmudzinów pruskich może dochodzić do miliona nie spełna. Zauważałem także, że konie w téj części Prus wschodnich są pięknéj rasy, rosłe i mocne najwięcéj skarogniade.

ROZDZIAŁ XXIX.

Pojmanie i więzienie w Królewcu. Śledztwo. Udaję Francuza. Przyznanie się do imienia Polaka uciekającego z Syberyi. Trudność mojego położenia. Graf von Ellenburg za rękojmią wypuszcza mnie z więzienia. Rozkaz z Berlina wydania mnie Rossyi. Wyjazd z Królewca przez Elbląg, Gdańsk, Szczecin, Berlin, Lipsk, Frankfort, Heildelberg do Strasburga. Przybycie do Paryża.

Bruxella (Belgia) 9 marca 1850 roku.

Przybywszy do Królewca około 2giéj z południa 27 lipca, najpierwszą rzeczą było dla mnie dowiedzieć się, czy z niego do Elbląga wypływa statek parowy i kiedy; o czém przekonawszy się poszedłem do bióra tego statku. Był w tém biórze jakiś stary Prusak wysłużony żołnierz i trochę mówiący po francuzku; od niego się tedy dowiedziałem, że parostatek odchodzi nazajutrz bardzo rano (podobno o 6 godzinie) i że jutro można będzie zapisać się i dostać kartę, gdyż w téj chwili nikogo z urzędników w biórze niebyło. Myśl jechania parostatkiem nastręczyła mi się tak z powodu znużenia się długą, a ciągłą podróżą, która niemal wycieńczyła wszystkie moje siły, jako też z przyczyny wielkiéj niecierpliwości, a raczéj gorączki dostać się jak najspieszniéj w Poznańskie między swoich

tam raz dobrze odpocząć w pokoju i bezpieczeństwie; przytém mniemałem, że ponieważ nigdzie na rogatkach nawet miast wielkich jak np. Memel, Tylża i Królewiec o pasport nie pytają, z jakiegożby powodu o niego pytano wsiadając na parostatek. Chciałem tedy dla skrócenia drogi i czasu z Królewca odpłynąć do Elbląga, a ztamtąd dojść piechotą przez Bydgoszcz do Poznańskiego, wcale niewiedząc o wypadkach, jakie tamże miały miejsce kilką miesięcy przedtém, że baczność policyi w Poznańskiém była nierównie surowszą, niż gdzieindziéj w Prusach.

Ponieważ parostatek miał dopiero jutro rano odpływać, a do wieczora jeszcze było daleko, doczekując się go zatém, zacząłem się włóczyć po mieście dla przypatrzenia mu się: wszak ztąd po większéj części wszystkie naszéj Polski poszły nieszczęścia. Zakon Krzyżaków, ich sekularyzacya pod Albertem księciem pruskim, siostrzeńcem Zygmunta Augusta, przekazanie tytułu książęcego, prawem lennem, domowi brandenbugskiemu, zlanie się Krzyżaków i Kawalerów mieczowych w jedno ciało, słowem, wzniesienie i wzmocnienie nowego państwa tyle nam nieprzychylnego na północy granic Polski, były jedną z najważniejszych przyczyn naszego upadku, bo osłabienia. Chodziłem tedy, przypatrywałem się i rozmyślałem. W mieście żadnym sposobem nie mógłem nocować, bo wszędzie pytają o pasport; potrzeba mi tedy było wyjść z miasta w pole na nocleg. Zmęczony chodzeniem usiadłem na ustroniu na kupie kamieni pod murem jednego domu leżącego w gruzach, w zamiarze doczekać się tam przynajmniéj zachodu słońca i przy spóźnionéj porze wyjść za rogatki, aby korzystając ze spóźnionéj pory, kiedy wszyscy z pola już wrócą do domów, nieoddalając się od miasta i tuż za rogatkami, od nikogo niepostrzeżony mógłem przenocować na polu: a to jedynie dla tego, aby jutro na czas można było wrócić na parostatek, co byłoby niepodobném, gdybym się był nazbyt od miasta oddalił. Zapewno moje znużenie było tak wielkie, iż niemógłem się oprzeć na za-

den sposób zniewalającemu mnie do spoczynku snowi; usnąłem tedy, wcale sobie tego nieżycząc i niewiedząc, jakim sposobem; uśpienie zmysłów musiało być gwałtowne, nagle i bez żadnego stopniowego do snu przejścia, bo nieprzypominam sobie, czym się snowi upierał. Kto niewierzy, że po wielkiem znużeniu, siedząc, można nagle usnąć, niech przypomni sobie, jeśli był żołnierzem i to w czasie wojny, a przynajmniej niech zapyta tych, co byli żołnierzami, a przekona się, że nietylko spokojnie siedząc, ale jadąc na koniu, a nawet idąc piechotą z karabinem na ramieniu spać można; napróżno otwierasz powieki, rozszerzasz oczy: patrzysz a nic niewidzisz, bo nerwy zmysłu widzenia są w odrętwieniu, w uśpieniu. Usnąwszy siedząc i zapewne po straceniu równowagi zsunąwszy się z kamieni, spałem jak zabity. Jak długo spałem, niewiem. Uczułem nareszcie jakby przez sen, że ktoś mnie mocno szarpał, ale się obudzić niemógłem; uczułem w końcu raz i drugi ból dotkliwy i głos niezrozumiały; ten głos, a szczególniej ten ból mnie ocuciły: raz trzeci mocniej i dotkliwiej zadany i donośny głos: was für Landsmann? (co za człowiek), zupełnie mnie otrzeźwił. Otworzywszy oczy postrzegłem choć noc była ciemna, stojącego nad sobą człowieka z kijem w ręku, którym mnie bijąc budził, i ciągle powtarzającego: was für Landsmann? W pierwszej chwili obudzenia się i niepojętego wrażenia, mimowolnie i jakby z nałogu raz mocno powziętego zamiaru, sięgnąłem do cholewy po sztylet. Na moje nieszczęście, a raczej wielkie szczęście nieznalazłem go, bo zgubiłem. Tego samego dnia, którego przybyłem do Królewca, kąpałem się w jednem jeziorze i zapewno tam mój sztylet zostawiłem. Tymczasem w tej prawie samej chwili, w której myśląc o obronie, byłbym popełnił morderstwo, gdybym był znalazł sztylet, przypomniałem sobie zaraz, gdziem się znajdował. Z uniesienia, a raczej ze wzruszenia i odurzenia, nagle przeszedłem do krwi najzimniejszej. Na powtórne zatem zapytanie stróża nocnego, czy żandarma: was für

Landsman, odpowiedziałem spokojnie po niemiecku: Ich bin Handwärker im Baumwolle und ich bin beschaeftigt bei dem Kaufmann Schulz hier in Königsberg. — A gdzież on mieszka ten Schultz? pyta mnie dalej. — Na tej i na tej ulicy. — No wstawaj, chodź ze mną do aresztu. — A po co ja pójdę do aresztu, puść mnie pójdę do domu. — O nie, pójdziesz ze mną do aresztu, a jutro sobie pójdziesz do domu; po co o tej godzinie śpisz na ulicy. — Któraż teraz godzina? — Pierwsza po północy. — Ale ty niejesteś Prusakiem, źle mówisz po niemiecku? — Nie, niejestem Prusakiem. — A któż ty jesteś? Polak? — Nie, jestem Francuz. — Tak rozmawiając szliśmy, dokąd mnie zły czy dobry geniusz prowadził. Liczny wrzaskliwy, a po wszystkich częściach miasta czuć dający się świst, jakby tysiąca susłów naruszał spokojność nocy; byli to stróże nocni, po wyznaczonych każdy sobie ulicach chodzący i za każdóm uderzeniem półgodziny dmuchający w piszczałki i powtarzający na głos godzinę: co wszystko ma minę żałobnego pogrzebu w nocy, albo trwogi od napadu nieprzyjaciela. Noc była ciemna, gdybym był znał dobrze ulice miasta i niebyło po nich tyle czuwających wartowników, mógłbym był częścią pięściami, a częścią nogami uwolnić się od mojego przewodnika i wybiedz z miasta i na tej chęci wcale mi niezbywało. Ale przy przeciwnych zupełnie okolicznościach, niechciałem, nawet niemógłem bez żadnego dla mnie użytku pogarszać mojego położenia. Mój przewodnik spotykając wszędzie po ulicah stróżów nocnych, chwalił się ze swojego obłowu, tak przyszliśmy do aresztu, do więzienia. Ten areszt był w ziemi, w piwnicy, do której z poziomu ulicy potrzeba było schodzić po schodach. Było to dwie izby, pierwsza większa i światlejsza, druga zaś mała i ciemna; obie zaś nizkie, a pułab w kszałcie sklepienia; pełne brudów, śmiecia, pluskiew, pchłów i wszów, przy gorących upałach i braku powietrza w tych podziemnych sklepieniach; ja co tak długo wolném odychałem powietrzem, zdawało mi się,

że się uduszę. Obejrzawszy mnie wszędzie i naokoło, przetrząsnąłszy moję torbę i odebrawszy odemnie pieniądze, wepchnęli na resztę nocy do ciemnego pokoju.

Zostawiony sam sobie, zacząłem rozmyślać nad mojém nowém położeniem, jako téż nad sposobami ratowania się; chociaż nadziei nietraciłem, niemiałem jednak pewności wydostania się ze szponów losu tak zacięcie mnie ścigającego, postanowiłem udawać i utrzymywać, żem Francuz. W tych myślach usnąłem na gołéj desce. Nazajutrz o ósméj godzinie z rana poprowadzono mnie do policyi, i nim poschodzą się urzędnicy, i nim koléj na mnie przyjdzie, wprowadzono mnie do małego pokoiku pięć kroków długości, a cztery najwięcéj szerokości mającego, brudnego, nieczystego, mającego dwie krótkie ławeczki i jedno duże okno prawie całkiem deskami zabite, z wyjątkiem małéj jego części u góry i zamknięte; po wprowadzeniu do tego pokoju, gdzie już zastałem kilku delinkwentów, zamknięto na klucz; co chwila liczba winowajców powiększała się i za każdym drzwi na klucz zamykano. W tym małym i ciasnym pokoiku nazbierało się nas więcéj dwudziestu rozmaitego pochodzenia i kategoryi; po największéj części byli to ludzie, tak mężczyzni, jak kobiety, bo wszystko było razem, moralnie mocno upośledzeni; z ich obszarpanego odzienia, z ich obrzękłych twarzy, z ich gestów i rozmów widać było, iż należeli do klassy będącéj plagą, raną i zarazą każdego społeczeństwa, może słusznie nią dotkniętego z przyczyny fałszywych, a wyłącznych urządzeń stosunków między jego różnemi klassami i członkami. Znajdowali się jednak w ich liczbie ludzie dorzeczni, przyzwoici, jak naprzykład rzemieślnicy, którzy przypadkiem tam się dostali. Sama przyzwoitość nakazuje odłączyć jednych i drugich, ale w rządzie pruskim ówczesnym, szczycącym się oświatą i wyższą cywilizacyą, tak mało było względu na godność człowieka, że żadnego nieczyniono wyjątku. Wszyscy zatém i ja z nimi byliśmy w tym ciasnym pokoiku, gdzie z przyczyny tylu ludzi,

braku świeżego powietrza i smrodu, ckliwo i mdło się robiło. Około dziesiątéj czy jedenastéj i mnie powołano do indagacyi. Zaczęto mówić do mnie po niemiecku, odpowiedziałem po francuzku: je ne comprends pas (nierozumiem). Jeden z indagujących bardzo źle mówiący po francuzku, monosyllabami, zadawał mnie pytania i był niejako tłómaczem dla innych. — Zkąd Pan jesteś? — Z Francyi — indagujący zmierzyli mnie okiem od stóp do głowy, bo, jak wiadomo, byłem arcy po francuzku ubrany. — Z którego miejsca? — Ztąd i ztąd (już niepamiętam zkąd). — Jak się Pan nazywasz? — Tak i tak (także niepomnę). Czy Pan masz pasport? — Miałem, ale go zgubiłem niedaleko Królewca. — Przez jakie miasta Pan przejeżdżałeś? — Przez takie a takie. — Czy Pan wizowałeś w nich pasport? — W niektórych wizowałem, a w niektórych nie. — Kiedyś Pan wyjechał z Francyi? — Wtedy a wtedy. — Co Pan jesteś za jeden? — Ouvrier en coton (wyrobnik bawełny). Po tych przedwstępnych pytaniach kazano mnie odprowadzić do więzienia, do tak nazwanéj *blauen Thurm*, to jest: błękitnéj wieży.

Blauer Thurm, jest to gmach staroświecki i opuszczony, a stojący na wyspie uformowanéj przez rzekę Pregel tuż pod wieżą płynącą i liczne dźwigającą wicie, to jest: niewielkie statki i przez kanał. Ta wieża służy za więzienie, tak dla mężczyzn, jak i dla kobiet, w osobnych jednak każda płeć izbach zamknięta. Przyprowadzono mnie wraz z wielu innymi obdartusami do dozórcy więzienia w téjże saméj wieży od frontu mieszkającego, od jego woli zupełnie zależało, w któréj izbie miał mnie umieścić; ukończywszy rozmieszczenie innych, mnie zostawił na koniec i był tyle grzecznym, że bez mojéj prośby, umieścił mnie w najwygodniejszém, jakie tam było, więzieniu, to jest: w tak nazwanéj Bürgerstube (izba dla obywateli miasta). Dozórca więzienia, długi, cienki, suchy, dość jeszcze młody, były żołnierz artylleryi, mający żonę i dzieci, ludzki i uprzejmy, nazwiskiem Emen, pó-

źniéj, kiedy się ze mną dość dobrze zaznajomił, powiedział powód względu, jaki miał dla mnie, umieszczając mnie w Bürgerstube: rzekł więc: Chociaż Pan bardzo licho, dziwacznie i śmiesznie byłeś ubrany, jednak ja, co mam zwyczaj obserwować ludzi, których mnie tu codzień przyprowadzają, z fizyonomii Pana osądziłem, że nienależysz do rzędu ludzi upośledzonych; w rysach pańskich była szlachetność i godność, która mnie natychmiast zniewoliła i poznałem od razu, że jakieś tylko nieszczęście Pana do tego stanu przyprowadziło, i dla tego dałem mu najlepsze więzienie Bürgerstube. Że zaś podałem się w policyi za Francuza, więc i dozórca więzienia Pan Emen, miał mnie także za takiego, i ciągle mnie nazywał Herr Franzose.

Przybywszy do Bürgerstube, zastałem w niéj dwóch towarzyszy, z których jeden był krawiec, długo podróżujący po Europie i Francyi, a następnie nieco mówiący po francuzku; drugi był podobno rzeźnik. Krawiec kontent, że ujrzał Francuza, wszedł natychmiast ze mną w rozmowę, i dla ochoty napił się wódki z flaszy, którą miał z sobą i mnie nią poczęstował. Trzeba wiedzieć, że każdy Prusak niemoże żyć bez sznapsa, który wszędzie w Prusiech jest wyborny, a zatém każdy Bürger przychodzący na dni kilka lub kilkanaście do aresztu, ma sobie za pierwszy artykuł wiary zaopatrzyć się w sznapsa (wódkę) dla wygodniejszego przepędzenia nudów więzienia. Każdy przytém Bürger ma prawo kazać sobie z domu jeść nosić i przynieść pościel. Po gawędce z krawcem zacząłem przypatrywać się więzieniu; był to obszerny pokój do trzydziestu stóp długości, a do dwudziestu szerokości mający, sufit wysoki w sklepienie zamknięty, mający dwa duże w głębokich framugach okna, mocno na zewnątrz kratami ustrojone i najwięcéj na ośm stóp nad poziom ziemi podniesiony, ale nieczysty, brudny, zapylony, stare walące się mury, nieodnowione nowym tynkiem, zarażały powietrze cząstkami wapiennemi tyle szkodliwemi

płucom; podłoga drewniana, stara, w wielu miejscach powydzierana i kupę śmieci w sobie kryjąca, miała kolor zeschłego czarnego błota; jednėm słowem, cała ta sławna Bürgerstube dokładnie przedstawiała opuszczoną żydowską u nas w Polsce karczmę, w którėj wróblom tylko, nietoperzom i sowom, a nie ludziom godzi się mieszkać. Dla wygody uwięzionych był stół drewniany z niedobrze ociosanych desek zbity i dwa stołki podobnėj roboty i materyału; dla ich zaś odpoczynku było cztery tapczany z desek prostych zbite, a na cztery tapczany były tylko dwa sienniki z rassowego płótna, niegdyś szarego, ale ponieważ nigdy niebyły prane, dziś brunatno-błotnistego koloru uszyte.

Jeżeli Bürgerstube, to jest: najcelniejsza izba więzienia, tyle jest okropną i opuszczoną, cóż dopiero mówić o innych więzieniach, gdzie przed wyrokiem trzymają włóczęgów, złodziei, lub kobiety nierządnego życia? Gdybym na własne oczy niewidział, nigdybym temu nieuwierzył, takie w pruskich więzieniach nieochędóstwo, nieczystość, nędza i poniżenie człowieka. Pod Bürgerstube były lochy, w których zamykano więźniów niespokojnych, upartych i niebezpiecznych, nałożywszy im pierwėj na nogi i ręce kajdany, albo przykuwszy ich do ściany. Nad Bürgerstube i na wyższych piętrach były także więzienia dla mężczyzn i kobiet, miałem sposobność je wszystkie zwiedzić; zgrozą, oburzeniem i litością byłem przejęty na widok nieszczęśliwych w tych więzieniach zamkniętych, a jednak jeszcze im występek niebył dowiedzionym, gdyż dopiero był to areszt i śledztwo z nich ciągnięto. Nagromadzeni na kupę, po kilkunastu w ciasnėj izbie, po większėj części obdarci, a nawet wpółnadzy, leżący na barłogu lub na gołėj podłodze, więcėj do widziadła niż do ludzi byli podobni; pluskiew, pchłów i wszów tak wielka ilość, że ckliwość i niedolę obudza; biada ci, jeżeli trzy minuty na jednėm miejscu postoisz, pchły cię osiędą, a wszy literalnie oblazą. Stróż więzienia Emen niechę-

tnie i tylko z potrzeby do tych więzień zazierał, bo, jak mi mówił, lękał się attaku robactwa, i bardzo mu wierzyłem, bom sam to na własne oczy widział. Otwarte okna latem odświeżały w tych plugawych więzieniach powietrze, ale cóż się tam zimą dziać musi? Jeżeli więzienia pruskie są tak przerażające, to pokarm więźniów jest także bardzo lichy i ledwo od głodu broniący. O 8méj godzinie z rana każdego dnia, każdy więzień dostaje bułkę razowego chleba dość smacznego i dobrze wypieczonego, ale najwięcéj jeden funt lub pięć ćwierci funta ważącego, i to jest racya całodzienna chleba; około drugiéj z południa, każdy z nich dostaje albo kwartę jęczmiennej kaszy na rzadko, jak krupnik, zgotowanéj, niby to z masłem, którego wcale nieczuć, albo kwartę wody z mąką i masłem, jak mówią przegotowanéj, do któréj się wsypuje półkwarty grochu w ziarnie i na posno zgotowanego, i to naprzemiany, to jest: jednego dnia jęczmienna zupa, a drugiego gorąca woda i groch. Innéj potrawy lub mięsa nigdy więzień niewidzi, przynajmniéj ja, będąc przez dwa miesiące w więzieniu, nigdy nic innego niewidziałem, aby więźniom dawano, na to mogę dać słowo uczciwości. Teraz pytam: czy funtem chleba i kwartą rzadkiego krupniku lub kwartą gorącéj z mąką wody i półkwartą grochu człowiek zdrowy przez kilka tygodni w więzieniu zostający, niebędzie czuć głodu? i czy to przykre uczucie żołądka, z czasem osłabiającego organizm, wraz z zepsutém powietrzem więziennem i plugawstwem różnego rodzaju, niewpływa na zdrowie i na moralność więźnia? Przez dwa miesiące, jakie bawiłem w tém więzieniu, żadnéj niebyło rewizyi, żaden wyższy urzędnik nieprzyszedł i nieobejrzał, czy wszystko jest w porządku, czy należna żywność więźniów dochodzi, czy należycie są umieszczeni? zdaje się, iż w Prusiech więzień raz zamknięty, jest na zawsze zapomniany, a jeżeli o nim pamiętają władze, to chyba dla tego tylko, aby wydobyć z niego to, o czém chcą wiedzieć. Po obejrzeniu tych więzień, ileż byłem

obowiązany stróżowi Panu Emen, że mnie umieścił w Bürgerstube, a nie zaś posadził, gdzieby mnie pchły, a szczególniej wszy zjeść mogły, ja, co mam nieprzezwyciężoną ckliwość ku temu plugawstwu! Niewiem jak w innych częściach Prus więzienia i więźniowie są utrzymani, ale z tego com widział i doświadczył na sobie w Królewcu, sądząc tak z aresztu, gdziem pierwszą noc po schwytaniu mnie przepędził, z poczekalnej izby w policyi, jako też z więzień błękitnéj wieży, gdzie byłem zamknięty, wyznać muszę, iż zapewno nigdzie, oprócz jednéj przewrotnéj Austryi, większego lekceważenia człowieka, większéj ku niemu pogardy, jak w Prusiech, niema. W więzieniach rossyjskich barbarzyńskich, przynajmniéj co do czystości i pokarmu więźniów, daleko więcéj jest troskliwości i opieki, niż w więzieniach Prus, szczycących się wyższą w Niemczech cywilizacyą. Zkądże to pochodzi, że dzisiejsza cywilizacya w wielu wydatnych punktach spółeczeńskiego życia, jest niższą od samego barbarzyństwa? Czy nie ztąd że na fałszywych zasadach oparta i rozwinięta, zmierzać koniecznie musi do punktu, z którego wyszła? Teraz wracam do siebie.

Obrawszy jeden tapczan za legowisko, położyłem na nim siennik, na którym się sam wyciągnąłem: ale po kilku minutach precz go odrzucić musiałem, bo samemi pchłami był nadziany. Te dwa sienniki służyły mi czasem za rozrywkę, o czém niżéj powiem. Nazajutrz rano dwaj moi towarzysze wyszli z więzienia, a mnie do policyi powołano. Długo czekałem w śmierdzącéj, brudnéj, dusznéj poczekalnéj izbie, nim na mnie pzzyszła koléj; tą razą w gronie mnie badających znajdował się Francuz nazwiskiem Fleury, od dwudziestu lat w Królewcu mieszkający, trudniący się nauczycielstwem, tamże już ożeniony i za przysięgłego tłumacza służący. Tak długo bawiąc w Prusach Pan Fleury, bardzo dobrze mówił i był pośrednikiem między mną a mnie badającymi. Zadano mnie tą razą te same co i przeszłą pytania, tylko z większą

dokładnością; odpowiedzi moje były te same co i przeszłe, tylko także więcej dokładne: pytania i odpowiedzi spisywano w protokule. Odpowiadałem śmiało i bez wachania się. Po kilku żądanych pytaniach i odpowiedziach z méj strony, Pan Fleury, sądząc, jak zapewno wszyscy indagujący sądzili, że po niemiecku nierozumiem, odezwał się do nich po niemiecku: to niezawodnie musi być Francuz, bo się tłómaczy po francuzku płynnie i bez akcentu i śmiało, jakto jest właściwa Francuzom. Byłem kontent z téj uwagi Pana Fleury, która niezawodnie i na innych wpłynęła, gdyż większą w nich dla siebie postrzegłem grzeczność. Po skończeniu pytań kazano Panu Fleury mi oświadczyć, że po przekonaniu się o wiarogodności mych zeznań, będę wypuszczony z więzienia. Ale to może długo potrwa, zapytałem Fleury? — Dni kilkanaście odpowie, nim odpowiedź przyjdzie z Francyi. — Dobrze, odrzekłem na pozór spokojnie i zostałem odprowadzony do błękitnéj wieży.

Wróciwszy do więzienia zacząłem rozmyślać, co to będzie z mojego zeznania, bo byłem przekonany, że rząd pruski za pośrednictwem swego ambassadora uda się do policyi francuzkiéj dla przekonania się, czy istotnie byłem tego nazwiska i z tego miejsca urodzenia Francuzem za jakiego się podałem; jak równie byłem pewnym, że z Francyi przyjdzie odpowiedź zaprzeczająca całkowicie moje zeznania, ale myślałem, że w takim razie rząd pruski niemogąc ze mnie wybadać przyczyny mojego wyjścia z Francyi i pobytu w Królewcu, jak równie nieschwytawszy mnie na gorącym uczynku, a nawet niemając na mnie dowodów do poślaki mnie w czémkolwiek, coby mu dawało powód do trzymania mnie w więzieniu, mając jednak na mnie podejrzenia występku lub zbrodni popełnionéj we Francyi, z któréj uciekłem, zechce mnie pod strażą odprowadzić do granic Francyi i jéj władzom mnie oddać: tego właśnie sobie życzyłem. Raz będąc we Francyi i odsłoniwszy się, kim byłem w rzeczy saméj, łatwoby

mi przebaczono przyjęcie nazwy Francuza, jako jedynego środka mnie ocalić mającego i wypuszczonoby mnie w końcu na wolność. Tak rozmyślając i będąc prawie pewnym, że moje więzienie skończyć się musi odesłaniem mnie pod eskortą do Francyi, czekałem z niecierpliwością dnia, w którym mnie powołają do policyi i powierzą opiece żandarmów dla dostawienia do Francyi. Tymczasem sam jeden zostawszy w obszerném więzieniu, w braku książek lub innego zatrudnienia, mimowolnie ciągle myślałem i zastanawiałem się nad mojém położeniem, nad mojém przeznaczeniem; najwięcéj się zaś obawiałem, aby się niedowiedziano, a nawet niedomyślano, żem Polak, bo w takim razie byłbym niezawodnie wydany Rossyi, niemając nawet czém sobie życia odebrać: bo jak wiadomo mój sztylet zgubiłem, starałem się przeto udawać, że nic wcale po niemiecku nierozumiem i że jestem Francuzem: i dla tego stróż więzienia i moi późniejsi spółwięźniowie nazywali mnie herr Franzose. Rozmyślając, dumając byłem niekiedy spokojny i zupełnie poddany wyrokom Opatrzności: ale niekiedy wpadałem we wściekłość i szaleństwo. Jakże myślałem, tyle trudów, tyle niebezpieczeństw przebytych i tak szczęśliwie, mamż się skończyć na niczém? Mamże tak wartką, szeroką, najeżoną śmiercią przebywszy rzekę, jak przysłowie mówi, utonąć na brzegu? Czyliż Opatrzność, w któréj opiekę nad sobą tak mocno wierzyłem i ją czułem, przeprowadziwszy mnie przez tyle niebezpieczeństw i przygód, gdziem sto razy powinien zginąć, chciała tylko zemnie zażartować, opuszczając mnie w chwili, gdym już był blizki mojego celu, gdy byłem pewny, że już jestem wolny, że najdroższe serca mojego życzenia już się wkrótce ziszczą, że prawdziwe, rzeczywiste życie w moję duszę wstąpi... ja co tak długo i tyle cierpiałem, wzdychałem i konałem?

Obrawszy tapczan bez siennika, posłania, poduszki i przykrycia, spałem na gołych deskach, przykrywając się mym surdutem; żyłem zaś tylko potrawą więzienną: to

jest funtem chleba na dzień i kwartą krupniku, lub gorącej wody z mąką i grochem. Jedzenie to było dla mnie wcale niewystarczające, czułem głód mocno; a z moich pieniędzy zabranych a złożonych w policyi ani grosza dać mi niechciano. Przez dni blizko 8 sam jeden tylko zostawałem w więzieniu. Później zaczęto od czasu do czasu przyprowadzać mi towarzyszy: to jakiegoś rzeźnika, to krawczyka lub szewca, to ślusarza lub dłużnika, którzy wyznaczoną w policyi poprawczej karę wysiadywali; kto na dzień, kto na dwa, trzy, pięć lub więcej dni; poczem każdy z nich wychodził a nowi przybywali, często się jednak zdarzało, że przez kilka dni sam jeden byłem. Niektórzy z moich towarzyszy, zamożniejsi i uczynni, traktowali mnie wódką, niekiedy jedzeniem, jakie im ich żony, siostry, służący lub przyjaciele przynosili do więzienia, do którego wchodzili, i przyznam się, że głód mnie przymuszał do przyjęcia wszystkiego, co mi dawali, wprawdzie bardzo skromnie i wcale po niemiecku. Kiedy było kilku razem, pili sznapsa, kurzyli fajki, grali w karty, niekiedy tańczyli, śpiewali, a zawsze krzyczeli. Wszystkie te ich radości i zabawy wcale mnie nieobchodziły, często nawet były mi nieznośne, ale przynajmniej jako tako mnie rozrywały. Czasami z nowo przybywających pozwalałem sobie żartować; niemal każdy do więzienia przybywający, jeżeli oprócz mnie cudzoziemca nikogo niezastał, dla skrócenia czasu, nim mu jedzenie i pościel przynieśli, chciał się położyć i zasnąć, i dla tego pytał mnie się, wskazując na tapczan z siennikiem, który umyślnie na tapczanie rozciągnąłem, czy to nie moja pościel, i czy można na niej się położyć? odpowiadałem: że nie moja i jeżeli chce, może się położyć. Ale ledwie Prusak się wyciągnął na sienniku i zaczął drzemać, zrywa się jak oparzony, niewiedząc gdzie pierwej ręką sięgnąć i w największym gniewie, dla mnie bardzo komicznym, porywa za siennik i ciska go w kąt w największem oburzeniu: wrzeszcząc: Ach mein Gott, mein Gott, verfluchte

Flöhe, so viel Flöhe, so viel Flöhe. A to mu pchły z siennika, któremi był nadziany, taką łaźnią sprawiły. Jeżeli nowy gość przybywał, to mu pierwszy podobną łaźnię sprawiał, z czego późniéj oba się śmieli i dla kurażu sznapsa popijali.

Dzień po dniu upływał, a ja z niecierpliwością oczekując nim mnie powołają do Policyi, dla przepędzenia jako tako czasu, siadywałem zwykle w jednem lub drugiem oknie za kratami, tak dla przypatrywania się przechodzącym i statkom tuż przedemną po Preglu płynącym, jako też dla oddychania świeżem powietrzem, gdyż po kilku dniach pobytu w więzieniu uczułem, iż jego powietrze cząstkami wapiennemi spadających murów przesycone mocno, szkodziło mym płucom: i dla tego niemal po całych dniach siedziałem w oknie. Nakoniec dnia 16 czy 17 miesiąca sierpnia zawołali mnie do policyi, bardzo daleko od więzienia położonéj, to było rano. Po zwykłem w dusznéj izbie oczekiwaniu, stanąłem przed nią, pan Fleury był przytomny. Z miny indagujących poznałem, że nie są ze mnie kontenci; odezwano się do mnie głosem surowym: wszystko coś pan powiedział, jest kłamstwem; aniś się pan tam rodził, ani pana tam znają gdzieś nam powiedział, proszę z nami nie żartować i prawdę mówić. — Kto pan jestteś? — Francuz odpowiedziałem. — Ale to nie prawda. — To jest prawda. — My mamy dowody że to nieprawda. — Ja mam większą pewność niż dowody. — Indagujący unosili się, grozili, ja z méj strony spokojnie, lecz śmiało odpowiadałem, a pan Fleury radził mi, abym się przyznał. — Nareszcie nic ode mnie nie wybadawszy, powiedziano mi, abym się namyślał i nie ściągał na się surowéj praw pruskich odpowiedzialności. — Odpowiedziałem, iż kto jest Francuzem, ten się bynajmniéj nie obawia odpowiedzialności przed prawami pruskiemi — i zostałem odprowadzony do więzienia.

Po południu znowu mnie przyzwano do policyi i znowu nalegano na mnie tylko z większemi groźbami, abym

się przyzna, kim byłem i jaki popełniłem występek? — Moje odpowiedzi były niemal te same co poprzednio tylko w miarę gróźb z większą odpowiedziałem śmiałością jako człowiek, który wie, że w przypadku pokrzywdzenia znajdzie i powetowanie w opiece praw narodu, do którego należy. — Pan Fleury przekonany, żem Francuz, radził, życzył jak swemu rodakowi, abym się przyznał do wszystkiego, i że jest pewnym, że to przyznanie się zmniejszy przykrość mojego położenia, inaczéj mogą się ze mną obejść najsurowiéj. Ale wszystkie jego nalegania na nic mi się nie przydały. Odprowadzono mnie znowu do wieży. Nazajutrz rano znowu mnie wezwano do policyi. Po przedwstępnych i zwykłych pytaniach, zaczęto na mnie z większą niż przedtém nalegać mocą i groźbą, używając nawet obrażających wyrazów; ja zaś odpowiedziałem jak pierwéj, obstając ciągle przy pierwszém mojém zeznaniu. Pan Fleury przypatrzywszy mi się z uwagą obrócił się do innych, rzekł z cicha po niemiecku: sądząc z miny i ruchów tego człowieka, zdaje mi się, że to musi być wojskowy; ja co znam dobrze karny kodeks wojskowy francuzki, który jest bardzo surowy, wnoszę; że on musiał coś przekroczyć, a wiedząc jaka go za to kara czeka, może kara śmierci, o co nie trudno, niemając innego sposobu ratowania się, uciekł z Francyi, rozumie się bez żadnych dowodów i bez paszportu. — Ta uwaga pana Fleury zdała się innym trafną, spojrzywszy na mnie, rzekli do siebie: prawda, że ma minę wojskową: tak sądzili zapewno ze śmiałych moich odpowiedzi, a może ze śmiałéj miny i wąsów w górę pokręconych. Co do mnie byłem kontent z téj uwagi pana Fleury i postanowiłem z niéj korzystać; przedewszystkiém bowiem jak już mówiłem, życzyłem sobie, aby mnie jakimbądź sposobem można było dostać do Francyi. Stósownie zatém do tego zamiaru przedsięwziąłem odpowiadać na pytania, jakieby mi zadawano, jakoż pan Fleury z pozwolenia a raczéj z woli indagujących, zapytał mnie natychmiast: Pan zapewno musisz być woj-

skowym? — Ja niby wahając się i obawiając się, że na trop wpadnięto, odpowiedziałem z nieśmiałością: tak jest, jestem wojskowy. — Indagujący spojrzeli po sobie. — Zapewno Pan musiałeś uciec z wojska? — Były powody dla których musiałem uciec z wojska za granicę. — Jakież to są powody? — Panowie mi przebaczycie, że ich odkryć nie mogę, zresztą na nicby się panom nie przydało. Owszem my musimy wiedzieć co pana spowodowało do opuszczenia swych szeregów? A mnie na tém najwięcéj zależy, aby tych powodów nie odsłonić. — Dla czego? — Dla tego, że choć rzecz sama z siebie małéj wagi, lecz że więcéj osób do niéj było wplątanych, niechciałbym przeto, aby jéj wyjawienie mogło szkodzić innym. — Cóż Pan takiego zrobiłeś, czy Pan przekroczyłeś przepisy wojskowe, czyś Pan kogo zabił w pojedynku? Proszę Panów na to nienalegać, tego niepowiem, tego powiedzieć niemogę. — Pan musisz powiedzieć. — Gdyby tylko szło o mnie możebym powiedział, ale że idzie o innych, powiedzieć niemogę. — O! to są żarty, my mamy sposoby dowiedzenia się o wszystkiém. — Te sposoby nie dla wszystkich są dobre i panowie zapewno macie tyle zdrowego rozsądku, iż wiecie dobrze, jak z nim postąpić macie i powinniście. Ponieważ pan niechcesz się przyznać do niczego, my musimy uważać pana jako zbrodniarza. To mnie oburzyło i w mocném wzruszeniu, gniewie i głośno odrzekłem. Nim kto ośmieli się mnie nazwać zbrodniarzem, powinien wprzód wiedzieć i być przekonanym, że nim jestem; patrzeć na mnie czy wyglądam na zbrodniarza. Krótko mówiąc, po téj odpowiedzi tak się na mnie rozdąsali, że na prawdę zaczęli grozić, szwargocąc między sobą po niemiecku. On niezna praw naszych, on niewie, że my z nim postąpić możemy jak się nam podoba; a ponieważ do niczego niechce się przyznać, mamy prawo uważać go za największego zbrodniarza i jako ze zbrodniarzem postąpić. Ja słuchając tego wszystkiego i rozumiejąc, stałem w ponurém milczeniu. Pan Fleury zainteressowany smutném położeniem

swojego rodaka, stał się smutnym i przyszedłszy do mnie rzekł: życzę panu przyznać się do wszystkiego, radzę to jako memu rodakowi, ja znam tutejsze prawa, i wiem jak z panem mogą postąpić; ach tu nie tak, jak w Francyi, tu mogą pana wrzucić między największych zbrodniarzy, użyć do najcięższych, do najpośledniejszych robót, a nawet bić kijami, bo tu jest we zwyczaju kara cielesna. Niech się pan na to nie wystawia, a ponieważ pan uciekłeś z Francyi, prawo francuzkie niemoże pana zasłonić, i tym podobne czynił mi uwagi, i widziałem, że to czynił z dobrém sercem i życzliwością. Ja czułem całą słuszność uwag pana Fleury, i sam wiedziałem dobrze o tém wszystkiém, co mi mówił: ale jak się tu przyznać, kim byłem rzeczywiście, wiedząc dobrze, że po przyznaniu się będę wydanym Moskalowi. Więc i tą razą nieprzyznawszy się do niczego, zostałem odprowadzony do więzienia.

Łatwo sobie wyobrazić, jakiemi myślami i uczuciami byłem miotany, wróciwszy do więzienia. Czyż los mnie zawsze tak srogo będzie prześladował? Czyż nigdy spoczynku, nigdy pokoju nieznajdę? Czyż mojém koniecznie jest przeznaczeniem zginąć, i zginąć marnie w moskiewskich katuszach? Pocóż uciekłem z Syberyi, gdy wola Opatrzności, czy fatalizmu była ta, abym w niéj zginął? Zaiste życie mi jest nieznośném, w tak upornéj, zaciętéj walce z mym nieubłaganym losem: a zatém jeśli koniecznie potrzeba zginąć, lepiéj zginąć wcześniéj niż późniéj, bo przynajmniéj oszczędzę sobie zniewag i męczarni pozostałego mi życia. Jeszcze raz będę obstawał przy zamiarze dostania się jakimbądź sposobem do Francyi, użyję wszystkiego, aby mnie w ręce władz francuzkich jako podejrzanego o wielką zbrodnię wydano; a jeżeli to się nieuda, przyznam się żem Polak uciekający z Syberyi. Ale srogi Mikołaj niebędzie miał tygrysiéj uciechy, mieć mnie żywego w swych ręku, aby okuwszy ręce i nogi na granicy pruskiéj, i zaprowadziwszy mnie piechotą w partye złoczyńców aż do Syberyi, na miejsce zkąd uciekłem, (bo

podług praw rossyjskich kara odbywa się na miejscu występku) kazał mi skonać w męczarniach pod sześcią, lub siedmią tysięcy kijów, lub pod razami knuta lub plati. Nie, téj uciechy mieć niebędzie w chwili gdy mnie zechcą oddać Rossyi, sam sobie życie odbiorę: dłużéj żyć mi się już niechce. Tak mówiąc a raczéj myśląc sam w sobie ze stałością oczekiwałem chwili, w któréj się miał stanowczo los mój na ziemi rozstrzygnąć. Do téj stanowczéj determinacyi wpłynęła niemało, na pozór bardzo mała przyczyna. Jeszcze w samych początkach, gdy mnie do błękitnéj wieży wsadzono, niemając co robić, zacząłem szperać po wszystkich kątach więzienia, jak to właściwa i naturalna rzecz każdemu więźniowi i w rozpadlinie podłogi pod jednym tapczanem znalazłem nie wielki, składany, ale tępy i zupełnie już zardzewiały nożyk, którego żelezce miało długości do czterech cali. Trudno sobie wyobrazić jaką ztąd miałem smutną radość, przynajmniéj rzekłem, sobie w ostatnim razie będę miał czém sobie życie odebrać! Niemając przy sobie ani trucizny, ani sztyletu, którym zgubił, cała moja nadzieja była w tym zardzewiałym nożyku, wyczyściwszy go tedy i zaostrzywszy jak mógłem o cegłę, schowałem tak, aby go stróż więzienia lub kto inny z więźniów nie widział. Samobójstwo bez wątpienia jest jedną z największych zbrodni i każdy religijny i uczciwy człowiek nigdy go się dopuszczać niepowinien. Wyznać jednak potrzeba, iż dopuszczający się samobójstwa, musi mocno, mocno cierpieć, kiedy się na własne targa życie: bo cóż milszego nad życie! Co do mnie; nigdy samobójstwem niechciałbym uprzedzić zgonu przed szubienicą, lub kulą; chyba w chwili szału, ale przed tysiącami pałek, pod któremi długie godziny trzeba konać niewypowiedzianych męczarni, lub przed knutem rwiącym ciało i rozdzierającym nerwy, anibym się chwili nie namyślał odebrać sobie życie.

Gdy mnie tego dnia po południu wezwano do policyi, szedłem do niéj z przedsięwzięciem już mocno posta-

nowieniem Zaczęto znowu na mnie nalegać i grozić, abym się przyznał do prawdziwego nazwiska i rodzaju występku jaki popełniłem. Po długim oporze rzekłem do indagujących: jeżeli panowie możecie mi dać słowo honoru, że po przyznaniu się do występku, jaki popełniłem, nie będę wydanym władzom francuzkim, to się przyznam do wszystkiego. Spojrzawszy po sobie rzekli: niewiedząc jakiego rodzaju był pański występek, niemożemy dać słowa honoru na to co pan od nas żądasz. A więc w takim razie, ponieważ prawa pruskie żadnej niezapewniają dla mnie opieki, chociaż wiem co mnie czeka we Francyi, z której uciekłem, sam żądam, aby mnie w ręce władz francuzkich wydano, dla usprawiedliwienia się, jeźli podobna przed właściwymi moimi sędziami. O nie, jeźli potrzeba, pan będziesz wydany władzom francuzkim, ale musisz się tu pierwej do wszystkiego przyznać. Nikt mnie do tego niezmusi, jestem Francuz i znam prawa narodów; jakkolwiek mogę być występnym w obliczu prawa francuzkiego, nieprzestałem przeto być Francuzem, do którego osoby tylko rząd francuzki ma jedynie prawo, i do tego prawa ja się odwołuję tem bardziéj, że oprócz braku papierów udowodniających, kimbym był, nic w Prusach niepopełniłem takiego, coby panom dało prawo mnie sądzenia, bo i cóż panowie macie mi do zarzucenia? jaka wina cięży na mnie? jaki w Prusiech popełniłem występek? — Dla czegoż koniecznie chcieć nadużyć mojego położenia? Żądam przeto być wydanym Francyi. Na takie moje oświadczenie nowe powstały gniewy i groźby. Pan Fleury znowu mnie zaczął radzić, przedstawiać i upominać, abym się napróżno nienarażał na surowe ze mną obejście się, na kije, jakiemi traktują tych, do rzędu których i mnie chcą zaliczyć. Widząc, że mój upór obstawania przy nazwie Francuza (którego żadne nieproteguje prawo) do niczego mnie niedoprowadzi, a raczéj doprowadzi tylko do najsmutniejszéj ostateczności, to jest: do zamiatania w łańcuchach ulic Królewca, do ciężkich

i brudnych robót, a może i do kijów; przytem stosując się do powziętego stanowczo już zamiaru, tak się do tych panów odezwałem: „Ponieważ panowie koniecznie chcecie, abym się do wszystkiego przyznał, przyznam się, ale się obawiam, aby przez to przyznanie się nienaraził ich uczuć na przykrą próbę między ich obowiązkami a ich sumieniem. Zdawali się tego nierozumieć, nareszcie jeden z nich rzekł: to niech pan mówi. — Tu w przytomności wszystkich i gdzie tyle ludzi przychodzi powiedzieć niemogę, ale prosiłbym pana Fleury i jednego z panów do osobnego pokoju. Spojrzeli na siebie z pewnem zadziwieniem, i w końcu zezwolili. Znalazłszy się w osobnym pokoju wraz z panem Fleury i drugim, którego już niepomnę nazwiska, powiedziałem im otwarcie, kim byłem i że uciekłem z Syberyi. To przyznanie się niepomału zdziwiło tych obydwu panów; pan Fleury wykrzyknął: mon Dieu! mon Dieu! a drugi Herr Jesus! Herr Jesus! — i przypatrywali mi się, jakby niewierząc temu co widzieli i słyszeli. Po chwili jeden z nich rzekł: czemuż się pan odrazu do tego nieprzyznał? A czyż panowie niewiecie, że między Prusami a Rossyą jest traktat wzajemnego wydania zbiegów, w mojem położeniu jakże mogłem się przyznać, kim byłem? Chciałem panom oszczędzić tej nieprzyjemności, i dla tego tylko domagałem się, aby mnie do Francyi odesłano. Ach to prawda, to prawda, odrzekli nieco zasmuceni. Teraz kiedy panowie wiecie kim jestem, i dla czego żadnych dowodów przy sobie mieć niemogłem, spodziewam się, że jeżeli sami niemożecie nic mi poradzić, przynajmniej podacie mi sposoby ratowania się, abym niebył władzom rossyjskim wydany. Tem pytaniem mocno ich zaambarasowałem, nic mi na to niemogli odpowiedzieć. Jeden z nich wyszedł zapewne dla udzielenia innym szczegółów mojego przyznania się, a pan Fleury zostawszy ze mną rzekł ze wzruszeniem: oprócz jednego grafa pana von Eulenburg, Oberregirungs-rata tutejszego, nikt pana uratować niemoże od wydania go

w ręce Moskali; wiem o tém dobrze, bo niedawno kilku wydano, staraj się pan z grafem von Eulenburg sam widzieć, jestto światły, dobry, uczynny i bardzo zacny człowiek, od wszystkich jest kochany i poważany, co za nieszczęście, co za nieszczęście rzekł dalej. Trzeba oddać sprawiedliwość Francuzom, że mimo lekkość charakteru, i niestałość w uczuciach, a nawet we wszystkiém, Francuz zawsze jest ludzki, prędzej od każdego innego zrozumie przykre położenie człowieka, i chętnie z niego chciałby go wydobyć, byleby go to niewiele kosztowało zabiegów i trudów; Francuz prędzej od każdego innego wzruszy się obcém nieszczęściem, ale także prędzej od każdego innego o niém zapomni; przyjaciel wesołego humoru i dowcipu, chętnie unika wrażeń, któreby go na chwilę od wrodzonéj jego swobody umysłu mogły oderwać; Francuz czy przez szczęśliwą organizacyą, czy przez zabytek chrystyanizmu ma nagłe wrodzone uczucie wszelkiéj piękności moralnéj, które jednak niszczy i zabija w sobie samym rozumem i dowcipem: jest to żywa i chodząca sprzeczność dwóch pierwiastków, dobrego i złego; idący za swém uczuciem, za swém sercem, Francuz jest szlachetny, wzniosły i wielki; idący za swym rozumem, jest dowcipny, przebiegły, przenikliwy, rzadko głęboki, a częściéj poziomy i płaski; pierwsze porywy jego serca są piękne, a działania jego rzadko moralne i chętnie poświęca swoje uczucia dla błyskotek rozumu lub dla materyalnego bytu; rzadko Francuz na wzniosłém utrzyma się długo stanowisku, bo jest zawsze blizkim upadku; na Francuza przyjaźń lub nienawiść liczyć niemożna, jak długo kochać tak równie długo nienawidzić niemoże; jest to kameleon odbijający na sobie wszystkie barwy z szybkością po sobie następujące i niknące. Nic w nim stałego, nic pewnego, nic charakterystycznego; Francuz jest to istota nijaka, ni zła ni dobra, ale naprzemian jest jedną i drugą. To co widzimy w indywiduach, to się znajduje w całym narodzie, i w najwydatniejszéj jego części w rzą-

dzie. Patrzmy na jego członków, na administracyą, a szczególniéj na jego politykę! Jaki jego człowiek stanu był długo na wysokości swojego stanowiska, swojego przekonania? — Jeżeli Francya nie pójdzie za swém sercem, lecz za swoim rozumem i dowcipem, jéj rozum i dowcip zaprowadzi ją do przepaści.

Teraz wracam do siebie. Chwilę zostawszy z Panem Fleury, wezwany zostałem do nowego protokółu. Raz się przyznawszy do właściwego rodu i nazwiska, przyznałem się do wszystkiego, gdziem się rodził, kiedym był wysłany i za co do Syberyi, gdziem był w Syberyi, którędym wracał i gdziem przeszedł granicę pruską itd. Poczém prosiłem, aby mi dozwolono było widzieć się z hrabią von Eulenburg; przyrzeczono wyrobić mi to pozwolenie i odprowadzono mnie do więzienia. Od chwili mojego przyznania się, postrzegłem wielką zmianę w obejściu się ze mną: miejsce gniewu, gróźb i lekceważenia, zastąpiły grzeczność, uprzejmość i pewna litość. Nazajutrz po południu znowu mnie wezwano do policyi: tą razą już dla przekonania się, czym istotnie był Polak? Miejsce Pana Fleury zastąpił kto inny i ledwiem stanął przed tymi panami, nieznajomy odezwał się do mnie czysto po polsku: czy Pan jesteś Polakiem? — Tak jest, odpowiedziałem, i po kilku minutach rozmowy, przekonano się, żem Polak, co nieznajomy obecnym oświadczył, poczém ponowiono poprzednie pytania, na które jak pierwéj odpowiedziałem. Ten nieznajomy Polak nazywał się Szymkiewicz, rodem ze Żmudzi i poczciwy człowiek, miał żonę rodzoną siostrę majora Urbanowicza, będącego w Emigracyi, którego po przybyciu z Królewca poznałem osobiście. Pan Szymkiewicz, literat i urzędnik, ze zbiegu okoliczności niezawisłych często od naszéj woli i chęci, jest zarazem żmudzkim poetą i w języku żmudzkim, jak mi mówił, wiele napisał wierszy. Z przyjemnością tu wspominam o Państwu Szymkiewiczach, którym pewną winienem wdzięczność. Przy téj nowéj indagacyi prosi-

łem znowu, aby mi pozwolono widzieć się z hrabią Eulenburg, a przynajmniej do niego pisać, i dopomniałem się także, aby mi z moich własnych pieniędzy udzielano na żywność, gdy żywność więzienna była dla mnie niewystarczającą. Odpowiedziano, że w jednym i drugim względzie odniosą się do prezydenta policyi Pana Lauterbach i odprowadzono mnie do więzienia.

Pan Lauterbach wkrótce zezwolił, aby z moich pieniędzy, na ręce dozorcy więzienia Pana Emen, codzień wydzielano pięć srebrnych groszy pruskich, czyli złoty polski, a względem widzenia się z Panem Eulenburg lub pisania do niego żadnéj niedał odpowiedzi. Za te pięć srebrnych groszy żona dozorcy więzienia kupowała mi kartofli, masła lub mięsa do rosołu i gotowała; odtąd zatém zacząłem żyć wygodniéj; życie w Królewcu tego roku było bardzo drogie. Przy pytaniach, jakie mi zadawano w policyi przy Panu Szymkiewiczu, zapytano mnie także: czy ja temi czasy niebyłem w Poznanskiém? Odpowiedziałem, co było istotną prawdą, że niebyłem: ale to pytanie nieco mnie zastanowiło; po czém zapytano mnie także, czy nieznałem w Emigracyi Ludwika Mierosławskiego? — Ah! pomyślałem sobie, coś musi być, kiedy się o niego pytają, więc zdziwiony tém pytaniem odpowiedziałem: że znałem go z widzenia. — To jest bardzo zdatny i uczony człowiek (gelerter Mann). Z takiéj pochwały źlem wróżył o położeniu Mierosławskiego; a wiedząc, że pochwała w takim razie więcéj szkodzi niż pomaga, odpowiedziałem jakby z niechcenia, jaką on ma naukę, tego niewiem, ale słyszałem, że to jest roztrzepany i lekki człowiek, wiele lubi gadać, sam niewierząc w to, co mówi, jak to wiele młodych ludzi robić zwykło. Kiedym wyszedł już z więzienia, powiedziano mi, że Mierosławskiego, który był wówczas w więzieniu, pytano także o mnie, i że Mierosławski miał odpowiedzieć, że w Emigracyi wielu było Piotrowskich i niemoże wiedzieć, jakim jest ten, o którego się pytają.

Po powrocie do więzienia zacząłem rozmyślać, po co mnie się pytano, czym nie był w Poznańskiém i czym nieznał Mierosławskiego? Jest w tém jakaś tajemnica, którą potrzeba rozjaśnić, ale jakim sposobem? W więzieniu wkrótce także dowiedziano się, żem Polak, a z czém się wcale nie taiłem przed spółwięźniami, zapytałem tedy jednego z nich, czyby niewiedział, dla czego w policyi chciano wiedzieć odemnie czy byłem lub nie w Poznańskiém, musiało zajść co w Poznańskiém. — Jak to, to Pan nie wiesz, co w Poznańskiém zaszło przed kilką miesięcy? — O niczém niewiem, cóż tam było? — Polacy chcieli rewolucyą zrobić: ale spisek odkryto i spiskowych pochwytano a między nimi ich naczelnika Mierosławskiego; i tu mi zaczęto opowiadać niektóre szczegóły tego powstania jako też i rzezi galicyjskiéj. Proszę sobie wystawić moje zadziwienie i moję boleść, dowiedziawszy się po raz pierwszy o tych smutnych wypadkach i ich smutnych następstwach. Teraz zrozumiałem, dla czego mnie pytano, czy byłem w Poznańskiém i czy znałem Mierosławskiego? Uciekłszy na początku lutego z Syberyi i będąc sześć miesięcy w podróży przez Rossyą, o niczém wcale niewiedziałem i chociaż w Wielkim Ustjugu napomykano ukradkiem, że w Polsce kogoś powiesili, nie mogłem jednak ztąd wnosić o rzeczywistych do tego powodach, oprócz jednego powodu, to jest, że Mikołaj chętnie wynajduje pozory do wieszania, szczególniéj Polaków.

Rozmyślając o tych nowych klęskach na nieszczęśliwą Polskę spadłych, a które nowym ciężarem przytłoczyły mą duszę, myślałem zarazem i o mojém położeniu, a raczéj o moim rychłym zgonie; bo sądziłem, że po przyznaniu się do rzeczywistego rodu i nazwiska, i po zdjęciu ze mnie protokółu, niema żadnéj wątpliwości, że mój protokół będzie Rossyi zakommunikowany, i że niezwłocznie od niéj nastąpi reklamacya mnie wydania; żadną tedy nadzieją łudzić się niemógłem. Ale że nie tak łatwo z życiem uczynić rozbrat, jak się to niektórym zdaje, szcze-

gólniej kiedy im żadne niebezpieczeństwo niegrozi, i że człowiek niczego nieopuszcza, nawet niemając nadziei, aby je można ocalić, a przynajmniej wyczerpać wszystkie środki dla jego ocalenia, z wyjątkiem tylko osobistego poniżenia i kosztem uczciwości, od czego Boże uchowaj każdą zacną duszę, postanowiłem, jakem to już powiedział, albo się widzieć z hrabią von Eulenburg, albo przynajmniej do niego napisać. Ale ponieważ Pan Lauterbach prezes policyi, na moje ciągłe i usilne żądania, żadnej w tym względzie niedawał odpowiedzi, a dozorca więzienia Eume bez wyższego pozwolenia niemógł mi dać ani papieru, ani atramentu, więc po kilku dniach próżnego oczekiwania i kiedym całą stracił nadzieję otrzymania, już niemówię pomyślnej, ale jakiejkolwiekbądź odpowiedzi od Pana Lauterbacha, uprosiwszy jednego spółwięźnia Kli....go, dość długo wraz ze mną będącego, rodem Polaka, ale już zpruszczałego, aby przez tych, co mu jeść przynosili, kazał przynieść papieru, pióra i atramentu, dnia 24 sierpnia napisałem pokryjomu list po francuzku do hrabiego Eulenburg. Niepodobna dokładnie powtórzyć tego listu i żałuję, że niezdjąłem i niemam jego kopii; treść zaś jego była następująca: winszowałem sobie, że tak smutny dla mnie wypadek schwytania zdarzył się w miejscu i czasie, gdzie tak światły i ludzki człowiek, jakim jest hrabia Eulenburg, jest wysokim urzędnikiem, który jeden tylko z tak przykrego położenia może mnie wydostać; w tém widzę wolą Opatrzności; namieniłem, iż wiem dobrze o traktacie wzajemnego wydania zbiegów, zawartego między Prusami i Rossyą, i że jeżeli człowieka stanu ten traktat zobowięzuje, to człowieka sumienia i przyjaciela ludzkości nigdy zobowięzywać niepowinien, tém bardziej, jeżeli mu jest wiadome dzikie obejście się rządu rossyjskiego z wydanymi z zagranicy, a szczególniej jakie byłoby ze mną, co uciekłem z Syberyi, do której za żadną inną zbrodnię, tylko za przywiązanie do swej ojczyzny byłem wysłany. Kary tej niewymie-

niam, bo samo o niéj wspomnienie tak wielkiém jest poniżeniem, iż ubliżyłbym szacunkowi hrabiego, gdybym mu całą dzikość i jéj okrucieństwo przedstawił. W końcu polecając się jego względom i pamięci, prosiłem o rychłą odpowiedź. — List ten niezbyt długi, ale pełen uprzejmości i uczucia, dokładnie malował stan ówczesnéj méj duszy; gdybym wiedział, gdzie się znajduje dziś hrabia Eulenburg, pisałbym do niego, aby mi jego nadesłał kopiją; są chwile w życiu człowieka tak ważne, iż wartoby mieć ciągle przed oczyma i w pamięci to, cośmy w tych chwilach czuli i myśleli: a to możeby nas ochroniło od zarozumiałości, od zbytniéj w sobie ufności i od lekceważenia obowiązków względem Boga i bliźniego. Byłbym bardzo obowiązanym, ktoby w mojém imieniu, lub we własném swojém kopią tego listu od hrabiego Eulenburg otrzymał.

Pan Klima....ski, ten sam co mi dostarczył materyałów do listu, był tyle dobrym mi przyrzec, że po wyjściu z więzienia sam odniesie dla większéj pewności mój list Panu Eulenburg, co najrzetelniéj dotrzymał, a za co mu nieskończenie jestem obowiązany. Tymczasem oczekując na mój list odpowiedzi, a raczéj postanowienia względem mojego losu i rozmawiając ze spółwięźniami o wypadkach Poznańskich, coraz więcéj szczegółów dowiadywałem się. Jeden z odwiedzających swojego kolegę wieźnia, miły, ukształcony, oddający się naukom i artylerzysta z landwerów, młodzieniec, Prusak rodowity, ale sumienny i bezstronny człowiek, następujące smutne opowiadał mi zdarzenie: „Kiedym był przed „kilką miesięcy w Grudziążu (czy w Kostrzynie, już tego „dobrze niepomnę) był tam w więzieniu Polak w ostatnich „wypadkach w Poznańskiém skompromitowany; chciano „od niego dowiedzieć się, o czém może sam niewiedział; „gdy nic czy niechciał, czy niemógł powiedzieć, tak go „nielitościwie rozciągnąwszy kijami bito, że pod drugim czy „trzeciém powtórzeniem z bólu skonał. Ach jak wspomnę

„o têm, zgroza i oburzenie mnie przejmuje.“ — Ale czy to jest pewna co Pan mówisz? — Jakże niepewna, gdym sam na to musiał patrzeć. — W głosie, w wyrazie twarzy i oczu tego młodzieńca tyle było szczeroty i prawdy, tak się unosił szlachetnym, rzeczywistym gniewem wyrażającym się u niego przez zapłonienie oblicza i jaskrawość spojrzenia, iż niepodobna było niewierzyć jego słowom. Zresztą on Prusak, jakiżby miał powód przede mną Polakiem to mówić?

Dni więzienia upływały, a ja żadnéj od Pana Eulenburg niemając odpowiedzi oczekiwułem z rezygnacyą mojego losu; aż nareszcie 7 września doręczono mi za pośrednictwem Pana Lauterbach, zawiadomienie, niby odpowiedź Pana Eulenburg na mój list do niego pisany. Odpowiedź ta dosyć dyplomatyczna, która się zresztą pojmuje od tak wysokiego urzędnika, datowana 4 września, była następująca, napisana po niemiecku, a którą przytaczam po polsku: — „Na podanie z 24 zeszłego mie„siąca do nadradzcy rządowego (Oberregirungsrath) wy„stosowane, a przez niego nam doręczone, niniejszém „oświadczamy Panu, iż teraźniejsze swoje położenie, musisz „sobie samemu przypisać, jako będące skutkiem przyby„cia tu bez najmniejszych legitymacyjnych papierów. Dal„sze postąpienie z Panem zależeć będzie od wykrycia, czy „i jaki miałeś udział w zaburzeniach Poznańskich. Po„trzebne ku temu kroki już przedsięwziął Pan prezes „policyi: musisz Pan przeto być cierpliwym dopóki ukoń„czone niebędą. — (Podpisano). Królewiec 4 września „1846 roku. Królewsko-rządowy wydział spraw wewnę„trznych *B. G.* von *Eulenburg.*“ — Na dole téj expedycyi napisano: „Do Pana Rufina Piotrowskiego szla„chetnie urodzonego — w miejscu, w niebieskiéj wieży.“ Na kopercie zaś téj expedycyi napisano: „Do królewskiéj „policyi Prezydenta Pana Lauterbach wysoko szlachetnie „urodzonego — w miejscu.“

Otrzymawszy podobną odpowiedź od pana Eulenburg

bo tylko z niéj wnieść mógłem, że nie wierząc mojemu zeznaniu, w zupełności, czynili względem mnie w Poznańskiém poszukiwania i że stósownie do wypadku tych poszukiwań ze mną postąpią. Jam się bynajmniéj nieobawiał poszukiwań w Poznańskiém, gdziem nawet dotąd nigdy niebył; ale idzież stąd, że niebędę wydanym Moskalom? odpowiedź pana Eulenburg była tak dwuznacznie dyplomatyczna, że nic z niéj pewnego wnioskować niemożna było; i jeżeli co mogło mi czynić jaką nadzieję, to chyba sama odpowiedź, jaką mnie raczył pan Eulenburg zaszczycić i ostatnie jéj wyrazy zachęcające „tymczasem bądź pan cierpliwym.“ Jakkolwiek te wyrazy nieco mnie pokrzepiły, tyle razy już zawiedziony od losu, nieśmiałem żadnego pocieszającego znaczenia do nich przywiązywać, i czekałem tylko, rychłoli z Rossyi przyjdzie reklamacya, aby mnie wydać, to jest czekałem, nim przyjdzie chwila odebrania sobie życia. Jeszcze w przeszłym miesiącu zaraz po przyznaniu się do właściwego nazwiska i rodu, otrzymawszy pozwolenie pisania do Paryża, napisałem dwa listy jeden do księdza Kajsiewicza, a drugi do kogo innego w jednéj kopercie, ale niezapieczętowane; gdyż władze pruskie miały je wprzód przeczytać, a późniéj zapieczętowawszy odesłać do Paryża. Prosiłem, aby te listy, które oprócz zawiadomienia, gdzie się znajdowałem, i nadziei, (któréj niemiałem) prędkiego z więzienia wydostania się, nic więcéj w sobie niezawierały, były jak najspieszniéj wysłane, co mi przyrzeczono: czekałem tedy z wielką niecierpliwością odpowiedzi, która nie nadchodziła i nigdy nie nadeszła. Czy umyślnie, czy przez zapomnienie wysłano te listy dopiero po moim z Królewca wyjeździe i ja pierwéj przed niemi przybyłem do Paryża.

W jedném z przykrych i najboleśniejszych usposobień, owiany zewsząd niepewnością, pewny tylko smutnéj przyszłości, jaka mnie czekała, żal mi się zrobiło życia, źle mówię, nieżycia, lecz co było jego życiem. Złożyłem kilka strof z głębi serca płynących, a zbytkiem uczuć może grze-

szących przeciw Bogu i wierze. Łatwo odgadnąć ich temat. Ale jeżeli kiedy bluźnierstwo srogo było ukarane, ja za nie byłem najsurowiej dotkniętym; a boleść i zbytek téj kary wraz ze mną zstąpią do grobu. Jedną razą siedząc w oknie za kratami, jakto miałem zwyczaj, w jednéj tylko koszuli i patrząc na przechodzących, ujrzałem jednę damę, która ostrożnie zbliżywszy się pod moje okno, aby od szyltwachu nie być postrzeżoną, i podniósłszy się szybko na ławeczkę pod oknem stojącą, rzuciła mi kilkazłotową sztukę śrebrną, wdzięczny jéj byłem za ten dar, a szczególniéj za jéj dobre serce, ale, że ponieważ wówczas dawano mi już z moich pieniędzy, i niemiałem głodu więc natychmiast tę sztukę śrebrną jéj zwróciłem, bardzo pięknie jéj dziękując i dając jéj do poznania, że mam pieniądze, że ich niepotrzebuję; biedna zapłomiona zdawała się nierozumieć, co jéj mówiłem postawszy chwilę i przypatrzywszy mi się z pewném podziwieniem, odeszła.

Między moimi spółwiężniami ciągle się zmieniającymi był także jeden żyd polski z grodzieńskiéj gubernii za podejrzenie o kradzież w Królewcu popełnioną do błękitnéj wieży wsadzony, z którym przeszło dni ośm sam na sam zostawałem. Mniéj go obchodziło, jak mówił podejrzenie o kradzież, któréj nie popełnił, jak nieszczęśliwy los wszystkich jego spółwyznawców pod panowaniem Rossyi będących, i tu opowiadał mi nieszczęsne ich położenie, i rozmaite względem nich rządu rossyjskiego rozporządzenia; a między innemi branie dzieci w rekruty, i zmianę ich ubioru, co ich najwięcéj obchodziło i martwiło. Niektórzy z żydów polskich dla nacieszenia się swym starodawnym ubiorem pod rozmaitemi pozorami wybierali się i wychodzili na czas jakiś za granicę, stąd i w Królewcu było ich niemało. Z tego, co starozakonny mi opowiadał, łatwo wniosłem, że dziś żydzi nadzwyczaj są zawzięci na Mikołaja; on zaś tak się odzywał: to jest mocny nasz Faraon; ale ponieważ on już zaczął nas żydów tak prześladować, no to on już długo żyć niebędzie, to on musi

upaść; bo tak w bibliach napisano; a co tam stoi, to tak być musi. A cóż tam stoi zapytałem? Tam stoi, że kto będzie nas żydów prześladował, to go Bóg ukarze, to on zginie: a Mikołaj tak nas męczy, tak męczy, aj waj waj, to już niemu nieżyć, bo niedługo będzie gosudarem. Więc jak widzę, to wam bardzo źle teraz pod Mikołajem? No, jeszcze jak źle. Za Polski czasów było wam nierównie lepiej? Jak starzy mówią to bylo bardzo dobrze. Dla czegoż we wszystkich naszych przeciw Moskalom wojnach, i w ostatniém naszém powstaniu byliście zawsze nam Polakom, tak nieprzychylni i trzymaliście stronę Moskala, któremu przeciw nam służyliście za szpiegów? No prawda, że tak było, ale to nie wszyscy byli szpiegami, byli tacy między nami, co kochali Polaków. Wyście wszyscy Polskę i Polaków powinni kochać, bo zapewno wiecie, że po zburzeniu Jerozolimy waszego świętego miasta gdyście się rozproszyli po całym świecie, gdy was wszędzie zaczęto prześladować, Polska jedna dała wam schronienie i w niej rozmnożyliście się, jak piasek w morzu, jakże jéj zawdzięczacie teraz? kara zatém i prześladowanie jakie ponosicie, jest bardzo słuszne. No, może to i prawda. Bądźcie zatém przekonani, że póty Polski niebędzie, póty cierpieć musicie, niema Polski, niema żydów, których Mikolaj lub jego następcy w Moskalów przemienią. No to wielka prawda, ale cóż robić? Jak będzie kiedy jeszcze wojna Polski z Moskwą, potrzeba, abyście wszyscy byli za Polską, inaczej jak bez waszej pomocy wybijemy się na wolność, to was wszystkich z Polski wypędzimy, jako szkodliwe dla niéj nasienie. No niech tylko będzie wojna, a nasze żydki wszystkie się rzucą na Moskala, bo on tak nas męczy, aj waj waj, tak męczy.

Ten starozakonny był niezłym człowiekiem, ale zaciętym i upornym żydem. Od niejakiego czasu dostarczono mi między innemi niemieckiemi książkami ewangielią, którą zawsze z upodobaniem czytałem. Kiedym czytał na głos niektóre ustępy moralne ewangielii, żyd z wielką

przysłuchiwał się ciekawością i potwierdzał wszystko; ale ledwie się dowiedział że to jest ewangielia opowiadana przez Chrystusa, cofnął się od słuchania jej z przestrachem i odtąd nigdy go niemógłem uprosić, aby zwrócił uwagę na naukę tyle zgodną z przeznaczeniem i prawdziwém szczęściem człowieka. Często z nagła, przerwawszy z nim obojętną rozmowę, zacząłem nagle czytać ewangielią: żyd natychmiast zaczął wpół głosem śpiewać swoje pacierze, a to jedynie dla tego, aby nie słuchać ewangielii. — Zaczekaj, nie śpiewaj, czemu nie słuchasz! — No, mnie słuchać nie wolno. — Dla czegoż nie wolno, kiedy to są rzeczy piękne i wzniosłe, sam je potwierdziłeś. — Może to piękne, ale ja mam piękną wiarę. — I żadnym sposobem nigdy nie dał się więcej nakłonić do słuchania ewangielii. Podobny upór znamionujący głupotę i uprzedzenie, a będący ogólną cechą wszystkich naszych żydów których liczba do trzech milionów blisko wynosi, będzie niegdyś dla prawodawców i ustawodawców Polski przeszkodą trudną do pokonania. I w rzeczy saméj, ta wielka liczba żydów ósmą część całéj ludności polskiéj składająca tak ciemna tak zacięta w swych religijnych ku Chrześcianom przesadach a składająca osobne społeczeństwo w społeczeństwie polskiém, jest raną ciężką do uleczenia.

Około drugiéj połowy miesiąca września nastąpiły nocy chłodne i zimno dość mocno czuć mi się dawało tém bardziéj że dostałem pewnego rodzaju gorączki, po któréj następowało mocne ziębienie. Ponieważ sypiałem ciągle na gołych deskach przykrywając się tylko krótkim surdutem, który mnie wcale ogrzać niemógł, a zatém tym sposobem tylko powiększałem choć dotąd niewielką słabość. — Dozórca więzienia pan Emen zlitował się nad moim stanem i dał mi do odziania się i przykrycia swój stary, sążnisty szlafrak, którego poły gdym się weń ubrał, na kilka jeszcze cali włóczyły się za mną po ziemi; choć to było śmiesznie i nie podług mody, ale za to wygodnie i ciepło i mocno temu poczciwemu człowiekowi byłem za

to obowiązany — i nie zadługo przyszedłem do zdrowia. W tymże samym niemal czasie odwiedził mnie w więzieniu jakiś nieznajomy Jegomość, pytając mnie, czybym nieżyczył sobie być wziętym na porękę. — Zdziwiony taką niespodzianą propozycyą, odpowiedziałem, że i owszem, bardzobym sobie tego pragnął, ale niewiem, czy to mi będzie dozwolonem. — Ja pójdę do Pana Lauterbach prezydenta policyi, sam się o tém dowiem, przekonam i dam panu natychmiast wiedzieć. Bardzo mu pięknie za ten uczynek miłosierdzia podziękowałem a on natychmiast wyszedł. — W parę godzin powróciwszy do mnie ten Jegomość nazwiskiem Kamke, kupiec królewiecki oświadczył mi, że pan Lauterbach nic w tym względzie zadecydować niemoże, aż się względem mnie nie skończą poszukiwania, i w Poznańskiem. — Jednakże rzekł dalej pan Kamke, niech pan będzie spokojnym, ja się będę ciągle do policyi dowiadywać i jak tylko można będzie pana wziąć na porękę, sam mu o tém dam wiedzieć. — Nowa nadzieja któréj jednak już nieufałem, we mnie wstąpiła. Czyż istotnie i tą razą Bóg mnie niechce opuścić, rzekłem do siebie, i podaje? i podaje mi środki ocalenia? — Uklęknąwszy zatém ze łzami w oczach dziękowałem mu za nowy i tak widoczny dowód swojéj Wszechmocnéj nademną opieki. Odtąd byłem już nieco spokojniejszy, weselszy choć niezupełnie pewny losu, jaki mnie spotka. Nareszcie ostatniego dnia miesiąca września, czy pierwszego października, wołają mnie do policyi. Niepewny, co się ze mną stanie, bo kazano mi zarazem wszystkie z sobą zabrać rzeczy, ukryłem, jak można najlepiéj przy sobie mój nożyk, jedyną w ostatnim razie schronę, przed rossyjskiem morderstwem. W policyi zastałem już pana Kamkę na mnie czekającego, który ledwie mnie ujrzał, przyskoczył do mnie i oświadczył z radością, że jestem już wolnym, Niepodobna opisać radości i wzruszenia jakich doznałem na tę wiadomość, prawie nieprawdopodobną i serdecznie z rzewnością panu Kamke rękę uścisnąłem. Wkrótce po-

tém urzędownie mi w policyi oświadczono, że jestem wolny, i zarazem zapytano, czy chcę natychmiast jechać do Francyi, czy chcę pozostać w Królewcu pod odpowiedzialnością pana Kamke? — Przyznam się, że tém pytaniem byłem nieco zaambarasowany; gdybym tylko radził się serca, natychmiast chciałbym był jechać do Francyi; lecz radząc się rozsądku inaczéj postanowiłem. Jeżeli ledwie wierzyć mógłem, że byłem wolnym, to dane mi pozwolenie wyboru jechania do Francyi lub pozostania w Królewcu, zdawało mi się ukrywać pewien podstęp dla przekonania się o moich rzeczywistych usposobieniach; tak więzień jest ostrożny, tyle niepewny! Dziś gdy się nad tém zastanawiam z zimną krwią, nie widzę w téj propozycyi żadnego podstępu, ale mnie wówczas pod smutnemi zostającemu wrażeniami, to zdawało się nieprawdopodobném. Przytém myślałem także, iż dobrzeby było pozostać tu na miejscu tak dla przekonania się o wszystkiém co zaszło w Poznańskiém, jako też i dla tego, że jeżeli co ma jeszcze nastąpić, lepiéj być na miejscu w kraju, bliskiém Poznańskiego, do którego z czasem mógłbym się dostać i tam osieść, niż wlec się do Francyi na nową Emigracyą, odpowiedziałem tedy, że ponieważ władze tutejsze były tyle względne na mnie, że mnie z więzienia uwolniwszy, nie wydały w ręce Moskali, chciałbym pod ich opieką i nadal tu zostać i mojém postępowaniem przekonać, ile im jestem obowiązany za wyświadczone mi dobrodziejstwo. Uważałem, że z tego oświadczenia bardzo, byli kontenci w policyi i ci sami panowie co niedawno przedtém tak groźnie i surowo ze mną obchodzili się, zaczęli mi ściskać ręce, winszować mi, żem z tak wielkiego wybrnął niebezpieczeństwa i widziałem że ta radość ich pochodziła z serca. Żegnając mnie powiedzieli: mamy teraz w Królewcu jednego Bürgera (obywatela) więcéj. Poczém pan Kamke zaprowadził mnie do swego domu będącego na ulicy vor dem Rossgarten Nr. 46.

Pan Kamke był we spółce interessów handlowych

z panią Przetak, wdową mającą ośmnastoletniego syna Henryka, i szesnastoletnią córkę pannę Emmę i w jednym domu z nimi mieszkał. Dom był dość obszerny, dziedziniec wewnętrzny przestronny i piękny, dość duży owocowy, kwiatowy i spacerowy ogród tuż za dziedzińcem położony, gdzie także była altana i łazienki. Przyjęty byłem w tym domu najuprzejmiéj, dano mi osobną stancyą i porządną pościel, a przedewszystkiém natychmiast mnie przeobleczono w czystą bieliznę, jednóm słowem, przyjęto mnie tam z uczuciem, jakie tylko mieć można dla człowieka rodziny, lub dla mocno nieszczęśliwego, którego niechce się obrazić dumy przez obojętną tylko życzliwość, tyle upokarzającą i nieszczęście i dobroczyńcę. Dziwnie zniewalający jest takt osób uczuć prawdziwie delikatnych i wzniosłych; nigdy przedtém tych zacnych ludzi nieznałem, a pierwsza z nimi znajomość stawiała mnie w bardzo przykrém względem nich, bo zależném położeniu; z tém wszystkiém jednak w ich ze mną obejściu się tyle było prostoty i szczeroty, że od razu stanąłem z nimi na stopie przyjacielskiéj, a nawet jakby rodzinnéj; nieczułem wcale téj drażliwéj, i tyle dotkliwéj zależności, jakiéj zwykle doświadczamy, kiedy odbierając dobrodziejstwo, niewidzimy się w stanie podobnym sposobem odwdzięczyć. Pani Przetak średniego wieku kobieta, miała dla mnie uczucie matki lub siostry, panna Emma jéj córka, miła i ładna panna, nieco po francusku mówiąca, przy całéj godności i skromności jéj wiekowi i płci właściwéj, była mi najżyczliwszą; w tém dziewiczém, czystém i nieskażoném sercu, litość i spółczucie nad mym losem często się przez łzy objawiało, które napróżno starała się ukrywać; pan Henryk brat panny Emmy i pan Kamke, byli to przyjaciele, którzy swemi radami i obejściem się ze mną dowiedli, iż szczerze mi życzyli, i chcieli mnie widzieć szczęśliwszym. Ponieważ miałem zamiar pozostania w Królewcu, różne zatém podawali mi projekta dla ustalenia się tamże. Pan Kamke na drugi

czy trzeci dzień, poszedł ze mną do kupca sukni, i dobrawszy takowe, o ile to było tylko możliwem do mojéj kibici, kupił mi czapkę, kamizelkę, spodnie i surdut, ale wcale niewiem za czyje pieniądze, bo mi tego powiedzieć niechciał, ale to pewna, że za swoje; napróżnom się sprzeciwiał temu kupnu, musiałem uledz jego naleganiom. Przebrany w burgera królewieckiego, poszedłem tego samego wieczora z Henrykiem Przetakiem na operę *Córka regimentu* (Regimentstochter). Orkiestra była przewyborna, główna aktorka (córka regimentu) któréj nazwiska niepomnę, była piękna i głos miała porywający, a tak harmonijnie donośny, że całą orkiestrę pokrywał, i zdawał się być jéj oddźwiękiem chłonącym w sobie rozliczne tony i nadającym im ostateczną melodyjną wibracyą. Ja co piękny głos żywy nad wszystkie przenoszę muzyki, nawet nad skrzypce, byłem tą operą zachwycony i kilka godzin czasu najmiléj mi upłynęło. Dziwna sprzeczność losu: przed dwoma jeszcze dniami byłem w więzieniu, i przygotowywałem się prawie do niechybnéj śmierci, gdy oto teraz oddychając pełnią życia, czułem prawdziwie jego rozkosz; prawda, że to tylko na chwilę. Sposób mego życia u pani Przetak był następujący: o ósméj z rana spora filiżanka dobréj kawy ze śmietanką i z bułką czy z sucharkiem; około dziesiątéj kieliszek wybornéj wódki i bułka z masłem lub z szynką; o dwónastéj obiad wyśmienity z piwem i kieliszkiem wina; po obiedzie czarna kawa, około piątéj, jeźli chciałem, podwieczorek, około siódméj dobra kolacya, po kolacyi albo w domu, albo w kawiarni piwo. Tak żyjąc w kilku dniach przyszedłem do zdrowia i nowych sił nabrałem. Mówię z upodobaniem o tych szczegółach, dla okazania méj wdzięczności i pamięci, jaką zachować winienem i zachowam na zawsze o tych zacnych i poczciwych ludziach; oby te wyrazy mogły z czasem dojść i do nich, choćby tylko dla zapewnienia, że szlachetne nieszczęście szlachetność duszy czuć i cenić umie. W chwilach swobodnych chodziłem

i przypatrywałem się miastu, i jego rozpoczętym fortyfikacyom, jako też oddawałem wizyty znajomym mi z processu, panu Szymkiewiczowi i panu Fleury. Pan Fleury zaprosiwszy mnie raz na obiad, między innemi rzekł do mnie: czy pan wiesz, że ja jestem założycielem nowej religii w Królewcu? (Savez-vous que je suis fondateur de la nouvelle religion ici à Königsberg?) ale to z taką dumą poczciwy, ale próżny Francuz to powiedział, jakby największego dokonał dzieła. Mahomet śród swoich zwycięztw niemógł być dumniejszym. Z dalszej w tym względzie rozmowy przekonałem się, że pan Fleury chwycił się nauki Rongiego. Czerski z Poznańskiego chwyciwszy się tej nauki, przybył dla jej opowiadania do Królewca, i pan Fleury dawszy się czy przekonać czy ujęty nowością, istotnie został w Królewcu fondateur de la nouvelle religion. W Królewcu od niejakiego czasu i kiedym się w nim znajdował, panowała wielka oppozycya przeciw królowi pruskiemu, a kiedy po wstąpieniu na tron, przybył dla koronacyi podług zwyczaju do Królewca, nawet mu niekrzyczano wiwatów, tak przynajmniej mnie zapewniano. Ale jeżeli ta oppozycya była wielka, to bojaźń sąsiedztwa Moskali była nierównie większą i prawdziwszą u obywateli Królewca.

Bez wątpienia, iż po Bogu, który nastręczał i kierował okolicznościami, w których się naprzemian znajdowałem, moje uwolnienie i ocalenie jedynie byłem winien panu hrabi von Eulenburg; sama zatem przyzwoitość a nawet prawdziwa ma wdzięczność nakazywały mi, abym mu osobiście złożył moje uszanowanie, i podziękował za tak wielki dowód ludzkości i względów mi wyświadczonych, i miałem mocne postanowienie to uczynić, tem bardziej, że tak postępując szedłem za naturalną skłonnością mojego serca; ten obowiązek a raczej powinność, była dla mnie bardzo miłą, i szczerze życzyłem poznać osobiście tego, którego szlachetne uczucia serca wysoko ceniłem, szukałem tylko sposobnej do tego pory. Tym-

czasem gdy w tych usposobieniach zostawałem i zajmowałem się już sposobami dalszego w Królewcu życia; aż tu dnia 7 października przychodzi officyalnie do mego mieszkania w którém naówczas niebyłem, żandarm z rozkazem, abym się niezwłocznie stawił w policyi. To wezwanie tyle urzędowe zatrwożyło życzliwe mi osoby, które różnemi sposobami dowiedziawszy się o wszystkiém, kiedym wrócił do mieszkania, oświadczyły mi z wielką niespokojnością i trwogą, że z Berlina przyszła sztafeta do miejscowéj władzy, aby mnie zakutego w kajdany odstawić do granicy rossyjskiéj, dla wydania w ręce władz rossyjskich, jak tego dwór petersburgski się domagał, ale zarazem też same życzliwe osoby mnie oświadczyły, iż miałem za sobą opinią i przychylność miasta, a nawet życzliwość saméj policyi. Łatwo sobie wyobrazić, ile ta wiadomość mnie zelektryzowała, ile ten nowy cios był dla mnie okropnym. Radzono mi tymczasem, abym na miasto niewychodził, i ukryto mnie w bardzo bezpieczném miejscu. Wieść wydania mnie Moskalom prędko się rozniosła po mieście, i wywołała powszechne oburzenie, co musiało niepomału wpłynąć na postanowienie władz miejscowych, dotąd mi dość życzliwych i mniemam, że pan hrabia von Eulenburg chcąc mnie koniecznie z rąk moskiewskich uratować, z chęcią się przyczynił do ogólnéj opinii, tyle zgodnéj z jego szlachetną duszą. Jako wysoki urzędnik wiele mogący, ale zarazem na większéj będący widowni, niemógł, niepowinien nawet jawnie się sprzeciwić rozkazowi odebranemu z Berlina, ale miał sposoby pogodzenia obowiązków urzędu z obowiązkami swojego sumienia, chciał mnie koniecznie ocalić i ocalił. Za jego usposobieniem poszli i inni urzędnicy.

Kiedy już wszystko za pośrednictwem moich przyjaciół było przysposobioném, dnia 8 października rano musiałem się udać do policyi, do któréj mimo zapewnienia dobrze mi życzących, szedłem z wielką nieufnością, i dla tego ukryłem w zanadrzu mój nożyk, na wszelki nieprze-

widziany przypadek. W policyi w osobnym pokoju zastałem tylko dwóch panów, którzy mi byli zawsze życzliwymi, a którzy na mój widok mocno byli wzruszeni. Ci panowie półgłosem mi oświadczyli, że przyszedł rozkaz mnie wydania Rossyi, że jednak oni podają mi możliwe środki ocalenia, to jest: że potrzeba jak najrychlej z Królewca wyjechać, i zrobili co mogli: dodając jednak, że to wszystko nie jest dostatecznem, że mogę być na drodze schwytanym, że przeto zostawiają mnie mojemu tylko przemysłowi i obrotności, życząc z całego serca abym się mógł ocalić. W czasie tych przygotowań mówili do siebie z oburzeniem: jakim sposobem Rossya mogła się dowiedzieć, że on (mówiąc o mnie) tu się znajduje? Czy ma tu szpiegów między nami? Czy my niemożemy być pewni nawet u siebie? Ale jakim sposobem nasz rząd może zezwolić na takie okrucieństwo? Czy on istotnie jest pod wpływem moskiewskim? itd. Ja nic nie mówiąc, przysłuchiwałem się temu wszystkiemu, i widziałem, że szczerze mówili. Lecz nim opowiem dalsze me przygody, a raczej dalszą mą podróż, zatrzymam się tu nieco dla zrobienia kilku uwag, jakim sposobem Rossya mogła się dowiedzieć, że byłem w Królewcu i dla czego żądała mojego wydania.

Kiedy mnie śpiącego na kamieniach wzięto w nocy i zaprowadzono do więzienia, dzienniki królewieckie (jakem się później dowiedział) napisały, że jakiegoś Francuza pojmano, nieszczędząc bynajmniej zwykłych komentarzy dziennikarskich; kiedym się przyznał, żem Polak, też dzienniki ogłosiły, że Francuz znaleziony śpiącym, był to Polak uciekający z Syberyi, i tu znowu wyprowadzały ztąd swe wnioski. Wątpię, aby protokół zdjęty ze mnie jako z Polaka, był posłanym do Rossyi dla sprawdzenia mych zeznań, postąpienie ze mną władz królewieckich, a szczególniej pana hrabi von Eulenburg, zdaje się temu zaprzeczać; ale czyż niemogli w Petersburgu dowiedzieć się z dzienników niemieckich? albo od

konsula rossyjskiego rezydującego w Królewcu? Od chwili zatém mojego przyznania się do nazwiska narodowego i familijnego, upłynęło dosyć czasu, (półtora miesiąca) aby dowiedziano się o tém w Petersburgu, dano znać w Berlinie a z Berlina do Królewca, aby mnie wydano. Ja inaczéj tego wszystkiego wytłómaczyć sobie niemogę.

Kiedy się w policyi wszystkie przygotowania skończyły, i kiedy mnie ci dwaj panowie pożegnali szczerém uściśnieniem ręki, wróciłem do miejsca mojego schronienia, i otrzymałem list rekommendacyjny od zacnego fundatora nowéj religii, do pana L. w Gdańsku. Dnia 9 października bardzo rano pan Kamke wziąwszy mnie do swego własnego kabryoletu, wyjechał ze mną z Królewca drogą wiodącą ku Gdańskowi, jadąc wolno i rozmawiając zatrzymaliśmy się w jednéj oberzy, może o dobrą milę od Królewca położonéj, i tam zjadłszy śniadanie, wolno ruszyliśmy daléj. W drodze Pan Kamke, dał mi piękny pugilares niewielki, którego okładki paciorkową robotą były wyszyte, mówiąc mi: że to był dla mnie mały upominek od panny Emmy, i prosząc zarazem, abym do niego niezaglądał aż po rozłączeniu się z nim. Z prawdziwą wdzięcznością przyjąwszy ten upominek, przyrzekłem panu Kamke, że doń niezajrzę aż po pożegnaniu się z nim. Na pierwszéj stacyi napędził nas dyliżans, a pan Kamke pomówiwszy z konduktorem wsadził mnie do niego mówiąc: że aż do samego Gdańska podróż mi jest zapłacona, że najbezpieczniéj do niego się dostanę. Pożegnawszy się z tym poczciwym człowiekiem, i zobowiązawszy go, aby pani Przetak i całemu jéj domowi oświadczył odemnie szczerą mą wdzięczność, w dalszą ruszyłem podróż. Otwieram darowany mi pugilaresik i znajduję w niém dziesięć czy dwanaście talarów. Tyle względów, tyle delikatności od ludzi i od młodéj ładnéj dziewicy, dla których byłem zupełnie obcym, do łez mnie prawie wzruszyly, i rzekłem do siebie, jak drugi kwaker: i między Prusakami są poczciwi i szlachetni ludzie. Tego

samego dnia i następującéj nocy przejechałem Elbląg, Marienburg dawną stolicę Krzyżaków, i nazajutrz o ósméj z rana byłem już w Gdańsku. Wysiadłszy z dyliżansu z rekommendacyjnym listem udałem się natychmiast do pana L., zastałem go leżącego w łóżku i chorego. Po przeczytaniu listu pan L. mówiący nieco po polsku, mocno się mną zajął, i powiedziawszy, że tu jest dosyć pańskich rodaków, prosił mnie, abym do niego wrócił za godzinę. W czasie téj godziny oglądałem miasto Gdańsk i mocną fortecę. Poczém wróciwszy do pana L. zastałem u niego dwóch moich rodaków tam bawiących za własnemi interessami, pana J. z Galicyi i pana Z. podobno z Kongresówki. Ledwiem się pokazał, pan J. po kilku słowach przywitania, dając mi woreczek z pieniędzmi rzekł: niech pan będzie łaskaw to przyjąć, i zmykaj jak możesz najprędzéj, bo przy teraźniejszych wypadkach i w twojém położeniu, nigdzie w całych Niemczech a szczególniéj w Prusach niemożesz być pewnym; staraj się jak najprędzéj dostać do Francyi. Przyjąwszy pieniądze z wdzięcznością z rąk zacnego rodaka, i cztery rekommendacyjne listy, które pan L. już wygotował, natychmiast się oddaliłem. Wszystko to nietrwalo nad kilka minut. Idąc na dyliżans spotkałem bandę polskich wieśniaków, mniejsza z któréj byli okolicy, gdyby nawet mowa polska niezdradzała ich narodowości, poznałbym że byli Polakami, a raczéj Polski ilotami: słomiane kapelusze, szare, białawe, lub ciemne sukmanki z grubego sukna, dobrze podszarzane, koszule brudne, spodnie brudne płócienne, krótkie; nogi bose czerwone zabłocone, płócienne węzełki na plecach stanowiły cały ich ubiór; twarze zasmolone, wyschłe, smutek w obliczu i spojrzeniu, w całéj postawie jakaś upokarzająca pokora, cechująca poniżenie w jakiém się znajdują; wszystko to razem wzięte, najdobitniéj malowało nędzę i niedolę polskiego wieśniaka. Na ten widok tak rażący śród bogatego miasta, serce mi się od żalu ścisnęło; bo czyż Polacy jedni

tylko na świecie począwszy od najwyższéj aż do najniższéj warstwy społeczeństwa są przeznaczeni do znoszenia obelg, pogardy, nędzy i poniżenia? Jedni tylko oni są wskazani między wszystkiemi narodami przedstawiać się w pokornéj postawie niewolnika? Zamożniejsi, a bogatsi ugnieceni jarzmem obcych najezdniczych rządów, a wieśniacy przyciśnieni jarzmem podwójnem; obcém i własnych swoich rodaków. Prawdziwie niepojmuję ślepoty i zatwardziałości wielu Polaków, tak mało dbających o los, o przyszłość swych młodszych, a stokroć liczniejszych od nich braci, a od których jednak ich, i ich potomstwa los i przyszłość zależy.

Mając podostatkiem pieniędzy, bo pan J. dał mi dziewięćdziesiąt czy sto dziewięćdziesiąt talarów, już dobrze tego niepomnę, byłem spokojny co do szybkiéj mojéj podróży; siadłszy zatém do dyliżansu przybyłem nazajutrz do dnia do Szczecina; tego samego dnia parowozem ze Szczecina przez Berlin dojechałem do Lipska. Nazajutrz rano udałem się z listem od pana L., do mieszkania nieszczęśliwego Roberta Blum, którego zastałem w swojéj księgarni. Robert Blum nizki, gruby, barczysty, mocno zbudowany, blondyn, twarzy okrągłéj, szerokiéj, krótkiéj i kościstéj, niebieskich oczu, nosa krótkiego z roztwartemi nozdrzami, włosów gęstych, ze swą blond-rudawą brodą, miał raczéj fizyonomiją rossyjską niż niemiecką. Przyjął mnie najuprzejmiéj, ofiarował swą pomoc, i miałem przyjemność widzenia jego żony i jego drobnych dzieci. Pan Robert Blum, który na pierwsze na mnie spojrzenie, jak mi mówił, od razu poznał żem Słowianin, bardzo się płynnie wyrażał i nieźle mówił po francuzku, a w całéj jego fizyonomii nadzwyczaj wielka malowała się energija w głosie, w obejściu się było coś przyjemnego, łagodnego, ujmującego i delikatnego, w rozmowie ze mną bardzo trafnie o wszystkiém decydował, rozprawiał i daleko w przyszłość widział; wypadki, które późniéj nastały, mnie w tém utwierdziły. Robert Blum

był człowiekiem niepospolitym, tém bardziéj, że sobie samemu i swéj prawości był winien wziętość u swoich spółrodaków. Śmierć jego w Wiedniu, o ile przyniosła szkody sprawie Niemiec i unieśmiertelniła jego pamięć, o tyle okryła złorzeczeniem jego okrótnych i mściwych morderców. Co do mnie, szczerze żałowałem i żałuję straty tego poczciwego człowieka, który do wielu innych przymiotów łączył głębokie uczucie dla sprawy Polski i był jéj prawdziwym przyjacielem. Cześć jego pamięci! Pan Robert Blum zaszedł ze mną, zdaje się, do teatru, którego był podobno jakimś członkiem, ztamtąd wyszedłszy, udaliśmy się do znajomego mu dobrze landkuczera, któremu mnie przyporęczywszy, abym bezpiecznie dojechał do Frankfurtu; przy pożegnaniu się ze mną dał mi trzy czy cztery talary; napróżnom się wymawiał, że mam pieniądze i pokazałem mu takowe, to nic niepomogło, musiałem je przyjąć, aby nieobrazić dobrego jego serca. We dwa dni późniéj przybyłem szczęśliwie do Frankfurtu nad Menem i natychmiast z listem już od Bluma udałem się do doktora Pana J. Pan J. także, mimo méj woli, wetknął mi kilka talarów, mówiąc: my znamy położenie szczególnie teraźniejsze emigrantów we Francyi. Do Francyi daleko, a kto wie, czy Pan jeszcze żołd otrzymasz, a o zatrudnienie bardzo trudno; niegardź Pan tym małym datkiem ze szczerego serca pochodzącym; więc musiałem przyjąć. Po naradzeniu się z Panem J. przedsięwziąłem udać się z Frankfurtu na Heidelberg i Strasburg do Paryża, zamiast udania się przez Mannheim i Offenbach, jak to rekommendacyjne listy Pana D. wskazywały.

Pożegnawszy się w końcu z Panem J., wsiadłem na koléj żelazną tego samego dnia we Frankfurcie i tego samego dnia przez Heidelberg, Carlsruhe przybyłem wieczorem do Kehl, zkąd omnibusem wjechałem do Strasburga, gdzie przy wjeździe wcale nikogo o pasport niepytano; byłem jeszcze niepewnym, pókim nie wjechał do Francyi. Trudno sobie wyobrazić, jakem się ucieszył, gdym ujrzał

czerwone spodnie francuzkich żołnierzy na granicy będących, tu dopiero swobodnie odetchnąłem, tu dopiero rzekłem do siebie: tu nakoniec jestem zupełnie wolnym. W uniesieniu méj radości, gdyby przyzwoitość i okoliczności mi dozwoliły, najserdeczniéj byłbym uściskał, ucałował pierwszego lepszego żołnierza Francuza; tyle wolność prawdziwa ma dla nas powabu, takie przynajmniéj na mnie wywarła wrażenie, na mnie tak długo, ciągle, i srogo prześladowanego od losu, i żyjącego w męczącéj obawie być co chwila schwytanym i oddanym Moskalom. Kiedym się zupełnie ujrzał po za niebezpieczeństwem, rzekłem w duchu: Niech będzie cześć i chwała najwyższemu Bogu i najświętszéj Bogarodzicy Maryi Pannie! — Lekko i ochoczo zeskoczywszy z omnibusu, dopytałem się o swoich ziomków Strusia i Radziszewskiego, kapitana od altylleryi, z którymi parę dni przepędziwszy w Strasburgu, siadłem na dyliżans i przybyłem nareszcie dnia 22 października 1846 roku do Paryża, z którego cztery lata temu nazad (9 stycznia 1843) byłem do Polski wyjechał.

Dziś jeszcze, kiedy się zastanawiam nad tém wszystkiém, co mi się zdarzyło znieść w przeciągu lat czterech, od czasu wyjazdu z Paryża aż do mojego doń powrotu, ledwie sam sobie wierzyć mogę, żem został ocalony, a moje ocalenie żadnéj mojéj przezorności, żadnym zabiegom i odwadze, tylko saméj Opatrzności Boga przypisać muszę. W tym przeciągu czasu najmniéj trzy razy umrzeć byłem powinien; naprzód w Kijowie, gdzie miano mnie roztrzelać a nie roztrzelano; powtóre: gdy w czasie mojéj ucieczki z Syberyi przez Rossyą, gdzie kilka razy mogłem być schwytany, a schwytany niebyłem; potrzecie: gdy mnie miano wydać Rossyi z Królewca, a nie wydano. Samo nawet wzięcie mnie śpiącego i uwięzienie w Królewcu, można powiedzieć, było opatrzne i posłużyło do mojego ocalenia, bo gdyby niewiedząc wcale, co

przed kilką miesięcy zaszło w Wielkiém Księstwie Poznańskiém, i jak wielka w niém z tego powodu była czujność władz pruskich i przestrach obywateli, gdybym, powiadam, i dostał się do niego, jak to było moim zamiarem, niemasz prawie żadnéj wątpliwości, że schwytany (a co koniecznieby nastąpić musiało z przyczyny czuwania policyi) bez żadnych dowodów, byłbym natychmiast w ręce Moskali wydanym. W tém więc wszyskiém, co w mych czteroletnich przygodach zaszło, widzę tylko zrządzenie Opatrzności, któréj się podobało mnie ocalić, zapewno dla ogłoszenia przed światem i dla potomności, okrucieństw i męczarni, jakich się za rządów Mikołaja dopuszczano na naszych rodakach, a które prawie nikomu dokładnie niebyły znane. Za to więc wszystko Bogu jednemu niech będzie cześć i chwała.

Rufin Piotrowski.

KONIEC TOMU TRZECIEGO I OSTATNIEGO.

Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki w Poznaniu ul. Berlińska Nr. 32.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

TOM DRUGI.

TOM TRZECI.